

CZARA
CIENI

FRANCES
HARDINGE



**FRANCES
HARDINGE**

Przełożyła Anna Bereta-Jankowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *A Skinful of Shadows*

Redakcja: Aleksandra Kielczykowska

Projekt okładki: Rachel Vale

Ilustracje na okładce: © Aitch

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Korekta: Maria Osińska, Słowne babki

Copyright © Frances Hardinge 2017

Copyright for the Polish translation by Anna Bereta-Jankowska, 2018

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-077-7

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

Spis treści

WYJŚCIE Z GAWRY

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

KOCICA PANI GOTELY

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

MAUD

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

JUDYTA

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ZIEMIA NICZYJA

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

WHITEHOLLOW

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[KONIEC ŚWIATA](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

*Mojej chrześniaczce Harriet,
która podziela mój głód książek
i niebywałych przygód*

CZEŚĆ PIERWSZA

WYJŚCIE Z GAWRY

ROZDZIAŁ 1

Gdy Zgódka po raz trzeci wybudziła się z krzykiem z koszmaru, jej matka była wściekła.

– Mówiłam ci, żebyś tak więcej nie śniła! – syknęła, nie podnosząc głosu, by nie zbudzić pozostałych domowników. – A jeśli już musisz, to po cichu!

– Nic na to nie poradzę – szepnęła Zgódka, wystraszona groźnym tonem matki.

Kobieta ujęła dłonie dziewczynki. W świetle wczesnego poranka na jej pozbawionej uśmiechu twarzy wyraźnie malowało się napięcie.

– Nie podoba ci się twój dom. Nie chcesz mieszkać z mamą.

– Chcę! Chcę! – zawołała Zgódka, czując, jak ziemia usuwa jej się spod stóp.

– Więc musisz się nauczyć pomagać. Jeśli co noc będziesz krzyczeć, stanie się coś strasznego. Mogą nas wyrzucić z tego domu!

Za ścianą spali wujostwo Zgódki, właściciele cukierni na dole. Ciotka była wylewna i szczerą, a wuj patrzył groźnie i był wiecznie niezadowolony. Gdy dziewczynka skończyła sześć lat, powierzono jej opiekę nad czworgiem kuzynostwa, których trzeba było stale karmić, myć, opatrywać, karcieć lub ściągać z drzew sąsiadów. W międzyczasie załatwiała sprawunki i pomagała w kuchni. A jednak spały z mamą na sienniku w pokoiku pełnym przeciągów, z dala od reszty domostwa. Miejsce, które zajmowały w rodzinie, здавало się zawsze na kredyt, jakby można je im było odebrać bez ostrzeżenia.

– Co gorsza, ktoś mógłby zadzwonić do pastora – ciągnęła matka. – Albo... inni mogliby się dowiedzieć.

Zgódka nie miała pojęcia, kim byli „inni”, ale stanowili stałe zagrożenie. W ciągu swego dziesięcioletniego życia zdążyła się nauczyć, że nikomu nie wolno było ufać.

– Próbowałam! – Noc w noc dziewczynka modliła się z całego serca, po czym leżała w mroku, siłą woli odpędzając sny. Jednak koszmar stale do niej wracał, pełen księżycowej poświaty, szeptów i niedopowiedzianych kształtów. – Co mam zrobić? Przecież chcę przestać!

Mama przez chwilę milczała, po czym ścisnęła rękę Zgódki.

– Coś ci opowiem – zaczęła jak zwykle, gdy zdarzało jej się omawiać z córką jakąś ważną sprawę. – Pewnego razu w lesie zgubiła się mała dziewczynka, którą zaczął gonić wilk. Uciekała i uciekała, aż poraniła sobie stopy, ale wiedziała, że wilczyśko zna jej zapach i że nie zrezygnuje z pościgu. Wreszcie musiała podjąć decyzję. Mogła biec dalej, by już zawsze ukrywać się i uciekać, albo zatrzymać się, zaostrzyć patyk i stanąć do walki. Jak myślisz, co było słuszne, Zgódko?

Zgódka zorientowała się, że to nie jest byle bajka i że jej odpowiedź ma duże znaczenie.

– Da się pokonać wilka patykiem? – spytała z powątpiewaniem.

– Patyk daje ci jakąś szansę. – Nieznaczny, smutny uśmiech wypłynął na twarz matki. – Niewielką. Ale niebezpiecznie jest zaprzestać ucieczki.

Zgódka zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Wilki są szybsze od ludzi – powiedziała wreszcie. – Nawet gdyby biegła bez odpoczynku, w końcu i tak dopadłby ją i zjadł. Potrzebny jej ostry kij.

Matka powoli pokiwała głową. Nic więcej nie powiedziała i nie dokończyła opowieści. Zgódkę przeszył zimny dreszcz. Z matką tak czasem bywało. Rozmowy zmieniały się w zagadki z ukrytymi potrzaskami, a odpowiedzi, których się jej udzielało, zawsze niosły ze sobą nieznane konsekwencje.

Odkąd Zgódka sięgała pamięcią, mieszkały we dwie w gwarnym niby-miasteczku Topola. Dziewczynka nie wyobrażała sobie świata bez smrodu dymu węglowego i smoły, przywiewanego przez wiatr z ogromnych, stukających stocznii, paplaniny topoli, dzięki którym miejscowość zyskała swoją nazwę, ani soczystych zielonych moczarów, gdzie pasły się krowy. Londyn leżał oddalony o kilka kilometrów. Spowita smogiem masa groźby i obietnicy. A jednak Zgódka nie miała poczucia, że to jej miejsce.

Matka nigdy nie powiedziała: „To nie jest nasz dom”, ale jej oczy mówiły to bez przerwy.

Kiedy mama po raz pierwszy zjawiała się w Topoli, zmieniła małej wóczas córeczce imię na Czynizgoda, aby lepiej je obie przyjęto. Zgódka nie знаła swojego pierwotnego imienia i sama myśl o tym sprawiała, że dziewczynka czuła się wyjęta z rzeczywistości. „Czynizgoda” w ogóle nie wydawało się właściwym imieniem. Brzmiało raczej jak ofiara, jak zawarcie pokoju z Bogiem i pobożnym ludkiem Topoli. Stanowiło przeprosiny za pustkę, którą powinien zapełniać ojciec dziewczynki.

Każdy, kogo znały, był pobożny. Społeczność sama określała się tym

mianem, nie po to, by się przechwalać, ale żeby wyraźnie odróżnić się od wszystkich kroczących mroczną drogą, na końcu której ziała paszcza piekła. Nie jedna Zgódka nosiła tam dziwne, świętoszkowato brzmiące imię. Było jeszcze kilka innych – Prawda, Wola-Boża, Opuszczona, Zbawianna, Bezgrzech i tym podobne.

Co drugi wieczór pokój ciotki służył do spotkań modlitewnych i czytania Biblii, a w niedziele wszyscy chodzili do wysokiego kościoła z szarego kamienia.

Pastor był miłym człowiekiem, kiedy spotykało się go na ulicy, ale gdy stał na ambonie, budził trwogę. Z zasluchanych twarzy zebranych Zgódka wnioskowała, że muszą w nim lśnić wielkie prawdy i miłość – niczym zimna biała kometa. Mówił o stawianiu oporu pokusom pijaństwa, hazardu, tańca, przedstawień teatralnych i jałowych zabaw w niedzielę, bo to wszystko diabelskie pułapki. Opowiadał o wydarzeniach w Londynie i na całym świecie – ostatniej zdradzie w sądzie, spiskach plugawych katolików. Jego kazania przerażały, ale jednocześnie były pasjonujące. Zdarzało się, że Zgódka wychodziła z kościoła z dreszczem dumy, że otaczający ją wierni to promieniści rycerze zjednoczeni przeciwko siłom ciemności. Przez jakiś czas dziewczynka wierzyła, że mama i ona są częścią czegoś większego, czegoś cudownego, wraz ze swoimi bliźnimi. Wrażenie to nie trwało jednak długo. Wkrótce znów stanowiły samotną dwuosobową armię.

Matka nigdy nie powiedziała: „To nie są nasi przyjaciele”, ale mocniej ścisnęła rękę Zgódki, gdy tylko wkraczały do kościoła, przybywały na rynek czy przystawały, by kogoś pozdrowić. Zupełnie jakby były z mamą otoczone niewidzialnym płótem, odcinającym je od wszystkiego. Tak jak mama posyłała połowiczne uśmiechy innym matkom, tak Zgódka uśmiechała się półgębkiem do innych dzieci. Tych z tatusiami.

Dzieci są małymi księżmi swoich rodziców, obserwującymi każdy gest i wyraz twarzy w oczekiwaniu znaków ich boskiej woli. Zgódka od zawsze wiedziała, że one dwie nigdy nie powinny czuć się bezpiecznie i że inni ludzie mogą obrócić się przeciwko nim.

Zgódka nauczyła się więc znajdować pocieszenie i poczucie więzi z tym, co nie znało ludzkiej mowy. Rozumiała ruchliwą złośliwość gzów, pełen lęku gniew psów, ciężką cierpliwość krów.

Zdarzało się, że wpadała przez to w tarapaty. Któregoś razu wróciła z rozciętą wargą i krwawiącym nosem, bo nawrzeszczała na chłopców, którzy rzucali kamieniami w ptasie gniazdo. Zabijanie ptaków na rosół czy wykradanie jajek na śniadanie była w stanie pojąć, ale dla bezcelowego, głupiego okrucieństwa Zgódka nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia. Chłopcy

gapili się na nią z bezgranicznym zdumieniem, po czym zaatakowali ją. A jakże. Znęcanie się było dla nich normą, zwykłą częścią ich życia, jak kwiatki czy deszcz. Przywykli do szkolnej różgi, dobiegającego z rzeźni kwiku świń i przesiąkniętych krwią trocin na arenie walk kogutów. Roznoszenie w puch maleńkich pierzastych istnień było dla nich równie naturalne i satysfakcjonujące, jak skakanie po kałużach.

Jeśli ktoś się wychylał, dostawał po nosie. Żeby przetrwać, matka i Zgódka musiały wtopić się w tłum. Niestety, jakoś im się to nie udawało.

* * *

W noc po opowieści o wilku, bez słowa wyjaśnienia, matka zaprowadziła Zgódkę na stary cmentarz.

Mrok sprawiał, że kościół wydawał się sto razy większy, a jego wieża była bezlitosnym prostokątem nieprzeniknionej czerni. Kępy trawy poszarzały w blasku gwiazd. W rogu cmentarza stała niewielka ceglana kaplica, od dawna już nieużywana. Matka wprowadziła Zgódkę do środka i rzuciła naręcze koców w kąt spowitego mrokiem wnętrza.

– Możemy już iść do domu? – Ciarki przechodziły Zgódce po plecach. Miała wrażenie, że coś czai się w pobliżu, że otaczają ją jakieś istoty. Mdlilo ją od ich drażniącej bliskości, jakby odnoża pajaków łaskotały jej mózg.

– Nie – ucięła kobieta.

– Tu są jakieś stworzenia! – Zgódka walczyła z ogarniającą ją paniką. Z przerażeniem rozpoznała znajome uczucie. Jej koszmary zawsze zaczynały się od tego samego budzącego grozę mrowienia, przekonania, że osaczają ją wrogowie. – Demony z moich snów...

– Wiem.

– Gdzie one są? – szepnęła Zgódka. – Czy one... nie żyją? – W głębi duszy znała już odpowiedź.

– Tak – odparła matka tym samym chłodnym, beznamiętnym tonem. – Posłuchaj mnie. Umarli są jak topielcy. Miotają się w mroku, próbując się chwycić wszystkiego, co znajdą na swej drodze. Mogą nie chcieć cię skrzywdzić, ale zrobią to, jeśli im pozwolisz. Spędzisz tutaj dzisiejszą noc. Będą starały się wdrzeć do twojej głowy. Nie dopuść do tego pod żadnym pozorem.

– Co? – krzyknęła przerażona Zgódka, na chwilę zapominając o zachowaniu ostrożnej ciszy. – Nie! Nie mogę tu zostać!

– Musisz – powiedziała matka. Na jej twarzy, przypominającej rzeźbę spowitą srebrzystym światłem gwiazd, nie było śladu delikatności ani chęci

ugody. – Zostaniesz tu i zaostrzysz sobie kij.

Mama zawsze zachowywała się najdziwniej, kiedy sprawa była poważna. Zupełnie jakby w skrzyni na ubrania, tuż pod niedzielną suknią, trzymała na wyjątkowe sytuacje drugą siebie – upartą, niezrozumiałą, niczym z innego świata. W takich chwilach nie była matką, tylko Małgorzatą. Jej oczy wydawały się głębsze, włosy pod czepkiem – gęstsze i bardziej wiedźmowate, a uwaga skupiona była na czymś dla Zgódki niedostrzegalnym.

Na ogół, gdy mama robiła się taka, Zgódka kładła uszy po sobie i nie dyskutowała. Jednak tym razem ogarnęło ją przerażenie. Błagała jak nigdy dotąd. Wyklócała się, protestowała, łkała i z zacieklą desperacją wbijała palce w matczyne ramię. Przecież nie mogłaby jej tu zostawić, nie mogłaby, nie mogła...

Kobieta wyswobodziła się z uścisku córki i pchnęła ją tak mocno, że dziewczynka zatoczyła się do tyłu. Potem cofnęła się za próg i zatrzasnęła drzwi, wskutek czego pomieszczenie pogrążyło się w całkowitym mroku. Dał się słyszeć huk opuszczanej zasuw.

– Mamo! – krzyczała Zgódka, nie dbając o to, czy ktoś odkryje ich obecność. Szarpała za drzwi, ale ani drgnęły. – Mamo!

W odpowiedzi usłyszała jedynie oddalające się kroki matki. Zgódka została sama z umarłymi, w mrocznej ciszy przerywanej tylko odległym pohukiwaniem sów.

Dziewczynka przez kilka godzin siedziała zagrzebana w gnieździe z koców, drżąc z zimna, wsłuchana w dalekie poszczekiwanie lisic. Czują istoty czające się w zakamarkach jej umysłu, czekające na moment, w którym zmorzy ją sen.

– Proszę – błagała je, przyciskając dłonie do uszu, starając się nie słyszeć szeptów. – Proszę, nie. Proszę...

W końcu jednak, wbrew jej woli, mgła snu spowiła jej mózg, zwiastując nadejście koszmaru.

Jak wcześniej, Zgódce przyśniło się ciemne, wąskie pomieszczenie z klepiskiem i ścianami z opalonego na czarno kamienia. Próbowwała domknąć okiennice, żeby nie sączyły się przez nie promienie księżyca. Nie mogła wpuścić ich do środka, bo niosły ze sobą szepty. Okiennice nie stykały się jednak pośrodku, a zasuwka była zepsuta. Ze szczeliny wyzierała mdląca noc, z migoczącymi gwiazdami, kołyszącymi się niczym poluzowane guziki.

Dziecko z całej siły naparło na okno, ale noc tchnęła do wnętrza całe tuziny martwych istot. Z ich niewyraźnych, roztopionych paszczy wydobywało się wycie. Zgódka zatkała uszy i mocno zacisnęła oczy oraz usta, nie

miała wątpliwości, że zjawy chcą wdrzeć się do jej głowy.

Z bzykiem i świstem śmigaly jej przy uszach, a dziewczynka walczyła, by ciche, chore dźwięki nie przeobraziły się w słowa. Białe światło podwazyło jej powieki, szepty przenikały w głąb i lizaly jej uszy, a powietrze bylo od nich aż gęste, ale nie potrafiła powstrzymać się od zaczerpnięcia oddechu...

Zgódka zbudziła się gwałtownie. Serce waliło jej jak młotem, aż zrobiło jej się niedobrze. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby poczuć ciepło i bezpieczeństwo płynące od śpiącej matki.

Ale matki nie było. Zgódka upadła na duchu, gdy przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Była uwięziona, pogrzebana żywcem, otoczona przez umarłych.

Nagły dźwięk zmroził jej krew w żyłach. Gdzieś na poziomie podłogi rozległ się zgrzytliwy szelest, zaskakująco głośny w chłodnej, rześkiej nocy.

Coś małego i lekkiego przebiegło po jej stopie. Z ust dziewczynki wyrwał się mimowolny krzyk, ale w następnej chwili bicie serca uspokoiło się. Poczula szybkie muśnięcie futerka, łaskotanie maleńkich pazurków.

Mysz. Skądś w mroku obserwowały ją bystre mysie oczka. Więc jednak nie była tu sama ze zjawami. Zwierzę oczywiście nie mogło liczyć się jako przyjaciel. Nie obchodziło go, czy umarli zabiją ją, czy doprowadzą do obłędu. A jednak Zgódkę uspokajała myśl o myszce, kryjącej się tu przed sowami i innymi nocnymi łowcami. Gryzoń nie płakał, nie błagał, by go ocalić. Nie przejmował się, że może nikt go nie kocha. Wiedział, że może polegać wyłącznie na sobie. Gdzieś w ciemności jego nie większe niż porzeczką serduszek było wściekłą wolą życia.

Po chwili serce Zgódki biło dokładnie tak samo.

Nie widziała i nie słyszała umarłych, ale wyczuwała ich obecność, napierającą na krawędzie jej umysłu. Czekali, aż się zmęczy, spanikuje, opuści gardę, aby móc zaatakować. Jednak dziewczynka odnalazła w sobie supełek uporu.

Niełatwo było nie zapaść w sen, ale Zgódka szczypała się i chodziła tam i z powrotem przez długie, mroczne godziny, aż wreszcie spostrzegła, że noc ustępuje szaremu światłu brzasku. Była roztrzęsiona i zbierało jej się na mdłości, jej umysł wydawał się rozdrapany do krwi, ale przetrwała.

Matka wróciła po nią tuż przed świtem. Zgódka poszła za nią do domu w milczeniu i z pochyloną głową. Wiedziała, że działania mamy zawsze mają jakąś przyczynę. Po raz pierwszy jednak poczuła, że nie potrafi jej wybaczyć i już nic nigdy nie będzie takie samo.

Matka co miesiąc zabierała córkę z powrotem na cmentarz. Czasem mijało pięć czy nawet sześć tygodni i w Zgódce rosła nadzieja, że mama się poddała. Wtedy kobieta rzucała mimochodem, że idzie ciepła noc, a serce Zgódki zamierało, bo wiedziała już, co to znaczy.

Dziewczynka nie potrafiła się zdobyć na bunt. Wspomnienie tego, jak z rozpaczą płaszczyła się przed matką pierwszej nocy, przyprawiało ją o mdłości.

Ten, kto przełknie dumę i prosi z całego serca, ale czyni to na próżno, już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem. Umiera w nim jedno, drugie się rodzi. Od tej pory duszę Zgódki przenikło, niczym zimowa wilgoć, pewne rozumienie świata. Wiedziała, że już na zawsze straciła poczucie, że jest bezpieczna i kochana. I wiedziała, że nigdy, przenigdy nie zniży się już do takich błagań.

Za każdym razem z kamienną twarzą pozwalała się więc prowadzić na cmentarz. Nauczyła się tego od myszki w kaplicy. Duchy nie były okrutnymi napastnikami, z którymi można było wdawać się w dyskusję. Były drapieżnikami, a ona ofiarą, i jeśli chciała przeżyć, musiała być uparta, zaciekła i czujna. Nie miał jej kto uratować.

Centymetr za centymetrem Zgódka zaczęła wznosić własne obwarowania. Gdy deszcz tłukł o dach, a jej oddech tworzył obłoki w zimnym powietrzu, dziewczynka recytowała samodzielnie ułożone modlitwy i wymyślała słowa na wyrażenie swego wygnania. Nauczyła się chronić przed usilnym skrobaniem i łomotaniem zjaw, a nawet zamierzała się na nie często, choć było jej niedobrze od ich dotyku. Widziała w sobie biblijną Judytę, stojącą we wrogim obozie z pożyczonym mieczem, który lśnił od generalskiej krwi. „Zbliście się tylko – rzucała wyzwanie nocnym szeptaczom – a posiekam was na kawałki”.

Żyjące na cmentarzu istoty cały czas pomagały jej zachować spokój i pozostać przy zdrowych zmysłach. Szelest w krzakach, upiorne poświstywanie, trzepot skrzydeł nietoperzy – wszystko to niosło jej pocieszenie. Nawet zęby i pazury tych żyjatek były szczerze. Dziewczynka czuła, że ludzie, żywi czy umarli, mogli nagle stanąć przeciwko niej, ale dzięki stworzenia żyły na swój zwierzęcy sposób, zupełnie nie zwracając na nią uwagi. Gdy umierały, nie zostawiały po sobie duchów. Kiedy mysz ginęła w paszczy kota, kiedy ukręcano kurze łeb albo wyciągano z rzeki rybę, Zgódka widziała, jak blade smużki ich dusz rozplývają się w okamgnieniu niczym poranna mgła.

Wrzący kocioł żalu był jednak coraz bliższy wykipienia. Zamiast skarżyć się na nocne wyprawy, Zgódka zauważyła, że kłóci się z matką o sprawy niezwiązane z cmentarzem, broni się i zadaje coraz więcej zakazanych pytań.

Przede wszystkim zaczęła wypytywać o ojca. Do tej pory matka zawsze tłumiała wszelkie dociekania jednym spojrzeniem, a Zgódka zadowalała się gromadzeniem pojedynczych szczegółików. Tata mieszkał daleko, w starym domu. Nie chciał przy sobie córki ani jej matki. Nagle ta wiedza przestała dziewczynce wystarczać. Zgódka była na siebie zła, że wcześniej bała się pytać.

– Dlaczego nie powiesz mi, jak ma na imię? Gdzie mieszka? Czy wie, jak nas znaleźć? Skąd masz pewność, że nie chce, żebyśmy z nim byli? Czy on w ogóle wie o moim istnieniu?

Matka nadal pomijała pytania milczeniem, ale jej zabójczy wzrok przestał robić na Zgódce wrażenie. Żadna z nich nie wiedziała, jak radzić sobie z drugą. Odkąd Zgódka przyszła na świat, to mama podejmowała wszelkie decyzje, a dziewczynka po prostu na nie przystawała. Zgódka nie rozumiała, dlaczego nie potrafi już być uległa. Matka z kolei nigdy wcześniej nie musiała chodzić na kompromisy i nie wiedziała, jak zacząć. Z pewnością stłumienie córki siłą własnej osobowości przywróci normalny stan rzeczy, nieprawdaż? Nie. Nie przywróci. Wszystko się zmieniło.

Aż nagle, dwa lata po pierwszej wyprawie „ostrzenia kija”, Zgódka wróciła z kaplicy targana niepohamowanymi dreszczami. Kilka dni później leżała rozpalona gorączką, z obolałymi mięśniami. Po dwóch tygodniach na jej języku pojawiły się kropki, a na twarzy rozprzestrzeniła się wysypka, nieomylny znak ospy.

Przez jakiś czas świat był gorący, ciemny i straszny. Zgódka topiła się w duszącym, rozpaczliwym horrorze. Wiedziała, że najpewniej pożegna się z życiem, a przecież miała świadomość, czym są umarli. Nie była w stanie myśleć logicznie i czasem zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze żyje. Jednak czarny przyływ choroby powoli zmienił się w odpływ, nie odbierając jej życia, a jedynie zostawiając na jej policzku kilka małych blizn. Ilekroć widziała je, odbite w zebranej w wiadrze wodzie, strach boleśnie ścisnął jej żołądek. Wyobrażała sobie kościstą Śmierć, która wyciągała ku niej czubki dwóch bezcielesnych palców, po czym powoli je cofała.

Od wyzdrowienia Zgódki minęły trzy miesiące, a matka nie wspominała o cmentarzu, dziewczynka zaczęła więc podejrzewać, że ospa uratowała ją przed nocnymi przeżyciami.

Niestety, była w błędzie.

ROZDZIAŁ 2

Pewnego beznamiętnie słonecznego majowego dnia Zgódka wraz z mamą wybrały się do wielkiego miasta, by sprzedać koronki. Wiosna była łagodna, ale Londyn grzmiał jak burzowa chmura. Dziewczynka żałowała, że się tam znalazły.

Podczas gdy Zgódka zmieniała się, coraz bardziej nasycając się gniewem, to samo zjawisko zachodziło w Topoli i Londynie. Nastoletni czeladnicy szeptali, że dotyczy to całego kraju.

Na spotkaniach modlitewnych czerwonołosa Bunia Zuzanna od zawsze snuła wizje końca świata, z morzem po brzegi pełnym krwi i biblijną Niewiastą Obleczoną Słońcem, przechadzającą się główną promenadą Topoli. Teraz jednak wszyscy zaczęli opowiadać podobne historie. Kilka lat temu mówiło się, że podczas silnej burzy rozległe chmury ułożyły się w kształt dwóch potężnych armii. Zaczęto wierzyć, że dwa takie wojska naprawdę mogą się tworzyć tu, na ziemi.

Mieszkańcy Topoli zawsze modlili się gorliwie, ale teraz zwracali się do Boga, jakby znaleźli się w oblężonej twierdzy. Zapanowało poczucie, że nad całym krajem zawisło niebezpieczeństwo.

Zgódka nie była w stanie nadażyć za wszystkimi szczegółami, ale wiedziała, o co chodzi. Katolicy uknuli diabelski plan skuszenia króla Karola, by zwrócił się przeciwko swojemu ludowi. Dobrzy członkowie parlamentu starali się przemówić władcy do rozsądku, ale on stał się głuchy na ich argumenty.

Nikt nie chciał rzucać bezpośrednich oskarżeń na króla. Uznano by to za zdradę, a to wiązałoby się z obcięciem uszu lub przypaleniem twarzy rozgrzanym metalowym prętem. Nie, wszyscy byli zgodni, że wina leży po stronie złych królewskich doradców – arcybiskupa Lauda, Czarnego Toma Tyrana (znanego również jako hrabia Staffordu) i, rzecz jasna, nikczemnej królowej Marii, zatruwającej umysł króla za pomocą francuskich sztuczek.

Jeśli się ich nie powstrzyma, król zostanie krwawym tyranem. Przyjmie kłamliwą wiarę i wyśle wojska, by wymordowały posłusznych Bogu prote-

stantów. Diabeł we własnej osobie czaił się za granicą, szepcząc do uszu, warząc umysły, kształtując czyny ludzi przebiegłymi, subtelnymi palcami. Nikt nie zdziwiłby się, gdyby ujrzał na drodze wypalony ślad jego racicy.

Strach i oburzenie w Topoli były autentyczne i szczerze, ale Zgódka wyczuwała kryjące się pod nimi dzikie podekscytowanie. Gdyby naprawdę wszystko się rozpadło, gdyby nadszedł czas próby, gdyby nastąpił koniec świata, wierni z Topoli stanęliby na baczność. Byli żołnierzami Chrystusa, gotowymi wytrwać, głosić Słowo Boże, maszerować.

A teraz, przemierzając ulice Londynu, Zgódka czuła dreszcz tego samego podniecenia, tej samej groźby.

– Dziwnie tu pachnie – zauważyła. Matka była tą drugą sobą, więc dziewczynka z naturalną swobodą wygłaszała na wpół dojrzałe myśli.

– To dym – odparła krótko mama.

– Wcale nie – powiedziała Zgódka. Tak naprawdę w powietrzu nie unosił się żaden zapach i dziewczynka nie miała wątpliwości, że matka wie, o co jej chodzi. Wyczuwała ostrzegawcze podrażnienie zmysłów, jak przed burzą. – Pachnie metalem. Możemy wracać do domu?

– Tak – rzuciła sucho matka. – Możemy wrócić do domu i jeść kamienie, skoro nie chcesz, żebyśmy zarobiły na chleb. – Nie zwolniła kroku.

Londyn zawsze robił na Zgódce nieprzyjemne wrażenie. Było tu zbyt wiele ludzi, budynków i woni. Dziś na dodatek w powietrzu panowały niespotykane dotąd napięcie i ostrość. Dlaczego była bardziej zdenerwowana niż zwykle? Na czym polegała różnica? Dziewczynka rozejrzała się na boki i dostrzegła na drzwiach i słupach tuziny nowych plakatów.

– Co na nich jest? – szepnęła. Pytanie było bezcelowe. Matka opanowała sztukę czytania nie lepiej niż ona sama. Grube czarne litery zdawały się krzyżeć.

– Ryczące lwie tusze – odpowiedziała mama. Londyn zalała fala zajądłych broszur, wydruków kazań, przepowiedni i donosów, jednych z poparciem dla króla, drugich – dla parlamentu. Matka żartobliwie nazywała je „lwimi tuszami”. „Chcą zaryczeć, ale nie mogą” – mówiła.

Milczące ryki wzmogły się w ciągu ostatnich dni. Przed dwoma tygodniami król po raz pierwszy od lat zebrał parlament i wszyscy, których Zgódka знаła, doznali ekstatycznej ulgi. Jednak przed dwoma dniami rozwiązał zgromadzenie w akcie monarszej furii. Teraz szum plotek zmienił się w złowrogie grzmienie, blade słońce drżało na niebie i wszyscy czekali, co się wydarzy. Ilekroć rozlegał się gdzieś huk czy krzyk, ludzie gwałtownie podnosili głowy. „Zaczyna się?” – pytały ich spojrzenia. Nikt nie wiedział, co dokładnie miałyby się zacząć, ale coś nieodwołalnie nadciągało.

– Mamo, dlaczego na ulicach jest tylu czeladników? – wymamrotała cicho Zgódką.

Wałęsali się beczynnie, dwójkami, trójkami, przystawali w bramach i przejściach, niespokojni, z krótko ostrzyżonymi włosami i odciskami na dłoniach od krosien i tokarek. Najmłodszy mieli około czternastu lat, najstarsi – dwadzieścia parę. Wszyscy powinni harować pod dyktando swoich mistrzów, a tymczasem tylko tak stali.

Terminatorzy byli chorągiewkami nastrojów miasta. Kiedy Londyn był rozluźniony, byli zwykłymi chłopakami – guzdrającymi się, flirtującymi i docinającymi światu niewybrednymi, bystrzymi żartami. Kiedy jednak Londyn pochmuriał, zmieniali się. Mroczne, gniewne błyskawice niewidzialnie przecinały łączącą ich przestrzeń i zdarzało się, że chłopcy zbierali się w dzikie, pobudzone bandy, wyłamujące drzwi i miażdżące czaszki buciorami i pałkami.

Matka spojrzała na tworzące się grupki i na jej twarzy również pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Dużo ich – przyznała półgłosem. – Pojedziemy do domu. Słońce i tak zachodzi. Zresztą... dobrze, żebyś zachowała siły. Zapowiada się ciepła noc.

Chwilowa słodycz ulgi zmieniła się w gorzkość, gdy tylko dotarło do Zgódką, co powiedziała matka. Dziewczynka stanęła jak wryta, owładnięta niedowierzaniem i oburzeniem.

– Nie! – warknęła, zaskoczona własną stanowczością. – Nie pójdę! Już nigdy nie wrócę na cmentarz!

Matka rozejrzała się wokół z zażenowaniem, chwyciła córkę mocno za rękę i pociągnęła ją do wylotu jednej z uliczek.

– Musisz! – Złapała za ramiona i wbiła wzrok w jej oczy.

– Ledwo przeżyłam ostatni raz! – buntowała się Zgódką.

– Zaraziłaś się ospą od córki Archerów – fuknęła bez wahania matka. – Cmentarz nie miał z tym nic wspólnego. Kiedyś mi podziękujesz. Mówiłam – pomagam ci zaostrzyć kij.

– Wiem, wiem! – krzyknęła Zgódką, nie mogąc opanować frustracji. – „Wilkami” są duchy, a ty chcesz, żebym stała się na tyle silna, żeby umieć je odpędzić. Ale dlaczego nie mogę po prostu trzymać się z dala od cmentarzy? Jeśli nie będę się zbliżać do zjaw, będę bezpieczna! Ciągle rzucasz mnie wilkom na pożarcie!

– Mylisz się – odparła mama łagodniejszym tonem. – Duchy to nie wilki, nie mogą się z nimi równać. Duchy to marna namiastka. Ale prawdziwe wilki istnieją, Zgódko. Szukają cię i któregoś dnia cię wytropią. Módl się, byś do tego czasu dorosła i dorównywała im siłą.

– Próbujesz mnie zastraszyć. – Głos dziewczynki drżał, lecz tym razem nie z obawy, ale z wściekłości.

– Tak! Masz się za biedną męczennicę, bo byle duszek liznął cię w twarz? To nic. Na świecie czają się o wiele gorsze zmary. Powinnaś się bać.

– Dlaczego nie poprosimy ojca, by nas chronił? – Ryzykowała, spychając rozmowę na ten tor, ale zabrnęła już zbyt daleko, by zawrócić. – Założę się, że on nie zostawiałby mnie samej na cmentarzach!

– Jest ostatnią osobą, do której mogłybyśmy się zwrócić o pomoc – odparła matka z goryczą, jakiej córka nigdy dotąd u niej nie słyszała. – Zapomnij o nim.

– Dlaczego? – Nagle Zgódka nie była już w stanie znieść ogromu milczenia nagromadzonego przez całe jej życie, wszystkich spraw, których nie wolno jej było poruszać, o które nie wolno było pytać. – Dlaczego nigdy nic mi nie mówisz? Nie wierzę ci już! Chcesz tylko, żebym na zawsze została z tobą! Chcesz mnie zatrzymać dla siebie! Nie pozwalasz mi poznać ojca, bo wiesz, że pragnąłby mieć mnie przy sobie!

– Nie masz pojęcia, przed czym cię ostrzegłam! – wybuchła matka. – Gdybym została w Grizehayes...

– Grizehayes – powtórzyła Zgódka i ujrzała, jak mama blednie. – Tam mieszka? To nazwa starego domu, o którym wspominałaś? – No, to wreszcie знаła nazwę. Mogła rozpocząć poszukiwania. Ktoś gdzieś musiał wiedzieć, jak tam trafić.

Nazwa brzmiała staro. Dziewczynka nie umiała sobie precyzyjnie wyobrazić kryjącego się pod nią domu, jakby pomiędzy nią a jego wiekowymi wieżyczkami zawisła ciężka srebrna mgła.

– Nie pójdę więcej na cmentarz – oznajmiła Zgódka. Jej siła woli zdolna była chyba teraz odeprzeć każdy atak. – Nie pójdę. Spróbuj mnie zmusić, to ucieknę. Zobaczysz. Odnajdę Grizehayes. Odnajdę ojca. I nigdy nie wrócę.

Wzrok matki zrobił się szklany z zaskoczenia i gniewu. Wciąż nie radziła sobie z nowością, jaką było nieposłuszeństwo córki. Po chwili z jej spojrzenia, zimnego i odległego, uleciało całe ciepło.

– Uciekaj więc – powiedziała lodowato. – Jeśli tego właśnie chcesz, idź z Bogiem. Ale kiedy już trafisz w ręce tych ludzi, nie płacz, że cię nie ostrzegłam.

Matka nigdy się nie poddawała, nie miękła. Kiedy córka rzucała jej wyzwanie, podnosiła stawkę, sprawdzając, czy mała blefuje, i odgrywając się z podwójną siłą. Wtedy okazywało się, że Zgódka rzeczywiście blefowała w kwestii ucieczki, ale kiedy teraz patrzyła w twarde oczy matki, po

raz pierwszy pomyślała, że może naprawdę spełni swoją groźbę. Sama myśl zaparła jej dech w piersi, dała poczucie nieważkości.

Wtem mama zerknęła na coś ponad ramieniem córki, na głównej ulicy, i zeszywniała przerażona. Wydusiła z siebie trzy słowa, tak cichutko, że Zgódce ledwo udało się je dosłyszeć:

– O wilku mowa...

Zgódka obejrzała się za siebie, w samą porę, by dostrzec przechodzącego wysokiego mężczyznę w porządnym płaszczu z granatowej wełny. Był w średnim wieku, ale jego włosy jaśniały czystą bielą.

Dziewczynka знаła powiedzenie „O wilku mowa, a wilk tuż”. Matka mówiła o „tych ludziach” – mieszkańcach Grizehayes – kiedy wpadł jej w oko ten człowiek. Czy był jednym z nich? Może ojcem Zgódki we własnej osobie?

Dziewczynka skierowała na matkę spojrzenie pełne dzikiego podniecenia i triumfu. Potem odwróciła się na pięcie, gotowa skoczyć w uliczny tłum.

– Nie! – Kobieta chwyciła ją za ramię obiema rękami. – Zgódko!

Ale własne imię zgrzytnęło dziewczynce w uszach. Miała dosyć „godzenia się” z problemami, których nikt nie raczył jej wyjaśnić. Wyrwała się mamie i rzuciła biegiem w główną arterię miasta.

– Do grobu mnie wpędzisz! – krzyczała za nią matka. – Zgódko, stój!

Ale Zgódka się nie zatrzymała. Jeszcze przez chwilę widziała w oddali granatowe okrycie i białe włosy, po czym zniknęły jej z oczu, gdy nieznamy skręcił za róg. Jej przeszłość umykała.

Dziewczyna dotarła do narożnego budynku i zobaczyła mężczyznę, ale ten zaraz wmieszał się w tłum. Ruszyła w pogoń. Do Zgódki docierało jeszcze, że gdzieś za jej plecami matka woła jej imię, lecz nie obejrzała się. Skupiła się na pościgu za odległą postacią, najpierw jedną ulicą, potem następną i kolejną. Wiele razy wydawało jej się, że zgubiła ściganego, lecz po chwili znów dostrzegała śnieżnobiałą czuprynę.

Zgódka postanowiła się nie poddawać, nawet gdy zorientowała się, że w pośpiechu przekracza wielki londyński most prowadzący do gminy Southwark. Budynki po obu stronach drogi straciły swą elegancję, a zapachy stały się bardziej gorzkie. Słyszała salwy śmiechu z nabrzeżnych tawern, a z samej rzeki dobiegały przekleństwa i skrzywienie wioseł. Zapadał zmierzch. Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo przybrało rdzawą barwę. Pomimo tego na ulicach panował niezwykły tłok. Ludzie ciągle tarasowali jej przejście i zasłaniali siwowłosego mężczyznę.

Zatrzymała się, zrażona, dopiero gdy droga wypluła ją na rozległą, otwartą przestrzeń. Poczula trawę pod stopami i zorientowała się, że stoi na

skraju Pól Świętego Jerzego. Wszędzie wokół kłębił się zagadkowy, niespokojny, hałaśliwy tłum. Nie potrafiła określić, jak daleko sięgał, ale zdawało jej się, że słyszy setki męskich głosów. Zarysy głów odcinały się na tle ciemniejącego nieba. Nie było śladu po człowieku o białych włosach.

Zgódka rozglądała się, dysząc ciężko, świadoma, że przyciąga twarde, zaciekawione spojrzenia. Miała ubranie z prostej, taniej wełny i lnu, ale chustka i czepek były czyściutkie i schludne, a to wystarczyło, żeby zwrócić uwagę zebranych. Poza tym była osobą płci żeńskiej, bez opieki, i bez wątplenia nie miała nawet trzynastu lat.

– Witaj, maleńka! – zawołała jedna z ciemnych postaci. – Przyszłaś połechtać naszą odwagę, co?

– E tam – odezwał się ktoś inny. – Będiesz maszerować z nami, prawda, panienko? Możesz rzucać w drani stołkami, jak szkockie panie! Pokaż biceps! – Pół tuzina mężczyzn wybuchło dzikim śmiechem, a Zgódka wyczuła groźbę w ich docinkach.

– Czy to córeczka Małgorzaty Stopki? – spytał nagle młodszy głos. Wpatrując się w mrok, dziewczynka z trudem rozpoznała znajomą twarz czternaścieletniego terminatora u tkacza, mieszkającego w domu obok. – Co tu robisz?

– Zgubiłam się – odparła szybko Zgódka. – Co tu się dzieje?

– Idziemy na łowy. – W oczach chłopaka dostrzegła zwierzęcy błysk. – Upolujemy starego Lisa Wilhelma – arcybiskupa Lauda. – Zgódka słyszała to imię setki razy, na ogół w połączeniu z przekleństwami, rzucanymi na niego jako jednego ze złych doradców króla. – Zapukamy do niego, żeby się przywitać. Jak dobrzy sąsiedzi. – Uniósł pałkę i uderzył nią mocno w dłoń, drżąc i nie mogąc ustać z podniecenia.

Zgódka poniewczasie rozszyfrowała znaczenie plakatów. Zwoływały wielkie i gniewne zgromadzenie na Polach Świętego Jerzego. Po chwili przyglądania się tłumowi dziewczynka stwierdziła, że pełno w nim czeladników. Wszyscy dzierżyli prowizoryczną broń – młotki, kije od mioteł, pogrzebacze i deski – i wymachiwali nią z zajadłą wesołością, która oznaczała, że nie w głowie im były żarty. Byli piekielnie zdesperowani, by wydrzeć zło z pałacu arcybiskupa i połamać jego koronę. W ich rozognionych spojrzeniach dziewczynka widziała, że to dla nich po części zabawa – igrzyska krwi, jak szczucie psami uwiązane niedźwiedzia.

– Muszę wrócić do domu! – Gdy tylko Zgódka wypowiedziała te słowa, poczuła w ustach ich gorycz. Umknęła jej jedyna szansa na odkrycie swojej przeszłości, lecz kto wie, czy nie straciła też domu? Matka zmusiła ją do pokazania kart, a córka wreszcie nie zablefowała.

Terminator zmarszczył brwi i stanął na palcach, wyciągając szyję, by spojrzeć ponad tłum. Zgódka zrobiła to samo i dostrzegła, że droga, którą przybiegła, była zatkana zwartą masą ludzi wlewających się na pola.

– Trzymaj się mnie – polecił z niepokojem chłopak, gdy tłum ruszył naprzód, ponosząc ich dwoje. – Przy mnie będziesz bezpieczna.

Zgódka ledwo widziała, gdzie idzie w ścisku wysokich postaci, lecz niesiona ich nurtem słyszała coraz więcej głosów przyłączających się do skandujących okrzyki i rechoczących z dowcipów. Zastępy praktykantów były teraz ogromne. Nic dziwnego, że byli tacy pewni siebie, skupieni na celu!

– Zgódko! Gdzie jesteś?

Crescendo wrzasków i ryków niemal pochłonęło wołanie, ale mimo to dotarło ono do uszu dziewczynki. To był głos matki, nie miała najmniejszych wątpliwości. Mama poszła za nią, a teraz utknęła gdzieś w masie ludzi.

– Mamo! – krzyknęła Zgódka, niepowstrzymanie pchana naprzód przez tłum.

– Pałac Lambeth! – dobiegło gdzieś z czoła pochodu. – W oknach się świeci! – Znow poczuła zapach rzeki, a nad jej brzegiem zamajaczył ogromny budynek z wysokimi, kanciastymi wieżami. Zarys jego blanek wgryzał się w wieczorne niebo.

Gdzieś z przodu wybuchła zażarta kłótnia, a przez tłum przetoczyło się gorączkowe, drżące napięcie.

– Zawróćcie! – wołał ktoś z całych sił. – Wracajcie do domów!

– Kto tam jest? – pytał z ciżby tuzin głosów, na co padło tuzin różnych odpowiedzi. Jedni mówili, że wojsko, inni, że ludzie króla, a byli i tacy, co twierdzili, że sam arcybiskup.

– Przymknijcie się! – wrzasnął wreszcie jeden z terminatorów. – Wystawcie nam Lisa Wilhelma przed bramę albo sami się włamiemy i huzia na wszystkich patałachów!

Maszerujący ogłuszająco ryknęli i wściekle napaarli naprzód. Plama nieba nad Zgódką skurczyła się, przesłonięta przez wysokie postacie. Rozległy się bojowe okrzyki, ryk mężczyzn i wrzawa walki.

– Wyważyć wrota! – krzyczał ktoś. – Dawać łom!

– Rozwalcie latarnie! – wołał inny głos.

Gdy padł pierwszy strzał, Zgódka pomyślała, że ktoś upuścił coś ciężkiego na bruk. Potem rozległ się drugi wystrzał, i trzeci. Tłum zadrżał, jedni zaczęli się cofać, inni szarżowali przed siebie. Czyjeś kolano trafiło dziewczynkę w brzuch, a nieuważne machnięcie pałką – w oko.

– Zgódko! – rozległo się ponownie rozpaczliwe wołanie matki, bliższe

niż do tej pory.

– Mamo! – Tłum wokół Zgódki zacieśniał się, ale walczyła z nim, pchając się ku głosowi, który ją wzywał. – Tu jestem!

Ktoś wrzasnął gdzieś przed nią.

Dźwięk był krótki i ostry i z początku Zgódka go nie rozpoznała. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby matka krzyczała w ten sposób. Jednak gdy dziewczynka przedarła się dalej, przepychając się łokciami, dostrzegła kobietę leżącą pod murem, tratowaną przez oślepy, wzbierający tłum.

– Mamo!

Z pomocą córki matka stanęła na nogi. Była blada jak ściana i nawet w ciemności Zgódka widziała atramentowe strużki krwi płynące po lewej stronie jej twarzy. Poruszała się też nie tak jak trzeba, jedna powieka jej opadała, a prawe ramię dziwnie podskakiwało.

– Zabiorę cię do domu – szeptała Zgódka zaschłymi ustami. – Przepraszam, mamo, tak bardzo cię przepraszam...

Matka patrzyła na nią przez chwilę szklanym wzrokiem, jakby jej nie poznawała. Nagle jej twarz napięła się i wykrzywiła.

– Nie! – ryknęła ochryple i zamachnęła się na córkę. – Nie zbliżaj się! Odejdź! Odejdź!

Nie spodziewając się ataku, Zgódka straciła równowagę i przewróciła się. Jeszcze przez ułamek sekundy widziała oblicze matki, skamieniałe w wyrazie grozy i wściekłej desperacji, po czym otrzymała kopniaka w policzek, od którego łzy strumieniami polały się z jej oczu. Ktoś inny nadepnął jej na łydkę.

– Szykujcie się! – dobiegł ją krzyk. – Już idą! – Rozległy się kolejne strzały, jakby eksplodowały gwiazdy.

Czyjeś silne ręce chwyciły Zgódkę pod pachy i poderwały na nogi. Wysoki czeladnik przerzucił ją sobie bez ceregieli przez ramię i wyniósł ją poza linię frontu, podczas gdy ona szamotała się, wołając matkę. Porzucił dziewczynkę u wylotu uliczki.

– Biegnij do domu! – wrzasnął na Zgódkę, czerwony na twarzy, po czym uniósł młot i z powrotem dał nura w bój.

Nigdy nie dowiedziała się, kim był ani jaki los go spotkał.

Nigdy też nie ujrzała swej mamy żywej.

* * *

Ciało matki znaleziono po rzezi i aresztowaniach, gdy uczestników zamieszek zmuszono do odwrotu. Nikt nie potrafił stwierdzić, co trafiło ją

w głowę i stało się przyczyną śmierci. Może ktoś zamachnął się na oślepa pogrzebaczem, może niechcący kopnął ją w skroń nabijanym ćwiekami butem, a może zbłąkana kula zabiła ją i poleciała dalej.

Zgódka nie wiedziała i nie miało to dla niej znaczenia. Zamieszki zabiły matkę i to ona sama ją tam zaprowadziła. To wszystko jej wina.

Ludzie z ich parafii, którzy – kiedy im to pasowało – kupowali koronki i hafty matki, zdecydowali, że ich cenny przykościelny cmentarz nie nadaje się dla kobiety z nieślubnym dzieckiem. Pastor, zawsze tak miły podczas spotkań na ulicy, teraz ogłosił z ambony, że Małgorzata Stopka nie należała do Zbawionych.

Matkę pochowano więc na niepoświęconej ziemi na skraju moczarów przy Topoli. Miejsce to było uparcie zakrzaczone, przyjazne tylko wiatrowi i ptakom i tak tajemnicze, jak sama Małgorzata.

ROZDZIAŁ 3

„Do grobu mnie wpędzisz”.

Zgódka nie mogła wyrzucić z pamięci słów matki. Towarzyszyły jej od świtu do zmierzchu, a potem przez każdą godzinę nocy. Wyobrażała sobie mamę, gdy je wypowiada, lecz teraz tonem wyważonym i zimnym.

Zabiłam ją – myślała Zgódka. Uciekłam, a ona podążyła za mną w paszczę lwa. To była moja wina i mama nienawidziła mnie w chwili swej śmierci.

Zgódka myślała, że może teraz wujostwo pozwoli jej spać w jednym łóżku z małymi kuzynami, ale nie, została sama na materacu, który dzieliła dotąd z matką. Pewnie wszyscy wyczuwali, że jest morderczynią. A może ciotka i wuj nie wiedzieli, co z nią zrobić, skoro koronkarstwo matki przestało opłacać jej utrzymanie.

Była sama. Mur, który kiedyś otaczał ją i mamę, teraz odgradzał od świata tylko ją.

Domownicy modlili się jak zwykle, dodając jedynie modlitwy za matkę. Zgódka odkryła, że nie jest w stanie rozmawiać z Bogiem tak, jak ją nauczono, obnażając przed Nim duszę. Starła się, ale czuła, że wypełnia ją dzika biała pustka, niczym październikowe niebo, nicość, której nie potrafiła ubrać w słowa. Zastanawiała się, czy jej dusza kompletnie zniknęła.

Drugiej nocy, leżąc samotnie w swojej klitce, Zgódka próbowała podważyć wieko swych uczuć. Zmusiła się do modłów o przebaczenie, za duszę matki i swoją własną. Trzęsła się cała, ale nie z zimna. Bała się, że Bóg słucha jej z nieprzejednanym gniewem, zaglądając w każdy zakamarek jej duszy. Jednocześnie martwiła się, że może wcale nie słucha, nigdy nie słuchał, nie posłucha.

Wreszcie zasnęła, wyczerpana podjętym wysiłkiem.

* * *

Stuk, stuk, stuk.

Dziewczynka otworzyła oczy. Było jej zimno, w pustym łóżku brakowało wygięcia ciepłych pleców matki. W nieprzebranej ciemności strata wyda-

wała się jeszcze dotkliwsza.

Stuk, stuk, stuk.

Pewnie okiennice się poluzowały. Jeśli tak, będą stukać całą noc, nie pozwolą jej zasnąć. Dziewczynka niechętnie wstała i po omacku podeszła do okna. Znała pokój tak dobrze, że światło nie było jej potrzebne. Przesunęła palcami po zasuwce, która okazała się ciasno zasunięta. Nagle pod opuszkami poczuła drzenie, kiedy coś od zewnątrz znów zapukało w okiennicę. Pojedyncze słowo.

Zgódka.

W setkach koszmarów Zgódka na próżno walczyła, by okiennice pozostały zamknięte, powstrzymując atak oszalałych duchów. Ręce drżały jej na samo wspomnienie, ale palce nie podnosiły się z zasuwki.

„Umarli są jak topielcy” – mawiała matka.

Zgódka wyobraziła sobie, jak mama tonie w mroku nocy, w zwolnionym tempie machając rękami, z czarnymi włosami unoszącymi się szerokim wachlarzem wokół twarzy. Widziała, jak bezbronna, samotna rozpaczliwie szuka jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

– Jestem tu – szepnęła. – To ja, Zgódka. – Przyłożyła ucho do okiennicy i tym razem zdało jej się, że słyszy przytłumioną odpowiedź.

Wpuść mnie.

Słowa zmroziły dziewczynce krew w żyłach, ale nakazała sobie spokój. Matka nie będzie taka jak pozostałe zjawy. To co innego. Cokolwiek czekało za oknem, to przecież wciąż była mama. Zgódka nie mogła zostawić jej samej, nie po raz drugi.

Rozsunęła zasuwkę i pchnęła okiennicę.

Kilka białych gwiazd migotało na czarnym jak węgiel niebie. Wilgotny wiaterek wniknął do środka, muskając skórę Zgódki i przyprawiając ją o gęsią skórę. Serce ścisnęło jej się w przekonaniu, że wraz z powiewem do pokoiku wślizgnęło się coś jeszcze. Ciemność miała nagle inną konsystencję i Zgódka nie była już sama.

Zamarła, przeniknięta do szpiku kości przerażeniem, że zrobiła coś nieodwracalnego. Ciarki przeszły jej po plecach. Znów czuła łaskotanie pajęczych odnóży na swym umyśle. Niepewny dotyk umarłych.

Gwałtownie cofnęła się od okna, próbując uzbroić myśli. Gdy jednak przypomniała sobie o matce, jej specjalne zaklęcia stały się bezużyteczne niczym dziecięce rymowanki. Zgódka mocno zacisnęła powieki, ale nie mogła odegnąć obrazu matczynej twarzy, którą widziała pierwszej nocy w kaplicy. Dziwne stworzenie o nieodgadnionym wyrazie, bez śladu łagodności.

Lodowaty powiew przemknął po szyi Zgódki, tchnienie czegoś bez tchu. Coś połaskotało jej twarz i ucho – z pewnością kosmyk jej własnych włosów. Zastygła, oddychając płytko.

– Mamo? – spytała tak cicho, że jej szept ledwo musnął powietrze.

Odpowiedział jej głos. Niby-głos. Stopiona masa dźwięku, bełkot idioty, spółgłoski potłuczone i wylewające się niczym żółtka jajek. Był tak blisko, że zadzwonił jej w uchu.

Zgódka szeroko otworzyła oczy. Tam – tam! – jej pole widzenia wypełniło wirujące, szare jak ćma, powykęcane oblicze. Miało zapadłe oczodoły, a długie usta zwisały w ziejącym lamencie. Dziewczynka rzuciła się do tyłu, aż uderzyła plecami o ścianę. Nie odrywała wzroku od istoty i rozpaczliwie pragnęła się mylić, nawet gdy zjawa skoczyła łapczywie do jej oczu, rozczapierzając palce z dymu.

Zgódka w ostatniej chwili zacisnęła powieki i poczuła, jak osiada na nich zimny dotyk. Ziszczał się jej koszmarny sen, wszystkie jej koszmary, lecz nie miała już nadziei na przebudzenie. Zatkaną uszy, ale za późno, by powstrzymać miękkie, przerażające dźwięki.

Wpuść mnie... Wpuść mnie... Zgódko, wpuść mnie...

Istota badała drogę przez jej umysł, jej linię obrony. Znajdowała szczeliny poczynione przez żal, miłość i wspomnienia i grzebała w nich bezlitosnymi, niecierpliwymi palcami. Wydzierwała fragmenty jej serca i mózgu, wgrzebując się coraz głębiej. Wiedziała, jak ominąć jej fortyfikacje i któreś dotrzeć do najwrażliwszej części wnętrza.

Ze zrodzoną z przerażenia brutalnością Zgódka ruszyła do kontrataku.

Zamachnęła się siłą umysłu na podobną do dymu miękkość i poczuła jej wrzask, gdy miażdżyła ją i rozdzierała. Jej luźne fragmenty rzucały się na boki jak poćwiartowane dżdżownice, próbując się wkręcić do jej duszy. Zjawisko siłowało się z dziewczynką, kurczowo trzymało, drapało. Nie było już w stanie dobierać słów, wydobywały się z niego tylko jęki i wycie.

Zgódka nie miała zamiaru otwierać oczu. Uczyniła to jednak, na ułamek sekundy, pod sam koniec. Żeby upewnić się, że zjawa zniknęła.

Ujrzała rozpływające się, wykrzywione rysy, pełne nienawiści.

To, co widziała, ledwo przypominało twarz. A jednak w pewnym sensie była to nadal jej matka.

Zgódka nie pamiętała potem, jak bardzo wrzeszczała. Ocknęła się, siedząc na podłodze, mrugając w blasku ciotczynej świecy i usiłując odpowiedzieć na pytania rodziny. Okiennica była otwarta na oścież i stukwała lekko, poruszana wiatrem.

Ciotka powiedziała Zgódce, że ta spadła pewnie z łóżka, gdy przyśniło jej

się coś strasznego. Dziewczynka z całego serca pragnęła uwierzyć, że kobieta ma rację. Ta wersja wydarzeń nie dawała jednak pełnego pocieszenia, bo Zgódka dobrze wiedziała, że duchy, z którymi nieraz walczyła w snach, bywały prawdziwe. *Ale błagam, Boże, tylko nie ten duch.* Ten nie mógłby jej zaatakować, a Zgódka nie mogła rozedrzeć go na strzępy. Sama myśl o tym była nie do zniesienia.

To był tylko sen. Zgódka z desperacją uchwyciła się tej myśli.

* * *

Upłynął ledwo tydzień, gdy rozniosły się plotki o duchu straszącym na bagnach. Podobno nawiedzał wyłącznie konkretny, samotny odcinek ziemi, zbyt podmokły, by wypasać tam krowy, i poprzecinany zbłąkanymi ścieżkami, gdzie niemal każdy krok wiązał się z ryzykiem.

Coś niewidzialnego wystraszyło wędrownego handlarza, przedzierając się przez trzciny i zostawiając za sobą wydeptany ślad. Zamieszkujące ten zakątek gawrony porzuciły swoją kolonię, a ptaki brodzące przeniosły się na inne obszary bagien. Zaraz potem zajazd Pod Aniołem, który przycupnął na peryferiach między osadą a trzciniami, zaczął nawiedzać ktoś oprócz marynarzy.

– Duch zemsty – powiedziała ciotka. – Mówią, że przybywa o zachodzie. Cokolwiek to było, załomotało do drzwi, zrobiło nie lada bałagan i zbiło kilku osiłków na kwaśne jabłko.

Zgódka jako jedyna słuchała tych doniesień nie tylko z lękiem, lecz także z bolesnym ukłuciem nadziei. Grób matki znajdował się na skraju moczarów, nie tak daleko od Anioła. Wizja oszalonej zjawy, szarżującej po okolicy, mroziła jej krew w żyłach, ale skoro duch się ukazywał, nie mógł zostać rozerwany na strzępy przez Zgódkę. Przynajmniej nie zamordowała matki po raz drugi.

Muszę ją odnaleźć – powtarzała sobie w duchu Zgódka, choć mdliło ją na samą myśl. *Muszę z nią porozmawiać. Muszę ją ocalić.*

* * *

Wierni z kościoła Zgódki nie należeli do bywalców zajazdu Pod Aniołem, z wyjątkiem Starego Wilhelma, choć tylko w chwilach słabości. Ilekroć dotoczył się do domu pijany, pastor brał go na warsztat w kazaniu i prosił wszystkich, by go wspierali i modlili się za niego. Idąc zrytą koleinami drogą ku gospodzie, Zgódka czuła zażenowanie i zastanawiała się, czy

w następną niedzielę i ona zostanie oskarżona o pijaństwo.

Kamienne budynki Anioła były wygięte jak ramię otulające małe podwórze stajenne. Kobieta o grubo ciosanych rysach, w poplamionym czepku na głowie, zamiatała schody, ale podniosła głowę na widok Zgódki.

– Halo, lalczko! – zawołała. – Przyszłaś po tatę? Który to, co?

– Nie, ja... Chciałam posłuchać o duchu.

Kobieta wcale się nie zdziwiła i krótko skinęła głową.

– Weź sobie szklankę czegoś, jeśli chcesz popatrzeć.

Zgódka weszła za nią do mrocznego wnętrza gospody i z wyrzutami sumienia kupiła mały kufel piwa z pieniędzy odłożonych przez ciotkę na zakupy. Potem wyprowadzono ją tylnymi drzwiami.

Za oberżą rozciągał się pokryty trocinami pas ziemi. Zgódka domyśliła się, że to tu odbywają się atrakcje, gdy w gospodzie zbiera się wystarczający tłumek żądny rozrywki – starcia wygolonych na łyso pięściarzy, walki kogutów i szczucie psami uwiązane borsuka, a także mniej krwawe gry w kręgle, kule czy zarzucanie pierścienia na słupek. Gdzieniedzie na ziemi widniały ciemne plamy po krwi lub winie. Niski murek z przełazem oddzielał tę przestrzeń od ciągnących się kilometrami mokradeł, pokrytych lasem trzcin głaskanych lekkim wiatrem w popołudniowym słońcu.

– Chodź, zobacz. – Gospodyni zdawała się czerpać zawodową dumę z demonstrowania gościowi zniszczeń. Tylne drzwi miały wyłamaną deskę i zasuwę w drzazgach. Okno było zdemolowane, ołowiana rama zgięta, kilka szybek matowych od pajęczyny pęknięć. Materiałowy transparent rozszarpano w strzępy, ostały się tylko skrawki z widocznymi obrazami – fujarką, bębnami i zarysem jakiejś bestii. Stół leżał przewrócony, a dwa krzesła miały wyrwane oparcia.

Słuchając opowieści kobiety, Zgódka czuła się coraz bardziej zawiedziona. Uświadomiła sobie poniewczasie, że żaden z duchów, z którymi kiedykolwiek miała do czynienia, nie wyrządził widocznych szkód. Zjawy atakowały jej umysł, ale nigdy nie stłukły nawet kubeczka.

Może to była zwykła awantura – pomyślała. Zerknęła ukradkiem na zmęczoną, cwana twarz gospodyni. Może stara się wykorzystać zniszczenia i udaje, że dokonał ich duch, aby dociekliwi ludzie przychodzili tu i kupowali trunki.

Kobieta poprowadziła dziewczynkę do dwóch mężczyzn siedzących na zewnątrz i ponuro popijających z metalowych kufli. Obaj byli chudzi, łykowaci i spaleni słońcem. Nie byli tubylcami i widząc tobołki leżące u ich stóp, Zgódka zrozumiała, że to wędrowcy.

– Przyszła posłuchać o duchu – powiedziała gospodyni, kiwając głową

w stronę dziewczynki. – Wy możecie jej opowiedzieć, co?

Kompani wymienili kwaśne spojrzenia. Najwyraźniej nie w smak im było przytaczać tę historię.

– A postawi nam po jednym? – spytał wyższy z nich.

Oberżystka spojrzała na Zgódkę spod uniesionych brwi. Czując mdłości i utwierdzając się w przekonaniu, że solidnie ją tu kantują, dziewczynka rozstała się z kolejną monetą, a gospodyni pospieszyła po dolewkę.

– Wyleciał na nas z ciemności. Widzisz? – Wyższy mężczyzna podniósł rękę opatrzoną brudną chustką, na której widniały ciemne plamy krwi. – Podarł mojemu towarzyszowi płaszcz, omal nie wytrzepał mi mózgu z czaszki i jeszcze połamał nam fujarkę! – Okazany instrument wyglądał, jakby ktoś go podeptał. – Pani Bell nazywa go duchem, ale ja mówię, że to diabeł. Niewidzialny diabeł.

Gniew wędrowca wydawał się szczerzy, ale Zgódka nie była pewna, czy mu wierzyć. *Wszystko jest niewidzialne, jak jest się w sztok pijanym* – pomyślała.

– Czy coś powiedział? – Zgódka zadrżała na wspomnienie roztopionego głosu ze swego niby-snu.

– Do nas nie – odezwał się niższy z mężczyzn. Uniósł kufel, gdy gospodyni wróciła z dzbankiem, i poczekał, aż doleje piwa do pełna. – Stłukł nas na miazgę i zaraz odleciał. – Wskazał palcem moczary. – O, tam przewrócił słupek.

Zgódka dopiła piwo i zebrała się na odwagę.

– Uważaj, jak tam idziesz, laleczko! – zawołała oberżystka, widząc, że dziewczynka znika w przełazie prowadzącym na mokradła. – Niektóre z tych ścieżek wyglądają przyzwoicie, ale ustępują pod nogami. Nie chcemy, żeby i twój duch nas tu nawiedzał!

Szelest i chrzęst kroków Zgódki rozbrzmiewał głośno, gdy przedzierała się przez bagna. Nagle zorientowała się, że brakuje tu śpiewu ptaków. Słyszała jedynie suchą melodię trzciny, ocierających się o siebie łodygami, i papierowy szum rosnących gdzieś młodych topoli o listkach migoczących szarozielono w lekkim wietrze. Cisza przenikała ją do szpiku kości, wraz z obawą, że – znowu – popełnia potworny błąd.

Obejrzała się nerwowo za siebie i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy zobaczyła, jak daleko w tyle została gospoda. Czowała się jak maleńka odcumowana łódka, która mimowolnie oddryfowała od brzegu.

Stojąc tak, Zgódka doświadczyła nieoczekiwanego uderzenia, zanurzenia w niewidzialnej fali.

Dotyk. Nie, zapach. Odór krwi, jesiennego lasu, starej, wilgotnej wełny.

Gorąca woń. Swędziała, drapała jej umysł niczym chrapliwy oddech. Wypełniła jej zmysły, mrocząc wzrok i przyprawiając o mdłości.

Duch – pomyślała bezsilnie. *Duch*.

A jednak to uczucie było zupełnie niepodobne do zimnych, pełzających ataków zjaw, które pamiętała. Nic nie próbowało wdrzeć się w głąb niej – nie zważało na jej obecność. Trafiało w nią przez pomyłkę, gorące, straszne i nieświadome.

Świat wokół niej zawirował i ledwo wiedziała, gdzie się znajduje i kim w ogóle jest. Utonęła nagle we wspomnieniu, które wcale nie należało do niej.

Palilo słońce. Dusił ją smród trocin. W wardze czuła dojmujący ból, nie była w stanie artykułować słów. Jej uszy wypełniły się dzwoniącym warkotem i okrutnym, rytmicznym dudnieniem. Z każdym łupnięciem coś dotkliwie szarpało ją za usta. Kiedy próbowała się odwrócić, rozgrzany do czerwoności ból przecinał jej grzbiet. Była rozpalona furią zrodzoną ze śmiertelnego cierpienia.

Fala przeszła, a Zgódka zgięła się wpół. Wokół niej świat płonął w promieniach słońca, bębniąc jej w głowie i wywracając żołądek. Na wpół oślepiąca, zrobiła chwiejny krok, by odzyskać równowagę, lecz zamiast tego poczuła, że stopa sunie po mokrym, nierównym podłożu. Dziewczynka ześlizgnęła się ze ścieżki i wylądowała na czworakach w trzcinach, z trudem uświadamiając sobie, że drapią jej ramiona i twarz. Potem pochyliła się i zwymiotowała, raz po raz szarpana konwulsjami.

Pomału przejaśniało jej się w głowie. Nieznany ból minął. Nadal jednak czuła w nozdrzach ten sam zapach, zmieszany ze smrodem zgnilizny. I nadal słyszała szum.

Dźwięk zmienił się jednak. Wcześniej była to mdląca, drażniąca serce muzyka. Teraz uspokoiła się i przeszła w owadzi brzęk, bzyczenie setek małych skrzydełek.

Zgódka stanęła chwiejnie na nogi i, odsuwając na bok trzciny, ruszyła w dół zbocza, oddalając się od ścieżki. Z każdym krokiem podłoże stawało się coraz bardziej miękkie i lepkie. Odkryła, że nie jest pierwszym stworzeniem, które tędy przeszło. Zauważyła połamane łodygi, zagłębienia w błocie...

Kawałek dalej coś leżało w zarośniętym rowie, na wpół ukryte przez trzciny. Coś ciemnego. Coś przypominającego rozmiarem człowieka.

Żołądek podszedł dziewczynce do gardła. Myliła się co do wszystkiego. Jeśli leżały tu zwłoki, to duch nie należał do matki. Może odkryła ofiarę zabójstwa. Kto wie, może morderca właśnie ją obserwuje?

Chyba że to zaatakowany przez brutalną zjawę wędrowiec, który potrzebuje pomocy. Nie mogła teraz uciec, choć każdy nerw w jej ciele nakazywał jej to zrobić.

Podkradała się bliżej, a przy każdym kroku pod jej butami chlupotało błoto. Postać była ciemnobrązowa, duża, miała kształt kurhanu, ozdobionego mieniącymi się zielono-czarnymi muchami.

Człowiek w futrzanym płaszczu?

Nie.

Forma była coraz bardziej wyraźna. Zgódką wreszcie rozpoznała, czym jest – i czym nie jest. W pierwszej chwili poczuła ulgę.

Zaraz potem ogarnęła ją potężna fala smutku, silniejsza niż strach czy odraza, silniejsza nawet niż sam odór. Zsunęła się do rowu i kucnęła przy stworzeniu, zakrywając usta chusteczką. Bardzo delikatnie pogłaskała namokłą, ciemną postać.

Brak było oznak życia. Ślady w błocie wskazywały, że istota próbowała się jeszcze wydostać z rowu. Widać było krwawiące odciski o żółtych brzegach, jak od łańcuchów i kajdan. Dziewczynka z trudem patrzyła na rozdarte wargi, ziejącą ranę i strużkę ciemnej krwi.

Już wiedziała, że nadal ma duszę. Która płonęła.

* * *

Gdy Zgódką dotarła z powrotem na podwórko zajazdu, była ubłocona i podrapana przez krzewy, ale nie przejmowała się tym w najmniejszym stopniu. Niewielki drewniany taboret pierwszy wpadł jej w ręce. Porwała go, zbyt wściekła, by zwrócić uwagę, jaki jest ciężki.

Dwaj wędrowni artyści siedzieli w kącie i prowadzili ożywioną rozmowę przyciszonymi głosami. Nie zważali na dziewczynkę, dopóki nie zamachnęła się stołkiem, trafiając wyższego z nich prosto w twarz.

– A! Ty zwariowana smarkulo! – Patrzył na nią z niedowierzaniem, tamując dłonią płynącą z ust krew.

Zgódką w odpowiedzi wymierzyła mu cios w żołądek.

– Przestań! Opętało cię coś? – Niższy z mężczyzn złapał taboret, którym wymachiwała dziewczynka. Kopnęła go z całych sił w kolano.

– Zostawiliście go na pewną śmierć! – wykrzyczała. – Biliście go, znęcaliście się, wlekliście na łańcuchu, aż rozdarliście mu pysk! A kiedy nie mógł więcej znieść, cisnęliście go do rowu!

– Co cię napadło? – Gospodyni znalazła się przy Zgódkie i otoczyła ją silnym ramieniem, próbując poskromić. – O czym ty mówisz?

– O niedźwiedziu! – ryknęła Zgódka.

– Niedźwiedziu? – Pani Bell obrzuciła gości skonsternowanym spojrzeniem. – Och, na litość boską, to wasz tańczący niedźwiedź nie żyje?!

– Tak, i nie mam pojęcia, z czego się teraz utrzymamy! – warknął niższy z wędrowców. – To przekłete miejsce – nic, tylko pech, niewidzialne czorty, oszalałe bachory...

Jego kompan splunął krwią w dłoń.

– Ta mała franca wybiła mi ząb! – wrzasnął z niedowierzaniem i posłał Zgódce mordercze spojrzenie.

– Nawet nie zaczekaliście, aż umrze, żeby wyrwać mu kółko z nosa! – nie dawała im spokoju dziewczynka. Dźwięczało jej w głowie. Wiedziała, że lada chwila któryś z mężczyzn jej przyłoży, ale nie dbała o to. – Nic dziwnego, że wrócił! Nic dziwnego, że szaleje! Mam nadzieję, że nigdy mu nie uciekniecie! Oby zabił was obu!

Obaj mężczyźni krzyczeli, a gospodyni próbowała wszystkich uspokoić, drąc się na całe gardło. Ale Zgódka nie słyszała nic poza zielono-czarnym brzękiem wściekłości w głowie.

Szarpnęła mocno taboret, ale niski przeciwnik pociągnął go w swoją stronę. Dziewczynka uległa ruchowi, prowadząc stołek w górę, tak że uderzył mężczyznę prosto w nos. Trafiony wydał z siebie wrzask furii i puścił krzesło, by skoczyć po dębową laskę opartą o tobołek. Oberżystka uciekła, wzywając pomocy, a Zgódka została sama naprzeciw dwóch mężczyzn z krwawiącymi twarzami i amokiem w oczach.

Ich wściekłość była jednak niczym w porównaniu z furią Niedźwiedzia, który jak burza wpadł do środka.

Zgódka była zwrócona we właściwą stronę, by go dostrzec lub prawie dostrzec. Niedźwiedź był ciemną plamą dymu o garbatym grzbiecie, poruszającą się na czterech łapach, większą niż żywe zwierzę. Galopował ku trojgu ludzi z zastraszającą prędkością. Półprzejrzyste dziury znaczyły miejsce oczu i rozdziawionej paszczy.

Uderzenie ścięło Zgódkę z nóg. Leżała na ziemi oszołomiona. Ciemność, którą stanowił teraz Niedźwiedź, górowała nad nią. Dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na jego potężny, cienisty grzbiet. Stał pomiędzy nią a wrogami, jakby bronił własnego dziecka.

Przez mroczny zarys stworzenia dziewczynka wciąż obserwowała zbliżających się do niej przeciwników. Jeden uniósł łagę, by ją uderzyć. Nie widzieli Niedźwiedzia. Nie pojmowali, że kij zбочzył z toru, odepchnięty przez ogromny cień łapy.

Tylko Zgódka o tym wiedziała. Tylko ona widziała, jak wściekłość

Niedźwiedzia go wypala, jak zwierzę wyczerpuje się z każdym ruchem. Krwawił smużkami dymu, wydając milczący ryk. Jego boki zdawały się parować.

Istota zatracala się, sama o tym nie wiedząc.

Zgódką podniosła się na kolana. Kręciło jej się w głowie od niedźwiedziego smrodu i furii, która płynęła w jej własnej krwi. Odruchowo wyciągnęła rękę, otulając szalejący cień. Jedyne, czego pragnęła, to zatamować ulatujące smużki, utrzymać Niedźwiedzia w całości i powstrzymać go przed roztopieniem się w nicłość.

Jej ramiona otoczyły mrok, aż cała się weń zapadła.

ROZDZIAŁ 4

– Od wielu dni jest w tym stanie – dobiegł ją głos ciotki.

Zgódka nie wiedziała, gdzie się znajduje i dlaczego. Głowa pulsowała jej z bólu i była zbyt ciężka, by ją podnieść. Coś paraliżowało jej kończyny. Otaczająca ją rzeczywistość była urojona, mglista, a głosy zdawały się dopływać z bardzo daleka.

– Nie możemy tego ciągnąć! – odezwał się wuj. – Połowę czasu leży tu jak nieżywa, a drugą połowę... Cóż, sama widziałaś! Rozpacz odebrała jej zmysły. Musimy myśleć o naszych dzieciach! Nie są przy niej bezpieczne.

Zgódka po raz pierwszy wyczuła w jego słowach strach.

– Co ludzie powiedzą, kiedy wyrzucimy własną krewniaczkę? – martwiła się ciotka. – Każdy dźwiga swój krzyż, a ona jest naszym.

– Nie jesteśmy jej jedyną rodziną – zauważył wuj.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym ciotka fuknęła, wzdychając. Zgódka poczuła, jak ciepłe, szorstkie dłonie kobiety delikatnie przytrzymują jej twarz.

– Zgódko, dziecko, słuchasz? Twój ojciec – jak on się nazywa? Małgorzata nigdy nam nie powiedziała, ale ty z pewnością wiesz, prawda?

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.

– Grizehayes – wydobyła z siebie chropawym głosem. – Mieszka... w Grizehayes.

– Wiedziałam – szepnęła ciotka, a w jej głosie brzmiały jednocześnie trwoga i triumf. – Ten sir Piotr! Wiedziałam!

– Zajmie się nią? – spytał wuj.

– Nie, ale robi to jego rodzina, żeby nie zszargać sobie nazwiska! – powiedziała stanowczo kobieta. – Nie wyglądałoby dobrze, gdyby ktoś z ich szlacheckiego rodu wylądował w Bedlam, nie sądzisz? Powiem im, że tam właśnie trafi dziewczynka, jeśli nie zareagują.

Ale słowa znów stały się tylko pustymi dźwiękami i Zgódka zatoneła w mroku.

Kolejne dni przepłynęły jak we mgle. Przez większość czasu rodzina trzymała dziewczynkę zawiniętą w koc niczym niemowlę w powijakach. Kiedy wracała jej świadomość, odwijano ją, ale i tak nie rozumiała, co do niej mówią, i nie była w stanie w niczym pomóc. Poruszała się chwiejnie, potykała i upuszczała wszystko, co brała do ręki.

Dolatujący z kuchni aromat pieczonych ciast, zwykle tak przytulny i znajomy, teraz przyprawiał ją o mdłości. Woń smalcu, krwistego mięsa, ziół – to było dla niej za wiele, oślepiało ją. Nieprzerwanie nawiedzał ją odór Niedźwiedzia. Nie była w stanie wyszorować się z wilgotnego, ciepłego zapachu jego umysłu.

Usiłowała przypomnieć sobie, co się wydarzyło, gdy otoczyła istotę ramionami i gdy pochłonęła ją ciemność, ale jej wspomnienia ginęły w mrocznym wirze. Wydawało jej się, że pamięta dwóch wędrowców. Miała przed oczami niewyraźny obraz ich wrzeszczących białych twarzy, zlanych krwią.

Zwierzęta nie miały duchów, przynajmniej tak zawsze myślała. A jednak wszystko wskazywało na to, że bywało inaczej. Niedźwiedź wypalił się już pewnie w nicość swoim dążeniem do zemsty. Miała nadzieję, że odnalazł w tym układzie szczęście. Dlaczego jednak ona sama wyszła z tej sytuacji tak poharatana? Może – snuła mgliste przypuszczenia – oszalałe duchy bestii potrafiły przyprawiać o gorączkę.

Zaiste myślała, że majaczy w febrze, gdy pewnego dnia zaprowadzono ją do salonu, gdzie przy kominku stał nieznajomy mężczyzna. Był wysoki i ubrany w granatowy płaszcz. Miał ptasią twarz i bujne siwe włosy. To on umykał jej w czasie zamieszek niczym błędny ogień.

Zgódka wbiła w niego spojrzenie, aż łzy napłynęły jej do oczu.

– To pan Wroniec – powoli, ostrożnie przedstawiła go ciotka. – Zabierze cię ze sobą do Grizehayes.

– Mój... – Głos dziewczynki był jak zardzewiały. – Mój ojciec...

Kobieta niespodziewanie otuliła Zgódkę ramionami i krótko, mocno ścisnęła.

– On nie żyje, dziecko – wyszeptwała. – Ale jego rodzina oświadczyła, że się tobą zajmie, a państwo Fellmotte'owie zapewnią ci lepszą opiekę niż ja. – Oddaliła się pospiesznie, by spakować rzeczy Zgódki, ocierając łzy wzruszenia, lęku i ulgi.

– Trzymaliśmy ją owiniętą w koc – wyjaśniał cicho panu Wrońcowi wuj. – Polecam to rozwiązanie, kiedy dopada ją szaleństwo. Nie wiem, co te łotry w gospodzie jej zrobiły, ale obawiam się, że pozbawiły ją piątej klepki, zanim ktoś ich przepłoszył.

Zgódka jechała do Grizehayes. Tak zapowiedziała matce w tamten feralny dzień. Może powinna się czuć szczęśliwa albo przynajmniej czuć cokolwiek.

Zamiast tego dziewczynka miała wrażenie, że jest rozbita i pusta jak skorupka, z której wybrano jajko. Poszukiwania ducha matki doprowadziły ją do zwłok niedźwiedzia. A teraz pan Wroniec, w którym widziała klucz do odnalezienia ojca, przywiódł ją tylko do kolejnego grobu.

Pastor całymi latami straszył końcem świata i teraz chwila ta wreszcie nadeszła. Zgódka była tego pewna, czuła to. Kiedy powóz niósł ją poza granice Topoli, zastanawiała się, wciąż zamroczona, dlaczego ziemia się nie rozstępuje, a gwiazdy nie sypią się z nieba niczym dojrzałe figi, dlaczego nie widzi aniołów ani lśniącej kobiety z wizji Buni Zuzanny. Zamiast tego patrzyła na suszącą się na sznurach bieliznę, słuchała terkotu wózków straganiarskich i szuru-buru szczotek, którymi szorowano schody, jakby nic się nie stało. To było chyba najgorsze.

* * *

Powóz toczył się na północny zachód, a Zgódka starała się pojąć to, co jej przekazano.

Jej ojcem był nieżyjący już sir Piotr Fellmotte. Pochodził ze starego, prastarego rodu, który zgodził się przyjąć ją do siebie. Brzmiało to jak słodko-gorzkie zakończenie pięknej ballady, ale Zgódka była odrętwiała. Dlaczego matka odmawiała rozmowy na jego temat?

Dziewczynce przypomniało się jej ostrzeżenie. „Nie masz pojęcia, przed czym cię ustrzegłam! Gdybym została w Grizehayes...”

Błędem było myśleć o matce. Głowę Zgódki wypełniło wspomnienie koszarnej zjawy o znajomych rysach. Zdeformowany głos i szara twarz w strzępach... Umysł dziewczynki znowu ześlizgnął się w mrok.

Kiedy wróciła z otchłani, czuła się chora i wyczerpana. Siedziała w powozie, ciasno owinięta baranicą, która krępowiała jej ręce. Całe jej ciało było obwiązane sznurem, nie mogła się ruszyć.

– Jesteś już spokojniejsza? – spytał obojętnym tonem jej towarzysz, patrząc, jak dziewczynka mruga zdezorientowana.

Zgódka skinęła niepewnie głową. Spokojniejsza niż co? Na jej spuchniętej szczęce kwitł nowy siniak. W jej pamięci również widniał siniak, niejasne, mroczne poczucie, że zrobiła coś, czego nie powinna. Chyba coś przekrobała.

– Nie mogę pozwolić, żebyś wyskakiwała z powozu – powiedział pan

Wroniec.

Gruba i ciepła baranica była zarazem szorstka i miała zwierzęcy zapach. Dziewczynka uchwyciła się tej woni. Była dla niej zrozumiała. Jej opiekun nie odezwał się więcej, za co była mu wdzięczna.

W trakcie długiej, wilgotnej podróży krajobraz ulegał zmianie. Pierwszego dnia nie wydawał się dziewczynce obcy, z mglistymi łąkami i bujnymi bladozielonymi polami kukurydzy. Drugiego dnia niskie wzgórza zjeżyły sierść. Trzeciego – pola ustąpiły moczarom, po których przemykały smukłe czarnogłowe owce.

Gdy Zgódka wreszcie wybudziła się z drzemki, powóz jechał z chlupotem wznoszącą się drogą, przemienioną w zupę przez ulewne deszcze. Po obu stronach rozciągały się gołe pola i pastwiska, a horyzontu strzegł szereg posępnych wzgórz. Z przodu, przed niewielkim sabatem ponurych, powykręcanych cisów, stał dom o szarej fasadzie, rozległy, lecz pozbawiony wdzięku. Dwie wieże wyrastały w górę niczym zniekształcone rogi.

Grizehayes. Choć Zgódka nigdy tu wcześniej nie była, natychmiast poczuła, że rozpoznaje to miejsce, jakby wielki dzwon odezwał się głęboko w jej duszy.

* * *

Gdy dotarli na miejsce, Zgódka była wychłodzona, wyczerpana i głodna. Rozwiązano ją i odwinęto koc, po czym przekazano rudowłosej służącej o znużonej twarzy.

– Jego lordowska mość będzie chciał ją zobaczyć – powiedział Wroniec, po czym zostawił dziewczynkę pod opieką kobiety.

Ta przebrała ją, przemyła jej twarz i rozczesła włosy. Nie była niemłą, ale miła też nie była. Zgódka wiedziała, że jest przygotowywana do wystąpienia przed kimś, a nie dopieszczana. Służąca cmokała z dezaprobatą nad jej paznokciami, które były wyniszczone i połamane. Zgódka nie pamiętała, dlaczego są w takim stanie.

Kiedy wyglądała już w miarę przyzwoicie, kobieta poprowadziła ją mrocznym korytarzem, w milczeniu wskazała jej przejście dębowymi drzwiami, po czym zamknęła je za dziewczynką. Ta znalazła się w ogromnej, ciepłej komnacie z największym, najdzikszym paleniskiem, jakie w życiu widziała. Na ścianach wisiały gobeliny, na których jelenie wywraçały oczy, lejąc strugi haftowanej krwi. W łożu z baldachimem spoczywał sędziwy mężczyzna.

Patrzyła na niego z szacunkiem i trwogą, a jej poplątany umysł starał się

przywołać to, co mówiono jej o tym człowieku. Mógł to być jedynie Abdiasz Fellmotte, głowa rodu – lord Fellmotte we własnej osobie.

Był pogrążony w poważnej rozmowie z siwowłosym panem Wrońcem. Żaden z nich nie zauważył pojawienia się dziewczynki. Zawstydzona i zniechęcona, Zgódka nie ruszała się od drzwi. Mimo to docierały do niej ciche głosy mężczyzn.

– A więc... Ci, którzy rzucali na nas kalumnie, już więcej nie będą nas oskarżali? – Głos Abdiasza brzmiał jak niskie, zgrzytliwe skrzypienie.

– Jeden odebrał sobie życie, gdy zatoniły jego statki i przepadł cały majątek – doniósł ze spokojem pan Wroniec. – Drugiego wypędzono z kraju, gdy odkryto jego listy do króla Hiszpanii. Plotki o romansach trzeciego wypłynęły na jaw i zginął w pojedynku z mężem swej kochanki.

– Świetnie – pochwalił Abdiasz. – Zmrużył oczy. – A czy i my jesteśmy jeszcze na językach?

– Trudno jest stłumić szepty, mój panie – powiedział ostrożnie Wroniec. – Szczególnie te o czarach.

O czarach? Po plecach Zgódki przeszedł dreszcz przesadnego przerażenia. Czy na pewno dobrze dosłyszała? Pastor w Topoli wspominał czasem o wiedźmach i czarownikach – wynaturzonych, skorumpowanych ludziach, którzy potajemnie pertraktowali z diabłem, by zyskać potworne moce. Czarownicy ci potrafili nałożyć na człowieka zły urok. Mogli odebrać władzę w ręce, zepsuć plony, spowodować chorobę, a nawet śmierć niemowlęcia. Czynienie krzywdy za pomocą czarów było oczywiście nielegalne i kiedy sprawcę przyłapano, był aresztowany, stawał przed sądem, a czasem kończył na szubienicy.

– Jeśli nie jesteśmy w stanie zapobiec dotarciu tych plotek do uszu króla – rozważał powoli arystokrata – to powinniśmy powstrzymać go przed wyciąganiem konsekwencji. Musimy stać się dla niego użyteczni – zbyt użyteczni, by mógł nas stracić. Potrzebujemy też haka na niego, żeby nie odważył się nas wydać. Zdaje się, że rozpaczliwie pragnie pożyczyć od nas pieniądze, prawda? Jestem przekonany, że uda nam się jakoś dojść do porozumienia.

Zgódka nie śmiała się ruszyć. Stała przy drzwiach ze związanym językiem, czując na twarzy mrowienie od ciepła bijącego z paleniska. Nie w pełni rozumiała sens zasłyszanych wypowiedzi, ale była pewna, że słowa i myśli mężczyzn przenigdy nie powinny były trafić do jej uszu.

Wtem stary lord odwrócił wzrok w jej stronę i ją spostrzegł. Zmarszczył brwi.

– Wrońcu, co to dziecko robi w mojej komnacie?

– Córka Małgorzaty Stopki – poinformował cicho zapytany.

– A, bękart. – Twarz Abdiasza przyjęła nieco łagodniejszy wyraz. – Obejrzyjmy ją zatem. – Przywołał Zgódkę ruchem dłoni.

Ostatnia nadzieja dziewczynki na ciepłe przyjęcie zgasła. Podeszła pomału i zatrzymała się przy łóżku. Koszula nocna i czepek, opadający na brew szlachcica, były zdobione kosztowną koronką i Zgódka zaczęła mimowolnie obliczać, ile tygodni zajęłoby matce jej wykonanie. Złapała się jednak na tym, że się gapi, więc szybko spuściła wzrok. Wpatrywanie się w bogatych i potężnych było tak niebezpieczne jak patrzenie prosto w słońce.

Obserwowała go spod rzęs. Skupiła się na jego dłoniach, obładowanych pierścieniami. Przerzątał ją. Widziała błękitną krew płynącą w kiściach jego żył.

– A, tak, rzeczywiście, dziecko Piotra – wymamrotał Abdiasz. – Spójrz na dołek w brodzie! I te jasne oczy! Ale powiadasz, że jest szalona?

– Większość czasu potulna i trochę otępiała, ale zdolna do wszystkiego, gdy dostaje ataku – zdał relację Wroniec. – Rodzina twierdzi, że powodem są żal i uderzenie w głowę.

– Jeśli ktoś kijem pozbawił ją rozumu, wbijcie jej go z powrotem do głowy – warknął lord. – Nie ma sensu szczerzyć różgi dzieciom i wariatom. Mają ze sobą wiele wspólnego – dziczeją, jeśli nie trzyma się ich w ryzach. Jedyne lekarstwo to dyscyplina. Ty! Mała! Umiesz mówić?

Zgódka aż podskoczyła, po czym skinęła głową.

– Podobno dręczą cię koszmary – zagadnął Abdiasz. – Opowiedz nam o nich.

Zgódka obiecała matce, że nigdy nie będzie mówić o swoich snach. Ale matka nie była już matką, a dane jej obietnice nie miały chyba większego znaczenia. Dziewczynka wydukała więc kilka nieskładnych zdań o ciemnym pokoju, szeptach i fruujących twarzach.

Starzec prychnął z satysfakcją.

– Wiesz, czym są stworzenia nawiedzające twoje koszmary?

Zgódka przełknęła ślinę i przytaknęła.

– To umarli.

– Zniszczeni umarli – poprawił lord, podkreślając różnicę. – To słabeuszki, zbyt bezsilni, by utrzymać się w jednym kawałku bez ciała. Polują więc na twoje... ale ty dobrze o tym wiesz, prawda? Nie dopadną cię tutaj. Są robactwem, które tępiemy tu jak szczury.

Wspomnienie roztopionej twarzy, wykrzywionej żądzą zemsty, błysnęło w głowie Zgódki. *Słaba, zniszczona. Robactwo do wyplenienia. Z hukiem*

zatrzasnęła drzwi do tej myśli, ale nie chciały pozostać zamknięte. Dziewczynka zaczęła drzeć. Nie potrafiła się opanować.

– Czy to potępieńcy? – wyrwało jej się. *Czy matka idzie do piekła? Czy posłałam ją do piekła?* – Pastor mówił, że...

– Ach, zaraza niech weźmie pastora! – uciał Abdiasz. – Wychowałam się w purytańskim gnieździe, głupia dziewczyno, wśród wystrzyżonej, przemądrzałej bandy majaczących proroków z bożej łaski. Pewnego pięknego dnia ten pastor trafi prosto do piekła, wlokąc za sobą swoją pomieszana trzódkę. Jeśli nie wyrzucisz z pamięci każdej najdrobniejszej bzdury, jaką ci tam wciśnęli, podzielisz ich los. Ochrzcili cię w ogóle? – mruknął z aprobatą, gdy Zgódka skinęła głową. – No, przynajmniej tyle.

– Co do istot, które próbują wdrzeć się do twojej głowy... Czy którejs kiedyś się to udało?

– Nie. – Zgódka zadrzała mimo woli. – Próbowaly, ale ja... ja walczyłam...

– Musimy mieć pewność. Podejdz tu! Niech ci się przyjrzę. – Dziewczynka, wahając się, wkroczyła w zasięg starca, a on wyciągnął rękę i z nieoczekiwaną siłą chwycił jej podbródek.

Zgódka, zaskoczona, spojrzała mu prosto w oczy. Natychmiast wyczuła zło, gęste niczym dym.

Jego pomarszczone jak pergamin oblicze było nieciekawe, w przeciwieństwie do oczu – chłodnych, o barwie mętnego bursztynu. Dziewczynka nie rozumiała tego, co czuje, ale wiedziała, że w Abdiaszu czai się coś bardzo niedobrego. Nie miała ochoty znajdować się w jego towarzystwie. Była w niebezpieczeństwie.

Rysy twarzy mężczyzny marszczyły się i ściągały, jakby prowadziły konwersację same ze sobą. Potem na w pół przymknął powieki i przyjrzał się Zgódce przez lśniące szparki.

Coś się działo. Coś dotykało obolałych miejsc w jej duszy, badając je, wnikając w głąb. Dziewczynka wydała z siebie chrapliwy protest i próbowała wyslizgnąć się z uchwytu Abdiasza, ale jego uścisk był boleśnie mocny. Przez chwilę wydawało jej się, że znalazła się z powrotem w koszmarze, we własnym, spowitym mrokiem pokoju, z roztopionym głosem szepczącym jej do ucha i bezwzględną zjawą ryjącą pazurami, by dostać się do jej umysłu...

Krzyknęła krótko, ostro i sięgnęła po żołnierzy swojego umysłu. Przypuściła w myślach atak i poczuła, jak dociekliwa obecność wzdryga się i odsuwa. Lord wypuścił jej podbródek z uścisku. Zgódka skoczyła w tył, przewracając się na podłogę. Zwinęła się w kłębek z mocno zaciśniętymi

powiekami i pięściami zatykającymi uszy.

– Ha! – Wydech Abdiasza zabrzmiał jak śmiech. – Może faktycznie wszystkie je zwalczyłaś. Och, dziecko, przestań zawodzić! Uznajmy, że na razie ci wierzę, ale zrozum – jeśli któraś z tych martwych kanalii wlała ci do głowy, to jesteś w niebezpieczeństwie. Nie wyplenisz tego bez naszej pomocy.

Serce dziewczynki waliło jak młotem i z trudem łapała oddech. Na krótką chwilę skrzyżowała spojrzenia z czymś złym. Dostrzegła to, a to dojrzało ją. I coś dotknęło jej umysłu zupełnie jak umarli.

Ale Abdiasz przecież żył, prawda? Widziała, jak oddycha. Musiało jej się pomylić. Może wszyscy arystokraci byli przerażający.

– Zrozum – powtórzył bez ciepła w głosie. – Nikt cię nie chce, nawet krewni matki. Ciekawe, co się z tobą stanie w wielkim świecie. Wtrąca cię do Bedlam? Jeśli nie, to pewnie umrzesz z głodu, zamarzniesz na śmierć albo ktoś cię zamorduje za te kilka szmatek, które masz na sobie... jeśli robactwo nie znajdzie cię najpierw. – Zamilkł, po czym przemówił znowu, tym razem z wyraźną niecierpliwością w głosie: – No, patrzcie na to drżące, spłakane stworzenie! Umieście je gdzieś, gdzie niczego nie popsuje. Dziewczyno, musisz okazać trochę wdzięczności i posłuszeństwa oraz skończyć z tymi napadami albo wyrzucimy cię na bagna. A tam nikt cię nie ochroni, gdy przyjdą po ciebie kanalie. Zeżrą ci mózg jak żółtko z jajka.

ROZDZIAŁ 5

Szczupły, młody służący powiódł Zgódkę w górę po schodach, jednych, potem drugich, aż doprowadził ją do wąskiego pokoiku, w którym stały miękkie łóżko i nocnik. Okno było zakratowane, ale na ścianach wymalowano ptaki i dziewczynce przyszło do głowy, że mógł tu być kiedyś pokój dziecięcy. Sługa miał ptasie rysy przywodzące na myśl białowłosego pana Wrońca. Zgódką miała niejasne wrażenie, że łączy ich pokrewieństwo.

– Doceniaj błogosławieństwa i zaprzestań wygłupów – polecił, stawiając na podłodze dzbanek piwa korzennego i miskę gęstej zupy. – Koniec wrzasków i rzucania się na ludzi, słyszysz? Takie sztuczki nagradzamy kijem.

Drzwi zamknęły się za nim, w zamku zazgrzytał klucz. Zgódką została sama ze swoim zdumieniem. Rzucanie się? Kiedy do tego doszło? Nic już nie wiedziała.

Jedząc, dziewczynka obserwowała przez kraty szare niebo, podwórze, pola i mokradła za otaczającym posiadłość murem. Czy ta cela w wieży miała już na zawsze pozostać jej domem? Czy przyjdzie jej się tu zestarzeć jako odsuniętej od ludzi i niemogącej nikogo skrzywdzić domowej wariatce Fellmotte'a?

Zgódką nie mogła znaleźć sobie miejsca. Jej umysł kipiał. Przemierzała pokoi od ściany do ściany. Czasem łapała się na tym, że mruczy do siebie pod nosem albo że owo mruczenie zsuwa jej się do krtani i przeradza w gardłowy charkot.

Ściany wirowały wokół niej, gdy kręciła i zataczała się, a łuszcząca się tapeta przypominała jej srebrną korę brzoź. Dziewczynka prowadziła spór z gorącem i hałasem w swojej głowie. W pokoju znajdował się ktoś jeszcze i był bardzo nierozsądny. Kiedy jednak odwracała się w jego stronę, znikał.

Wreszcie ugięły się pod nią kolana, padła na podłogę i tak już została. Czowała się zbyt obszerna i ciężka, by jeszcze kiedykolwiek się poruszyć, jak element gór i równin. Ból i swędzenie przemierzały krajobraz jej ciała niczym wędrowcy. Zarejestrowała ich obecność z obojętnością i pozwoliła, by pochłonął ją sen.

We śnie szła przez las, ale ledwo wykonała dziesięć kroków w jednym kierunku, a z ziemi wyrastał pień drzewa, który ją ranił. Przeróżne ptaki przysiadły na gałęziach, ćwierkając i drwiąc z niej. Niebo lśniło szarawą czernią niczym skrzydło kawki, a gardło dziewczynki bolało od ryku.

Zgódka ocknęła się, półprzytomna, o zmierzchu. Patrzyła tępo przez zakratowane okno na fiołkowe niebo, wysmarowane strzępami chmur. Nietoperz przemknął na ich tle jak ponura myśl.

Dziewczynka leżała na podłodze, nie w łóżku, i była obolała.

Usiadła ostrożnie, podpierając się jedną ręką, i skrzywiła się z bólu. Nawet ręce ją piekły. Spojrzawszy na nie, zauważyła ciemne obtarcia na kostkach. Już wcześniej miała parę złamanych paznokci, ale teraz kilka było zdartych do krwi. Lewa skroń i prawy policzek dokuczały jej i opuchły, a dociekliwe palce znalazły siniaki na ramionach i udzie.

– Co mi się stało? – spytała na głos samą siebie.

Może naprawdę miała jakiś atak. Nie przychodziło jej na myśl inne wyjaśnienie. Sługa co prawda groził jej kijem, ale podejrzewała, że odnotowałyby, gdyby wszedł i zrobił z niego użytek.

Musiałam sama się uszkodzić. Poza mną nie ma tu nikogo.

Niczym kpina z tej myśli, za plecami Zgódki rozległ się dźwięk.

Dziewczynka odwróciła się błyskawicznie, szukając jego źródła. Nic. Puste pomieszczenie, z rozciągniętym na ziemi rombem światła z okna.

Serce dudniło jej w piersi. Odgłos był szokująco wyraźny, jak oddech na karku, gdy wnikał do wnętrza jej ucha. A jednak sekundę później nie potrafiła go już opisać.

Szorstki. Zwierzęcy. Tyle o nim wiedziała.

Wtem dobiegł ją smród. Odór gorącej krwi, jesiennego lasu, mokry końsko-psi zapach, piźmowy i potężny. Natychmiast go rozpoznała.

A więc nie była sama.

To niemożliwe! Przecież się wypalał! Jesteśmy trzy dni drogi od Topoli! Jak mógł mnie odnaleźć? Poza tym tu niszczą duchy – jakim cudem wkradłby się niepostrzeżenie do Grizehayes?

A jednak mu się udało. Zapachu nie dało się pomylić z żadnym innym. Jakimś sposobem, wbrew wszystkiemu, Niedźwiedź znalazł się w pokoju wraz z nią.

Zgódka wycofała się w kierunku drzwi, choć dobrze wiedziała, że to bezcelowe. Oczy badały wypełniający się mrokiem pokoik. Zbyt wiele cieni. Nie umiała stwierdzić, czy to smugi, czy wypaczenia. Nie wiedziała, skąd obserwują ją przejrzyście ślepiec.

Dlaczego? Dlaczego poszedł właśnie za nią? Zgódka bała się i czuła się zdradzona. Stworzenie dopadło swoich oprawców z zemsty, ale ona przecież nie wyrządziła mu krzywdy! Co więcej, w gospodzie zdawało jej się nawet, że połączyły ich wspólne ból i furia i że Niedźwiedź stanął w jej obronie...

Ale to zjawą. A im zależy wyłącznie na wdarciu się do twojego umysłu. To dzikie zwierzę, które nie jest ci nic winne. Idiotko! Naprawdę sądziłaś, że masz w nim przyjaciela?

A teraz była z nim uwięziona. Nie miała dokąd uciec.

Przy jej uchu wybuchł nagle dźwięk. Rozgrzany do czerwoności. Ogłuszający. Bliższy niż bliski.

Zbyt bliski.

Zgódka spanikowała. Wrzasnęła, rzuciła się do drzwi i zaczęła uderzać w nie pięściami.

– Wypuście mnie! – wołała. – Musicie mnie stąd wypuścić! Tu coś jest! Tu jest duch!

Och, proszę, błagam, niech za drzwiami będzie strażnik! Proszę, błagam, niech usłyszy mnie ktoś na dziedzińcu!

Podbiegła do okna. Spróbowała przecisnąć twarz przez kraty.

– Ratunku! – wrzasnęła ile sił w płucach. – Pomocy!

Chłód prętów oparzył jej skórę. Ucisnęły jej lewą skroń i prawy policzek, dokładnie w miejscu sińców. Wstrząs tego doznania przywrócił jej pamięć. Mgliste wspomnienie podobnej chwili, wciskania głowy między kraty. Próba wydostania się na wolność, w stronę jasnego nieba.

Zgódka słyszała, jak jej własny krzyk staje się bardziej gardłowy, jak przeradza się w przeciągły ryk z głębi krtani. Jej twarz wciskała się teraz w metal z krzywdzącą siłą, kręcąc się, starając się przepchnąć. Czarne plamy pojawiły jej się przed oczami. Czuła, że palce bezskutecznie orzą kamienną ścianę, boleśnie zdzierając skórę z opuszków...

Przestań! – nakazała sobie. Dość! Co ja robię?

Prawda uderzyła ją niczym spadająca gwiazda.

O Boże. O Boże w niebiesiech. Jaka jestem głupia.

Oczywiście, że Niedźwiedziowi udało się wkroczyć do Grizehayes. Naturalnie, że jest tutaj.

Jest we mnie.

W jej wnętrzu zamieszkał oślepiiony, wściekły, zdesperowany duch. W końcu więc spełnił się jej najgorszy sen. A teraz stworzenie będzie niezdarnie w niej szalało, niszcząc jej umysł. Będzie ranić i łamać jej ciało w rozpaczliwym wysiłku wydostania się z celi w wieży...

Dość!

Zdjęta strachem, wezwała swoje dawno uśpione siły, anioły swojego umysłu. Zebrały się i wpadły w szal, i dziewczynka słyszała, że Niedźwiedź warczy. Zamknęła oczy nadludzkim wysiłkiem woli, więząc siebie i zwierzę w ciemności. Zapanowała noc pełna bezgłośnych dźwięków, bo jej mózg ryczał w panice nie mniej zajadle niż Niedźwiedź.

Coś się wydarzyło. Nagłe uderzenie wstrząsnęło jej umysłem do cna. Przez ułamek sekundy czuła, jak jej dusza upada, po czym walczy, by powstać. Wspomnienia krwawiły, myśli darły się na strzępy. Niedźwiedź ją zaatakował.

Szok uderzenia wyrwał Zgódkę ze stanu paniki.

Boi się. On się boi.

Wyobraziła go sobie, wielkiego Niedźwiedzia zagubionego w mroku, pozbawionego sprzymierzeńców i uwięzionego przez długi, długi czas. Nie pojmował, gdzie się znajduje ani dlaczego jego ciało jest takie dziwne i słabe. Rozumiał tylko, że ktoś występuje przeciw niemu z agresją, jak zwykle, bo przecież zawsze był tak traktowany...

Zgódka odzyskała kontrolę nad własnym oddechem. Wciągała powietrze powoli, wdech po wdechu, usiłując uciszyć bicie serca, starając się wygasić obawę, że bestia rozszarpie ją od środka.

Ćśśś – szepnęła w myślach do zwierzęcia.

Oczyma wyobraźni ponownie ujrzała Niedźwiedzia, ale teraz zwizualizowała też siebie stojącą przy nim z wyciągniętymi ramionami, jak wówczas, gdy próbowali nawzajem się chronić.

Ćśśś. Cichutko, Niedźwiedziu. To ja.

Niemy ryk osłabł do sporadycznego, niesłyszalnego warkotu. Może jednak ją znał, choć troszkę. Może rozumiał, że nic mu już nie grozi.

Jestem twoją przyjaciółką – powiedziała mu. I dodała: *Jestem twoją jaskinią.*

Jaskinia. Nie znał znaczenia wyrazów, ale Zgódka czuła, że ostrożnie chwyta sens jej słów, jakby brał do pyska jabłko. Może od małego wychowywał się na łańcuchu, ale był przecież niedźwiedziem i w głębi duszy wiedział, czym jest jaskinia. Nie była więzieniem. Była domem.

Gdy stworzenie się uspokoiło, Zgódka zaczęła się zastanawiać, jak mogła nie zauważyć go w swojej głowie. Być może jej nudności i dziwne poczucie obcości wynikały z tego, że jej umysł się kurczył, by zrobić miejsce dla Niedźwiedzia.

Był duży, jeśli można tak określić widmo. Zgódka wyczuwała teraz jego pozbawioną myśli moc. Pewnie byłby w stanie zmiażdżyć jej mózg z równą łatwością, z jaką jego łapa mogłaby złamać jej kark, gdyby spotkali się za

życia zwierzęcia. Teraz było ono spokojniejsze i dziewczynka czuła, że jego władza nad jej ciałem maleje. Mogła przynajmniej przełknąć ślinę, rozluźnić ramiona, poruszyć palcami.

Parę minut zajęło Zgódce zebranie się na odwagę, by otworzyć oczy. Upewniła się, że jest zwrócona tyłem do okna. Pręty mogły być dla Niedźwiedzia symbolem niewoli, a nie chciała, żeby znowu wpadł w szal. Zamiast tego spuściła wzrok na własne dłonie.

Pozwoliła, by Niedźwiedź dobrze im się przyjrzał, a potem powoli zgięła je i rozprostowała, aby zrozumiał, że to jedyne pazury, jakie ma teraz do dyspozycji. Pokazała mu zdarte paznokcie, krwawiące opuszki. *Żadnych pazurów, Niedźwiedziu. Przykro mi.*

Przez Niedźwiedzia przetoczyła się drobna, ciemna fala emocji. Opuścił głowę dziewczynki i zaczął lizać poranione palce.

Był zwierzęciem, nie był jej nic winny. Był zjawą i nie można było na nim polegać. Może Niedźwiedź starał się tylko przyspieszyć gojenie własnych ran. Ale muśnięcia językiem były bardzo delikatne, jakby miały przywrócić do zdrowia pokaleczony niedźwiadka.

* * *

Gdy młody sługa zjawił się z różgą, by ukarać Zgódkę za „wycie jak poganka i robienie piekła”, dziewczynka zdążyła podjąć decyzję. Nie wyda Niedźwiedzia.

Lord Fellmotte powiedział jej, że niebezpiecznie jest mieć w głowie zbląkanego ducha i zapewne była to prawda. Ale Zgódka nie darzyła Abdiasza sympatią. Jego wzrok sprawiał, że czuła się jak mysz pośród sów. Gdyby opowiedziała mu o Niedźwiedziu, znalazłby sposób, żeby wydrzeć go z niej i zniszczyć.

Ryzykowne było trzymanie czegoś w tajemnicy przed takim człowiekiem. Zgódka podejrzewała, że byłby strasznie wściekły, gdyby kiedykolwiek odkrył, że krewniaczka ukrywała przed nim rzecz takiej wagi. Może zgodnie ze swą groźbą wygnałby ją na bagna lub wysłał do Bedlam, by tam przykuto ją i chłostano.

Teraz jednak cieszyła się, że nikt nie przybył jej na odsiecz, gdy krzyczała. Niedźwiedziowi nigdy w życiu nie dano uczciwej szansy. Była dla niego wszystkim. A on – dla niej.

Słowem się nie odezwała, gdy różga sześć razy z impetem lądowała na jej ramionach i plecach. Uderzenia paliły i Zgódka wiedziała, że zostaną po nich ślady. Zacisnęła mocno oczy i z całych sił starała się uspokoić Niedź-

wiedzia. Gdyby straciła panowanie nad sobą i rzuciła się na swego oprawcę, tak jak pewnie czyniła to w przeszłości, wcześniej czy później ktoś mógłby domyślić się, że podróżuje w niej pasażer na gapę.

– Nie sprawia mi to przyjemności – oznajmił obłudnie młodzieniec i Zgódka pomyślała, że pewnie sam wierzy w swoje słowa. – To dla twojego dobra. – Podejrzała, że po raz pierwszy miał nad kimś tyle władzy.

Gdy wyszedł, oczy dziewczynki zaszczyły łzami i miała wrażenie, że ktoś przyciska rozgrzane do czerwoności pręty do skóry jej pleców. Ból obudził wspomnienia, lecz nie jej własne.

W kościach tętniła jej muzyka gitary i tamburynu, przywołując obraz gorących węgli rzucanych pod jej wrażliwe, niedorośle jeszcze łapy, by zmusić ją do tańca. Zachwiała się i spróbowała odzyskać równowagę na czterech łapach, ale otrzymała palący cios w miękką kufę.

Uświadomiła sobie, że zyskała dostęp do dawnych wspomnień Niedźwiedzia, szkolonego od najmłodszych lat. W jego imieniu zalała ją fala gniewu. Uściskała samą siebie, bo był to jedyny sposób, by go przytulić.

W tej chwili na oboje, Zgódkę i Niedźwiedzia, spłynęło wspólne zrozumienie. Czasem należało cierpliwie znieść ból, bo inaczej ludzie potrafili zadać go jeszcze więcej. Czasem trzeba było znosić i przyjmować sińce. Jeśli wszyscy sądzą, że jesteś ujarzmiony i wytresowany, to przy odrobinie szczęścia może nadejść chwila, w której będziesz mógł uderzyć.

ROZDZIAŁ 6

Zgódkę obudził cichy dźwięk. Przez chwilę była zdezorientowana, aż ból siniaków przypomniał jej, gdzie się znajduje. Nie zaufano jej na tyle, by zostawić świecę, więc jedyne światło padało z okna.

Przestraszyła się, widząc za kratami głowę odcinającą się na tle fiołkowego wieczornego nieba. Po chwili dołączyła do niej ręka, uniesiona, by zadzwonić w pręty.

Dzyń, dzyń, dzyń.

– Hej! – usłyszała szept.

Zgódką wstała niepewnie i, kuśtykając, zbliżyła się do okna. Ku swojemu zdziwieniu odkryła, że zaczepia ją tyczkowaty, około czternastoletni chłopak. Wyglądało na to, że ryzykownie przycupnął na jakimś wąskim gzym-sie, jedną ręką przytrzymując się krat, by nie stracić równowagi. Miał kasztanowe włosy, miłą, brzydką, zawadiacką twarz i zdawał się zupełnie nie przejmować tym, że od ziemi dzieli go cztery piętra. Jego ubranie było lepsze niż to, które miała na sobie dziewczynka, niemal zbyt dobre jak na służbę.

– Kim jesteś? – spytała.

– Kuba Winnersh – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Czego chcesz? – syknęła. Była pewna, że nie powinno go tu być. Słyszała też kiedyś, że czasem ludzie odwiedzają Bedlam, żeby naigrawać się z obłąkanych, a nie była w nastroju na sprzeczki z prześmiewcami i gapiami.

– Przyszedłem cię odwiedzić! – poinformował, wciąż szepcząc. – Podejdz! Chcę z tobą porozmawiać!

Niechętnie podeszła do okna. Niedźwiedź nie lubił się zbliżać do ludzi, a nie chciała, by stracił nad sobą panowanie. Gdy na twarz Zgódki padło światło, chłopiec zaśmiał się, na wpół radośnie, na wpół z niedowierzaniem.

– A więc to prawda. Masz taki sam podbródek jak ja. – Dotknął dołeczka w brodzie. – Tak – rzekł w odpowiedzi na pytanie w jej szeroko otwartych oczach. – To nasza spuścizna. Podpis sir Piotra.

Krew uderzyła jej do głowy, gdy zrozumiała, co miał na myśli. Nie była jedynym nieślubnym dzieckiem Piotra. W głębi duszy Zgódką chciała wie-

rzyć, że jej rodzice byli w sobie zakochani, aby jej własne istnienie miało jakiś sens. Ale nie, matka była najwyraźniej zwykłą miłośką, niczym więcej.

– Nie wierzę ci! – syknęła Zgódka, choć w istocie wiedziała, że chłopak mówi prawdę. – Odszczekaj to! – Nie mogła tego znieść. W niepojętym białym rozpaleniu chwili miała ochotę wyrwać prety z muru i mu przyłożyć.

– Masz charakterek – zauważył z nutą zaskoczenia. Dziewczynka też była zaskoczona – nikt jej tego nigdy nie powiedział, a już na pewno nie tonem pochwały. – Naprawdę jesteście do siebie podobni. Cicho, zaalarmujesz cały dom.

– Co tu robisz? – posłusznie zniżyła głos.

– Wszyscy służący o tobie mówili – odparł natychmiast chłopak. – Młody Wroniec twierdzi, że jesteś szalona, ale nie dałem mu wiary. – Zgódka odgadła, że „Młodym Wroncem” musiał być sługa o ptasiej twarzy, który wymierzył jej chłostę. – Po drugiej stronie wieży też jest okno, więc wylazłem przez nie, a potem przeszedłem dookoła po gzymsie. – Wyszczerezył zęby, dumny z własnej pomysłowości.

– A jeśli się mylisz? Jeśli jestem wariatką i popchnę cię, byś zginął? – Nie rozumiała, dlaczego czuje się taka wściekła i osaczona. Dlaczego ludzie, żywi czy umarli, ciągle czegoś od niej chcieli? Dlaczego nie mogli zostawić jej w spokoju, sam na sam z Niedźwiedziem?

– Nie wyglądasz mi na szaloną – oświadczył Kuba z irytującym przekonaniem. – Poza tym nie starczyłoby ci siły. Jak masz na imię?

– Czynizgoda.

– Czynizgoda? A, no tak. Zapomniałem, że jesteś purytanką.

– Wcale nie! – oburzyła się dziewczynka, czerwieniąc się. Świątobliwi mieszkańcy Topoli nigdy nie nazywali się purytanami i kiedy Abdiasz określił ich tym słowem, wyczuła, że nie jest ono pochlebne.

– Czy tam, skąd pochodzisz, każdy ma takie imię? – spytał Kuba. – Podobno mieszkają tam „Walcz-o-dobro”, „Napłuj-diabłu-w-oko”, „Wybacz-mi-grzech”, „Nędzni-my-grzesznicy” i takie tam.

Zgódka milczała. Nie była pewna, czy chłopak z niej drwi, czy nie, a wśród wiernych w Topoli rzeczywiście był jeden „Wybacz-mi-grzech”, przy czym w skrócie wołano na niego „Wybacz”.

– Odejdź! – powiedziała więc tylko.

– Nie dziwię się, że cię zamknęli. – Kuba zarechotał. – Nie lubią ludzi z charakterem. Posłuchaj, znajdę sposób, żeby cię stąd wyciągnąć. Wkrótce do Grizehayes wróci sir Tomasz. Jest następcą Abdiasza, starszym bratem sir Piotra. Lubi mnie. Zobaczę, czy uda mi się za tobą wstawić.

- Dlaczego? – spytała podejrzliwie Zgódka.
- Kuba patrzył na nią z równym niezrozumieniem.
- Bo jesteś moją małą siostrzyczką.

* * *

Zgódka długo nie mogła otrząsnąć się po tych słowach. Wyglądało na to, że ma brata. Ale co to w zasadzie znaczyło? Jeśli Kuba mówił prawdę, lord Abdiasz był jej dziadkiem, tymczasem oczy starca pozostały zimne i obce. Nawet ta sama krew w żyłach nie upoważniała do tych samych tajemnic.

Niemniej jednak dni mijały, a Kuba nie wracał. Zgódka zaczęła się obawiać, że potraktowała go zbyt wrogo. Wkrótce dałaby wszystko, żeby tylko ujrzeć przyjazną twarz.

Młody Wroniec pełnił funkcję nie tylko jej strażnika, lecz także sędziego. Jeśli spierała się z nim, krzyknęła lub ponuro milczała, uznawał to za znak jej melancholijnego obłąkania. Karą było kilka ostrych razów witką w golenie lub ramiona.

Zgódka z całych sił powstrzymywała Niedźwiedzia przed odparciem takiego ataku, choć ciemniało jej przed oczami i bała się, że furia zwierzęcia porwie ich oboje. Po wizycie Młodego Wronca Niedźwiedź zmuszał dziewczynkę do maszerowania od ściany do ściany przez kilka godzin, czasem wydając jej głosem nieartykułowany ryk. Były chwile, gdy zdawał się ją rozumieć i była w stanie ukoić jego nerwy. Kiedy indziej czuła się tak, jakby dyskutowała z chmurą burzową. Zwierzę nie pojmowało obecności krat, ograniczeń dziewczynki ani potrzeby korzystania z nocnika.

Raz, gdy potłukła się ich miska, rzucona przez Niedźwiedzia, kostki Zgódki zakuto w kajdany. Co rano przytrzymywano ją siłą i wtryskiwano jej do nosa pachnącą burakami czerwonawą miksturę, by „schłodzić pęcherze mózgu”. Jakiś czas później przyłapano ją na łzach i podano jej wywar wywołujący wymioty, aby oczyścić jej ciało z powodującej melancholię „czarnej żółci”.

Niedźwiedź był nieobliczalny, niebezpieczny i wszystko utrudniał, ale trzymała się go. Miała sekretnego przyjaciela, co dawało jej siłę, by zwalczać rozpacz. Miała kogoś, kogo chciała chronić i kto milcząco trwał u jej boku. Kiedy spała, czuła, że otula zwiniętego w kłębek małego misia, a jednocześnie coś wielkiego i ciepłego chroni ją przed światem niczym tarcza.

Pewnego dnia Młody Wroniec przywiązał ją do noszy i zakrył jej twarz szmatką. Następnie zniesiono ją, przechylając i trzęsąc, z wielu, wielu schodów, aż znalazła się w piekielnie gorącym pomieszczeniu pełnym wyrazi-

stych kuchennych woni – dymu, krwi, przypraw i cebuli.

– Wybierzcie żar, cegły są wystarczająco gorące. Pomóżcie mi tu, musimy przystawić jej głowę do samego pieca...

Dziewczynka szamotała się, ale więzy trzymały mocno. Czula każde drgnięcie noszy, kiedy ustawiano je w odpowiednim położeniu, a potem palący gorący piec na twarzy, nawet przez tkaninę. Nie mogła złapać tchu. Ogniste, przesycone dymem powietrze paliło jej płuca. Skóra zaczęła ją piec i parzyć, a Zgódką krzyknęła w panice, przerażona, że jej oczy usmażą się zaraz jak jajka na patelni...

– Wrońcu, co ty wyprawiasz? – usłyszała nagle nieznajomy głos.

– Sir Tomasz! – Sługa wydawał się niemile zaskoczony. – Leczymy młodą Czynizgodę Stopkę z melancholii. Ciepło pieca wypoci z jej głowy wszelkie nieodpowiednie fantazje. To sprawdzony i skuteczny sposób, tu, w książce, mam rycinę...

– A co zamierzałeś zrobić później? Podać ją z rzodkiewką i sosem musztardowym? Wyjmij dziewczynę z pieca, Wrońcu. Mam ochotę z nią porozmawiać, a nie mogę tego uczynić, kiedy ją opiekasz.

Po kilku minutach, z oczami wciąż zamglonymi od dymu i łez, Zgódką siedziała w małym pokoiku z sir Tomaszem, spadkobiercą Abdiasza.

Miał bystre brązowe oczy, bezpośredni sposób bycia i głos, który pasował do otwartych przestrzeni. Gdy przyjrzała mu się bliżej, zauważyła, że jego długie, arystokratycznie kręcone włosy przeplatane są siwizną, a po policzkach biegną smutne zmarszczki, domyśliła się więc, że nie jest już najmłodszy. Miał znajomy dołek w brodzie. Przypomniała sobie, że sir Tomasz to przecież brat jej ojca.

Z ogromną ulgą stwierdziła, że mężczyzna nie przepelnia jej przerażeniem jak Abdiasz. Patrzył na nią ciepłym, ludzkim spojrzeniem, być może z nutą smutku.

– Tak – odezwał się cicho. – Rzeczywiście masz oczy mojego brata. Widzę jednak w tobie o wiele więcej z Małgorzaty. – Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby jej twarz była magicznym lustrem, w którym oglądać można migoczące twarze zmarłych.

– Czynizgoda, tak? – spytał, odzyskując dziarski ton. – Świątobliwe imię, lecz przy tym bardzo ładne. Powiedz, Zgódko, czy jesteś dobrą, pracowitą dziewczynką? Kuba twierdzi, że na umyśle jesteś zdrowa jak ryba, do tego gotowa zarobić na swoje utrzymanie. Czy to prawda?

Bojąc się dopuścić do siebie nadzieję, Zgódką z zapalem pokiwała głową.

– Zatem jestem pewien, że znajdziemy ci miejsce wśród służby. – Posłał jej ciepły, lekko zamyślony uśmiech. – Co potrafisz?

Wszystko – niemal wyrwało się dziecku. *Zrobię wszystko, bylebyś uwolnił mnie z Ptasiej Komnaty i ocalił przed Młodym Wrońcem.* W ostatniej chwili przypomniały jej się jednak zabójcze oczy Abdiasza. *Wszystko, tylko nie usługiwanie lordowi...*

– Umiem gotować! – podsunęła pospiesznie, doznając olśnienia. – Ubi-
jam masło, piekę placki i chleb, robię zupy, skubię gołębie... – Jej pierwszy
kontakt z kuchnią w Grizehayes nie był przyjemny, ale ta praca pozwoliłaby
jej unikać Abdiasza.

– Zorganizuję coś dla ciebie – obiecał sir Tomasz. Podeszedł do drzwi, ale
tam zawahał się jeszcze. – Ja... często myślałem o twojej matce po jej
ucieczce z Grizehayes. Była za młoda, żeby samodzielnie stawiać czoła
światu – miała raptem piętnaście lat – w dodatku spodziewała się dziecka. –
Zmarszczył brwi, obracając w palcach jeden ze swych guzików. – Czy
ona... odnalazła szczęście?

Zgódka nie wiedziała, co powiedzieć. W obecnej chwili wspomnienie
matki było zbyt bolesne, niczym garść odłamków szkła.

– Czasem bywała szczęśliwa – odparła wreszcie.

– Przypuszczam – powiedział łagodnie sir Tomasz – że to wszystko, na
co każdy z nas może liczyć.

ROZDZIAŁ 7

Tego samego popołudnia Zgódkę ubrano w nowy strój i przedstawiono zaciekawionemu stadku służby. Po czasie spędzonym w mroku i odosobnieniu świat był dla niej zbyt głośny, za jasny. Wszyscy wydawali się groźni i obcy, a dziewczynka ciągle zapominała ich imion.

Z początku służące podchodziły do niej nieufnie, ale potem zasypały ją pytaniami o jej imię, Londyn i cały niebezpieczny świat poza granicami Grizehayes. Żadna nie wykazała jednak zainteresowania jej rodziną, z czego Zgódką wywnioskowała, że tożsamość jej rodziców została już w gospodarstwie omówiona.

Wszyscy byli chyba przekonani, że Zgódką musi być wielce zadowolona i wdzięczna za „uratowanie” jej z dotychczasowego domu. Przyznali również, że w kuchni przyda się dodatkowa para rąk.

– Kuchnia to najlepsze miejsce dla niej, o tak – oznajmiła bez ogródek jedna z kobiet. – Trochę brak jej urody, żeby obsługiwać rodzinie, nie? Patrzcie ją – pstrokaty mały kotek!

– Tamten to francuski kucharz – wyjaśniła Zgódce inna służąca. – Ale nie przejmuj się nim, trzymają go tu na pokaz. Francuscy kucharze pojawiają się i znikają jak kwiaty na jabłoni. To na względy pani Gotely musisz sobie zasłużyć.

Dziewczynka posłusznie zajęła się pracą w kuchni, wielkiej jak pieczara, z sufitem poczerniałym od pokoleń dymu. Palenisko było tak olbrzymie, że pomieściłoby sześć stojących Zgódek, jedną przy drugiej. U powały suszyły się pęki ziół, lśniły zastępy cynowych naczyń. Odkąd Niedźwiedź potajemnie zamieszkał w dziewczynce, jej zmysł węchu się wyostriżył. Kuchenne aromaty uderzały ją z oszalamiającą siłą – mocne zioła i przyprawy, przypalone mięso, wino, sosy i dym. Czowała poruszenie głodnego Niedźwiedzia, skonsternowanego mieszaniną woni.

Pani Gotely teoretycznie była podkuchenną, lecz w praktyce – królową kuchni. Była wysoką kobietą o mocno zarysowanej szczęce, cierpiała na zapalenie stawu kolanowego i nie znosiła głupców. Oczywiście Zgódką

z miejsca wydała jej się głupia, niezdarna i nieradząca sobie z emocjami. Dziewczynka była jednak zdesperowana, by udowodnić swoją wartość, byle tylko nie odesłano jej do Ptasiej Komnaty. Zadanie byłoby trudne nawet bez Niedźwiedzia w głowie. Tymczasem jemu nie podobały się gorąc, mrok i brzęki. Woń krwi doprowadzała go do szału i pół umysłu dziewczynki skupione było na uspokajaniu zwierzęcia.

Po zawrotnym, mieszającym w głowie wprowadzeniu w zawilóści kuchni, komórki, spiżarni, dzbaniarni i piwniczki pani Gotely zabrała Zgódkę na podwórze, by zapoznać ją z pompą, spichlerzem i drewnią.

W promieniach słońca Grizehayes wyglądało inaczej, jego szare mury zdobiły złote plamy porostów. Zgódkę dostrzegła szczegóły odróżniające posiadłość od zamku duchów. Z okien wisiały przygotowane do trzepania dywany, z wielkich czerwonych kominów snuł się dym. Domostwo było niejednorodną budowlą, stare, pobrużdżone kamienie mieszały się ze świeżymi szarymi ceglami, łupkowe dachy przeplatały się z wieżyczkami i kościelnymi łukami.

To prawdziwy dom – pomyślała Zgódkę. Mieszkają tu ludzie. I ja mogłabym tu zamieszkać.

Zamrugła, wpatrzona w rozslonecznione ściany, po czym przebiegł ją mimowolny dreszcz. Miała wrażenie, że patrzy na kogoś, kto uśmiecha się ustami, lecz nie oczyma. Budynek sprawiał, że nawet światło dnia zdawało się zimne.

Dom, stajnie i wyłożony kamieniem dziedziniec otaczał dwumetrowy mur, do którego łańcuchem przypięte były trzy potężne mastiffy. Gdy Zgódkę się zbliżyła, wybuchły ruchem, pędząc na pełną długość uwięzi, rzucając się i warcząc na jej nieznaną zapach. Odskoczyła w tył, z sercem walącym jak młotem. Niczym szkarłatną mgłą wyczuła strach Niedźwiedzia, niepewnego, czy uderzyć, czy lepiej uciekać przed wyszczerzonymi kłami.

W murze znajdowała się główna brama, w której mógł się zmieścić powóz zaprzężony w czwórkę koni. Dziewczynka widziała przez nią tylko otwarte pola, a za nimi bezmiar ponurych mokradeł z kępami trawy. W uszach dźwięczała jej groźba Abdiasza, że wyrzuci ją tam, by zamarzła, a jej mózg padł łupem błakających się duchów.

„Doceniaj błogosławieństwa – powtarzała sobie słowa Młodego Wrońca. – Lepiej pracować w kuchni, niż być skutą w Ptasiej Komnacie. Z kolei Ptasia Komnata była lepsza niż prawdziwe Bedlam. I nawet Bedlam byłoby lepsze niż śmierć głodowa na mrozie i pożarcie przez szalone zjawy”.

Wzięła głęboki łyk świeżego powietrza i raz jeszcze spojrzała, mrugając, na wysokie, ciężkie, skąpane w słońcu mury. *Mam szczęście* – powiedziała

do siebie. *Lepiej tu, w środku, niż tam.* Grizehayes było dziwne i budziło lęk, ale stanowiło fortecę. Było w stanie zatrzymać ciemność. Mimo że przekonywała się jak mogła, wciąż kołatało się w jej głowie pytanie, dlaczego matka uciekła z tego miejsca, wracały do niej jej słowa: „Nie masz pojęcia, przed czym cię ustrzegłam! Gdybym została w Grizehayes...”.

* * *

Cały dzień Zgódka heroicznie starała się zaimponować pani Gotely. I wtem, podczas pospiesznych przygotowań do obiadu, wszystko zepsuła.

Przy palenisku, w przymocowanym do ściany drewnianym kole, biegł piesek, przypominający jamnika, pracą swoich łapek wprawiający w ruch ogromny ruszt nad ogniem. Brzydkie stworzonko miało kikut w miejscu ogona, pyszczek popękany z gorąca i starości i dyszało ciężko z powodu dymu. Pani Gotely miała zwyczaj ciskania rozżarzonych węgielków pod nogi zwierzęcia, żeby zmusić je do szybszego biegu, i tego właśnie nie zdzierzyła Zgódka.

Wspomnienia Niedźwiedzia z czasów jego młodości, gdy parzeniem łap zmuszano go do tańca, stały żywo w pamięci dziewczynki. Ilekroć rozpalony kawałek odbijał się od koła, sypiąc iskrami, przypominała sobie – czuła – przejmujący ból pod łapami...

– Dość! – krzyknęła wreszcie. – Proszę go zostawić!

Pani Gotely spojrzała na nią zdumiona i Zgódka sama nie mogła uwierzyć w swój wybuch. Kipiała jednak ze złości tak, że nie była zdolna przeprosić. Stała tylko przed kołem, trzęsąc się z gniewu.

– Coś ty do mnie powiedziała? – Podkuchenna wymierzyła jej tęgi cios w głowę, powalając ją na ziemię.

Niedźwiedź szalał, policzek palił dziewczynkę. Jakże łatwo byłoby się poddać i odejść w ciemne miejsce, pozwolić Niedźwiedziowi na ślepią furję... Zgódka przełknęła ślinę i z całych sił starała się oczyścić umysł.

– Będzie biegał lepiej – wymamrotała – jeśli jego łapy nie będą poparzone i całe w pęcherzach! Proszę pozwolić, żebym ja się nim zajęła, a pobiegnie szybciej niż kiedykolwiek.

Pani Gotely dźwignęła ją z ziemi za kołnierz.

– Nie obchodzi mnie, jak cię wychowała twoja bezczelna matka – warknęła kobieta. – To jest moja kuchnia i ja tu krzyczę, nikt inny. – Wymierzyła Zgódce jeszcze kilka silnych, szybkich razów w głowę i ramiona, po czym prychnęła zniecierpliwiona. – Dobrze, pies jest teraz na twojej głowie. Jeśli będzie powolny, sama zajmiesz jego miejsce w kole. I żebyś nie jęczała, że

za ciepło!

Starej kucharce najwyraźniej nie spieszyło się, by donieść na dziewczynkę czy kazać ją znowu skuć. Wręcz przeciwnie, po zejściu obie zachowywały się bardziej swobodnie, na własny opryskliwy, zdystansowany sposób. Odnalazły granice swoich charakterów niczym poszarpane skały pod spokojną taflą wody.

Kiedy wreszcie zasiadły do posiłku przed olbrzymim paleniskiem, nabrzmiałe milczenie było niemal dotykalne. Kucharka żuła kawałek twardego, ciemnego chleba, jaki Zgódka jadła całe życie. Ku zdumieniu dziewczynki pani Gotely podała jej kromkę białego pieczywa o złotawej skórce, takiego, jakie zwykli spożywać bogacze.

– Nie gap się, tylko jedz – nakazała szorstko kobieta. – Polecenie lorda Fellmotte’a. – Zgódka ostrożnie wgryzła się w chleb, rozkoszując się jego słodyczą i łatwością, z jaką poddawał się jej zębom. – Bądź wdzięczna i nie zadawaj pytań.

Dziewczynka jadła więc, rozmyślając nad życzliwością okazaną przez zimnego Abdiasza. Nie powstrzymała się jednak od pytań.

– Powiedziała pani, że moja mama była bezczelna – wymamrotała z pełnymi ustami. – Znała ją pani?

– Trochę – przyznała pani Gotely. – Choć pracowała przede wszystkim na górze. – „Na górze” zabrzmiało w jej ustach, jakby to była co najmniej Francja.

– Czy to prawda, że stąd uciekła? Czy wypędzili ją, bo zaszła w ciążę? – Zgódka wiedziała, że czasem dochodziło do takich sytuacji.

– Nie – burknęła pani Gotely. – O nie, jej by nie wyrzucili. Pewnej nocy uciekła z własnej woli, nie mówiąc nikomu ani słowa.

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Była bardzo skryta. Sama ci nie powiedziała?

– Nigdy nic mi nie mówiła! – przyznała beznamiętnie dziewczynka. – Dopiero po jej śmierci dowiedziałam się, kim był mój ojciec.

– A... teraz wiesz? – Kucharka rzuciła jej ostre spojrzenie z ukosa.

Zgódka zawahała się, lecz przytaknęła.

– Cóż, wcześniej czy później musiało się wydać. – Kobieta powoli pokiwała głową. – Tu dla nikogo nie jest to tajemnicą – sprawa jest wyraźna jak dołek w twojej brodzie. Ale... na twoim miejscu nie mówiłabym o tym za wiele. Rodzina może pomyśleć, że jesteś zuchwałą i roszczeniową. Bądź wdzięczna za to, co masz, nie sprawiaj kłopotów, a nie napytasz sobie biedy.

– Może pani powie mi, jaki on był? – poprosiła Zgódka.

Stara kucharka westchnęła, pomasaowała sobie nogę i spojrzała smutno

i tkliwie.

– Ach, biedny sir Piotr! Poznałaś Kubę Winnersha? Bardzo przypomina Piotra. Jest zuchwałym łobuzem, lecz ma dobre serce. Popęlnia błędy, ale zawsze uczciwie.

Zgódka zaczęła rozumieć, dlaczego sir Tomasz darzy Kubę sympatią – pewnie przypomina mu jego zmarłego brata.

– Co się stało z sir Piotrem?

– Próbował przeskoczyć zbyt wysoki żywopłot na koniu, który był wyczerpany – odparła kucharka, wzdychając ciężko. – Koń się przewrócił i przygniół jeźdźca. Sir Piotr był taki młody, ledwo dwadzieścia parę wiosen.

– Dlaczego jechał na tak zmęczonym koniu? – Zgódka nie potrafiła powściągnąć ciekawości.

– Już go raczej nie spytamy, prawda? – odparła ostro pani Gotely. – Ale... niektórzy twierdzą, że zajeździł się na śmierć w poszukiwaniu twojej matki. Widzisz, to było dwa miesiące po jej zniknięciu. – Zerknęła na dziewczynkę, lekko marszcząc brwi. – Byłaś błędem, moja mała – powiedziała wprost. – Ale błędem uczciwie popełnionym.

* * *

Tego wieczora Zgódka dowiedziała się, że jako najniższa rangą i najmłodsza pomoc kuchenna nie będzie dzieliła łóżka z innymi służącymi. Miała spać na sienniku pod wielkim kuchennym stołem i pilnować, by ogień nie wygasł. Nie była sama. Piesek z koła przy ruszcie i dwa olbrzymie mastiffy również miały legowiska przy palenisku.

Niedźwiedziowi nie w smak było psie towarzystwo, ale był chyba przyzwyczajony do ich zapachu. Psy miały głośne, okrutne paszcze, lecz przypominały mu o życiu. Psi zapach na targach, psi zapach w nocy przy ogniskach.

W środku nocy Zgódkę wybudził ze snu długi pomruk tuż przy jej głowie. Jeden z wielkich psów nie spał. Przez chwilę dziewczynka bała się, że wyczuł jej woń i uznał, że naruszyła jego teren. Zaraz usłyszała jednak cichy szelest kroków, zbyt lekki i ostrożny, by mógł należeć do starej kucharki. Ktoś się zbliżał.

– Wyjdz! – wymruczał głos Kuby. – Nero nie ugryzie, chyba że mu każę. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, gdy dziewczynka wygramoliła się spod stołu. – Obiecałem, że cię stamtąd wyciągnę!

– Dziękuję – powiedziała z wahaniem Zgódka, zachowując dystans.

Powoli zaczęła rozumieć, że Niedźwiedź lubił trzymać się z dala od ludzi, do których nie był przyzwyczajony. Teraz również czuła jego niepokój i chęć wspięcia się na pełną wysokość swego ciała, by parsknąć i odstraszyć przybysza. Stała jednak wyprostowana do granic swoich możliwości, nie mając już ani centymetra w rezerwie.

– Dobrze się spisałaś, zdobywając pracę w kuchni – pochwalił Kuba, siadając po turecku na potężnym stole. – Doskonale. Możemy sobie nawzajem pomagać. Ja będę miał na ciebie oko i pokażę, jak tu wszystko działa. Ty będziesz mi przekazywać plotki i zgarniać rzeczy do jedzenia, kiedy nikt nie patrzy...

– Mam dla ciebie kraść? – Zgódka zmroziła go spojrzeniem, zastanawiając się, czy to nie dlatego w ogóle jej pomógł. – Jeśli coś zniknie, będą wiedzieli, że to moja sprawka! Wyrzucą mnie z Grizehayes!

Kuba przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym powoli pokręcił głową.

– Nie – rzekł. – Nie wyrzucą.

– Ale...

– Wiem, co mówię. Ukaraliby cię. Wymierzyli chłostę. Może nawet skuliby cię z powrotem w Ptasiej Komnacie. Ale nie wygnają cię. Choćbyś ich o to błagała.

– Jak to?

– Od pięciu lat próbuję stąd uciec – wyznał Kuba. – Sam nie wiem, ile już razy. Zawsze mnie dopadają i sprowadzają z powrotem.

Zgódka nie odrywała od niego wzroku. Może to normalne, że bogacze ścigają zbiegłych służących? Słyszała o nagrodach wyznaczanych za terminatorów uciekinierów, ale była to chyba jednak inna sytuacja.

– Miałaś koszmary, prawda? – spytał nagle Kuba, zbijając dziewczynkę z tropu. – Sny tak potworne, że budziłaś się z krzykiem. Duchy pazurami włamujące się do twojej głowy...

Zgódka odsunęła się od niego o parę centymetrów, a jej oczy pały nieufnością i niepewnością.

– Nawiedzały mnie te same sny – ciągnął Kuba. – Zaczęły się pięć lat temu, gdy miałem dziewięć lat. Wkrótce zjawili się po mnie wysłani przez Fellmotte'ów mężczyźni. Z początku matka protestowała. Zapłacili jej jednak, więc przestała się spierać. – Przez jego twarz przemknął gorzki uśmiech. – Fellmotte'owie nie dbają o taki dziki owies jak my, dopóki nie nawiedzają nas koszmary. Wtedy zaczyna im zależeć. Zbierają nas niczym plony i sprowadzają tutaj. Dowiedzieli się o twoich wizjach i też się tu znalazłaś, prawda?

– Dlaczego? – spytała zaintrygowana Zgódka. Rzeczywiście, Abdiasz był najbardziej zainteresowany jej koszmarami. – Co ich obchodzą nasze sny?

– Nie wiem – przyznał Kuba. – Ale jest nas więcej. Czasami przyjeżdżają z wizytą kuzyni lorda Fellmotte’a i każdemu z nich towarzyszy jedno lub dwoje służących o rozpoznawalnych arystokratycznych rysach. Zdaje się, że oni wszyscy docierają do swoich nieślubnych dzieci, kiedy okazuje się, że te mają sny.

Odszukują nas, a potem nie pozwalają odejść. Przekonałem się o tym, gdy próbowałem uciec do domu. Więcej bym tam nie wrócił – ta kobieta znowu by mnie sprzedała. – Nachmurzona mina zdradzała, jak bardzo się tego wstydził.

– Nocą – ciągnął – główne wrota są ryglowane i zabezpieczane łańcuchami, sypia przed nimi holowy. Wymknąłem się więc za dnia, ale za murami przez pięć kilometrów ciągną się gołe pola – byłem na nich widoczny jak krew na śniegu. Za drugim razem dotarłem dalej, aż do mokradła. Ależ tam było ponuro, ciągnące się w nieskończoność moczary i lasy! Wiatr dał tak mroźny, że zsiniały mi palce. Z trudem dotarłem do na wpół zamarznętej wioski, ale niewiele mi to dało. Rolnikom wystarczył jeden rzut oka na to – poklepał się brodzie – żeby mnie capnęli i przywlekli z powrotem tutaj. Wiedzieli, kim jestem i kto mnie szuka, i wyglądali na przerażonych. W zeszłym roku myślałem, że naprawdę mi się udało. Przebyłem osiemdziesiąt kilometrów, trzy rzeki, dotarłem do Braybridge w sąsiednim hrabstwie. – Kuba skrzywił się i potrząsnął głową. – Wysłali po mnie Białego Wronca. Poznałaś go, przywiózł cię tu. Rodzina wykorzystuje go do ważnych spraw, które trzeba załatwić po cichu. Jest ich tajną bronią. Wszyscy prześcigali się w staraniach, by pomóc mu mnie odnaleźć, nawet potężni dostojnicy. Ród Fellmotte’ów nie tylko jest wielki, lecz także wszędzie budzi strach.

Zgódka przygryzła policzek i milczała. Podejrzewała, że Kuba przechwala się jak terminatorzy z Topoli, ubarwiając swoje przygody, ale jego słowa otwierały jednak w jej głowie pewne szczeliny, przez które wkradał się niepokój.

– Zrozum, że teraz możesz pomóc! – zapalił się chłopak. – O mnie wiedzą już wszystko, ale ciebie nie będą podejrzewać. Możesz być naszą czujką! Możesz odkładać rzeczy, które przydadzą nam się w ucieczce – zapasy, picie, świece...

– Nie mogę stąd uciec! – wykrzyknęła Zgódka. – Nie mam dokąd pójść! Jeśli stracę tu dach nad głową, umrę z głodu albo zamarznię przed pierwszym dniem Zielonych Świątek! Albo mnie zamordują!

– Obronę cię! – nalegał Kuba.

– Jak? Cały kraj jest na krawędzi rozpadu – wszyscy tak mówią, a ja widziałam to na własne oczy! Nie ochronisz mnie przed... przed oszalałym tłumem ani przed kulami! Ani duchami, które chcą pożreć mój mózg! Tu mam łóżko i jedzenie, a tego na pewno nie znajdę na bagnach! Dostałam dziś nawet białe pieczywo!

– Krew naszego ojca zapewnia pewne dobra – przyznał Kuba. – Moje posiłki rzeczywiście zawsze były lepsze niż posiłki większości służby. Czasem nawet korzystam z lekcji, jeśli wyrobię się z obowiązkami. Czytanie. Języki. Jazda konna. Może tobie też pozwolą brać w nich udział. Pozostali służący akceptują mnie bez zmrużenia oka. Wiedzą, czym jestem bękartem, nawet jeśli nie mówią o tym na głos.

– Dlaczego ciągle próbujesz uciekać?

– Widziałas starego Abdiasza? – spytał ostro chłopak.

– Tak – przyznała powoli Zgódka, niezdolna powstrzymać drżenia w głosie. – Jest...

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Też to widzisz, prawda? – szepnął Kuba. Wyglądał, jakby doznał szoku, ale i ulgi.

Dziewczynka zawahała się, spoglądając mu w twarz. Nagle przyszło jej na myśl, że może to wszystko próba, na którą wystawia ją Abdiasz. Jeśli powie teraz coś obraźliwego, kto wie, czy Kuba na nią nie doniesie, a wtedy mogą ją wypędzić albo przykuć z powrotem w Ptasiej Komnacie.

Nie wolno ufać ludziom. Psy warczą, zanim ugryzą, ale ludzie często się uśmiechają.

Kuba miał ogorzałą od słońca buzię i szeroko rozstawione oczy. Jednak to jego dłonie o obtartych kłykciach najbardziej przyciągnęły uwagę Zgódki. Były to ręce człowieka brawurowego, łobuza i zabijaki, ale były to ręce uczciwe. Z jakiegoś powodu ich widok pomógł jej podjąć decyzję. Zgódka pozwoliła sobie na ziarenko zaufania.

– Nie wiem, co to znaczy! – wyszeptała. – Ale coś jest...

– ...z nim nie w porządku – dokończył za nią Kuba.

– Mam takie wrażenie... kiedy patrzę mu w oczy... przypomina mi umarłych z moich koszmarów...

– Wiem.

– Ale on przecież żyje!

– Tak! Mimo to przechodzą cię ciarki i mrowieją palce? Nikt poza nami tego nie widzi, a jeśli nawet coś zauważa, to o tym nie mówi. I... – Kuba nachylił się, by szepnąć jej do ucha: – Abdiasz nie jest jedyny. Wszyscy

starsi Fellmotte'owie są tacy.

– Sir Tomasz nie! – Zgódka przypomniała sobie bystre spojrzenie brązowych oczu dziedzica.

– Nie, jeszcze nie – odparł z powagą chłopak. – Nie rodzą się tacy. Dopiero kiedy dziedziczą, nabywając prawa do majątku i tytułów, coś się z nimi dzieje. Zmieniają się, jakby krew zamarzała im w żyłach w ciągu nocy. Inni też czują, że coś ich wyróżnia. Służba woła na nich „Starsi i Lepsi”. Są zbyt szybcy. Zbyt sprytni. Wiedzą zbyt wiele o sprawach, których nie powinni być świadomi. I nie da się ich okłamać. W mig przejrzą cię na wylot. To dlatego musimy uciekać! Ten dom to... gniazdo diabłów! Nie jesteśmy sługami, tylko więźniami! Nawet nie wyjaśnią nam dlaczego!

Zgódka gryzła wargę, męczona niezdecydowaniem. Rzeczywiście coś było nie tak z Abdiaszem, wszystkie instynkty jej to podpowiadały. Matka uciekła z Grizehayes i dołożyła wszelkich możliwych starań, żeby Fellmotte'owie jej nie odnaleźli. Dziewczynka musiała też brać pod uwagę Niedźwiedzia, którego mogli wydrzeć z niej i zniszczyć, gdyby Abdiasz odkrył go w jej głowie.

Wszystkie te lęki pozostawały w sferze abstrakcji. Strach przed skuciem i chłostą, nie mówiąc o wygnaniu, był realny, wręcz namacalny. Zgódkę nękała też obawa, że poza murami obronnymi Grizehayes nadal błąka się oszalały, potargany duch matki. Sama myśl o tym była rozpalona do białości nadzieją i trwogą, a umysł dziewczynki gwałtownie się przed nią wzdragał.

– Przykro mi – powiedziała Zgódka. – Nie mogę towarzyszyć ci w ucieczce. Potrzebuję domu, nawet takiego jak ten.

– Nie winię cię za to, że się boisz – odparł Kuba, siląc się na łagodność. – Ale daję głowę, że mamy więcej powodów do strachu tu niż gdziekolwiek indziej. Liczę na to, że zmienisz zdanie, i to na tyle szybko, żebyś zdążyła pójść ze mną.

Zgódka nie przywykła do życzliwości i zupełnie nie wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Od śmierci matki w jej świecie ziała ogromna bolesna dziura i dziewczynka rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by ją wypełnił. Przez moment wahała się nawet, czy nie powiedzieć Kubie o Niedźwiedziu.

Ugryzła się jednak w język i chwila minęła. Tajemnica była zbyt wielka, by powierzyć ją komuś, kogo ledwo знаła. Kuba mógłby ją zdradzić. Mógłby nie zrozumieć. Kto wie, czy nie wystraszyłby się jej albo, co gorsza, nie uznał, że jednak jest obłąkana. Ich przyjaźń była zbyt nowa i krucha – i bardzo jej potrzebna.

ROZDZIAŁ 8

Mijały tygodnie i Zgódka, ciężko pracując i szybko się ucząc, zdobyła mrukliwą aprobatę podkuchennej. Miejsce dziewczynki było na szarym końcu w hierarchii, więc zawsze pierwsza wstawiała i z samego rana udawała się po wodę, nosiła żar, karmiła kury i dostarczała podpałkę. Praca była wyczerpująca, a gorąc i dym wciąż drażniły Niedźwiedzia, ale Zgódka coraz lepiej orientowała się w tajnikach koła od różna, pieca w kształcie ula, brytfann i mechanizmu do zawieszania czajnika nad paleniskiem. Nie panikowała już, gdy kazano jej biec do skrzyni z solą, głowy cukru czy spiżarni na mięso.

Pani Gotely widziała czasem, że dziewczynka ukradkiem rzuca skrawki psom, które spały w kuchni, albo pozwala im zlizywać tłuszcz z jej palców.

– Głuptasku o miękkim sercu – mruczała pod nosem, kręcąc głową. – Schrupią cię w całości, jeśli im pozwolisz. Tłuszczyc zaczął jednak powoli rzucać smakowity czar na psie preferencje i wierność. Żaden mastiff nie warczał już na dziewczynkę w nocy. Przeciwnie, czasem nawet sypiała wtulona w nie, a ich oddechy i ciepło kołysły jej pozbawiony snów umysł. Brzydki piesek z koła od różna mościł się w jej ramionach.

Zgodnie z oczekiwaniami Zgódki przyjazne nastawienie psów znacznie uspokoiło Niedźwiedzia. W jego oczach wszystkie bestie, ludzkie czy nie, zdawały się podlegać podziałowi na „bezpieczne” i „prawdopodobnie groźne”. Znajome zwierzęta miały prawo się do niego zbliżać. Obce, podejrzane stworzenia należało odstraszyć pomrukiem i groźbą.

Ależ wystraszony miś z ciebie – myślała Zgódka.

Dużo więcej trudności sprawiała jej nauka pisania. Raz w tygodniu, późno wieczorem, po całym dniu ciężkiej pracy, Młody Wroniec, jej strażnik więzienny z czasów Ptasiej Komnaty, udzielał jej i Kubie lekcji. Sądząc po uśmiešku samozadowolenia, błakającym się po jego twarzy, przypisywał swoim „zabiegom” sukces wyleczenia dziewczynki z jej rzekomego szaleństwa.

Zgódka dowiedziała się, że w służbie rodu Fellmotte’ów pozostaje cała

familia Wrońców. Pozostali służący, na swój bezpośredni, praktyczny sposób, nadawali im przezwiska, by łatwiej ich było odróżnić. Ojciec Młodego Wrońca, zarządca Grizehayes, nazywany był Starym Wrońcem. Od Kuby wiedziała już, że siwowłosy mężczyzna, który ją przywiózł, to Biały Wroniec.

Umiejętności piśmiennicze Zgódki ograniczały się do skreślenia „Z” jako jej „znaku”. Widziała, jak ludzie czytają, jak ich wzrok sunie po linijkach niczym liść niesiony prądem powietrza. Kiedy jednak patrzyła na litery, gapiły się na nią w odpowiedzi, przypominając jej rozpląszczone owady z wypukłościami i odnóżami. Niewyćwiczona ręka nie potrafiła stworzyć odpowiednich kształtów. Dziewczynka czuła się głupia. Sprawę pogarszał fakt, że pod koniec dnia była zbyt wycieńczona, by się skupić.

Młody Wroniec w protekcyjny, a może filozoficzny sposób komentował braki w edukacji dziewczynki.

– Wiesz, jak wygląda młody niedźwiedź tuż po wyjściu z łona matki? – spytał. – Stanowi bezkształtną masę. Samica musi go lizać godzinami, zanim nabierze właściwego kształtu, uformują mu się pysk, uszy, zgrabne palce, wszystko, co będzie mu potrzebne przez resztę życia. Ty jesteś załóżnie niewykształcona jak na kogoś w twoim wieku. Jak bryła tłuszczu. Ale wyliżemy cię, uformujemy.

Zgódka uśmiechnęła się mimo woli. Ciekawe, czy Niedźwiedzia też ukształtowała językiem jego matka, w czasie szczęśliwości, który poprzedzał okres okrucieństwa. Była zachwycona wizją misia, który zyskuje oczy i zerkami na duży matczynej jęzor. Wyraz szczęścia na jej twarzy nie uszedł uwadze Młodego Wrońca, który natychmiast wygrzebał bestiariusze, aby mogła odczytywać i przepisywać wyrazy. Zgódka czerpała wiele przyjemności z pisania o zwierzętach.

„Ropucha i pająk są najbardziej jadowitymi wrogami i będą ze sobą walczyć aż do zniszczenia – dowiedziała się. – Pelikanica karmi młode krwią ze swojego serca. Łapy borsuka są z jednej strony dłuższe, żeby mógł biegać szybciej po pochyłym gruncie”.

Zgódka stopniowo coraz lepiej rozumiała tryb życia Niedźwiedzia. Nie zawsze zachowywał czujność. Sporo czasu spał, a wtedy niemal zapominała o jego obecności. Pobudzony był najczęściej we wczesnych godzinach porannych i o zmierzchu, lecz nie zawsze można to było przewidzieć. Zdarzało się, że wybudzał się bez ostrzeżenia, a jego emocje w oczywisty sposób mieszały się z jej uczuciami. Odbiór jego zmysłów zalewał to, co odczuwała ona. Niedźwiedź zdawał się żyć chwilą, lecz nosił swoje wspomnienia niczym zapomniane sińce. Od czasu do czasu wpadał na któreś z nich i,

zdezorientowany, tonął w otchłani bólu.

Był ciekawski i cierpliwy, ale jego strach potrafił w mgnieniu oka i z hukiem zmienić się w furję. Chwilowo oboje byli bezpieczni, ale wystarczyła jedna porządna awantura, a Fellmotte'owie mogli uznać, że dziewczynka jest obłąkana lub, co gorsza, opętana.

Zgódka zadomawiała się w Grizehayes, choć jeszcze nie czuła się tu jak u siebie. Nawet drobne przywileje – lekcje, dodatkowe łyżki zupy na obiad – wprawiały ją w zakłopotanie. Kojarzyły jej się z gęśmi i łabędziami, które sama pomagała tuczyć na lordowski stół, i kazały się zastanowić, czy i na nią nie czeka ukryty nóż.

Wczesną jesienią w całym domostwie zapanował entuzjastyczny rozgardiasz, ponieważ do Grizehayes powrócili dwaj długo niewidziani członkowie rodu Fellmotte'ów. Jednym z nich był sir Marmaduke, kuzyn w drugiej linii lorda Fellmotte'a, pozostający z nim w bliskich stosunkach i posiadający własny potężny majątek w zachodniej Walii. Drugim był Symond, najstarszy syn i następca sir Tomasza.

Nieżyjąca już matka Symonda spełniła należny jej obowiązek i zanim zmarła na febrę, potulnie wydała na świat ośmioro dzieci. Czworo z nich nadal chodziło po tym świecie. Dwie dorosłe córki wstąpiły w korzystne związki małżeńskie. Pod opiekę kuzynki trafiła ich dziewięcioletnia siostra, której rękę obiecano w tajemnicy synowi baroneta. Symond był jedynym żyjącym synem.

Symond i sir Marmaduke przybyli wprost z dworu w Londynie, więc cały dom z podnieceniem czekał na najświeższe nowiny ze stolicy. W zamian za kilka kufli piwa na dziedzińcu stangret z radością zaspokajali ciekawość służby.

– Hrabia Staffordu nie żyje – doniósł. – Parlament dorwał go za zdradę. Teraz jego łeb wisi na Bramie Zdrajców.

Rozległy się okrzyki niedowierzania.

– Biedny hrabia! – wymruczała pani Gotely. – Po tym wszystkim, co zrobił, po tym, jak walczył dla króla! W co ten parlament pogrywa?

– Chce władzy dla siebie, i tyle – skomentował Młody Wroniec. – Odbiera królowi przyjaciół i sprzymierzeńców, jednego po drugim. Parlament może i nie jest przeżarty złem, ale mają tam jadowite gniazdo purytanów, które podżęga resztę. To są prawdziwi zdrajcy – do tego wściekli, toczący pianę z pysków.

– Wszyscy purytanie są wściekle obłąkani – mruknęła Długa Alicja, rudowłosa praczka. – Och, nie mam nic złego na myśli, Zgódko, ale to prawda!

Zgódka przestała już wszystkim powtarzać, że nie jest purytanką. Wyróżniało ją jej dziwaczne, świętoszkowate imię. Pod pewnymi względami pasował jej dystans, jaki tworzyło to między nią a pozostałymi. Niebezpiecznie było zbliżać się do kogokolwiek.

Poza tym dziewczynka przestała się orientować, kto ma rację. Przysłuchując się dyskusjom mieszkańców Grizehayes na temat wieści z kraju, miała wrażenie, że jej mózg wywraca się na drugą stronę. W Topoli wszyscy wiedzieli, że króla sprowadzali na złą drogę nikczemni doradcy i katolickie spiski i że parlament był pełny odważnych, uczciwych, trzeźwo patrzących mężów, którzy chcieli jak najlepiej dla całego narodu. To było jasne jak słońce! Tak mówił zdrowy rozsądek! Pewnie w Topoli świętują właśnie śmierć podłego hrabiego. Bogu niech będą dzięki, Czarny Tomasz Tyran nie żyje!

Tu, w Grizehayes, równie oczywiste dla wszystkich było, że żądny władzy parlament doprowadzony do gorączki przez szalonych purytanów próbował wykraść władzę prawowitemu królowi. Żadna ze stron nie wydawała się głupia, a obie były równie pewne swoich racji.

Czy wychowali mnie purytanie? Kiedyś wierzyłam w to, co oni. Czy wszyscy byliśmy wściekle obłąkani? A może wtedy miałam rację, a teraz tracę rozum?

– Panowie mogli przesłać takie wieści listem! – zauważyła pani Gotely. – Dlaczego w takim razie przybyli osobiście, i to tak nagle?

– Przywieźli coś – powiedział stangret z tajemniczą miną. – Wpadło mi w oko na jedną chwilę, ale wyglądało na pergamin, z woskową pieczęcią wielkości waszych dłoni. – Zniżył głos do szeptu, mimo że przysłuchiwał mu się tuzin par uszu. – Pieczęć samego króla, gdybym miał zgadywać.

* * *

– To edykt królewski – wyjaśnił później Zgódce Kuba w trakcie rozmowy na osobności. – To informacja z pierwszej ręki, od pana Symonda.

– Przyjaźnicie się? – zdziwiła się dziewczynka.

Widziała Symonda na dziedzińcu, kiedy zsiadał z pięknej szarej klaczy. Nie miał więcej niż dziewiętnaście lat, lecz był przepyszenie ubrany w koronki i błękitne aksamity. Ze swymi jasnobłond włosami i eleganckimi, dworskimi ruchami wydawał się niespotykany i drogi, jak łabędzie z lukru, które pani Gotely przygotowywała czasem dla ważnych gości. Miał gładkie rysy i nie był zbyt podobny do sir Tomasza, z wyjątkiem niewielkiego dołka w brodzie.

Szczerze mówiąc, była pod niemałym wrażeniem tego, że Kuba utrzymuje bliskie relacje z tak egzotyczną istotą. Widziała, że chłopak szykuje się, by dumnie przytaknąć, ale jego uczciwość zwyciężyła.

– Czasem – przyznał. – Towarzyszyłem mu, gdy tu dorastał... i zdarzało się, że się kolegowaliśmy. Podarował mi te ubrania, porządne buty – kiedyś należały do niego. To też mam od niego. – Kuba odsunął włosy i Zgódka dostrzegła białą bliznę nad lewą skronią.

– Byliśmy razem na polowaniu i nasze klacze były w doskonałej formie. Skoczyliśmy przez przeszkodę i mnie wyszło to lepiej niż jemu. Było to dla mnie jasne, dla niego też. Spiorunował mnie spojrzeniem. Kiedy najeżdżaliśmy na kolejną przeszkodę, z dała od oczu reszty drużyny, pochylił się i uderzył mnie w twarz batem. Zsunąłem się z siodła, mój koń stanął w miejscu ze zdziwienia, a ja przeleciałem mu przez szyję, lądując prosto w żywopłocie. – Kuba roześmiał się, rozbawiony o wiele bardziej niż Zgódka.

– Mogłeś skrócić kark! – wykrzyknęła.

– Za twardy jestem na to – odparł ze spokojem Kuba. – Ale dostałem nauczkę. Symond wygląda jak mleko z miodem, ale w głębi czają się lordowskie duma i charakterek. Powiedział mi potem, że nie pozostawiłem mu wyboru, bo po prostu musiał być najlepszy. Chyba na bardziej bezpośrednio przeprosiny nie potrafił się zdobyć.

Według Zgódki takie słowa w ogóle nie przypominały właściwych przeprosin.

– Wyjechał na studia do Oksfordu i od tamtej pory sir Marmaduke wprowadza go na dwór. Za każdym razem, gdy wraca, jest wyniosły i z trudem mnie poznaje. Ale kiedy zaczynamy rozmawiać we dwóch, jest jak za dawnych czasów... przez chwilę.

Zgódka poczuła ukłucie zazdrości na myśl o tym, że Kuba odbywa poufne rozmowy z kimś innym. Nie miała prawa się tak czuć i dobrze o tym wiedziała.

Kuba stał się jej najbliższym żyjącym przyjacielem i powiernikiem. Ufała mu bardziej niż jakiemukolwiek innemu człowiekowi, a jednak nadal nie powiedziała mu o Niedźwiedziu. Im dłużej zwlekała, tym trudniej było jej wyznać, że ukrywała przed nim informację tak wielkiej wagi. Po trzech miesiącach wyjawienie tajemnicy wydawało się niemożliwością. Miała wyrzuty sumienia i było jej czasem trochę smutno, jakby uciekł jej statek, zostawiając ją na wieki osamotnioną na bezludnej wyspie.

– Co to za edykt? – spytała. – Czy pan Symond coś wyjaśnił?

– Nie czytał go i nie wie, co zawiera pismo. Twierdzi, że to śmiertelna tajemnica. Dodał też, że królowi wcale się nie podobało i że sir Marmaduke

musiał się bardzo wysilać, żeby je podpisał. Jego Wysokość wreszcie wyraził zgodę, ale tylko dlatego, że Fellmotte'owie pożyczają mu fortunę, a sir Marmaduke pomaga mu sprzedawać część królewskich klejnotów.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Wszystko to budziło niejasne, złowrogie wspomnienie z jej pierwszego dnia w Grizehayes.

– Czy królowi rozpaczliwie potrzebne są pieniądze? – Przywołała słowo w słowo pytanie, które padło z ust lorda Fellmotte'a.

– Na to wygląda. – Kuba wzruszył ramionami.

– Po co są te edykty? – dociekała Zgódka.

– To takie... królewskie zapewnienia. – Chłopak nie był do końca pewien. – Dają ludziom prawo do robienia różnych rzeczy, takich jak... stawianie muru obronnego wokół swojego majątku. Albo... handel pieprzem. Albo atakowanie zagranicznych statków.

– W takim razie jaki jest sens potajemnego edyktu? – rozumowała Zgódka. – Skoro król daje komuś zgodę na coś, dlaczego ten ktoś nie chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli?

– Hm. To rzeczywiście dziwne. – Kuba zamyślił się, marszcząc brew. – Ten edykt z całą pewnością na coś Fellmotte'om pozwala. Pan Symond powiedział, że usłyszał przypadkiem, jak sir Marmaduke mówił o „naszych prastarych zwyczajach i praktykach”.

– Kubo – zaczęła powoli Zgódka. – Tego wieczora, kiedy pojawiłam się w Grizehayes, byłam świadkiem rozmowy lorda z Białym Wrońcem. Ten donosił mu, że na dworze byli ludzie, którzy oskarżali Fellmotte'ów o odprawianie czarów.

– Czarów! – Kuba aż podskoczył z wrażenia. – Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Byłam wtedy na wpół oszalała z gorączki! To tak, jakbym próbowała przypomnieć sobie koszmar senny. Prawie nie wracałam do tego myślami.

– Jesteś pewna, że wspomnieli o czarach?

– Tak mi się wydaje. Lord Fellmotte powiedział, że skoro nie mogą powstrzymać tego typu plotek, muszą sprawić, żeby król na nie nie reagował. Potrzebowali na niego haka. A potem przeszli do tego, że król rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i w związku z tym może uda im się coś zorganizować.

Kuba przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń z grymasem na twarzy.

– A co, jeśli „prastare zwyczaje” Fellmotte'ów są czymś złym? – rozważał powoli. – Czymś, co może doprowadzić do zarzucenia im czarnoksięstwa? Jeśli król podpisał edykt dający im przyzwolenie na coś diabelskiego, to nie będzie mógł aresztować ich za odprawianie czarów, prawda? Gdyby

spróbował, pokażą wszystkim dokument, a wtedy oskarżenia padną i na niego.

– Jeśli Fellmotte'owie upadną, pociągną go za sobą – podsumowała Zgódka. – To szantaż.

– Mówiłem ci, że z tym rodem jest coś nie w porządku! – zawołał chłopak. – Ich „prastare zwyczaje”... To musi być związane z tym, co dzieje się z nimi, kiedy dziedziczą. Opowiadałem ci, że się zmieniają. Może oddają duszę diabłu!

– Tego nie wiemy...

– Wiemy, że czarują, a to już dość blisko! – wypalił Kuba. – Dlaczego ze mną nie uciekniesz? Co musi się stać, żebyś zmieniła zdanie?

Odpowiedzi doczekał się już następnego dnia.

ROZDZIAŁ 9

Ranek wstał parny, ale słoneczny, więc grupkę służących wysłano z wiadrami i drabinami, by zebrali dojrzałe jabłka z niewielkiego, okolonego murem sadu w Grizehayes. Korony drzew były bujne, a gałęzie ugięły się od ciężaru owoców. W powietrzu unosił się ich słodki zapach.

Zgódka również zajęta była zbieraniem dorodnych pigw dla pani Gotely, gdy nagle w drugim końcu sadu coś głośno trzasnęło. Rozległy się krzyki i wołanie.

Dziewczynka popędziła w tamtą stronę. Jeden ze stajennych, Jan, spadł z najwyższej jabłoni. Spoglądając na jego twarz, Zgódka pomyślała jak przez mgłę, że zawsze lubił żartować. Nawet teraz jego rysy były ułożone jakby w półśmiech. Jego szyja spoczywała jednak pod dziwnym kątem, przywodząc na myśl kurczaki na kuchennym stole.

Ktoś pobiegł do domu, by zawiadomić sir Tomasza o wypadku. Przybył natychmiast i zorganizował nosze. Wszystkim polecono opuścić sad.

Przez jedną chwilę Zgódce zdawało się, że dostrzega nad ciałem Jana leciutkie połyskiwanie. Powietrze na moment pomarszczyło się, zaszeptало. Wydała krótki, mimowolny okrzyk i cofnęła się o krok.

Coś otarło się o jej umysł, zalewając ją falą pomieszanych, obcych wspomnień.

Strach, ból, dwoje roześmianych dzieci, plama z trawy na kobiecym policzku, odmroziny i gorący cydr, cętkowane jabłka w słońcu, śliskie porosty pod palcami...

Zgódka odwróciła się i uciekła z sadu z sercem w gardle. Dopiero gdy znalazła się w kuchni, dysząc ciężko, zorientowała się, że zapomniała koszyka z pigwą potrzebną do wieczornego posiłku.

– Wracaj więc po niego, na co czekasz? – huknęła pani Gotely. – Prędezej!

Chora z nerwów Zgódka pospieszyła z powrotem. U bramy sadu spotkała jednak Kubę, który ją zatrzymał.

– Nie wchodź – szepnął.

– Potrzebuję tylko...

Chłopak gwałtownie potrząsnął głową. Przyłożył palec do ust i pociągnął dziewczynkę, żeby stanęła przy nim, tuż obok wejścia. Był spięty i Zgódka zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego.

Sad był opustoszały, wszyscy zbieracze już poszli. Samotna postać przemykała między drzewami. Był to niezwykle wysoki i mocno zbudowany człowiek, który mimo to poruszał się z groźną, lisią gracją.

– Sir Marmaduke – wyszeptał Kuba.

Trzy bystrookie charty biegały u stóp szlachcica, drżąc z oczekiwania i podnieconego napięcia. Posokowiec węszył u jego stóp.

– Co on robi? – spytała bezgłośnie Zgódka.

Kuba nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Poluje.

Wtem posokowiec zeszytniał i szczerknął głucho, złowieszczo. Nie odrywał wzroku od pustej kępy trawy.

Sir Marmaduke uniósł głowę. Nawet z daleka Zgódka widziała, że jego rysy są dziwnie pozbawione wyrazu, ale było w nich coś takiego, że skrzyły jej się wnętrzności. Dotknęło ją to samo poczucie zła i grozy, jakie oładnęło ją, gdy poznała lorda Fellmotte'a. Sir Marmaduke przekrzywił głowę, jakby nasłuchując, a na jego usta wypłynął lekki, spokojny, drapieźny uśmiech. Trwał tak przez chwilę, przerażająco nieruchomy.

Nagle coś się nieznacznie poruszyło, trąciło pokrzywę i zgoniło z kwiatka zaspną pszczołę. Zgódce wydawało się, że dostrzegła maleńką smuzkę dymu pośród tańczących cieni.

Jan.

Sir Marmaduke ruszył do ataku.

„Są zbyt szybcy” – powiedział kiedyś Kuba o Starszych. Teraz Zgódka zrozumiała, co miał na myśli. W jednej chwili sir Marmaduke stał jak posąg, w następnej frunął przez trawę z niewiarygodną prędkością. Ludzie na ogół spinali się tuż przed biegiem, ale dziewczynka zauważyła, że szlachcic tego nie zrobił. Psy skoczyły za swoim panem, by niczym wilki otoczyć z dwóch stron niewidzialną ofiarę.

Samotny duch umknął im, rozpaczliwie lawirując wokół drzew. Gdy zbliżył się do bramy, Zgódka zobaczyła go wyraźniej. Spanikowany krwawił cieniem. Był ranny, przerażony, roztrzęsiony. Dotarł do niej ledwo słyszalny, szepczący, falujący jęk.

Uciekał zygzakiem, robiąc uniki przed kłapiącymi paszczami psów, dając się zaganiać w lewo i w prawo. Nie miał szans prześcignąć sir Marmaduke'a, jednak Starszy zwalniał kroku, ilekroć znajdował się na wyciągnięcie ręki od zjawy.

Bawi się nim – zorientowała się dziewczynka. *Goni go, żeby się wypalił.*

Zjawa słabła i migotała niczym szarzejący, gasnący płomień. Wtopiła się w cętkowany cień najbliższego drzewa, a sir Marmaduke skoczył za nią, zaciskając rozczapierzone palce na czymś w trawie.

Był odwrócony tyłem, ale Zgódka widziała, jak pochyła głowę i podnosi to, co trzyma w garści, na wysokość twarzy.

Rozległ się szeleszczący, rozdzierający dźwięk, a potem wrzask – niewyraźny wrzask nie z tego świata, który nosił jeszcze znamiona człowieczeństwa.

Zgódka głośno nabrała powietrza, więc Kuba zasłonił jej usta dłonią, by nie wyrwał jej się okrzyk.

– Nie możemy mu pomóc! – syknął jej do ucha.

Dobiegły ich kolejne odgłosy rozdzierania i dziewczynka nie mogła ich dłużej znieść. Wyrwała się Kubie i pobiegła ku domowi. Chłopak dogonił ją przy drzwiach do kuchni i przytulił mocno, by przestała drżeć.

– To był Jan! – szepnęła Zgódka. Jan, ich błazen, wiecznie roześmiany, bo przecież był wśród przyjaciół.

– Wiem – odparł Kuba z cichym gniewem.

– Rozerwał go na kawałki! On... – W zasadzie nie potrafiła powiedzieć, co zrobił sir Marmaduke. Była raczej przekonana, że nie da się ugryźć ducha, a jednak nie umiała odpędzić sprzed oczu wizji, jak Starszy rozszarpuje bezbronną zjawę zębami.

Lord Fellmotte mówił o „plenieniu robactwa”, ale Zgódka nie poświęcała temu dotąd zbyt wiele uwagi. Cieszyła się tylko, że w Grizehayes nie może zaatakować jej żaden zbłąkany duch. Teraz zrozumiała dlaczego.

Czy tak właśnie skończyłby duch Niedźwiedzia, gdyby Fellmotte’owie odkryli jego obecność? A gdyby tak ona lub Kuba zmarli w Grizehayes? Czy i oni zostaliby zaszczuci i rozszarpani na strzępy? Widziała uśmiech na ustach sir Marmaduke’a, jakby polował dla sportu.

– Czerpał z tego przyjemność! – wyszeptła gorzko do ucha Kuby. – We wszystkim miałeś rację! To jest gniazdo diabłów! Weź mnie ze sobą i uciekajmy!

* * *

Uciekli we dwoje późnym popołudniem. Kuba zgłosił się na ochotnika do zbierania podpałki. Zgódce udało się załatwić, by posłano ją na poszukiwanie grzybów i dzikiej cykorii. Spotkali się pod starym dębem i ruszyli.

Zgódka miała wrażenie, że jej serce nie wytrzyma nadmiaru emocji. Po

raz pierwszy przyszło jej na myśl, że Kuba nieustannie uciekał, żeby mierzyć się ze spiętrzoną falą poczucia, że naprawdę żyje. Choć chłopak szedł równym tempem, Zgódką widziała, jak niespokojnie rozgląda się wkoło, by upewnić się, że nikt ich nie obserwuje.

Gdy pola ustąpiły moczarom, zmienili drogę na bezdroża. Zgódką wyjęła maleńką szczyptę pieprzu, który wykradła ze skrzynki z przyprawami, skarbcza pani Gotely, i rozsypała go za sobą, żeby zniechęcić psy do pójścia tropem zbiegów.

Falująca ścieżka przez mokradła była zdradliwa. Gąszcz paproci często krył dołki, ciernie, korzenie, o które łatwo było zahaczyć stopą, i ostre kamienie. Po tym, jak przez kilka godzin czołgali się i przedzierali, słońce zaszło, a niebo przybrało brunatną barwę.

– Na pewno już zauważyli, że nas nie ma – powiedział Kuba. – Wątpię jednak, żeby wysłedzili nas w ciemnościach. – Zgódką zastanawiała się, jak oni sami znajdują drogę po zapadnięciu całkowitego zmroku.

Światło dnia gasło, a dziewczynka poczuła nagle, że Niedźwiedź zbudził się w jej głowie. Zdziwił się, że nie ograniczają go mury. Stała na palcach i wyciągnęła szyję, bo Niedźwiedź starał się jak najwięcej zobaczyć i wywęszyć.

Jej oczy zdawały się przyzwyczajają do zmierzchu. Nie po raz pierwszy Zgódkę przyszło na myśl, że zwierzę widzi w nocy lepiej od niej. Jednocześnie była świadoma otaczających ją zapachów – pyłku kolcolistu, gnijących jagód, owczego nawozu i odległego dymu drzewnego.

Kiedy jednak wiatr powiał od Grizehayes, wychwyciła inną woń. Znajomy zwierzęcy zapach, zaostrozony ochotą i głodem.

– Psy! – szepnęła gwałtownie, czując, jak krew zamienia jej się w lód. Po chwili dobiegł z oddali grzmiący hałas ujadania. Spojrzawszy za siebie, wypatrzyła maleńkie jasne punkciki latarni.

– Kubo! Idą po nas!

Rodzeństwo przyspieszyło kroku, lekceważąc zadrapania i posiniaczone kłykcie i trzymając się nisko, by ich sylwetki nie odcinały się na tle nieba. Uciekinierzy z chlupotem przekroczyli strumień, by zmylić psy. Mimo to latarnie były coraz bliżej.

Skąd wiedzą, gdzie jesteście?

Z oddali dało się słyszeć głosy. Jeden komenderujący ryk wzbijał się nad pozostałe.

– To sir Marmaduke! – W oczach Kubę błysnęła niepokój.

Biegli dalej, przedzierając się przez kolczaste chaszczki i morze paproci. Zgódką wiedziała, że spowalnia brata. Była mniej sprawna niż on, coraz bar-

dziej zmęczona. Z kolei chłopak zdawał się mieć coraz większe kłopoty z ukrytymi w mroku nierównościami terenu oraz wystającymi korzeniami. Ciemność stała się ich poważnym przeciwnikiem.

Zajadłe szczekanie nagle ustało. Przez chwilę Zgódka nie rozumiała dlaczego. Aż wtem oczyma wyobraźni ujrzała potężne psy spuszczone ze smyczy, mknące bezgłośnie po wyboistym terenie...

Zamarła i rozejrzała się wokół po pustyni beznadziei. Żadnego drzewa, na które można by się wspiąć, ani dających schronienie zabudowań. Jedyne ostra pochyłość przed nimi, z której być może udałoby się zjechać...

Zanim jednak zdążyła ubrać tę myśl w słowa, smukły, ciemny czworonożny kształt eksplodował z zarośli. Trafił Kubę w pierś niczym pocisk, strącając go ze zbocza.

Natychmiast za nim wyskoczył z krzaków drugi pies i z błyskiem kłów rzucił się ku jej twarzy. Był za szybki dla niej, ale nie dla Niedźwiedzia. Patrzyła, jak jej własna ręka bierze zamach i uderza psa w locie z szokującą siłą. Pies upadł na ziemię kilka metrów od niej, potoczył się, po czym chwiejnie stanął z powrotem na łapach.

Za nim Zgódka dostrzegła dwa kolejne psy pędzące ku niej, lawirujące i dające susy przez kępy kolczastych krzewów. Z mdlącym poczuciem niedowierzania dziewczynka zauważyła, że zwierzęta nie są same.

Biegł z nimi mężczyzna, cudem dorównując im prędkością i pewnością kroku. W jego ręce kołysała się latarnia, ukazując jego postawną, mocno zbudowaną sylwetkę, purpurowy wełniany płaszcz i dziwnie niewzruszone oblicze.

Zgódka trwała tak, wpatrzona w niego, marnując cenne sekundy. Szybkość, z jaką poruszał się sir Marmaduke, była niesamowita, niemożliwa. Równie dobrze mogłaby obserwować deszcz padający od ziemi ku niebu.

Słyszała wrzaski Kuby, zmieszane z gardłowym warkotem i dźwiękiem rozdzierania. Nie wiedziała, czy pies szarpie kołnierz chłopaka czy jego krtań. Miała zbyt wielu wrogów, a Kuba... Kuba...

– Dość! – krzyknęła. – Błagam! Zabierzcie psy!

Sir Marmaduke gwizdnął krótko i odgłosy walki ustały. Zgódka stała, dysząc ciężko, otoczona wianuszkami psów, siłą woli powstrzymując Niedźwiedzia przed atakiem lub ucieczką. Zbliżyły się do niej szeleszczące kroki, dookoła kołysały się latarnie. Młody Wroniec wywłókł z rowu Kubę z rozszarpanym na strzępy kołnierzem, lecz nietkniętą skórą.

Ujęcie dziewczynki nastąpiło niejako przy okazji. Uświadomiła sobie, że w ciemnościach nikt nie widział, że odrzuciła psa z podejrzaną siłą. Przynajmniej udało jej się zachować tajemnicę Niedźwiedzia.

Droga do Grizehayes była długa i zimna. Kuba wbijał wzrok w ziemię, potykając się raz po raz, i przez chwilę Zgódka bała się, że może gniewa się na nią za opóźnianie ucieczki. Jednak w połowie drogi wsunął palce w jej dłoń i tak szli razem, buntowniczo trzymając się za ręce.

* * *

Następnego ranka na dziedzińcu Zgódka patrzyła z bólem, jak Kuba dostaje baty tak ciężkie, że ledwo był w stanie się po nich podnieść. Nikt nie wątpił, że to on zaplanował ucieczkę i pociągnął dziewczynkę za sobą. Był chłopcem, w dodatku starszym od niej.

Zgódkę również zbito, ale lżej, głównie za kradzież cennego pieprzu. Pani Gotely była wściekła i zawiedziona.

– Niektórych wieszają za mniejsze przewiny! – warknęła. – Cały czas się zastanawiałam, kiedy ta twoja zła krew da o sobie znać. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, jak to się mówi.

Zgódka wróciła do pracy w kuchni, robiąc co w jej mocy, by wyglądać na skruszoną pokutniczkę. Jej myśli płonęły jednak nową siłą i jasnością.

Następnym razem będziemy musieli poradzić sobie z psami. Zjednam sobie je wszystkie, nie tylko te, które śpią w kuchni. Plan musi być doskonały, bo nie ja ucierpię najbardziej, jeśli się nie powiedzie. Kuba jest dzielny i sprytny, ale nie zawsze potrafi do końca wszystko przemyśleć.

Przyciągnęłam uwagę Starszych. Jeśli im na to pozwolę, przejrzą mnie na wylot. Muszę pozostać niegodna ich zainteresowania. Muszę być nieładna, nierzucająca się w oczy, nudna. Muszę być ostrożna i cierpliwa.

Wymyślę, jak stąd uciec, choćby zajęło mi to lata.

W istocie tak miało się stać.

CZEŚĆ DRUGA

KOCICA PANI GOTELY

ROZDZIAŁ 10

Wiele może się zmienić w ciągu dwóch lat i kwartału.

Dwadzieścia siedem miesięcy to dość czasu, by miejsce, w którym ktoś przebywa, wniknęło w jego kości. Barwy przestrzeni stają się paletą umysłu człowieka, dźwięki – jego osobistą muzyką. Klify oraz iglice kładą się cieniem na jego snach, mury tworzą korytarze myśli.

Ludzie to dziwne stworzenia, obdarzone zdolnością adaptacji, przyzwyczajają się do wszystkiego, nawet tego, co wydaje się nie do zniesienia. Piękna, której przyszło mieszkać w zamku Bestii, niewątpliwie miała swoje codzienne zajęcia, zmagając się z drobnymi utrapieniami i całą masą nudy. Przerazenie jest męczące i trudno żyć w nim bez końca, więc wcześniej czy później zastępuje je coś praktyczniejszego.

Pewnego dnia człowiek budzi się w swoim więzieniu i uświadamia sobie, że to jedyne rzeczywiste miejsce. Ucieczka jest marzeniem, nieszczerą deklaracją, w którą w końcu przestaje wierzyć.

Zgódka miała jednak wprawę w walce z powolnie sączącym się jadem przyzwyczajania. Jej życie z matką nauczyło ją nie zapuszczać korzeni. *To nie jest twój dom* – powtarzała sobie w kółko, w nieskończoność.

Całe szczęście, że miała Niedźwiedzia, którego gorące i burzliwe instynkty nie pozwalały jej zapomnieć, że jest więźniem, skutym łańcuchami, których nie dało się poczuć ani zobaczyć. Był też, rzecz jasna, Kuba. Rodzeństwu trudniej było się teraz spotykać, ponieważ chłopakowi nadano nowe obowiązki, które trzymały go z dala od reszty służby. Został osobistym sługą Symonda, jasnowłosego syna sir Tomasza, pełnił funkcje jego chłopca na posyłki, towarzysza, sparingpartnera i lokaja.

Mimo podejmowanych przez gospodarstwo starań, by rozdzielić brata i siostrę, ci korzystali z każdej okazji, by potajemnie się spotykać.

Dwa lata i kwartał to sporo czasu, by nauczyć się planować ucieczkę. Zgódka odkryła, że ma do tego talent.

Kuba wpadał na śmiałe, nierealistyczne pomysły, których niedociągnięcia często mu umykały. On był pewny siebie, ona – pełna wahania i nieufna.

Jednak wątpliwości i brak zaufania nie były pozbawione zalet. Zgódka miała oko do problemów i wykazywała się zarówno spokojem, jak i sprytem, gdy szło o wynajdowanie rozwiązań.

Ciułała każdy grosik, który dostała, i potajemnie wydawała pieniądze na wytartą odzież, w razie gdyby potrzebne im były przebrania. Poznała zwyczaje wszystkich mieszkańców Grizehayes i odkryła niezliczone kryjówki w starym domostwie. Wytrwale pracowała nad kaligrafią, aby poradzić sobie z przygotowaniem fałszywych dokumentów.

Dwa lata i kwartał zrobiły z niej ostrożnego, cierpliwego złodzieja, chomikującego przeróżne drobiazgi, które mogłyby się okazać przydatne podczas ucieczki – mały nożyk, pudełko na hubkę i krzesiwo, trochę papieru, ogryzki świec. Miała też puder, by rozjaśnić sobie twarz i ukryć ślady po ospie, oraz kawałek węgla, by przyciemnić brwi. Zgódka zbierała niechciane lub nieupilnowane szmatki, które w chwilach spokoju przed snem stopniowo zszywała w prowizoryczną linę, gdyby kiedyś takowa miała być potrzebna.

W tajemnicy na odwrocie starego afisza teatralnego narysowała nawet mapę okolicy, raz po raz wzbogacając ją o nowe elementy.

Od czasu do czasu, ku ogólnemu zgorszeniu, Kuba i Zgódka podejmowali próbę ucieczki z Grizehayes, lecz za każdym razem przywlekano ich z powrotem w nielase.

* * *

Przez dwa lata i kwartał można się wiele nauczyć na swoich błędach. Można odkryć w sobie pokłady cierpliwości i sprytu. Można przyzwyczaić ludzi dokoła, by nie zwracali na ciebie uwagi.

Zgódka nauczyła się ukrywać na oczach wszystkich. W końcu zaczęto ją traktować jak część kuchni, niczym chochle czy szczypce. Piętnastolatka zdążyła już zdobyć akceptację. Zaufanie. Była oczywistością. Pozostali służący widzieli w niej opryskliwe przedłużenie starej, zgryźliwej kucharki zamiast prawdziwej osoby z sekretnymi myślami. „Cień pani Gotely” – przezywali ją czasem. „Echo pani Gotely”. „Kocica pani Gotely”.

Zgódka z całych sił starała się wyglądać nieatrakcyjnie. Niedopasowane ubranie wisiało na niej jak worek, do tego często było poplamione lub przysypane mąką. Jej włosy zaczęły nabierać tej samej zbuntowanej wiedźmowatości co u matki, ale na wzór innych służących owijała je ostrożnie w lniany, przypominający turban czepek. Wyraz twarzy zmieniała z opóźnieniem, aby ludziom wydawało się, że jej myśli biegną równie ospale. Nic bardziej mylnego. Pędziły jak palce jej zwinnych, pokrytych odciskami

dłoni, których nikt nie zaszczycał nawet spojrzeniem.

Dziewczyna trzymała większość ludzi na dystans. Przez lata w jej zachowanie wsącżyło się nieco niedźwiedziowości. Ponieważ zwierzę nie lubiło, gdy ludzie podchodzili zbyt szybko lub blisko, jej również to przeszkadzało. Obcy znajdujący się w promieniu pięciu stóp budzili w niej złość i lęk, jakby atakowali ją z krzykiem. Zgódka czuła, że Niedźwiedź chce wspiąć się na łapy, by ich odstraszyć, zmusić do odejścia. Próbował cicho prychać, gardłowo warczeć i te dźwięki wymykały się jego towarzysze w formie wściekle brzmiących kaszlnięć. Wkrótce dziewczyna zasłonyła ze swoich wybuchów paskudnego charakteru i z terytorialnej obrony kuchni.

– Nie wbiegajcie tam bez uprzedzenia – przestrzegano chłopców na posyłki – bo Kocica pani Gotely przyłoży wam chochlą. – Całe gospodarstwo żartowało sobie jednak. Nikt nie przypuszczał, że Zgódka w istocie nauczyła się panować nad humorami dzikiej zjawy.

Z czasem zwierzę zaakceptowało kuchnię, pomimo panujących tam warunków. Znało już wszystkie jej zapachy. Poocierało się o kłamki, żeby nabrały swojskości, a pomieszczenie sprawiało wrażenie bezpieczniejszego. Powolutku Zgódka zapoznawała Niedźwiedzia z pojęciami obietnic i umów. *Jeśli będziesz cicho, to pobiegamy potem w sadzie. Nie atakuj, a ukradnę dla nas garść odpadków dla kur. Powstrzymaj gniew, a pewnego dnia ucieknimy stąd do świata bez murów.*

Dwa maleńkie ślady, które ospa zostawiła na policzku Zgódki, nigdy nie zniknęły. Inne służące namawiały ją czasem, żeby spróbowała się ich pozbyć, zakryła je pudrem lub wypełniła tłuszczem. Nie posłuchała ich rad. Zależało jej właśnie na tym, żeby nie przyciągać niczyich spojrzeń.

Nie jestem warta waszej uwagi. Zapomnijcie o mnie.

Kuba natomiast budził powszechne zainteresowanie. Kiedy Symond udawał się z wizytą na dwór lub do krewnych, chłopak zostawał w domu i pracował jak każdy inny służący. Ilekroć jednak Symond wracał do Grizehayes, gwiazda Kuby wschodziła, dodając mu animuszu. Młodzieńcy byli z sobą bardzo życzliwi i chłopak nagle zdobywał wiedzę o wszystkich poczynaniach rodziny, dworu i narodu.

Służące nadal mu dokuczały, ale zmienił się ton ich zaczepek. Kuba wyrósł z chłopięcych lat, stał się siedemnastoletnim mężczyzną i szeptało, że ma przed sobą przyszłość.

* * *

Przez dwa lata i kwartał kraj może się rozsypać. Szczeliny okazują się głęb-

sze, niż ktokolwiek mógł przewidzieć. Przeobrażają się w rozpadliny, a potem otchłanie.

Wieści docierały do Grizehayes wyrywkowo. Czasem zjawiały się w zapieczętowanych listach, które trafiały prosto do pokoju lorda Fellmotte'a, a ich treść roznosiła się później po domu w formie zasłyszanych fragmentów rozmów. Czasami handlarze i włóczędzy przynosili wiadomości, doprawiając swoje opowieści plotkami i makabrą.

Wszystkie te skrawki tworzyły razem skomplikowany obraz.

Kiedy rok Pański tysiąc sześćset czterdziesty pierwszy poddał się, ustępując rokowi tysiąc sześćset czterdziestemu drugiemu, napięcie pomiędzy królem a parlamentem osiągnęło apogeum.

Londyn był podzielony i kipiał groźnie. Tłumy się ścierały, pogłoski rozchodziły lotem błyskawicy, a i partia króla, i zwolennicy parlamentu byli przekonani, że druga strona knuje przeciwko nim spisek.

Przez chwilę wydawało się, że w tej walce charakterów zwycięży parlament.

– Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – mówiła pani Gotely. – Podobno parlament chce robić coraz więcej bez zgody króla. Jak dopną swego, król w ogóle przestanie być królem, tylko będzie kukielką w koronie. Powinien im dać posmakować monarszego gniewu.

Najwyraźniej władca podzielał jej zdanie.

Czwartego stycznia tysiąc sześćset czterdziestego drugiego roku król Karol pomaszerował do Izby Gmin z setkami uzbrojonych żołnierzy, aby pojmać pięciu mężczyzn, uznawanych za prowodyrów buntu w parlamencie.

– Ale kiedy tam dotarł – donosiła Długa Alicja, która zdobyła wieści od Młodego Wronca – ci ludzie uciekli! Pewnie ktoś ich ostrzegł. A reszta parlamentu ich nie wydała i pognębiła króla. Wyszkolone oddziały Londynu mają bronić parlamentu przed ich własnym monarchą! Och, teraz pokazują swoje prawdziwe twarze zdrajców!

Przekroczono pewną granicę, co odczuli wszyscy. Dotąd obie strony podnosiły stawkę, przekonane, że wcześniej czy później przeciwnik nie wytrzyma napięcia. Teraz jednak dobyto broni. Chodziły słuchy, że parlament organizuje armię do walki przeciw królowi, zasłaniając się potencjalną wojną w Irlandii.

Słyszano, jak Stary Wroniec tłumaczył swojemu synowi:

– Rzecz jasna, król zbiera własne oddziały! Jak inaczej miałby obronić swoją koronę i lud przed parlamentem?

– Obie strony kroczą dumnie jak koguty, pokazując, na co je stać, lecz mając nadzieję, że nie dojdzie do rozlewu krwi – brzmiała mniej życzliwa

opinia jednego ze stajennych.

Panowało poczucie, że to nie może być prawda. Z pewnością można temu zapobiec! Przecież nikt nie pragnie wojny!

Jednak w sierpniu tysiąc sześćset czterdziestego drugiego roku król kazał wbić swój sztandar na polu w Nottingham. Jedwab łopotał na wietrze, gdy monarcha odczytywał wypowiedzenie wojny.

Następnego ranka królewski sztandar, zerwany w nocy przez burzę, odnaleziono w błocie.

– To zły znak – mruzczała pani Gotely, masując dręczone zapaleniem stawów kolano. Zawsze narzekała, że czuje w nodze zmiany pogody, a czasem twierdziła, że potrafi też wyczuć zbliżające się nieszczęście. – Wielka szkoda, że upadł.

Kiedy w kraju dochodzi do rozpadu, trudno przewidzieć, kto znajdzie się po której stronie. Krążyły historie o skłóconych rodzinach, przyjaciółach sięgających przeciwko sobie po broń, miastach, gdzie sąsiad walczył z sąsiadem.

Parlament zajął Londyn. Król założył swoją bazę w Oksfordzie. Mówiono o pertraktacjach, lecz o wiele częściej – o potyczkach.

W Grizehayes wojna pozostawała odległym pojęciem. Przygotowywano się, rzecz jasna. Mężczyźni z wiosek trenowali na błoniach, dla lokalnego oddziału uszyto zielone mundury. Fellmotte'owie zamówili broń i amunicję i kazali naprawić mury obronne wokół głównego domostwa. Jednak wizja, że wojna mogłaby w istocie dotrzeć do rodowej fortecy, wydawała się absurdalna.

„Nigdy się nie zmienimy – informowały ponure szare mury. – Nic więc się nie zmieni, bo liczymy się tylko my. Jesteśmy wielką skałą pośród morza świata. Poczynania innych ludzi mogą szumieć wokół nas i się o nas rozbić, ale my jesteśmy wieczne”.

ROZDZIAŁ 11

Wśród wyjących wichrów i długich nocy wreszcie nadeszło Boże Narodzenie. Swym świątecznym nastrojem i wesołą zabawą kpiło sobie z szarego nieba, drwiło z gołych pól. Przeszywało ciemne serce zimy niczym jasna strzała.

Dla większości ludzi dwunastodniowy okres świąt był wyczekiwaną z utęsknieniem przerwą od pracy. Dla osób przygotowujących uczty oznaczał niekończącą się harówkę. Zgódka ledwo stała na nogach, wykończona przyrządzaniem tart, ciast, zup, plastrów bekonu, pieczonego drobiu wszelkich rozmiarów, wędlin i lodowych ekstrawagancji. Powierzono jej nawet pieczenie olbrzymiej głowy dzika, połatanego, gigantycznego łba, którego wygotowany ryj wciąż cechowała szczerą świńskość. Dziewczynie nie przeszkadzało opiekanie martwych ptaków i innych zwierząt. One też rozumiały potrzebę zapełnienia brzucha, wygłodniałego pozbawiania życia, by wydłużyć swoje własne.

Widząc wytrwale pracującą Zgódkę, nikt nie domyśliłby się tajemnego planu płonącego w jej sercu niczym chłodny, spokojny ogień.

To Kuba, jak zwykle, wykrzesał pierwszą iskrę.

– Wigilia Trzech Króli! – szepnęła jej pewnego wieczoru. – Pomyśl! Dom będzie wypełniony po dach! To jedyna noc w roku, kiedy wszyscy z gospodarstw i wiosek są zaproszeni na ucztę do Grizehayes. Bramy dziedzińca będą otwarte, psom stróżującym założą kagańce. Więc... kiedy tłum zacznie wychodzić, wyslizgniemy się razem z nim. Minie ładne parę godzin, zanim ktoś zorientuje się, że nas nie ma.

Dziewczyna biegła bez tchu od zadania do zadania, nieustannie analizując plan. Był naprawdę dobry i mógł się udać, byle podejść do sprawy z głową. Istniało jednak ryzyko. Nawet jeśli rodzeństwu udałooby się uciec, byłoby pozbawione dachu nad głową i przyjaciół w środku zimy, pośród gołych, głodnych pól. Zgódka nie była nawet pewna, czy mogłaby liczyć na niedźwiedzią umiejętność widzenia w ciemności, bo podczas zimowych miesięcy zwierzę było znacznie mniej pobudzone.

Co gorsza, na ucztę w Grizehayes miało zawitać wielu Starszych.

„Trzeba będzie trzymać się od nich z daleka – zastrzegł Kuba. – Inaczej domyślą się, co knujemy. Przejrzą nas na wskroś”.

* * *

Gdy wreszcie nastąpiła wigilia Trzech Króli, Zgódka była wyczerpana, a na jej rękach widniały świeże oparzenia od przyskającego tłuszczu, pospiesznie obracanych rożnów i potraconych czajników.

Wielką salę przystrojono gałązkami ostrokrzewu, bluszczem, rozmarynem i laurem, a w potężnym, buzującym palenisku dopalało się i żarzyło tradycyjne bożonarodzeniowe polano o wstążkach dawno wyschniętych na wiór.

„Pogańskie obrzędy! – zapiałby pastor z Topoli. – Równie dobrze mogliby składać byka w ofierze na ołtarzu Baala! Boże Narodzenie to diabelskie wnyki, zaprawione trunkiem, nieróbstwem i puddingiem śliwkowym!”.

W nikim innym nie budziło to jednak oburzenia. Wieśniacy zaczęli się schodzić po południu w nerwowych, żartujących grupkach, zachwycając się ornamentami i tłocząc w ciepłe kominka. Odrobina cydru dodała im animuszu i wkrótce poczerniałe od upływu czasu belki pod sufitem odbijały echo ich podniesionych głosów i śmiechu. Gdy słońce zaczęło zachodzić, w wielkiej sali było już ciasno.

Służba dwoiła się i troiła, dostarczając gościom półmiski z jedzeniem i wynosząc z piwniczki piwo i cydr, wraz z kilkoma beczkami zdatnego do picia wina pozostałego ze świeżo pożegnanego roku. Jak zwykle brakowało rąk do pomocy, więc Zgódka również biegała między kuchnią a salą, dźwigając porcje ozorków, misy bladego, krągłego salcesonu i tace z serem i jabłkami.

Przy palenisku Kuba napełniał kubki gościom „lepszego sortu”. W odróżnieniu od Zgódki, uznano go za wystarczająco urodziwego, by usługiwać rodzinie i ważnym zaproszonym. Był bystry, o proporcjonalnej, atletycznej budowie, przyjemnie brzydkiej twarzy i swobodnym sposobie bycia. Nikt, kto widział jego wesoły uśmiech, nie zgadłby, że właśnie na tę noc planuje ucieczkę.

„Czekaj na mnie w kaplicy o północy – polecił jej. – Nikogo tam dziś nie będzie”.

Przy palenisku ustawiono solidny dębowy tron, najwyraźniej przeznaczony dla pana domu, jednak w okolicy nie było widać ani lorda Fell-

motte'a, ani sir Tomasza. Zaszczytne miejsce zajął Symond, który zdawał się rozkoszować swą szlachecką rolą. Otaczali go inni dworscy młodzieńcy, wszyscy w wieku dwudziestu kilku lat. Jeśli wierzyć plotkom, każdy z nich mógł się pochwalić znakomitym pochodzeniem lub potężnymi patronami.

W całej uroczystości znać było rękę Symonda. Wrócił z dworu jako samozwańczy specjalista od eleganckich potraw, ekstrawaganckich masek i skandalizujących sukien, zgodnych z najnowszą modą. Na skutek jego nalegań pani Gotely wraz ze Zgódką nadziewały ptactwo innym ptactwem i wykonywały marcepany w kształcie żaglowców.

Kuba twierdził, że Symond miał potrzebę bycia najlepszym we wszystkim. Być może kierowały nim lordowska próżność i pragnienie wzbudzania podziwu, ale Zgódka zastanawiała się, czy złoty chłopiec rodu nie stara się trochę za bardzo. Dlaczego tak usilnie próbował coś udowodnić i przed kim chciał się tak wykazać?

W drzwiach stanęli kołędnicy wraz ze skrzypkiem, śpiewnie oznajmiając, że jeśli nie dostaną jeść i pić, ruszą na zebranych z maczugami. Zgromadzeni ryknęli wiwatem i zatupali, witając pieśniarzy. Wniesiono wielką misę tradycyjnego Owczego Runa, gorącego, ostro przyprawionego piwa, z unoszącym się w głębi złocistym miąższem jabłek. Z naczynia wydobyto kromkę chleba i uroczyście wręczono ją Symondowi, który przyjął toast wdzięcznym skinieniem głowy.

Pośród śmiechu i gwaru Zgódka dostrzegła, jak jeden z przyjaciół Symonda wrzuca koronkową chustkę do swojego kubka trunku, po czym wyciska ją, zwijając w mokrą kulkę, by rzucić nią w twarz szlachcica. Dziewczynę ogarnął nieoczekiwany gniew.

„Przestań być purytanką – upomniała się. – To jego chustka i jego napój – niech je sobie marnuje, jeśli ma na to ochotę”.

A jednak była oburzona marnotrawstwem. Ktoś tygodniami męczył się nad tą koronką, skrzętnie robiąc haft po hafcie. Nieznani marynarze stawiali czoło strasznym niebezpieczeństwom, by przywieźć przyprawę z dalekich krajów. Sama poświęciła czas na przyrządzenie Owczego Runa. Bezmyślna demonstracja młodego chwata, jak się bawi szlachta, była lekceważeniem nie tylko pieniędzy czy dóbr, lecz także czasu innych ludzi, ich wysiłku i potu.

Zgódka nie otrząsnęła się jeszcze z nieprzyjemnych myśli, gdy zauważyła, że radosny tłum przy tronie Symonda ucisza się i rozstępuje z szacunkiem, by przepuścić samotną postać.

Lady April była jedną ze Starszych. Choć niewysokiej postury, studziła we wszystkich wesołość i szaleństwo. Lamówka jej czarnego czepka rzucała

koronkowy cień na ściągnięte brwi, kościsty nos i pomarszczone powieki. Oblicze starszej pani pokryte było specjalną farbą zwaną cynowym szkłem, co nadawało jej skórze nieziemsko białą barwę z metalicznym poblaskiem. Jej usta były cynobrową plamką. Wyglądała jak portret, który ożył.

Widok kobiety przyprawił Zgódkę o gęsią skórę i zmroził jej krew w żyłach. Czy Kuba miał rację, mówiąc, że Starsi bez trudu odkrywają ludzkie myśli? Dziewczyna wcisnęła się głębiej w tłum w obawie, że lady April skieruje na nią swój lodowaty wzrok i natychmiast pozna wszystkie jej plany oraz dowie się o zapasach i narzędziach, które ukryła w kaplicy.

Młodzieniec z chusteczką nie zauważył jednak pojawienia się starszej damy. Zamachnął się nasiąkniętą koronką i cisnął nią, patrząc w osłupieniu, jak pocisk pada na rąbek płaszcza lady April. Zbladł jak ściana, a jego uśmiech zmienił się w wyraz żalosego przerażenia.

Ani słowo nie padło z ust damy. Jedyne bardzo powoli poruszyła ona głową, by spojrzeć na maleńką plamkę wilgoci szpecącą frędzle jej okrycia. Następnie wyprostowała się i przeszła wzrokiem winowajcę, przy czym w jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Oblicze młodego dworzanina skrzywiło się w panice. Gdy kobieta odwróciła się i wyszła z wielkiej sali na korytarz, podążył za nią, błagając, przepraszając i mnąc mankiety. Jego przyjaciele patrzyli za oddalającą się damą, a ich twarze zastygły w tym samym wyrazie. Nikt nie robił min za plecami szlachcianki. Nawet w tę noc harców lady April nie była zabawna.

Mimowolnie zaangażowana w zdarzenie, Zgódką przesunęła się ku wyjściu, by móc obserwować damę i jej przypadkowego napastnika. Lady April sunęła nieugięcie naprzód, aż dotarła do miejsca, gdzie z przewróconej beczki z winem wylały się męty. Spojrzała na bordową kałużę i zatrzymała się w oczekiwaniu. Po chwili młodzieniec z wahaniem zdjął z siebie kosztowną pelerynę i położył ją na plamie trunku. Dama nadal czekała, ograniczając się do zbadania gruntu czubkiem trzewika. Jasna tkanina na ziemi przesiąkła ciemnym płynem.

Młody winowajca uklęknął powoli i położył dłonie płasko na pelerynie. Dopiero wtedy lady April raczyła ruszyć dalej, unosząc rąbek płaszcza tuż nad rozlaną cieczą i krocząc po rękach nieszczęśnika jak po stopniach.

Zwykli ludzie nie byli świadomi dziwactw Fellmotte'ów tak bardzo, jak Zgódką i Kuba, ale wszystko wskazywało na to, że nawet potężni szlachcice czuli lęk przed lady April.

* * *

Gdy zegar na latarni wybił dwudziestą trzecią, serce waliło Zgódce jak młotem. Lada chwila musiała się wymknąć do kaplicy, bo istniało ryzyko, że ktoś zawlecze ją do kolejnych prac, uniemożliwiając jej dotarcie na miejsce spotkania o północy.

Wniesiono olbrzymi tort z okazji wigilii Trzech Króli, co wywołało burzę oklasków. Starannie pokrojono go na kawałki, na które goście rzucili się z zachwytem. Ten, kto znalazł w swej porcji fasolkę, zostawał Królem Zamętu na całą noc. Świat miał stanąć na głowie, bo najmarniejszy włóczęga mógł okazać się nagle panem całej uczy, a wszyscy musieli być posłuszni jego rozkazom...

Zrobiono miejsce dla nowo przybyłej grupy mimów. Dwóch z nich, przebranych za Świętego Jerzego i saraceńskiego rycerza, spięło się w walce na drewniane miecze. Wszyscy otoczyli ich kołem, wznosząc pełne entuzjazmu okrzyki.

Nikt nie zwracał uwagi na Zgódkę, więc wykorzystała tę okazję, by się wymknąć. Przepychając się łokciami, dotarła do wielkich drzwi prowadzących na mroźny dziedziniec. Wzięła głęboki haust przejmującego zimowego powietrza, po czym obróciła się i wpadła wprost na stojącego obok mężczyznę.

W blasku padającym z pomieszczenia rozpoznała koronki mankietów i żabotu, aksamit długiego płaszcza, brązowe oczy i znużone rysy twarzy.

– Sir Tomasz! Przepraszam, ja...

– To moja wina, dziecko. Zapatrzyłem się w wyższy świat, zamiast zwracać uwagę na ten. – Szlachcic wskazał ręką niebo. – Uwielbiam noce z taką mokrą mgiełką. Można by pomyśleć, że gwiazdy tańczą.

Nieco zbита z tropu, Zgódka spojrzała w górę. W zimnym powietrzu nocy rzeczywiście panowała wilgoć, dzięki czemu wydawało się, że gwiazdy drżą i migoczą.

– Powinnaś być w środku, domagając się swojej porcji tortu – zauważył sir Tomasz z uśmiechem. – Nie chcesz spróbować szczęścia z fasolką? Nie miałabyś ochoty zostać królową na jedną noc?

Wizja zmuszenia Młodego Wrońca, by płaszczył się i jej usługiwał, była kusząca, ale ostatnie, czego pragnęła, to znaleźć się w centrum uwagi.

– Nie byłabym prawdziwą królową, panie – odparła z wahaniem. – Jutro znów by mną pomiatano. Gdybym dziś odegrała władczynię, wielką i potężną, później słono bym za to zapłaciła. Wszystko ma swoją cenę.

– Nie w Boże Narodzenie – zaprotestował wesoło sir Tomasz.

– Proszę to powiedzieć gęsiom – mruknęła Zgódka, po czym splonęła rumieńcem, zdawszy sobie sprawę, że nie była to grzeczna odpowiedź. –

Och... przepraszam. – Dlaczego sir Tomaszowi tak zależało na rozmowie z nią, i to akurat tej nocy?

– Gęsiom? – Szlachcic zdawał się niewzruszony, z jego twarzy nie zniknął cierpliwy uśmiech. Dziewczyna pomyślała, nie po raz pierwszy, że to dziwne, iż ten człowiek jest synem Abdiasza i ojcem Symonda.

– Całymi tygodniami tuczyłam je na dzisiejszą ucztę – wyjaśniła ostrożnie Zgódka. – Gęsi, kapłony, indyka. Pałaszowały karmę, którą im sypałam, nieświadome, że na koniec trzeba będzie zapłacić za nią najwyższą cenę. Może wydawało się im, że mają szczęście. A może sądziły, że po prostu jestem miła. Wszyscy ci ludzie, zajadający się teraz pasztecikami z kapłona i pieczoną gęsią... oni też wstępują w układ, prawda? Dziś wolno im się ogrzać przy wielkim palenisku, najeść się po uszy, śpiewać na całe gardło. Ale w zamian za to mają okazać wdzięczność i harować posłusznie przez cały rok, tak? Cóż, przynajmniej wiedzą, na co się piszą. Gęsi nikt nie ostrzegł.

Zgódka przemówiła znacznie ostrzej, niż zamierzała, jednak nie chciało jej opuścić poczucie grozy, że sama jest „tuczoną gęsią”.

– Czy los gęsi byłby inny, gdyby miały świadomość tego, co je czeka? – spytał sir Tomasz. Zmienił ton i brzmiał teraz bardzo poważnie. – A gdyby ta wiedza napawała je lękiem, przysparzała im trosk?

Zgódka poczuła, jak włos jeży jej się na karku, bo nagle zdała sobie sprawę, że oboje przestali mówić o gęsiach.

– Na ich miejscu chciałabym wiedzieć.

Sir Tomasz westchnął, wydychając z ust kłęby pary.

– Odbyłem już kiedyś taką rozmowę – wyznał. – Z inną młodą kobietą, szesnaście lat temu. Była w twoim wieku i... widzę ją w tobie. Nie w konkretnej cesze, którą potrafiłbym wskazać, lecz jest w tobie ten sam blask.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Jeszcze przed chwilą rozpaczliwie pragnęła zakończyć konwersację. Teraz jednak kusząco zamajaczyły odpowiedzi na najbardziej palące pytania.

– Spodziewała się dziecka – ciągnął szlachcic. – Chciała zrozumieć, dlaczego mojej rodzinie tak bardzo zależy, aby wychowywało się ono w Grizehayes. Podejrzewała nas o nieczne zamiary, lecz nie umiała ich sprecyzować. „Proszę mi powiedzieć – błagała mnie. – Nikt inny nie chce mi wytłumaczyć”. I choć oznaczało to złamanie obietnic, uczyniłem to. A wtedy ona poprosiła, bym pomógł jej uciec.

– I pomógł jej pan? – wykrzyknęła zdumiona Zgódka.

– Czasem szaleństwo razi nas jak piorun. Była kochanką mojego brata. Ja sam miałem żonę, zresztą zbyt jestem nudny na uganianie się za dziewczęcę-

tami. Wtedy jednak nagle mnie olśniło, że tej jednej kobiecie niczego nie potrafię odmówić. Nawet jeśli oznaczało to, że nigdy więcej jej nie ujrzę. Tak, pomogłem twojej matce. Od szesnastu lat zastanawiam się, czy podjąłem właściwą decyzję.

Zgódka powoli podniosła wzrok i spojrzała mężczyźnie prosto w oczy.

– Proszę, niech mi pan powie, dlaczego mnie tu przywieziono. Niech mi pan powie, dlaczego mam się bać. Nikt inny nie chce mi wytłumaczyć.

Sir Tomasz milczał, oddychając ciężko i wpatrując się w blade, niespokojne gwiazdy.

– Jesteśmy dziwnym rodem, Zgódko – odezwał się wreszcie. – Strzeżemy pewnej tajemnicy – sekretu, którego wyjawienie wyrządziłoby nam ogromną krzywdę. Posiadamy talent, pewnego rodzaju dar. Nie wszyscy się z nim rodzą, ale w każdym pokoleniu jest nas kilkoro. Ja go mam, Symond również. Kuba też. I ty.

– Śnią nam się koszmary – szepnęła Zgódka. – Widzimy duchy.

– I je przyciągamy. Wiedzą, że jest w nas... miejsce. Możemy pomieścić więcej niż siebie samych.

Zgódka pomyślała o chmarach wymachujących szponami zjaw, a potem o Niedźwiedziu, jej własnej najskrytszej tajemnicy.

– Jesteśmy puści – powiedziała beznamyślnie. – I umarli mogą wejść do środka.

– Duchy bez ciała strzępią się i znikają, więc próbują wdrzeć się w nas w poszukiwaniu schronienia. W chwili, gdy im się to udaje, większość jest już potargana i oszalała. Ale nie wszystkie zjawy są obłąkane.

Dziewczyna czuła, że zbliżają się do sedna sprawy. Miała dreszcze.

– Wyobraź sobie – tłumaczył sir Tomasz – potęgę rodu, który nigdy nie traciłby doświadczeń, umiejętności i wspomnień. Załóżmy, że możliwe byłoby zachowanie każdej ważnej osoby. Błogosławieństwo wiedzy gromadzonej przez całe wieki...

W tej właśnie chwili od drzwi rozległo się grzeczne chrząknięcie. Na tle światła padającego z wielkiej sali rysowała się sylwetka Młodego Wronca.

– Sir Tomasz, proszę wybaczyć, ale wzywa pana lord Fellmotte.

– Zaraz do niego pójde – powiedział szlachcic. Wydawał się zaskoczony, że sługa nie odchodzi.

– Proszę wybaczyć – odezwał się ponownie Młody Wroniec. – Proszono mnie, bym przekazał, że... tej nocy spotka pana wielkie szczęście.

Cała krew odpłynęła z twarzy sir Tomasza, w jednej chwili postarząc go i nadając mu zmęczony wygląd.

– Tej nocy? – zawołał przerażony. – Tak szybko? Zdawało się, że to jesz-

cze lata... – Zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą i powoli pokiwał głową. – Oczywiście. Oczywiście. – Wziął dwa głębokie łyki powietrza i przyjrzał się swoim dłoniom, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam są. Kiedy podniósł wzrok na rozmyte gwiazdy, jego spojrzenie było zbolale i smutne.

Zwrócił się jeszcze do Zgódki, zmuszając się do uśmiechu.

– Powinnaś wrócić do środka i upomnieć się o tort. Bądź przez chwilę królową, póki jeszcze możesz.

To rzekłszy, podążył do wnętrza za Młodym Wrońcem.

ROZDZIAŁ 12

Zgódka wciąż miała przed oczami żalostną minę sir Tomasza, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Straciła już zbyt wiele czasu. Pospieszyła do kaplicy.

Drzwi otwarły się cicho i dziewczyna ze zdziwieniem ujrzała kilka płonących świec. Może ktoś jednak modlił się tutaj. Nie było śladu Kuby. Usadowiła się, by na niego zaczekać, z nadzieją, że się nie rozminęli.

Nawet po dwóch i pół roku lśniąca kaplica budziła w Zgódce niepokój. W Topoli wbito jej do głowy, że Bóg życzy sobie, aby kościoły były skromne. Przerażała ją więc i szokowała kaplica w Grizehayes, ze swoimi figurami, malowidłami i groźnym zapachem kadzidła. Podczas pierwszej mszy siedziała pełna strachu, że wpadła w gniazdo katolików i zmierza prosto do piekła.

– Nie wydaje mi się, żeby Fellmotte’owie byli katolikami – próbował ją kiedyś pocieszać Kuba. – Przynajmniej nie sądzę, żeby oni mieli się za katolików. Po prostu lubią robić wszystko... po staremu.

Teraz nie wiedziała już, kto zmierza do piekła. Kaplica Fellmotte’ów tchnęła nieomylnością, była taka zabytkowa. Trudno było spierać się z kimś, kto miał po swojej stronie całe wieki.

W niedziele Fellmotte’owie zasiadali we własnej galerii z tyłu kościoła, gdzie docierali prywatnym korytarzem wprost ze swych komnat. *Bliżej nieba niż cała reszta* – myślała Zgódka. Kto wie, może z Bogiem też zawarli umowę, tak jak z królem. Może w dniu sądu ostatecznego, gdy siedem pieczęci stanie otworem, Pan poklepie Fellmotte’ów po plecach i bez mrugnienia wpuści ich do raju.

Zgódka nie mogła liczyć na szczególne względy. Zamiast tego potajemnie oferowała własną buntowniczą modlitwę.

Ojczy Wszchemogący, kiedy moje ciało obróci się w proch, nie zabieraj mnie do Twojego pałacu ze złota i pereł. Pozwól mi odejść tam, gdzie idą zwierzęta. Jeśli w Twojej nieskończoności jest jakiś las, gdzie zwierzęta i ptaki biegają, wyją i śpiewają, pozwól mi biegać, wyć i śpiewać wraz

z nimi. A jeśli podryfują w nicość, niech dołączą do nich jak pyłek niesiony wiatrem.

Skrzypnęły drzwi. W dziewczynie wezbrała radość, lecz natychmiast wygasła. To nie był Kuba.

Zamiast tego ujrzała Młodego i Starego Wrońca, pomagających lordowi Fellmotte'owi wejść do kaplicy. Po chwili pojawili się lady April i sir Marmaduke, a kilka kroków za nimi podążał sir Tomasz. Zgódka kucnęła i schowała się za sarkofagiem. Myśli w jej głowie szalały. Po co wszyscy tu przyszli? Czy coś podejrzewają?

– Sądziłem, że ustaliliśmy, że nic nie będzie przedsiębrane, dopóki nie zajdzie absolutna konieczność – mówił sir Tomasz. – Nie spodziewałem się...

– Powinieneś być zawsze przygotowany – przerwał mu ojciec. – Dobrze o tym wiesz. Owszem, zamierzaliśmy dożyć naszych dni w zwykły sposób, ale bieg wydarzeń jest zbyt szybki. Król przepuścił szansę zajęcia Londynu, co oznacza, że ta absurdalna wojna może się nieoczekiwanie przeciągnąć. Jeśli rodzina ma dobrze prosperować w tych ciężkich czasach, musimy działać swobodnie i błyskawicznie. Lord Fellmotte nie może być przykuty do łóżka.

– Czy to musi być dzisiejsza noc? – Sir Tomasz nie dawał za wygraną. – Czy nie możemy pozwolić, by mój syn cieszył się tym wieczorem, a do rozmowy wrócimy jutro rano?

– Rodzina jest w komplecie, nie ma powodu, aby opóźniać nieuniknione.

Zgódka usłyszała, jak drzwi znów otwierają się i zamykają. Dobiegł ją głos Symonda.

– Ojczy, czy to prawda? – Brzmiał spokojnie. Zbyt spokojnie, tak jak płomień wydają się czasem błękitne.

– Chodź, Symondzie, odejdźmy razem na chwilę – powiedział sir Tomasz. Ku swemu przerażeniu Zgódka zorientowała się, że ich ciche kroki zmierzają w stronę sarkofagu. Mężczyźni zatrzymali się nieopodal jej kryjówek.

– Oszczędzą cię? – Głos Symonda był spięty, konkretny i wyważony. – Zapadła decyzja?

– Wiesz, że nie mogą niczego obiecać. – Po raz pierwszy bezpośrednio sir Tomasz zrobił unik. – Zawsze istnieje ryzyko, a miejsce jest ograniczone.

– Posiadasz umiejętności i wiedzę przydatne rodzinie! A co z twoimi badaniami w dziedzinie nawigacji i gwiazd? Ze wszystkimi urządzeniami w twojej komnacie – astrolabiami i kieszonkowymi tarczami?

– Ach, moje nieszczęsne zabawki. – Szlachcic zaśmiał się smutno. – Nie-

stety, nie sądzę, by zrobiły wrażenie na rodzinie. Symondzie, co będzie, to będzie. Od zawsze pisany był mi ten los. Przygotowywałem się na niego całe życie. Cokolwiek się stanie, Dziedzictwo jest moim obowiązkiem i zaszczytem.

– Czekamy na ciebie, Tomaszu – odezwała się lady April wyraźnym, jasnym głosem.

Pięcioro Fellmotte'ów oddaliło się ku przeciwnemu krańcowi kaplicy, w pobliże ołtarza. Krzesła zaszurały po kamieniu, a potem lady April zaintonowała jakąś podniosłą pieśń niskim, metalicznym głosem.

Zgódka siedziała, przyciskając do siebie kolana. Przenikało ją powodująca ból kości zimno kamiennej posadzki i marmuru, o który opierała plecy. Miała wrażenie, że każde rzeźbienie, każda tablica pamiątkowa i każdy herb na witrażach tchną mrozem.

Coś się działo, coś śmiertelnie tajemnego. Co by się stało, gdyby ktoś odkrył jej obecność lub gdyby Kuba wkroczył nagle do kaplicy?

Głos lady April nie był teraz jedynym dźwiękiem. Dało się słyszeć szepty, ciche jak odgłos rozdzieranych pajęczyn. Szeleściły i falowały, po czym Zgódka usłyszała całkiem ludzki krzyk, a po nim długi, krztuszący charkot.

Nie mogła się powstrzymać, więc wysunęła głowę, by zerknąć.

Sir Tomasz i sir Abdiasz siedzieli obok siebie na przypominających trony drewnianych krzesłach. Starzec osunął się w siedzisku, jego szczeka wisiała luźno. Ciało syna było wyprężone jak w konwulsjach, a jego oczy i usta były szeroko otwarte.

Dziewczynie wydawało się, że widzi jakiś cień sączący się powoli z ucha Abdiasza. Przez chwilę pulsował i drżał, po czym skoczył ku twarzy sir Tomasza i zniknął w jego rozwartych ustach. Mężczyzna wydał stłumiony, chrapliwy okrzyk, a po jego obliczu przebiegły skurcze, jak powiew marszczący odbicie w kałuży. Dwie kolejne smugi cienia wypływały z oczu Abdiasza.

Zgódka skuliła się z powrotem w swojej kryjówce, starając się uciszyć oddech. Po chwili złowieszcze odgłosy ustąpiły i zapanowała długa cisza.

– Donaldzie Fellmotte z Wellsbank, jesteś? – spytała lady April.

– Tak – padło chrypiące potwierdzenie.

– Baldwinie Fellmotte, bonifratrze, jesteś tam? – Dama wzywała kolejne imiona, za każdym razem otrzymując w odpowiedzi chropawe „tak”. – Tomaszu Fellmotte – spytała wreszcie, wymieniwszy siedem innych imion. – Jesteś?

Tym razem odpowiedziała jej cisza.

– Był wiernym sługą rodu – odezwał się sir Marmaduke – ale najwyraźniej jego umysł nie był dość silny, by udźwignąć Dziedzictwo. Tak samo było z Abdiaszem.

– Co się z nim stało? – chciał wiedzieć Symond, wciąż dziwnie opanowany. – Dokąd poszedł?

– Musisz zrozumieć, że miejsce w jednym człowieku jest ograniczone, nawet takim, który posiada twój dar – wyjaśniła lady April. – Zdarzają się ofiary, których umysł zostaje zgnieciony i wygaszony. Tymczasem przed tobą twoje własne zadanie. Ciało twojego dziadka pozostaje niezamieszkałe, lecz wciąż tli się w nim życie. To ty powinienes mu je odebrać, Symondzie.

Zgódka zacisnęła powieki i szczelnie zatkała uszy. Ani drgnęła, dopóki nie miała pewności, że wszyscy Fellmotte'owie opuścili kaplicę.

* * *

Kiedy dziewczyna na chwiejnych nogach dotarła z powrotem do sali biesiadnej, uroczysty ludzki hałas trafił ją niby cios. Powietrze było tak przepełnione dźwiękiem, że z trudem łapała oddech.

W głównej sali odnalazła Kubę. Siedział na lordowskim tronie przy paleńniku, otoczony wianuszkami osób, które śmiały się z jego żartów, a w dłoni dzierżył ogromny kufel Owczego Runa. Pod ręką miał wielki półmisek wędlin i ciast ze Shropshire, a jakiś osiłek wyglupiał się, udając jego błazna.

Zgódka wreszcie pojęła, dlaczego Kuba nie przyszedł na umówione spotkanie. Przyjął porcję świątecznego tortu. Znalazł fasolkę. Został Królem Zamętu. Gdy jego wzrok padł na Zgódkę, mina natychmiast mu zrzędła. Wstał szybko, chwycił dziewczynę za ramię i poprowadził w cichszy kąt.

– Nie mogła jeszcze wybić dwunasta – zaczął, ale wtem zauważył, jak błada jest jego rozmówczyni. – Siostrzyczko, co się stało?

Opowiedziała mu wszystko przyciszonym głosem.

– Starsi są pełni duchów, Kubo! To dlatego nie jesteśmy w stanie spojrzeć im w oczy! To dlatego zmieniają się, gdy przejmują Dziedzictwo! Duchy ich przodków dostają się do ich wnętrza, by nimi zawładnąć!

– Ale po co im my? – Kuba patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. – Chyba nie chcą, żebyśmy coś dziedziczyli?

– Nie rozumiesz? Jesteśmy zapasowi! Czasem dziedzice umierają lub wyjeżdżają na jakiś czas. Jeśli Starszy nagle zaniemoże, muszą na gwałt przechować gdzieś duchy! Jesteśmy pojemnikami – tylko po to jesteśmy im potrzebni! Kubo, musimy uciekać! Proszę! Jak szybko możesz się stąd wydostać?

Chłopak wysłuchał jej z przerażeniem, lecz teraz na jego szczerzej twarzy malowało się lekkie wahanie. Zerknął przez ramię na swój nowo zdobyty tron. Powinna się była domyślić, ile znaczyło dla niego zostanie lordem na jeden dzień. Kiedy znów trafi mu się taka szansa?

– Dzisiejszej nocy już za późno – powiedział z niejakim zażenowaniem.

– Nie byłabyś w stanie przebiec kilku kilometrów. Wrócimy do tej rozmowy rano.

Z poczuciem głębokiej beznadziei Zgódka patrzyła, jak jej przyrodni brat wraca na oczekujący go tron i do zgromadzonego tłumu swoich dworzan.

Jakiś czas potem wrócił do sali Tomasz, nowy lord Fellmotte, z Symonem u boku. Jeśli młodzian chwilę wcześniej wykazywał zdenerwowanie, teraz najwyraźniej całkowicie się uspokoił. Usiadł przy ojcu, przyglądając się scenie z kocim opanowaniem.

Tomasz nie przechadzał się już i nie wybuchał śmiechem. Poruszał się inaczej niż dotąd, z dziwną sztywnością. Jego oblicze pozbawione było dawnego ciepła, a w oczach pojawił się bazylijski błysk charakterystyczny dla spojrzenia Abdiasza.

ROZDZIAŁ 13

Zimą Grizehayes pokazywało swoje prawdziwe oblicze – bezbarwne, wieczne, nietykalne, niezienne. Umysł ogarniało odrętwienie, dusza zamarała, a wszelkie marzenia o ucieczce zdawały się dziecinną mrzonką.

Posiadłością zaczął władać „nowy” lord Fellmotte, ale Zgódka wiedziała, że nie był on nowszy niż szare wieże. Tomasz Fellmotte siadywał teraz zgarbiony, jakby przywykł do zgiętego wiekiem kręgosłupa. Nagle nachodziła go ochota na tłuste jedzenie i najlepszą brandy. Patrząc, jak pożera pieczone udko kurczaka, szarpiąc mięso z kości, Zgódka wyobrażała sobie łapczywe duchy w jego wnętrzu. Za długo pokutowały, uwięzione w schorowanym, kalekim ciele cierpiącym przeróżne bóle i drżączki. Teraz znów miały zęby, a do tego żołądek zdolny znieść odrobinę luksusu.

– Tomasz powinien być bardziej o siebie dbać! – Zgódka usłyszała z ust mężczyzny pewnego dnia. – Łamie nas w plecach od jego jazdy konnej, a oczy mamy słabe od ślęczenia nad książkami! Wcześniej przejęlibyśmy jego ciało, gdybyśmy wiedzieli, że tak je zużyje. We wspomnieniach też ma bałagan jak w zaniedbanej bibliotece...

Duchy „lorda Fellmotte’a” nie brzmiały wcale jak goście. Najwyraźniej uważały ciało Tomasza za przynależną im od zawsze własność, którą wreszcie odzyskały od niedbałego najemcy.

Zmieniło się wszystko. Nie zmieniło się nic.

A jednak wraz z wydłużaniem się dni znowu zaczęto szeptać o tym, co nadchodzi. Do Grizehayes zbliżała się wiosna, lecz wraz z nią – wojna.

* * *

Pewnego majowego dnia o brzasku Zgódka, zbierając ślimaki w kuchennym ogrodzie, usłyszała cichą rozmowę za murem.

Dziewczyna często łowiła ślimaki i dżdżownice do sporządzania ślimaczej wody, najlepszego, zdaniem pani Gotely, leku na podagrę. Zgódka miała jednak własne powody, dla których wykonywała pracę o tak wczesnej porze, kiedy cały dom pogrążony był we śnie. Mogła bez przeszkód paść na

czworaka i pozwolić Niedźwiedziowi brodzić z zadowoleniem po chłodnej, srebrnej od rosy trawie. Jeśli tylko trzymała się właściwej strony ogrodu, nikt nie mógł jej zobaczyć z okien Grizehayes.

Był to prosty wybieg, ale sprawiał, że Niedźwiedź czuł się nieco swobodniej. To było jego spokojne zielone terytorium, królestwo wilgotnych zapachów i tajemnic. Ilekroć Zgódka tu przychodziła, czuła, jak jej wzrok się wyostrza, w półmroku widziała wyraźnie jak za dnia. Dziś rano grzebała w ziemi palcami, ocierała się o drzewo i dmuchała na mleczkę, rozsiewając ich latające nasionka. Nie zdążyła powstrzymać zwierzęcia przed zlizaniem z nadgarstka tłustego żuka i zjedzeniem go.

Nagle zamarła, wciąż czując w ustach smak owada, bo dobiegły ją ciche, zdenerwowane głosy i chrzęst kroków...

– I co? – Bez trudu rozpoznała chrapliwy zgrzyt głosu lorda Fellmotte'a.

Odpowiedział mu inny mężczyzna. Brzmiał jak sir Antoni, Starszy, który przybył poprzedniej nocy. Był kuzynem w drugiej linii nowego lorda Fellmotte'a i Zgódka podejrzewała, że jego duchy stanowiły zażartą zgraję żołnierzy, doprawioną ewentualnie kilkoma spokojniejszymi umysłami.

– Jest tak, jak myśleliśmy. Oddziały rebeliantów zbliżają się do garnizonu w Geltfordzie.

Zgódka, zaskoczona, nadstawiła uszu. Geltford było oddalone o niecałe sześćdziesiąt kilometrów od Grizehayes.

– Hmm – mruknął lord Fellmotte. – Jeśli buntownicy zajmą Geltford, zaraz potem zwrócą oczy na nas.

– Niech spróbują – prychnął sir Antoni. – Żał mi ich, jeśli porwą się na Grizehayes.

– Jeśli król odda Geltford, osłabi się jego pozycja w kraju.

– Co nas to obchodzi? Opowiedzieliśmy się po stronie monarchy, ale jeśli zatrzymamy w domu własne oddziały, możemy utrzymywać, że pilnujemy naszych ziem dla niego. Będziemy stać i patrzeć, jak jego głupia wojenka sama się wypala.

– Tak, ale trzeba, żeby król wygrał tę idiotyczną wojnę! – odparł lord Fellmotte. – Jeśli parlament zwycięży, król Karol będzie osłabiony, a w dodatku zbyt biedny, żeby zwrócić nam dług! Poza tym tego władcę mamy w garści! Nigdy nie oskarży nas o czary! Gdyby ci grzmiący purytanie zwietrzyli prawdę o naszych tradycjach, zaraz zaczęliby gadać o nekromancji. Nie możemy dopuścić, by urosli w siłę.

Król musi wygrać ten spór, a jeśli mu nie pomożemy, nic z tego nie będzie. My widzieliśmy wojnę, a to zniewieściałe, dziedzinniałe pokolenie nie ma o niej pojęcia! Och, będziemy mu potrzebni.

– Nie da się wynegocjować pokoju? – podsunął sir Antoni. – Czego w ogóle życzy sobie parlament?

– Twierdzą, że chcą tylko, żeby król przestał uzurpować sobie nowe prawa.

– A uzurpuje?

– Oczywiście, że tak! – uniósł się lord Fellmotte. – Tak jak i oni! Obie strony mają rację. Obie się mylą. Król jest zbyt uparty, żeby się z nimi dogadać. Wierzy, że jest wybrańcem Boga, więc każdego, kto podważa jego zdanie, ma za zdrajcę. Poznałeś go kiedyś? Król Karol jest malutkim mężczyzną i dobrze o tym wie. Nogi nigdy nie wyrosły mu jak trzeba. Jego ojciec kazałby zakuć je w żelazne obręcze i rozciągnąć, kiedy syn był jeszcze dzieckiem, i może wyszłoby to małemu na dobre, ale nie, łaskawa pani, która się nim opiekowała, nie chciała słyszeć o takich rozwiązaniach. Jest więc uparty jak każdy konus. Nie umie się wycofać, bo nie zdzierzyłby poczucia niższości.

– Co więc zrobimy? – dopytywał sir Antoni.

– Wyślemy posłańców – odparł lord Fellmotte. – Poprosimy o przysługi. Użyjemy gróźb. Odszukamy największych, którzy się wahają, i będziemy ich dręczyć, dopóki nie staną po stronie króla. A w międzyczasie... szykujemy pułk. Nie pozwolimy rebeliantom zdobyć Geltford. Nie przekroczą rzeki, jeśli utrzymamy most Hangerdon.

Za murem młoda podkuchenna czaiła się na czworakach, z palcami skostniałymi od zimnej rosy i wirem pomysłów huczącym w głowie.

* * *

– Pułk maszeruje, Kubo – powiedziała Zgódka tego wieczoru. – To nasza szansa.

Od pamiętnej wigilii Trzech Króli Kuba wyglądał na nieco nieobecnego i zawstydzonego, ilekroć spotykał dziewczynę. Trudno jej było nakłonić go na rozmowy na osobności. Dziś jednak Zgódce udało się zaciągnąć brata do przejścia prowadzącego do starej bocznej bramy. Nie można się było tędy wymknąć z Grizehayes, bo na drodze stały zamknięte na klucz drzwi i ciężka krata. Niemniej jednak przejście doskonale nadawało się na potajemne schadzki.

Zgódka rozłożyła na kolanach swoją cenną mapę, własnoręcznie wyrysowaną na wyblakłych tekstach ballad i ukazującą w przybliżeniu szlaki do Londynu i innych większych miejscowości.

– Wiem – szepnął Kuba, gryząc kciuk. – Pułk wyrusza jutro pod dowódz-

twem sir Antoniego. Jedzie też jego syn, pan Robert, i pan Symond, sam mi o tym mówił.

Od wigilii Trzech Króli Zgódka inaczej patrzyła na Symonda. Zmuszono go, by patrzył na opętanie własnego ojca. A co z poleceniem lady April, by uwolnił swego dziadka z pustej skorupy życia? Czy rodzina zmusiła Symonda, by udusił starca poduszką? Młodzieniec wydawał się potem tak spokojny. Dziewczyna nie była pewna, czy należy go żałować, czy się nim brzydzić.

Kuba nigdy nie był chętny do rozmów na ten temat i Zgódka zadreślała się podejrzeniami, że Symond uczynił z chłopaka swojego powiernika. Na samą myśl robiło jej się gorąco, ale starała się zdusić własną zazdrość.

– To doskonały moment, by uciec! – odszepnęła. – Starsi wreszcie angażują się w wojnę, więc będą zajęci i nieobecni, podejrzewam, że Wronce też. Wszystkie okoliczne wioski są pełne żołnierskich żon pakujących tobołki dla pułku. Pomyśl tylko! Wrzawa, zamieszanie, maszerujące tłumy, wprost wymarzone, by się w nich ukryć!

Zgódka spojrzała na brata i dostrzegła coś, co z miejsca powinna była zauważyć. Bał jej się o czymś powiedzieć, ale wychodził ze skóry, by to zrobić. Ledwo mógł usiedzieć z tłumionego podekscytowania.

– Co się stało? – spytała, nagle zdjęta złym przeczuciem. – Coś ty zrobił?

– Zgłosiłem się do pułku, by służyć panu Symondowi. Odmówiono mi, ale dołączyłem do rezerwy, która będzie strzec Grizehayes i wioski. Nie patrz tak na mnie! To dobre wieści, to szansa! Dla nas obojga!

– Może dla ciebie. Szansa, żeby odstrzelili ci głowę z armaty!

– Pewnie nigdy nie zobaczę żadnej bitwy! Będę chodzącą roztropnością.

– Będiesz butnym, szalonym żółtodziobem! Inni żołnierze będą ci zlecać same niebezpieczne zadania i oszukiwać w grze w kości.

– Tak, mam – odparł półżartem Kuba, a policzki pomarszczył mu jego brzydki, czarujący uśmiech. Zwykle lubiła, gdy tak do niej mówił, ale dziś przewisko stanęło jej ością w gardle. Nie traktował jej poważnie. – Posłuchaj, Zgódko! Jeśli naprawdę dojdzie do walki, będę mógł się wykazać, a wtedy Fellmotte'owie mnie docenią. Kiedy zdobędę pozycję w rodzinie, będę mógł lepiej cię chronić!

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Pozycję w rodzinie? – powtórzyła za nim. – Umówiliśmy się, że opuszczamy tę rodzinę! Ustaliliśmy, że niczego od nich nie chcemy i że uciekniemy, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja! Czy może plan się zmienił?

Kuba spuścił wzrok i Zgódka zrozumiała, że rzeczywiście plan uległ zmianie. Dotarło do niej, że zmieniał się już od pewnego czasu, jeszcze

przed świętem Trzech Króli.

Już wcześniej czuła, że chłopak powoli odsuwa się od niej i danych jej obietnic. W Grizehayes zaczęto dostrzegać jego talenty. Warto przecież wyciągnąć z tej rodziny jak najwięcej, nieprawdaż? Stopniowo jednak idee te przekształciły się w inną myśl: „Gdybym stał się kimś w Grizehayes, może wcale nie musielibyśmy go opuszczać?”.

– Nie jesteśmy już dziećmi – powiedział defensywnie Kuba. – Jestem mężczyzną. Mam obowiązki... wobec rodziny, wobec króla.

– Wydostanie się stąd to nie dziecięca igraszka! – wypaliła Zgódka, czując, jak policzki jej płoną.

– Doprawdy? – odgryzł się Kuba. – Myślisz, że uda ci się wymknąć Fellmotte'om z... tym? – Kiwnął głową w stronę kawałków mapy. – To od początku była gra, i to taka, w której nigdy nie zwyciężymy. Ród zawsze nas odnajdzie, Zgódko! Trudno, muszę stawić czoła światu. Muszę trzymać się ich zasad i robić to dobrze.

– Wszystko przez fasolkę w torcie – mruknęła dziewczyna z zimną furią.

– Co?

– Fasolka w świątecznym torcie! Los na jedną noc zrobił z ciebie Króla Zamętu i już nie potrafiłeś się oprzeć! Odrzuciłeś wszystkie nasze plany, byle ludzie kłaniali ci się w pas, byli posłuszni i wołali „mój lordzie”. Choć to była szopka, wszystko na niby. Obiecałeś, że uciekniemy razem, Kubo. Obiecałeś!

Tu leżało sedno sprawy. Obok lęku o brata w sercu dziewczyny kryło się żalostne, dziecinne poczucie zawodu.

– Nigdy nie podobały ci się moje plany ucieczki! – syknął Kuba. – Gdybyś była śmielsza... – Urwał, po czym zaczął od nowa, cichym, ostrym tonem: – Dobrze więc, ucieknijmy. Dziś w nocy? Jak to zrobimy? Ukradniemy konia?

Patrzył zbyt trzeźwo, zbyt wyzywająco. Nie mówił serio.

– Musielibyśmy często zmieniać konie. – Zgódka nie potrafiła się oprzeć wyszukaniu słabych stron. – Pamiętasz, jak szybko koń zmęczył się poprzednim razem pod dwiema osobami? Dogonili nas, zanim dotarliśmy do rzeki.

– Pojedziemy w stronę Wincaster...

– Wincaster? Miasta, w którym stacjonuje pułk? Zabiorą nam konia dla kawalerii!

– Sama widzisz! – fuknął Kuba, z frustracją, ale i triumfem. – Nigdy ci nie dogodzę!

Zgódka odczekała chwilę, by się opanować, po czym spojrzała mu

w oczy.

– Pojutrze w Palewich odbywa się targ – powiedziała spokojnie. – Mogę przekonać panią Gotely, żeby posłała mnie tam po prosięta i przyprawy. Będę miała pieniądze i nikt nie będzie się mnie spodziewał przez wiele godzin. Znalazłam pieczęć lakową Fellmotte'ów – możemy ją podgrzać i przyłożyć na fałszywym liście. Ty wyślizgniesz się z domu, a gdyby ktoś cię zatrzymał, pokażesz pismo i udasz, że wiesz je do pułku. Kiedy się spotkamy, kupimy konia, którego rodzina nie pozna. Przebierzemy się i pojedziemy starą drogą przy szubienicy w Wellman. Odłożyłam dość zapasów, abyśmy przez trzy dni nie musieli żebrać ani kupować jedzenia. Pierwszą noc możemy spędzić w jaskiniach Wether, a potem w byle stodole, jaką uda nam się znaleźć.

Plan miał swoje niedociągnięcia, ale był lepszy niż ten Kuby i doskonale wpasowywał się w chaos panującej sytuacji. Chłopak odwrócił wzrok, tak jak podejrzewała.

– Pomówmy o tym innym razem – powiedział, po czym objął i przytulił siostrę. – Musisz mi zaufać!

Był jedynym dwunożnym stworzeniem, które Zgódka darzyła zaufaniem. Stojąc jednak przed nim, czuła, jak wiara w niego wylewa się z niej niczym krew z rany. Wyswobodziła się z jego uścisku i popędziła tunelem pośród kulawego echa własnych kroków odbijającego się od wilgotnych ścian.

ROZDZIAŁ 14

Dzień pożegnań był kapryśnie pogodny i pachniał rozgrzanym w słońcu wrzosem i rozmarynem rosnącym w przykuchennym ogrodzie. Psy, rozstrojone panującym w stajniach i na dziedzińcu zamieszaniem, szczekały, zawodziły i truchtały nerwowo to za jednym człowiekiem, to za innym.

Zgódka była zajęta szykowaniem zapasów w kuchni, półprzytomna po nieprzespanej nocy. Nigdy wcześniej nie pokłóciła się z Kubą tak poważnie i teraz czuła się chora i rozdygotana. Nawiedzało ją wspomnienie ostatniego sporu z matką, bała się, że jeśli nie pogodzi się z bratem, wydarzy się coś straszliwego.

Nawet gdy wyszła na dwór, nie miała okazji porozmawiać z chłopakiem, bo pomagał Symondowi w przygotowaniach do odjazdu.

Szlachcic był opatulony porządnym płaszczem z naoliwionej skóry łosia, jego wysokie buty i kryza lśniły, wiatr bawił się jego białozłotymi włosami. Niespokojne ruchy dłoni w rękawicach i niepokój w oczach lodowej barwy były jedynymi znakami, że nie czuje się komfortowo. Nie po raz pierwszy dziewczynę uderzył kontrast pomiędzy zimnym blond opanowaniem Symonda i swobodnym, szelmowskim uśmiechem Kuby. Niemniej jednak, obserwując, jak młodzieńcy z powagą szeptają ze sobą, wyczuwała ich bliskość. Patrzyła oto na część życia brata, do której nie miała dostępu, na świat męskiej brawury i zażyłości.

Barczysty sir Antoni pierwszy dosiadł konia. Rumak nie darzył go sympatią, bo konie rzadko lubiły Starszych i Lepszych. Jednak, podobnie jak wszystkie zwierzęta w gospodarstwie, zastraszone go, by osiągnąć drżące, lecz niezachwiane posłuszeństwo. Kolejnego rumaka podstawiono synowi dowódcy, Robertowi, postawnemu, ciemnowłosemu młodzieńcowi, który skupiał się chyba wyłącznie na uzyskaniu aprobaty ojca.

Zanim Symond zdążył osiodłać konia, na dziedzińcu zjawił się lord Fellmotte, który podszedł do syna i uroczyście go uścisnął. Był to kontakt pozbawiony ciepła, jak spięcie paska ze sprzączką. Zgódka zastanawiała się, jakie to uczucie, być przytulany przez wypełnioną duchami skorupę wła-

snego ojca.

Symond ani drgnął. Jeśli targały nim jakiekolwiek emocje, żadna z nich nie odmalowała się na jego obliczu.

* * *

Tej nocy Zgódka przewracała się z boku na bok na swoim wąskim pościeli pod kuchennym stołem, utulana oddechami i sennym powarkiwaniem psów leżących przed paleniskiem.

Jeszcze przed brzaskiem w korytarzu rozległ się brzęk, który wyrwał ją ze snu i wygnał z łóżka. Po chwili zaczęła skradać się do drzwi, dzierżąc nóż do mięsa w jednej dłoni i zapaloną świecę w drugiej.

W progu pojawiła się ciemna postać z uspokajająco uniesioną ręką.

– Zgódko, to ja! – szepnął przybysz.

– Kuba! – syknęła dziewczyna. – Wystraszyłeś mnie na śmierć! Co tu robisz?

– Musiałem z tobą porozmawiać. – Chłopak patrzył na nią ze skupieniem.

– Przepraszam za to, co wcześniej mówiłem. Wybacz, że zlekceważyłem twój plan ucieczki...

– Ja też przepraszam – wyszeptała pospiesznie Zgódka, by ukrócić wszelkie jego wymówki. – Wiem, że nie możesz uciec z rezerwy. Nie powinnam była na ciebie naciskać. Byłbyś dezserterem...

– Nie przejmuj się! – Kuba szybko zerknął przez ramię. – Masz jeszcze tę pieczęć lakową? Pieczęć Fellmotte'ów, o której mówiłaś?

Dziewczyna skinęła głową, wstrząśnięta taką nagłą zmianą frontu.

– Trzymaj! – Zbliżył się do niej i wepchnął jej w ręce plik poskładanych papierów. – Czy możesz przyłożyć ją na zewnętrznej stronie?

– Co to jest? – Zgódka nie kryła zdziwienia. Dokumenty zaszeleściły sucho w jej garści.

– Nieważne. Gdy tylko opatrzysz je pieczęcią, będzie wyglądało jak mel-dunek. Będę udawał posłańca – tak jak mówiłaś.

– Chcesz powiedzieć... że wdramamy nasz plan? – Zgódka nie mogła w to uwierzyć.

– Nadal jesteś chętna? Dasz radę po południu dotrzeć do Palewich? – Na twarzy Kuby malowało się wzburzenie, być może nawet gniew.

– Tak.

– Czekaj o czternastej przy dybach. Dużo... bardzo dużo się teraz dzieje. Ale jeśli uda mi się wyrwać...

– Będę czekać – zapewniła szybko. Uświadomiła sobie, że coś się wyda-

rzyło – coś, co zmieniło nastawienie chłopaka o sto osiemdziesiąt stopni. Jeśli tylko zdąży podnieść żagle, może udałoby jej się schwytać ten nagły powiew.

Kuba wyciągnął ręce i ścisnął jej dłonie.

– Przyłóż pieczęć na dokumentach i dobrze je ukryj. Nie pozwól, żeby ktokolwiek je zobaczył!

– Dam ci je jutro – odszepnęła Zgódka.

– Muszę iść, dom niedługo zacznie się budzić. – Kuba przytulił jeszcze siostrę, po czym zawahał się, patrząc jej prosto w oczy. – Zgódko... cokolwiek się wydarzy, przyjdę po ciebie. Obiecuję. – Ścisnął jeszcze jej ramiona i zniknął w mroku.

Nie było czasu do stracenia. Nadchodził świt i wkrótce w kuchni mieli pojawić się ludzie. Zgódka wślizgnęła się do spiżarni, wyjęła luźną cegłę i wydobyla ze schowka pieczęć. Była w doskonałym stanie, lekko tylko wyblakła i ukruszona na brzegach.

Dziewczyna chętnie przejrzałaby dokumenty, żeby sprawdzić, co Kuba porwał w pośpiechu, ale już dniało. Ilekroć skrzypnęła deska w podłodze, Zgódka oczyma wyobraźni widziała, jak pani Gotely kuśtyka do kuchni.

Podgrzała w żarze nóż, po czym ostrzem roztopiła płaską podstawę pieczęci. Bardzo ostrożnie odcisnęła lak na papierze, tak aby złączył brzegi pliku.

Wtem dobiegło ją stukanie laski pani Gotely, więc rzuciła się ku jednemu ze żłobów solnych, gdzie pozostawiano mięso do wyschnięcia. Owinęła paczuszkę szmatką i zagrzebała w brązowych ziarnach soli sięgających krawędzi żłobu.

Jej serce, gnane nadzieją, omal nie wyskoczyło z piersi.

* * *

Następnego dnia dom wydawał się osamotniony, niepewny.

Podczas gdy pozostali służący plotkowali, martwili się i snuli swe rozważania, Zgódka ze spokojem na twarzy oddawała się pracy. Cały czas nachodziły ją myśli: *Może po raz ostatni myję ten kufel. Pewnie ostatni raz niosę pani Gotely herbatę.* Była zaskoczona wyrzutami sumienia, jakie w niej wzbudzały. Zwyczaj, miejsca i twarze z czasem wrastają w człowieka, niczym korzenie drzewa przebijające się przez tynk.

Zgódka miała nadzieję, że uda jej się jeszcze porozmawiać z Kubą, ale tym razem szczęście jej nie sprzyjało. Lokaj, Stary Wroniec, zachorował w nocy, więc chłopakowi zlecono dodatkowe zadania. Wreszcie dopadła

brata na dziedzińcu i wepchnęła mu w ręce zawinięty w szmatkę pakunek, zawierający chleb, ser, cienki kawałek żytniego placka i tajemne dokumenty. Kuba przyjął zawiniątko, posyłając jej znaczące spojrzenie.

Tak jak Zgódka przewidywała, nie było żadnych kłopotów z namówieniem pani Gotely, by posłała ją na targ po prosięta, przyprawy i inne artykuły.

Zaufanie było jak pleśń, która rozrasta się z czasem w niedogłądanych miejscach. Wiara w dziewczynę była komfortowa, brak wiary byłby niewygodny i męczący. Z biegiem lat Zgódka obrosła w nieuważne zaufanie ludzi.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy przecinała dziedziniec, niosąc dwa duże, pękate kosze. Dopiero gdy wychodziła przez bramę, zjawił się przy niej nagle Młody Wroniec.

– Podobno wybierasz się na targ? – Jego ton był celowo bezceremonialny. – Na tych wiejskich drogach zawsze lepiej mieć towarzystwo.

Dziewczynę przeszedł dreszcz.

Młody Wroniec nie po raz pierwszy wykazywał się wobec niej opiekuńczością. Gdy skończyła trzynaście lat, tym samym stając się potencjalnym łupem pewnego typu mężczyzn, zaczął działać jak swego rodzaju stróż. Ku własnemu skrzepowaniu i zawstydzeniu Zgódka cieszyła się z tych interwencji. Wiedziała jednak, że nie były one aktem rycerskości czy sympatii. Wroniec chronił po prostu własność Fellmotte'ów. Najwyraźniej zadanie to było ważniejsze od opieki nad niedomagającym ojcem.

– Dziękuję – powiedziała, starając się, by zamiast niepokoju w jej głosie brzmiała nieśmiałość.

Doszli na targ w Pelwich. Młody Wroniec nie odstępował jej na krok, więc dziewczyna musiała posłusznie chodzić od stoiska do stoiska, kupując towary z listy starej kucharki. Co chwilę zerknęła na zegar słoneczny na wieży kościoła.

Niedźwiedź nigdy nie lubił ścisku, odgłosów i zapachów placów handlowych. Zgódka odczuwała jego niezadowolenie w postaci bólu w swym własnym ciele i palących, chaotycznych przebłysków pamięci. Wracały do niej wizje otaczających ją bezwłosych, prześmiewczych, wydzierających się twarzy i pieczenie złośliwie ciskanych kamieni.

Nikt ci już tego nie robi – uspokajała Niedźwiedzia, podczas gdy rósł w niej jej własny gniew. *Nigdy, już nigdy. Obiecuję.*

Zbliżała się czternasta, gdy Zgódka skorzystała z okazji i zgubiła Młodego Wronca w tłumie. Przepisnęła się w okolicę dybów i czekała, ukryta za starym cisem.

Wkrótce z czternastej zrobił się kwadrans po, wreszcie wpół do trzeciej.

Kuby nie było.

Może rozzłościł go jakiś wypadek, co skłoniło go do myśli o ucieczce, a potem inne zdarzenie wprawiło go z powrotem we wspianiały nastrój. Wykonał dobrze polecenie albo otrzymał pochwałę od oficera przełożonego. Znalazł się w gronie lubianych towarzyszy.

Nie przyjdzie. Zgódka poczuła w klatce piersiowej bolesne szarpnięcie i pomyślała, że chyba właśnie pękło jej serce. Czekala chwilę, by przekonać się, co będzie dalej. Może serca tłuką się jak jajka, rozlewają się i przestają działać. Ona czuła jednak tylko odrętwienie. *Pewnie moje serce już dawno zostało złamane i nigdy się nie zrosło.*

Za kwadrans piętnasta odszukał ją Młody Wroniec. Wymyśliła jakąś wymówkę i biła się w pierś aż do bólu. Odprowadził ją do domu z dość urażoną miną.

Na widok Grizehayes dziewczynę zalała fala smutku. „A jednak, oto jesteś – zdawały się witać ją szare mury. – Oto jesteś, na zawsze”.

Gdy wróciła do kuchni, Długa Alicja akurat dzieliła się z panią Gotely najświeższymi plotkami.

– Słyszała pani? Kuba Winnersh uciekł! Zostawił liścik, znaleźli go dziś rano! Wymknął się, by zaciągnąć się do pułku! Cóż, trudno się dziwić. Wszyscy wiedzą, jak bardzo był zawiedziony, gdy nie dostał zgody na wyjazd!

Zgódka walczyła, by zachować pokerową twarz. A więc Kuba uciekł, ale bez niej.

– Mówił ci, co planuje? – zwróciła się do niej Alicja, świdrując ją bezlitośnie bystrym spojrzeniem. – Zawsze byłaś jego przyjaciółką, prawda? Myślałam, że dzielił się z tobą wszystkim.

– Nie – odparła Zgódka, godząc się ze swym bólem. – Nie dzielił się.

Skorzystał z jej planu, pieczęci i pomocy, a potem odjechał w wielki, nowy świat, zostawiając ją samą.

ROZDZIAŁ 15

Kuba był głównym tematem plotek przez kilka kolejnych dni. Wysłano za nim Białego Wronca i większość mieszkańców Grizehayes spodziewała się, że wkrótce przywloką chłopaka z powrotem.

Niemniej jednak czwartego dnia stało się jasne, że coś poszło bardzo nie tak. Młody Wroniec i pozostali służący biegali tam i z powrotem, przetrząsając dom i nosząc listy. Gdy Zgódka z panią Gotely przyrządzały obiad, drzwi kuchni gwałtownie się otwały.

Młody Wroniec wmaszerował do środka, zupełnie bez swojej zwykłej przemyślanej nonszalancji. Ku osłupieniu dziewczyny podszedł wprost do niej i złapał ją za ramię z zadziwiającą siłą.

– Co u licha... – zaczęła pani Gotely.

– Lord Fellmotte życzy sobie ją widzieć – warknął młodzieniec. – Bez zwłocznie.

Gdy wyciągano ją z kuchni, Zgódka starała się zebrać potargane myśli i utrzymać równowagę. Czymś podpadła. Lord Fellmotte o coś ją podejrzewał, lecz nawet nie wiedziała o co.

* * *

Młody Wroniec nie raczył niczego wyjaśnić, gdy włókł dziewczynę głównymi schodami wprost do gabinetu lorda Fellmotte'a.

Szlachcic siedział, czekając na nią, a jego spokój nigdy nie wydawał jej się bardziej ponury. Gdy przekroczyła próg, odwrócił głowę, by patrzeć, jak się zbliża. Nie po raz pierwszy Zgódka zastanowiła się, który z duchów poruszył jego głowę i jak zjawy w ogóle podejmowały decyzje. Głosowały? Ustaliły określony podział obowiązków? A może współpracowały od tyłu żywotów, że zdążyły się do tego przyzwyczaić?

Lord Fellmotte nie był człowiekiem. Stanowił prastarą komisję. Parlament cmentarnych gawronów na usychającym drzewie.

– Znalazłem ją – oznajmił Młody Wroniec dumnie, jakby Zgódka nie wiedzieć gdzie się ukrywała.

– Ty niewdzięczna, mała zmijo – wycedził lord Fellmotte powoli, lodowatym głosem. – Gdzie to jest?

Gdzie co jest? Chyba nie miał na myśli lakowej pieczęci? Wykradła ją przed wieloma miesiącami.

– Wybacz, mój panie. – Wzrok trzymała spuszczonej. – Nie wiem, co... – Spod rzęs widziała, jak lord wstaje i podchodzi do niej. Jego bliskość przyprawiła ją o ciarki.

– Nie kłam! – Lord Fellmotte huknął tak nagle i głośno, że Zgódka aż podskoczyła. – Jakub Winnersh zrekrutował cię do pomocy. Opowiesz nam o tym. W tej chwili.

– Kuba?

– Zawsze byłeś jego ulubioną współpracowniczką, posłusznym pieskiem. Do kogo innego miał się zwrócić, jeśli szykował się do tak desperackiego kroku?

– Nie wiedziałam, że planuje ucieczkę! – powiedziała prędko Zgódka, przypominając sobie poniewczasie, że Starsi umieli rozpoznać, kiedy ktoś kłamie. W zasadzie miała świadomość, że chłopak opuści dom, nie znała tylko sposobu.

– Traktowaliśmy cię tu dobrze, dziewczyno – warknął lord Fellmotte. – To może się zmienić. Mów prawdę. Powiedz nam o środku nasennym, który sporządziłeś na prośbę ściganego.

– Co takiego? – Niespodziewane pytanie zbiło Zgódkę z tropu. – Nie! Nigdy nie zrobiłam czegoś podobnego!

– Oczywiście, że zrobiłaś – odparł chłodno szlachcic. – Nikt w całym domu, z wyjątkiem pani Gotely, nie ma odpowiednich umiejętności. Co więcej, masz szczęście, że nie toczy się sprawa o morderstwo. Lokaj ma już swoje lata i mikstura podziałała na niego wyjątkowo mocno. Mogła nawet zatrzymać pracę jego serca!

– Lokaj? Stary Pan Wroniec? – Zgódka była kompletnie zdezorientowana.

– Kuba przyniósł mojemu ojcu kubek napoju w noc przed wyruszeniem pułku – wyjaśnił spokojnie Młody Wroniec. – Po godzinie ojciec już leżał bez czucia. Następnego ranka ledwo trzymał się na nogach i do teraz nie odzyskał sił...

– Wiemy, dlaczego został otruty – ciągnął nieustępliwie lord Fellmotte. – Jakub ukradł mu klucze, aby splądrować gabinet, w którym przechowywane są dowody tytułu własności, po czym odłożył je na miejsce. Gdzie on jest, dziewczyno?! Czy Winnersh wziął go ze sobą? Gdzie jest nasz edykt?

Zgódka patrzyła na nich z otwartymi ustami. Wiedziała o istnieniu jed-

nego edyktu, tajemniczego dokumentu od samego króla Karola, dającego Fellmotte'om przyzwolenie na podtrzymywanie rodzinnych tradycji.

– Nic na ten temat nie wiem! – wykrzyknęła. – Po co Kuba miałby wziąć edykt? Nigdy nie sporządzałam na jego prośbę żadnej mikstury nasennej, a gdybym się na to porwała, z pewnością zrobiłabym ją dość porządnie, aby nie ryzykować, że jakaś nieszczęsna dusza przeniesie się na tamten świat!

Zapanowała długa cisza. Zgódka zdawała sobie sprawę, że lord Fellmotte chodzi wokół niej, uważnie jej się przyglądając.

– Może mówisz prawdę na temat środka nasennego – odezwał się wreszcie cicho. – Ale coś ukrywasz.

Zgódka przełknęła ślinę. Plik papierów, który Kuba jej przekazał, był spory – chyba wystarczająco, by ukryć w nim edykt. Dziewczyna sięgnęła pamięcią do ich ostatniej rozmowy, badając ją jak robótkę ręczną, ciągnąc w luźnych miejscach, opuszczonych oczkach nieprawidłowości. Wydawało jej się wtedy, że Kuba jest zły i niezdecydowany. Teraz zrozumiała, że zachowywał się nieswojo i wymijająco.

Po co, Kubo? I dlaczego zostawiłeś mnie tu, żebym poniosła karę?

– A więc? – ponaglał lord Fellmotte.

Gdyby Zgódka chciała kupić sobie od rodziny trochę łaski, właśnie nadeszła chwila, by wyjawić wszystko, co wie. Zaczerpnęła powietrza.

– Wybacz, mój panie, lecz nic nie wiem.

Szlachcic wyprostował się gniewnie, ale dziewczyna nie poznała wydanego na nią wyroku. Dokładnie w tej chwili rozległo się bowiem pukanie do drzwi.

Wyraz twarzy jego lordowskiej mości był trudny do odczytania, mimo to Zgódce zdawało się, że dostrzegła w zimnych oczach ślad poirytowania.

– Wejść!

W progu stanął Stary Wroniec, pochylony niżej niż zwykle, najwyraźniej świadom, że wkroczył w niesprzyjającym momencie.

– Panie, proszę o wybaczenie, ale nakazał pan natychmiast zawiadomić, gdyby wrócił mój brat...

Lord Fellmotte zmarszczył brwi i trwał w milczeniu przez kilka sekund. Zgódka wyobraziła sobie, jak duchy syczą i naradzają się w mroku jego czaszki.

– Niech wejdzie – padła krótka komenda.

Po chwili zjawił się Biały Wroniec, wciąż w oficerkach, z białą czupryną lśniąca od kropel deszczu. Kapelusz ścisnął w dłoni, ale wydawało się, że najchętniej zdejmowałby jedno nakrycie głowy po drugim. Jego złana potem twarz wyglądała mizernie, jakby jechał z daleka, zażywając niewiele snu,

a w jego spojrzeniu czaił się paniczny strach.

– Mój panie... – zaczął i przerwał, nisko chyląc głowę.

– Odnalazłeś chłopaka?

– Wytropiłem go, panie. Rzeczywiście dogonił pułk i dołączył do niego.

– Zatem zakładam, że przywozisz wiadomość od sir Antoniego? – zapytał z werwą lord Fellmotte. – Przysyła wieści o oddziale?

– Mój panie... Tak... Ja... mam wieści o oddziale. – Biały Wroniec przeklnął ślinę. – Nasi ludzie przyłączyli się do innego wojska i zgodnie z planem zmierzali do mostu Hangerdon... ale natknęliśmy się na wroga, zanim zdołaliśmy zająć most, panie. Doszło do walki.

Zgódka poczuła, że zaraz zemdleje. Pomyślała o dumnym, lekkomyślnym Kubie, szarżującym najeżoną linię pik czy uchylającym się przed kulami z muszkietów.

– Mów dalej. – Lord Fellmotte zawiesił na posłańcu kamienne spojrzenie.

– To była... straszna bitwa, panie, pełna zamieszania, istna rzeź. Pola usłane są... – Znów przerwał wypowiedź. – Wybacz, mój panie. Twój szlachetny kuzyn, sir Antoni... jest już pod Bożą opieką.

– Nie żyje? – Lord Fellmotte zacisnął szczęki. – Jak zginął? Czy wszystko odbyło się jak należy, Wrońcu? Czy sir Robert był na miejscu, czy był gotowy?

Biały Wroniec potrzasał głową.

– Sir Robert również przepadł. Poza tym nie było szans, nie było czasu na nic. Nastąpił nieoczekiwany... zwrot.

Przez chwilę oblicze lorda Fellmotte'a wyrażało różne emocje, migające niczym blask ognia na starej kamiennej ścianie. Szok, gniew, oburzenie. Pojawił się i żal, lecz nie był to smutek żywego człowieka, ale raczej żalność klifu, który ostał się po osunięciu ziemi.

– A mój syn?

Biały Wroniec otworzył usta, jednak głos uwiązł mu w gardle. Rzucił Zgódce nerwowe spojrzenie, najwyraźniej nie chcąc o tym mówić w jej obecności.

– Mówże wreszcie! – krzyknął lord Fellmotte. – Czy Symond żyje?

– Mamy powody wierzyć, że tak, panie. – Sługa przymknął oczy i wypuścił powietrze z płuc, jakby próbował się opanować. – Mój panie... nikt nie wie, gdzie on się znajduje. Odnaleziono ten list, opatrzony jego pieczęcią. Zaadresowany do waszej lordowskiej mości.

Zgódka zatopiła paznokcie w dłoniach. *A Kuba?* Ledwo powstrzymywała się od krzyku. *Czy on żyje?*

Lord Fellmotte przejął pismo, złamał pieczęć i czytał. Drobne konwulsje

wstrząsały jego twarzą. Ręka zaczęła drżeć.

– Opowiedz o bitwie – odezwał się niskim głosem. – Co zrobił mój syn? Mów prawdę!

– Wybacz mi, panie! – Biały Wroniec przez kilka sekund nie odrywał wzroku od swoich butów, po czym wreszcie podniósł oczy. – Nasz pułk ruszył z resztą piechoty wzdłuż grzbietu wzgórza Hangerdon, w szeregu kompanii, każda z własnym dowódcą. Po pierwszej szarży nasi żołnierze znaleźli się daleko w przodzie – poza zasięgiem słuchu – więc wszyscy patrzyli na sir Antoniego. Ustawiał konia w kierunku, w którym mieli atakować. Jednak gdy czekali na rozkazy, sir Antoni osunął się w siodle i zaczął spadać z konia. Pan Symond, który znajdował się tuż obok niego i próbował go podtrzymać, krzyknął, że kula z muszkietu trafiła dowódcę pod żebra. Chciał przejąć jego ciężar, ale wówczas konie potrafiły się wzajemnie i rumak sir Antoniego wstąpił na wzniesienie. Nasi żołnierze, którzy wyrwali daleko naprzód, wzięli to za sygnał. Ruszyli do ataku – nie z resztą armii, lecz z dala, pod kątem – na liczne zastępy wroga. Pan Symond przekazał sir Antoniego swoim ludziom i zawołał, że przejmuje dowodzenie nad pułkiem. Powiedział, że zjedzie w dół i wezwie oddział do odwrotu, rozkazał też sir Robertowi, żeby mu towarzyszył...

Biały Wroniec znów się zawahał.

– Ale nie cofnął ich, panie. Kiedy dotarł do linii frontu, poprowadził nasze siły wprost w paszczę wroga.

Co z Kubą?

– Mów dalej. – Lord Fellmotte zaciskał zęby, na jego twarzy wystąpiły plamy, dłonie były mocno splecione.

– To tylko słowa prostych żołnierzy – z oporem ciągnął sługa – ale twierdzili, że widzieli, jak pan Symond zdiera z czapki barwy pułku i odjeżdża w dal.

– Czy sir Antoni naprawdę zginął od kuli? – spytał lord Fellmotte zachrypłym, nierozpoznawalnym głosem.

– Nie, mój panie – przyznał Biały Wroniec, zniżając głos niemal do szeptu. – Przekłuto go długim ostrzem.

Zgódka nie mogła wyjść z osłupienia. Była tak zajęta zamartwianiem się o Kubę, że z początku nie zrozumiała, dokąd zmierza opowieść. *Ale... przecież to niemożliwe! Symond zawsze robił wszystko, by być złotym chłopcem, ukochanym skarbem rodu! Dlaczego to odrzucił?*

– Mój syn... – Lord Fellmotte z trudem przełknął ślinę. – Mój własny syn nas zdradził! Ma edykt! Będzie miał czelność grozić nam... – Urwał i wydał z siebie powolne, drżące westchnienie. Kącik jego ust zwiśł, spojrzenie zro-

biło się szkliste.

– Jego lordowska mość zaniemógł! – Zgódką nie mogła dłużej milczeć. – Wezwać lekarza! – Zaraz jednak przypomniała sobie, że jego osobisty lekarz i lokalny golarz oraz chirurg w jednym wyjechał wraz z pułkiem. – Wezwijcie kogokolwiek! Przynieście szklanekę mocnej brandy!

Biały Wroniec wybiegł wszcząć alarm, a Zgódką pospieszyła ku lordowi Fellmotte'owi, by powstrzymać go przed upadkiem z krzesła.

– Mój syn – powiedział cichutko szlachcic. Przez jedną chwilę dziewczyna widziała w jego oczach sir Tomasza sprzed czasów Dziedzictwa. Jego ton wyrażał odrętwiałe zaskoczenie i głęboki smutek, jakby to jego Symond przeszył szpadą.

CZEŚĆ TRZECIA

MAUD

ROZDZIAŁ 16

Dziesięć minut później wokół lorda Fellmotte'a zebrało się niewielkie stado Wrońców. Biały Wroniec, Młody oraz lokaj, Stary Wroniec, gapili się na bezwładną postać swego pana, jakby księżyc spadł z nieba i legł u ich stóp. Z kuchni przyniesiono czarkę brandy, którą Zgódka wlewała osłabłemu do ust.

– Mój panie, mój panie, czy mnie słyszysz? – Stary Wroniec zajrzał w twarz szlachcica. – O, jest źle. Jest niebezpiecznie źle.

Twarcz lorda przybrała barwę starej porcelany. Jego oczy były wciąż żywe i dziewczyna widziała przez nie duchy, lśniące i gotujące się ze złości, jak żuczki miotające się na płonącym pniaku. Gdzieś w złożonej maszynarii ciała mężczyzny przekrzywił się jakiś trybik, niemal pozbawiając go zdolności ruchu.

Zgódka zastanawiała się, czy w tej śmiertelnej skorupie zostało jeszcze cokolwiek z prawdziwego sir Tomasza. Może tak, może nie. Jednak serce, które biło w jego piersi, należało do niego i być może wiadomość o zdradzie syna właśnie je złamała. Może to wystarczyło, by zniszczyć całą maszynę.

– Musimy przenieść jego lordowską mość do sypialni – oświadczył Stary Wroniec. – Dyskretnie – pozostali służący nie mogą się dowiedzieć, że zaniemógł. Rodzina nie powinna okazywać słabości w tak trudnym czasie.

Zgódka pomagała i nikt jej tego nie bronił. Kiedy szlachcic spoczął już bezpiecznie w swojej komnacie, Wrońce odbyli szeptem szybką naradę, niemal stykając się przypominającymi dzioby nosami.

– Potrzebny nam lekarz – mruknął Stary Wroniec. Jego małe czarne oczy wędrowały tam i z powrotem, jakby przesuwiał w myślach koraliki na liczydło. – Powinniśmy wysłać jeźdźca w okolice Palewich, Carnstable, Treadstick i Gratfordu i sprawdzić, czy ostał się jakiś medyk, który nie wyruszył z pułkiem. – Zwrócił się do Białego Wrońca i zadał wreszcie pytanie, które nieprzerwanie nękało Zgódkę: – Co się stało z Kubą?

– Z Kubą? – Biały Wroniec wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony.

– Tak, z Kubą! Czy przeżył?

– Nie zwróciłem uwagi, ale... tak, słyszałem, że widziano go żywego po bitwie.

Kuba żył. Ciepła fala ulgi zalała dziewczynę, wywołując rumieniec na jej twarzy i szyi.

– Gdzie jest teraz? – spytał starzec. – Towarzyszył Symondowi w ucieczce?

– Nie. – Biały Wroniec potrząsnął głową. – Doszły mnie słuchy, że został z oddziałem i walczył dzielnie, nawet w najcięższych chwilach. Mniemam, iż nadal jest z wojskiem, ale nie marnowałem czasu na sporządzanie listy ocalałych. Po walce zapanowało ogromne zamieszanie, a ja chciałem jak najprędzej dostarczyć wieści do Grizehayes.

– Nie starałeś się go odszukać? – Oblicze Starego Wronca przybrało odcień ciemnej śliwy. – Ty jeden powinieneś to wiedzieć! Jeśli jego lordowska mość nie ozdrowieje, to nasi państwo będą wkrótce potrzebowali nowego pojemnika! Symond zbiegł, Robert poległ, a pozostali są porzuceni po całym kraju. Potrzebujemy Kuby!

Zgódka wstrzymała oddech. Dotąd jej umysł skupiał się na losie jej przyrodniego brata i zapaści stryja. Wtem jednak poraziła ją świadomość niebezpieczeństwa, które wisiało nad nią samą. Niedługo Wronce przypomną sobie, że wcale nie potrzebują Kuby.

– Jeśli gdzieś się chowa, znajdziemy go – powiedział Stary Wroniec. – Musimy też powiadomić resztę rodziny lub jak największą jej część. Decyzja należy do nich.

Omiótł Zgódkę spojrzeniem pełnym podejrzliwości i wrogości.

– A dziewczyna... może należeć do tego gniazda żmij. Tak czy inaczej, nie możemy pozwolić, by chodziła wolno, rozmawiała z innymi służącymi lub próbowała ostrzec Jakuba. Zamknąć ją.

I tak to Zgódka znalazła się z powrotem w Ptasiej Komnacie. Dopiero gdy usłyszała klucz przekręcany w zamku i miała pewność, że jest sama, osunęła się wzdłuż ściany.

Zapach celi zbudził Niedźwiedzia. Zwierzę rozpoznało zakratowane okienko oraz zimne, obskurne ściany. Wspomnienia były mgliste, ale kojarzyło to miejsce z bólem.

Och, Niedźwiedziu, Niedźwiedziu... Dziewczyna nie potrafiła dodać mu otuchy.

Kubo, co powiedział ci Symond? Jak cię przekonał, byś pomógł mu wykraść edykt? Co obiecał ci w zamian? Przysiągł ci władzę, sławę czy wolność?

Wiedziałeś, że planuje zabić sir Antoniego i zdradzić cały pułk? Nie. Na

pewno nie. Pragnęłaś zostać bohaterem. Służyć królowi. Marzyłeś, by należeć do braterstwa broni. Znałeś tylko połowę planu, prawda?

– Och, Kubo, ty głupcze! – mamrotała na głos. – Dlaczego knułeś z nim zamiast ze mną? Zaufałeś niewłaściwej stronie rodziny!

* * *

Po czterech dniach izolacji i żywienia się kleikiem Zgódka została wyprowadzona z Ptasiej Komnaty przez Młodego Wronca.

– Oporządź się jakoś – rzucił ponuro. – Starsi życzą sobie z tobą rozmawiać – w Sali Map.

Serce waliło jej jak młotem, gdy podążała za nim po schodach w dół.

Ćśś, Niedźwiedziu – myślała, pragnąc wyciszyć własny umysł. Zwierz nie pojmował, co się dzieje, ale dziewczyna podejrzewała, że wyczuwa on jej tłumioną panikę. Czowała, jak porusza się niepewnie. *Cśś, Niedźwiedziu*.

Sala Map, zagrzebana w czeluściach Grizehayes, była pozbawiona okien. W maleńkich niszach, pociemniałych od sadzy, migotały świece. Ściany podzielone były na panele, a na każdym widniała inna mapa bitewna. Większość przedstawiała wielkie triumfy chrześcijan – oblężenie Malty, Wiednia oraz walki z Saracenami podczas krucjat. Błękitne morza wiły się wokół identycznych stateczków. Generałowie jawili się niczym olbrzymi przy miniaturowych rzędach żołnierskich namiotów.

Widząc cieniste kształty trojga Starszych oczekujących jej w milczeniu, Zgódka zastanawiała się, czy któryś z zamieszkujących ich duchów uczestniczył w uwiecznionych na płótnach bitwach. Może pamiętali, jak wiatr wydymał wymalowane żagle lub jak haftowane armaty pluły dymem.

Kiedy Młody Wroniec wprowadził dziewczynę do sali, dwie z usadowionych w niej postaci podniosły na nią wzrok.

Pierwszą z nich był sir Marmaduke. Zgódkę ponownie onieśmielił jego potężny wzrost i aż zadygotała na wspomnienie ucieczki przed nim przez mroczne mokradła. Jego widok wywołał w niej fizyczną panikę, jak u myszy, która zamiera na dźwięk pohukiwania sowy.

Drugą była lady April, ze swym blaszано-białym licem, kośćmi policzkowymi ostrymi niczym nóż i drobnymi, przypominającymi pazurki, dłońmi. Siedziała na krawędzi krzesła, obserwując Zgódkę z wytrącającą z równowagi uwagą.

Wzrok dziewczyny przesunął się ku trzeciej sylwetce i nagle świat niepojęcie zawirował. Człowiek ten był o wiele młodszy niż jego kompani, a jednak towarzyszył im, odziany w zielony aksamitny płaszcz i zdobione haftem buty. Każdy jego centymetr był jej znany tak dobrze jak zarys jej własnych

dłoni, a jednak niewyobrażalnie przekształcony, jak u potwora z nocnego koszmaru.

W końcu podniósł głowę i spojrzał na Zgódkę, a jego usta rozwarły się w uśmiechu. Rozpoznała podwójne zmarszczki na policzkach, maleńkie zadraśnięcia i blizny od upadków i bójek, uczciwe ręce łobuza.

– Kuba – szepnęła Zgódka, czując, jak jej umysł zasnuwa ciemność rozpacz.

Uśmiech nie należał do niego, a z jego oczu wyglądali umarli.

ROZDZIAŁ 17

– Nie – wyrwało się cichutko Zgódce. Jej głos rozległ się tak blado i płasko, że sama ledwo go usłyszała. *Nie, tylko nie Kuba. Zniosę wszystko, byle nie to.* Jak z oddali docierało do niej, że Starsi prowadzą jakąś rozmowę, ale ich słowa padały obok niej niczym grad. – Kuba – powtórzyła. Miała wrażenie, że w jej umyśle złamała się oś.

– Na litość boską, czy ona naprawdę jest taka tępa?! – warknął sir Marmaduke.

– Nie, ale uwielbiała swojego przyrodniego brata. – Kuba-Starszy spojrział na Zgódkę swoimi nawiedzonymi oczami i obdarzył ją uśmiechem, w którym widniała niemal czułość. – Była jego wiernym narzędziem. Prowadzili pewnego rodzaju grę, rojąc sobie, że są uwięzieni niczym książęta w Tower, i snując wizje ucieczki. Iskra i geniusz planów to była jego domena. Ona się angażowała, ale była zbyt płochliwa na taką konspirację.

Zgódka zagryzła zęby i walczyła, by nie stracić panowania nad sobą. Jeśli teraz wypuści z rąk wodze emocji, poniosą ją, a w dodatku porwą Niedźwiedzia.

– Jesteś pewien, że nie wiedziała o kradzieży edyktu? – spytała lady April swym jasnym, cyzelowanym głosem.

– Ukryła go dla Kuby przez noc, ale nie miała pojęcia, co to właściwie jest. – Kuba-Starszy wydał usta w kwaśnym rozbawieniu. – Była narzędziem w rękach chłopaka, tak jak nim z kolei posługiwał się Symond. Żadne z nich nie wie, dokąd udał się nasz dziedzic. Żadne też nie spodziewało się jego ucieczki.

Zgódka wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku i bólu, a jej umysł z całych sił starał się przyjąć prawdę. Kuba był opętany. Jej brat stał się wrogiem.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy przypomniała sobie, jak lord Fellmotte porównał wspomnienia sir Tomasza do „bałaganu w zaniedbanej bibliotece”. Duchy, które zamieszkały w Kubie, miały dostęp do jego wspomnień. Przejęły całą jego wiedzę. Każdą tajemną rozmowę, każdy plan, każdy wspólny sekret... Na samą myśl dziewczynę zemdliło i targnął nią

zimny dreszcz.

Musieli schwytać Kubę i przywlec go z powrotem do Grizehayes, żeby wlać w niego zjawy z lorda Fellmotte'a. Nie, ta wersja rodziła pewne wątpliwości. Głos, którym przemawiał nowy Starszy, nie należał do jej brata, ale nie przypominał też głosu lorda Fellmotte'a.

– Czy naprawdę do tego doszło? – spytał ostro sir Marmaduke, lustrując Zgódkę z nieukrywaną pogardą. – Spójrzcie na nią! Jak w ogóle możemy rozważać użycie tego dziobatego flejtucha?

– Nie mamy takiego luksusu jak czas! – odciął się Kuba-Starszy. – Lord Fellmotte gaśnie w oczach.

– Wykorzystajmy ją więc jako tymczasową kryjówkę, dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego – zaproponował sir Marmaduke.

Lady April syknęła gwałtownie z dezaprobatą.

– Nie! Wiesz, z jakim ryzykiem wiążą się każde nasze przenosiny! Jeśli będziemy ciągle przelewać się z pojemnika do pojemnika niczym wino z beczki, niektórzy z nas mogą się rozlać. Czy nasz ród nie dość ostatnio ucierpiał?

– Zaiste! – poparł ją Kuba-Starszy. – Pamiętaj, że za naszego Dziedzictwa straciliśmy dwoje członków naszej koterii! Po zadaniu przez Symonda śmiertelnej rany leżeliśmy, krwawiąc, przez pięć minut, zanim chłopak przybiegł nam pomóc. Mieliśmy szczęście, że cała nasza siódemka nie szczyła.

A więc to tak. Duchy w Kubie nie pochodziły z Tomasza Fellmotte'a, ale z sir Antoniego, zamordowanego przez bratanka na polu bitwy. Chłopak najwyraźniej wyrwał się z jatki, żeby ratować konającego krewniaka, i zdażył w samą porę, by zajęły go jego duchy.

Odrętwiała Zgódka uświadomiła sobie, że sytuacja zrobiła się dla niej szalenie niebezpieczna. Kuba nie mógł już pomieścić zjaw z sir Tomasza. Nie było pod ręką innych osób z rodowym darem. W końcu wzrok Fellmotte'ów padł na dziewczynę.

Kuba i jego głupie bohaterstwo... Zgódka przymknęła oczy, próbując oddychać. Czowała, jak wzbiera w niej fala gorąca, niema, bezradna furia i żal. *Cśś, Niedźwiedziu, cśś.*

– Czy ta dziewczyna pobierała jakiegokolwiek nauki? – wypytywał tymczasem sir Marmaduke.

– Umie czytać i pisać – odparł pospiesznie Młody Wroniec. – Dobrze trzyma się w siodle, ale poza tym niewiele potrafi. Jest pracowita, lecz niespecjalnie bystra... Wydawało się tak mało prawdopodobne, że wasze lordowskie moście kiedykolwiek uznają ją za stosowną siedzibę...

– Coraz gorzej – warknął sir Marmaduke. – Wiecie, o ile łatwiej

wszystko przebiega, kiedy są odpowiednio wyszkoleni! Działanie w ciele jakiegoś niewykształconego ciołka to jak tańczenie gawota w oficerkach. Takim ofermom wdrożenie się może zająć całe miesiące, a my nie mamy tyle czasu! Trwa wojna, potrzebujemy pełnych sił koterii lorda Fellmotte'a!

– Wałkowaliśmy to już setki razy! – ucięła lady April. – Istnieją inne zapasowe pojemniki, ale są potrzebne – ba, są wręcz stworzone, wychowane – do konkretnych celów. Co więcej, są rozsiane po kraju, a większość z nich walczy właśnie w imieniu króla! Lord Fellmotte umiera. Musimy działać natychmiast.

– Kobieta nie może dziedziczyć tytułu ani włości lorda Fellmotte'a – zauważył sir Marmaduke, ale mówił raczej tonem pełnym namysłu, a nie chęci do kłótni. – W oczach prawa to Symond jest w tej chwili prawowitym dziedzicem.

– Zostaw to nam – powiedziała lady April. – Wkrótce wyślemy depeche do Oksfordu. Król ogłosi Symonda zdrajcą.

Jej słowa, wypowiedziane tak niedbale, zaparły Zgódce dech w piersi i dziewczyna mimo woli poczuła lekki podziw. *Zlecimy ogrodnikowi przystrzyżenie żywopłotu. Zlecimy krawcowi zwięzienie rękawów. Zlecimy królowi, by uznał Symonda za zdrajcę.*

– Jeśli chodzi o inne przeszkody – ciągnęła szlachcianka – to Wronce mają je pod kontrolą. Po wydziedziczeniu Symonda następny w kolejce jesteś ty, sir Marmaduke'u. Gdybyś zgodził się przekazać tytuł swojemu drugiemu synowi, który nie dziedziczy twojego własnego majątku, moglibyśmy ożenić go z tą dziewczyną po jego powrocie ze Szkocji. Oficjalnie twój syn przejąłby tytuł lorda Fellmotte'a i władanie nad posiadłościami... Nieoficjalnie dałby sobą kierować żonie.

Starsi milczeli, tylko ich rysy wyginały się i marszczyły. Odbywały się właśnie trzy odrębne narady. Trzy prastare, pozagrobowe komisje starały się wypracować wspólną decyzję.

– Kucharka to niezbyt odpowiednia partia dla naszego syna – wzniósł sprzeciw sir Marmaduke.

– Przynależymy ją – odparła lady April. – Wroncu, co dla nas masz?

Młody Wroniec odchrząknął i otworzył sporą księgę, oprawną w skórę.

– Mój ojciec odnalazł zapis na temat Maud Fellmotte, córki sir Gotfryda Fellmotte'a i Elżbiety Vancy. Pochodzili z pomniejszej linii rodu i już nie żyją, niech Bóg im to wynagrodzi. Mała Maud dożyła swojego chrztu, a potem sama przeniosła się do lepszego świata. Gdyby nie umarła, miałaby teraz piętnaście lat, a więc tyle co Zgódka. Załóżmy, że nigdy nie doszło do śmierci Maud. Wychowywała się pod opieką rodziny w jednym z majątków

w Shropshire. A teraz przybywa do Grizehayes, by odbyły się tu jej zaręczyny.

A więc to tak zamierzali „przysposobić” Zgódkę do małżeństwa. Nadadzą jej nowe imię, opatrzą nową historią, pochodzeniem oraz przyszłością. Zgódką podkuchenna nie umrze, ale pryśnie jak bańka mydlana, nie zostawiając po sobie śladu.

– Ale... ktoś na pewno pamięta prawdziwą Maud! – wyrwało się dziewczynie, ogarniętej rosnącą paniką. – W rodzinnej krypcie musi być tablica z jej imieniem!

– Jej najbliżsi krewni nie żyją, służba rozproszyła się Bóg wie gdzie – zapewnił uspokajająco Młody Wroniec, kierując te słowa do Starszych, nie do dziewczyny. – A imiona można usunąć.

Zgódką wyobraziła sobie, jak Wronce udają się z dżutem do maleńkiej tabliczki upamiętniającej śmierć dziecka. A potem ujrzała, jak skuwają jej własne imię, twarz, jej własne ja.

– Maud jest zmarłym dzieckiem pogrzebanym w ziemi. – Zgódką wiedziała, że powinna ukrywać swoje uczucia, ale sprawy zaszły o krok za daleko. – Nie mogę ukraść jej imienia.

– Nie będzie kradzione, tylko podarowane! – Młody Wroniec obdarzył ją zastygłym grymasem poirytowanego uśmiechu. – Pomyśl o tym jak o używanym prezencie.

– Ale jeśli zmienię imię, wszyscy będą się dziwić! – wykrzyknęła w rozpaczy dziewczyna. – Przecież mnie tu znają! W domu, w majątku, w wioskach. Nawet jeśli przebierzecie mnie za damę i nazwiecie Maud, nikogo nie zmylicie! Wszyscy wiedzą, kim jestem!

– Nikogo to nie obchodzi – przerwał jej chłodno Kuba-Starszy. – Nic nie znaczysz. Masz tylko to, co dostałaś od nas. A nikt w tym kraju nie powie nic przeciwko nam. Jeśli poszczujemy cię psami, a ty padniesz gdzieś na bagnach, uciekając przed nimi, nikt nie wyciągnie do ciebie ręki. I nikt nie szepnie o tym ani słówkiem. My zdecydujemy o tym, kim jesteś. A jeśli oświadczymy, że jesteś dziedziczką losu świetniejszego, niż ci się w życiu należało, i bogactwa ponad twoje zasługi, to tak właśnie będzie.

* * *

Ćśś, Niedźwiedziu. Ćśś, Niedźwiedziu.

W odróżnieniu od poprzedniego, nowe więzienie Zgódki było luksusowe. Była to obita zielonym jedwabiem komnata z lakierowanymi meblami i łóżem o haftowanych zasłonach. Pokój został odświeżony, ponieważ spo-

dziewano się, że Symond poślubi pewną dziedziczkę. W skrzyni czekały czysta, cieniutka lniana bielizna, spódnica ze srebrzystego jedwabiu, lekki gorset z błękitnego aksamitu z perełkami wzdłuż dekoltu oraz biały czepek obszyty koronką tak misterną, że przypominała dzieło pająka.

Stała tu nawet miska z dwiema twardymi pomarańczami. Zgódce zdarzyło się używać cytrusów przy gotowaniu i zachwycała się wówczas egzotycznym, piekącym zapachem skórki, lecz nigdy nie kosztowała tak rzadkich owoców. Teraz zemdlili ją ich widok.

Przez chwilę potrafiła myśleć tylko o Kubie. Odważny, lekkomyślny Kuba, wiecznie zakochany we własnych planach, niepotrafiący dostrzec ich niedociągnięć. Dlaczego nie powiedział jej o swoim spisku z Symonem? Może był dumny, że ją przerósł, że układa scenariusze z równolatkiem, a nie z młodszą siostrą. A teraz nie było już Kuby, tylko skorupa pełna duchów.

A jeśli nie był całkiem stracony? Zgódka rozpaczliwie szukała nadziei. Dwa duchy z koterii sir Antoniego przepadły podczas Dziedzictwa, co oznaczało, że do Kuby wdarło się pięcioro intruzów zamiast siedmiorga. Jeśli dawało to nieco więcej miejsca, może jego własna osobowość nie została zmiażdżona na pył. Był młody, zbuntowany i uparty. Może wciąż walczył. Może uda się go jeszcze uratować.

Teraz jednak musiała myśleć przede wszystkim o ratowaniu samej siebie. Symon zbiegł. Sir Robert nie żył. Wojna porzuciła po kraju wszystkich dziedziców i osoby trzymane na zapas. Lord Fellmotte był jedną nogą w grobie.

Po jego śmierci Fellmotte'owie rozedrą ją, odkryją Niedźwiedzia i wyrwą go z niej. Potem siedem bezczelnych prastarych duchów zagnieździ się w jej ciele, a ona poczuje, jak jej własny umysł dusi się i kona.

Kto wie, może syn sir Marmaduke'a odmówi przejęcia majątku i poślubienia jej. Z pewnością istniała taka szansa. Jak to możliwe, że zgodziłby się na taki los? Któż zechciałby wziąć za żonę dziewczynę o szorstkich dłoniach, wypełnioną duchami pradziadów? Jak mógłby pójść z nią do ołtarza i wsunąć jej na palec obrączkę pod baczynym, martwym spojrzeniem przodków? Jak zdzierżyłby dzielenie z takim potworem komnaty i łoża, by spłodzić swoich następców?

Uświadomiła sobie jednak, że nic by to nie dało. Zanim syn sir Marmaduke'a zostałby poinformowany o ustaleniach, w niej dawno zamieszkałyby już duchy Fellmotte'ów. Nawet gdyby zaczął protestować, byłoby za późno, by ją ocalić.

Zgódka rozejrzała się po pokoju. Tak jak się spodziewała, okna jej komnaty były zbyt małe, by zdołała się przez nie precyzyjnie. Może udałoby jej

się dać przez nie jakiś sygnał, ale na zewnątrz nie czekało żadne przyjazne oko, które mogłoby zareagować. Drzwi były zaryglowane od zewnątrz. Zdobne w hafty puzderko na przybory do szycia nie zawierało nożyczek ani nawet szpilek – niczego, co mogłoby posłużyć jej za broń.

Zgódka mocno przycisnęła palce do głowy, próbując zebrać myśli. Starsi mieli dostęp do wiedzy Kuby. Ale Kuba nie wiedział wszystkiego.

Znała kryjówki, o których nigdy mu nie mówiła, odkrywała rzeczy, o których nie wspominała. Nie miał pojęcia o instrumencie z kości słonowej, który wykradła sir Tomaszowi z jego cennej kolekcji akcesoriów do nawigacji, ani o sznurze ze szmatek, który wydłużała po kryjomu, ilekroć trafił w jej ręce porzucony gdzieś skrawek materiału. Co najważniejsze, nigdy nie zdradziła prawdy o Niedźwiedziu. „Ufam ci” – zapewniała go wielokrotnie. Czy rzeczywiście tak było?

Nie, z żalem zdała sobie sprawę, że nie. Przez wszystkie te lata, nawet gdy razem spiskowali, w głębi duszy czekała, aż ją zawiedzie. Kiedy w jego oczach Zgódka napotkała wreszcie spojrzenie zgrai umarłych wrogów, w jej głowie rozpętał się huragan. Istniało jednak oko cyklonu, ciche centrum, gdzie pełen ulgi głos oznajmiał: „No, proszę, jest. Koniec czekania, aż miecz opadnie”.

Zawsze kochała Kubę, lecz nigdy nie obdarzyła go pełnym zaufaniem. Ta myśl była najsmutniejsza.

Uwagę dziewczyny przyciągnęła leżąca na toaletce karta z wiadomościami. Jak zwykle, czytanie było powolnym i bolesnym procesem, ale Zgódka była ciekawa wieści o Symondzie i przebiegu wojny.

Informacje najwyraźniej spisane zostały przez zagorzałego rojalistę. Połowa zamieszczonych historii opowiadała, jak to oddziały króla przetrwały dzięki odwadze i boskiej interwencji. Pozostałe donosiły o koszmarnych zbrodniach popełnianych przez rebeliantów, zabijaniu kobiet i dzieci, ucinaniu głów kamiennym świętym, paleniu snopków siana. Mnóstwo było opowieści o cudach. Autor opisywał, jak w przejmująco zimną noc po bitwie pod Edgehill rany żołnierzy lśniły przedziwnym blaskiem, a o świcie były już częściowo zagojone.

Jedna z relacji bardzo ją zaintrygowała.

Pewien wojak z Derbyshire ledwo przeżył bitwę, w której wielu poległo, lecz zauważyć się dało niefortunną zmianę jego zachowania i fizjonomii. Twierdził, że nęka go duch jednego z zabitych towarzyszy, nie pozwalając mu spać ani odpocząć, gdyż szepcze w jego głowie i zmusza do dziwnej mowy i poruszania się. Jest w Oksfordzie chirurg, Benjamin Szybki, który zoperował żołnierza, wierząc mu w czaszce mały otwór za pomocą urządzenia własnego pomysłu, po czym to pacjent wrócił do siebie i nigdy więcej nie skarżył się na obecność duchów.

Zgódka kilkakrotnie przeczytała tę historię. W jej życiu znów rozbłysło światełko nadziei. Całkiem możliwe, że doktor po prostu wyleczył tego człowieka z gorączki lub urojeń, ale co, jeśli mężczyzna naprawdę był opętany? Czy rzeczywiście dało się wypędzić ducha za pomocą nowej medycznej sztuczki? Nigdy dotąd nie przyszło jej to na myśl.

Jeśli w ciele Kuby ostał się choćby ślad jego samego... może ten lekarz byłby w stanie go ocalić.

ROZDZIAŁ 18

W niedzielę, gdy nadszedł czas mszy, Zgódka zajęła swoje nowe miejsce w rodzinnej galerii.

Po końcowym „Amen” służba mogła powoli opuścić kaplicę, ale Starsi nie wstawali z ław. Dziewczyna nie miała wyboru, musiała pozostać z nimi. Gdy wreszcie kroki odchodzących całkiem się oddaliły, zapadła cisza niczym w krypcie.

Odezwał się ksiądz.

– W niedawnej bitwie na wzgórzu Hangerdon Bóg wszechmogący w swej nieskończonej łasce wezwał do siebie z tego świata wiele swoich sług i zebrał ich u swego boku, gdzie pozostaną w światłości wiekuistej.

Dalej mówił o dwóch dawno zmarłych Fellmotte’ach, którzy przepadli, gdy ostrze Symonda zakończyło żywot jego stryja. Robyn Brookesmere Fellmotte, Rycerz Komandor pod Henrykiem III, zwycięzca w bitwach pod Crake i Barnsover. Jeremiasz Fellmotte z Tithesbury, członek Tajnej Rady Królewskiej za rządów czterech monarchów.

Od czasu do czasu Zgódce wydawało się, że słyszy cichy gadzi syk ze strony siedzących za nią Starszych. Może tyle mieli do zaoferowania w miejsce łez. Stracili towarzyszy i krewnych, których znali i na których polegali od wieków.

Być może ich zniknięcie przypomniało im też o ich własnej kruchości. W mgnieniu oka jedno dźgnięcie i brak szczęścia mogą pozbawić ich wieczności. Wrzeszczeliby smużkami dymu jak duchy przeciętnych ludzi, którymi tak gardzili, aż rozplynęliby się w powietrzu.

Imiona sir Roberta i sir Antoniego wymieniono tylko mimochodem. Ich tragedia była drugorzędna. Stanowili jedynie butelki, które się stłukły, powodując wylanie trunku o wielkiej wartości.

Zgódka wiedziała, że Starsi postrzegali ją w ten sam sposób. Jako osoba nie miała najmniejszego znaczenia. Była jedynie cielesnym pojemnikiem, czekającym na nadanie mu sensu.

Po mszy krawiec wziął wymiary Zgódki, a szewc zbadał jej stopy. Jako Maud potrzebowała nowych strojów. Rzecz jasna, nikt nie konsultował z nią koloru i stylu.

Wczesnym popołudniem lady April zjawiała się u niej, żeby przeprowadzić inspekcję.

– Otwórz usta – poleciła, po czym przyjrzała się uważnie zębom dziewczyny. Kazała Zgódce rozpuścić włosy i przeczesała je gęstym grzebieniem, który skrupulatnie zbadała w poszukiwaniu śladów wszy.

Potem nastąpiły pytania, wszystkie zadawane tym samym chłodnym, pozbawionym emocji tonem. Czy Zgódka ma pchły? Czy coś ją swędzi lub boli? Czy ma jeszcze błonę dziewiczą? Miewa migreny? Bóle pleców? Zawroty głowy? Czy piła kiedyś alkohol? Czy jakiś rodzaj jedzenia powoduje u niej objawy chorobowe?

Następnie oznajmiono, że dziewczyna ma się wykąpać.

Zgódka przyjęła tę wiadomość z niepokojem. Nigdy wcześniej nie kąpała się w wannie, a słyszała, że to niebezpieczne. Woda mogła wnikać przez pory w skórze, niosąc z sobą przeróżne zarazy. Jak większość osób, dziewczyna na ogół wycierała się po prostu czystą szmatką, a nawet do tych ablucji nie rozbierała się do naga, tylko zdejmowała po kilka sztuk odzieży naraz, żeby nie zmarznąć. Nagość sprzyjała przeziębieniom.

Pomimo jej protestów wyciągnięto dużą drewnianą wannę, z której korzystała rodzina, i umieszczono ją w nowej komnacie Zgódki przed buzującym kominkiem. Kroki dudniły na schodach, kiedy służący, dawni koledzy dziewczyny, dźwigali z kuchni wiadra gorącej wody.

– Czy mogę prosić o parawan, żeby nie było przeciągów? – Zgódka oblała się rumieńcem. Niespieszno jej było do rozbierania się przed lady April. Starsza pani miała kobiece ciało, ale dziewczyna podejrzewała, że ukryta w niej loża duchów składa się prawdopodobnie z mężczyzn. Skoro Fellmotte’owie zachowywali duchy ludzi, których uważali za „ważnych”, było mało prawdopodobne, by w ich gronie znalazło się wiele kobiet.

– Jak szybko nabierasz delikatności! – Trudno było stwierdzić, czy uwaga lady April wyraża pogardę, czy aprobatę. Jej uśmiech był tak nieznaczący, że nie dało się go odczytać.

Wokół wanny rozwieszono jednak starannie płachtę, tworząc niewielki namiocik, który zatrzymywał w środku parę i chronił przed wścibskimi spojrzeciami. Gdy tylko go zainstalowano, lady April wyszła.

Zaraz wkroczy my do ciepłej rzeki, Niedźwiedziu. Nie bój się.

Nie zdejmując koszulki, Zgódka ostrożnie weszła do wody, która zaczynała się już ochładzać, i przysiadła na brzegu wanny. Niedźwiedź się zde-

nerwował, lecz po chwili przekonał się, że woda nie gryzie. Dziewczyna usiłowała nie myśleć o otwierających się porach, tworzących wiele tysięcy luk w jej systemie obronnym, zwłaszcza że ciepło i para miały w sobie coś luksusowego i obezwładniająco kojącego. Zgódka nieufnie ochlapała się wodą i patrzyła, jak jej odciski bledną i stają się miększe.

Z drugiej strony komnaty dobiegł cichy szcęk, co oznaczało, że drzwi znów otwarto, po czym zasłona z płachty rozchyliła się, ukazując jedną ze służek, Elę. Trzymała szczotkę i kulę startego białego mydła zmieszanego z suszonymi płatkami kwiatów. Niedźwiedź wychwyił zapachy popiołu, oliwy i lawendy i przez chwilę czuł się niespokojny. Nie był pewien, czy należy uznać mydło za pożywienie, czy zagrożenie.

– Ela! – Po raz pierwszy od swojego „awansu” Zgódka miała okazję porozmawiać z którąś ze służących bez nadzoru. Ściszyła głos do szeptu. – Elu... potrzebuję twojej pomocy!

Służka zaczerwieniła się, ale nie podniosła wzroku. Uklękła przy wannie, jakby niczego nie słyszała, i skupiła się na wytwarzaniu piany.

– Jestem więźniem, Elu! To śliczna klatka, ale opatrzona kłódką, w dodatku ktoś strzeże jej dzień i noc. Wisi nade mną niebezpieczeństwo i nie zostało mi wiele czasu. Muszę uciec z Grizehayes!

Służąca nadal nie odwzajemniała jej spojrzenia. Było za późno, aby nagle powoływać się na przyjaźń. Zgódka nigdy nie wnikała w życie innych domowników, wyczuwając niewidzialną przepaść, która w każdej chwili mogła się między nimi rozewrzeć. Teraz zrozumiała, że Ela również patrzyła na nią z dystansem. Któż mógł ją winić? Po co przywiązywać się do prosięcia, które i tak trafi na świąteczny stół?

Wtem ich spojrzenia jednak się spotkały. „Proszę – wyczytała w przerażonym wzroku pomocnicy Zgódka. – Proszę, nie”.

– Zabronili ci ze mną rozmawiać, prawda? – szepnęła Zgódka. – Ale przecież nas nie słyszą. Nic im nie powiem.

Służąca jeszcze raz podniosła na nią wzrok i tym razem dziewczyna bez trudu odczytała strach i nieufność. „O, powiesz” – mówiły oczy Eli.

Zgódka zrozumiała. Ona sama nie wydałaby służki Fellmotte’om, ale wkrótce miała przestać być sobą. Będzie pojemnikiem, a jej nowi mieszkańcy przejrzą jej wspomnienia, kiedy będą chcieli, a wówczas odkryją nieposłuszeństwo Eli.

– Daj szczotkę – poleciła Zgódka, tracąc resztki nadziei. – Sama wyszoruję sobie plecy.

Wargi Eli zadrżały. Obejrzała się szybko przez ramię.

– Nie! – szepnęła z grymasem paniki na twarzy. – Proszę, nie odsyłaj

mnie! Ja... kazali mi cię umyć... żeby sprawdzić, czy masz jakieś wypryski, podrażnienia, blizny... ślady choroby...

A więc to dlatego zarządzono kąpiel. Wciąż oceniali, jak atrakcyjną jest rezydencją. Dziewczyna nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że jest poddawana praniu niczym brudna bielizna.

– Opowiedz im więc o każdej brodawce! – warknęła Zgódka. – O każdej bliznie, pęcherzu, odcisku! Co tam, po co się ograniczać? Donieś, że wciąż jestem obłąkana i miewam napady szału. Że toczy mnie zaraza i jestem w ciąży.

I tak mnie wezmą, ale chcę, żeby mdliło ich, kiedy po mnie sięgną. Jeśli uda mi się sprawić, że odczują choć okruczeństwo mojego cierpienia, uznam, że odniosłam zwycięstwo.

* * *

Niedźwiedziu, Niedźwiedziu, wybac mi, Niedźwiedziu. Obiecywałam, że kiedyś będziemy wolni, ale teraz wiem, że ten dzień nie nadejdzie.

Pragnęłam cię chronić. Dlatego ciągle prosiłam, żebyś był cicho, dlatego cię powstrzymywałam, żeby nikt się o tobie nie dowiedział. Uspokajałam cię. Sprawiałam, że spotulniałeś. Nie miałam zamiaru cię oswajać, Niedźwiedziu, a jednak to uczyniłam.

Przepraszam, Niedźwiedziu.

Gdy zaczął zapadać wieczór, Zgódka ujrzała, jak na dziedziniec zajeżdża powóz. Kiedy się zatrzymał, zrobił się wokół niego ruch i przez chwilę dziewczyna miała nadzieję, że może powrócił któryś z dziedziców lub odpowiedni zapasowy krewny albo że odnaleziono Symonda. Nikt jednak nie wysiadł z pojazdu, który stał spokojnie, podczas gdy zmierzch matowo srebrzył jego drewno.

Nie minęła nawet godzina, kiedy przyszli po nią.

Stolik był wystarczająco ciężki, by mógł służyć za broń, lecz na tyle lekki, by dała radę go unieść. Gdy drzwi się otwały, stała ukryta za nimi i z całej siły zamachnęła się meblem na pierwszą wkraczającą osobę. Miała nadzieję, że będzie to jeden z Wrońców, bo byli oni przynajmniej zwykłymi śmiertelnikami.

Niestety nie. Próg przekroczył sir Marmaduke, z wieloma zyciami i mnóstwem zapisanych w pamięci manewrów i odparty ciosów. Wyciągnął rękę i błyskawicznie, niczym żmija, wyszarpnął dziewczynie stolik z rąk. Ledwie dostrzegła, że przybysz w ogóle się poruszył.

Zgódka walczyła z nimi, gdy krępowali jej nadgarstki i kostki. Próbowwała

kopać, bóść głową, nawet kiedy nieśli ją na dół. Szarpała się całą drogę do kaplicy.

ROZDZIAŁ 19

Kaplica stała się nawiedzonym miejscem. W środku paliło się raptem pół tuzina świec, samotnych światełek pośród ciemności. Rzuciły blask na marmurowe tablice, alabastrowego rycerza, drewnianą postać szlachcica, który spoczął, otoczony nieforemnymi żałobnikami z pni. Zgódka domyślała się, kogo upamiętniały. Zdawało się, że jedynymi jasnymi, prawdziwymi elementami lśniącymi w tej studni mroku byli wiecznie umarli.

Jednak Zgódka należała do świata rzeczywistego. Lina wrzynająca się w jej nadgarstki była jak najbardziej realna. Przysparzający siniaków uścisk sir Marmaduke'a i Młodego Wronca był prawdziwy.

– Pani Gotely! – krzyczała, a jej głos niósł się bluźnierczym echem po kaplicy. – Elu! Alicjo! Ratunku! – Wiedziała, że nie przybędą jej z pomocą. Była sama. Istniała jednak szansa, że służba ją usłyszy, a bycie zapamiętaną miałoby dla niej znaczenie. Pragnęła, by mieli świadomość, że nie odeszła potulnie ani cicho. Pozostałaby wówczas choćby skazą na ich pamięci, wyrzutem sumienia, który próbowali zlekceważyć.

Na ołtarzu postawiono pojedynczą świecę, przybrano go pasową tkaniną. Srebrny haftowany krzyż przelewał się przez jego krawędź niczym zagłębienie w języku.

Tuż obok stały dwa krzesła, zupełnie jak w wigilię Trzech Króli. Jedno z nich było przystosowane dla inwalidy i spoczywał na nim lord Fellmotte. Głowa zwisała mu bezwładnie, a oczy lśniły w blasku płomieni, poruszając się niczym uwięzione pod szkłem owady.

Drugie siedzisko było tym samym meblem, w którym sir Tomasz przeżywał konwulsje w noc swojego Dziedzictwa. Zmuszono Zgódkę, by je zajęła. Związane ręce wbijały jej się w plecy. Młody Wroniec przewiązał ją w pasie liną i przymocował do oparcia krzesła.

– Przestań robić z siebie widowisko! – syknęła lady April, wyłaniając się z cienia. – Jesteś w Domu Bożym, okaż odrobinę szacunku!

– Niech więc Bóg mnie usłyszy! – Była to jedyna groźba, jaka przyszła Zgódce do głowy, jedyna moc, jaką mogła wezwać, potężniejsza od Fell-

motte'ów. – Bóg patrzy – widzi, co wyprawiacie! Zobaczycy, jak mnie mordujecie! Przejrzy waszą diabelskość...

– Jak śmiesz! – parsknęła lady April. Przez chwilę zdawało się, że uderzy dziewczynę, lecz zaraz opuściła podniesioną dłoń. Oczywiście, nie miała zamiaru okaleczać policzka, który lada moment miał należeć do lorda Fellmotte'a. – Nasze tradycje cieszą się błogosławieństwem obu Kościołów – syknęła dama – oraz szczęściu różnych papieży. Sam Bóg obdarzył nas umiejętnością wiecznego życia i zbierania wiedzy przez wieki. W zamian wiernie Mu służymy – wielu Fellmotte'ów było biskupami, a nawet arcybiskupami! Bóg jest po naszej stronie. Jak śmiesz prawić nam kazania?

– Więc pochwalcie się wszystkim! – krzyknęła Zgódka. – Opowiedzcie światu, jak wasze duchy rabują ciała żywych! Powiedzcie, że macie zgodę od Boga, ciekawe, co oni na to!

Lady April podeszła do dziewczyny, po czym odgarnęła kilka luźnych kosmyków z jej twarzy i założyła jej na szyję, tuż pod brodą, pasek tkaniny. Zgódka poczuła, że kobieta przywiązuje materiał z tyłu do krzesła.

– Powiem ci, co jest niegodne Boga i nienaturalne – pouczyła starsza dama. – Nieposłuszeństwo. Niewdzięczność. Bezcelność.

Zgódka wiedziała, że lady April mówi poważnie. Jej duchy wierzyły, że światem rządzi naturalny porządek, jasny i błyszczący. Płomienie wzbijały się w górę, woda spływała w dół i tak wszystko zmierzało w naturalnym kierunku. Niski stan tworzył podstawę piramidy, potem był środek, powyżej szlachta, a wreszcie Bóg Wszechmogący, stanowiący błyszczące zwieńczenie. Każdy poziom spoglądał ponad siebie z oddaniem i wdzięcznością.

Dla lady April nieposłuszeństwo było gorsze od niegrzeczności, od zbrodni. Zaprzeczało naturalnym, ustalonym przez Boga zasadom. Było jak woda płynąca pod górę, myszy pożerające koty, księżyc płaczący krwią.

– Jesteście pomiotami diabła! – odcięła się Zgódka. – Nie ma krzty dobra w posłuszeństwie wobec was!

– Wrońcu, złap jej głowę – poleciła zimno lady April.

Młody Wroniec chwycił głowę dziewczyny i unieruchomił, podczas gdy ona robiła wszystko, by mu się wyrwać. Kobieta przytrzymała jej szczękę i zmusiła Zgódkę, by szeroko otworzyła buzię.

– Ratunku! – Było to ostatnie słowo, jakie pojmanej udało się wykrzyknąć, zanim do ust wepchnięto jej szeroką drewnianą tubę, która rozwarła jej szczęki do bólu. Wołanie było głupotą, marnowaniem ostatniego słowa. Żaden przyjaciel nie pospieszy jej z pomocą.

Nagle od strony wejścia do kaplicy zaskrzypiał zdenerwowany głos.

– Mój panie, moja pani... – W progu stał Stary Wroniec.

– Czy to wygląda na dobry moment? – warknęła lady April, wciąż ściskając w dłoniach rurę zaklinowaną w ustach Zgódki.

– Proszę o wybaczenie, ale zauważono ognisko na bagnach. Dała pani rozkazy, aby informować o każdym...

– Zajmiemy się tym – mruknął szybko do krewniaczki sir Marmaduke. Ruszył w kierunku drzwi, ale zawahał się jeszcze, a przez jego twarz przemknął charakterystyczny grymas Starszych. – Czy podtrzymujesz chęć podróży dzisiejszego wieczoru? – spytał cicho. – Jeśli oddziały wroga podeszły bliżej, drogi nie będą bezpieczne.

– Jesteśmy tego świadomi – odpowiedziała krótko lady April. – Dlatego właśnie musimy się z tym pospieszyć, aby móc jak najprędzej wyruszyć. Mamy ważne depesze i pieniądze dla króla – musimy jechać dziś, jeśli mamy zdążyć na spotkanie z naszym posłańcem. Nie możemy pozwolić, żeby nas tu uwięziono.

– Daj więc swój sygnet komuś zaufanemu, niech on się tym zajmie! – nalegał sir Marmaduke.

– Gdybym tylko miała kogoś godnego zaufania, byłoby to możliwe. – Wąskie usta szlachcianki przez chwilę zaciskały się i marszczyły. Zdawało się, że mięśnie jej twarzy już dawno zapomniały, na czym polega uśmiech. – Idź! Poradzimy sobie. Powiedz Cattmore'owi, żeby powóz czekał gotowy, wkrótce się tam zjawimy.

Sir Marmaduke opuścił kaplicę wraz ze Starym Wrońcem, drzwi się za nimi zamknęły.

– Musi mieć otwarte oczy i usta – powiedziała lady April.

Młody Wroniec, wciąż trzymając głowę Zgódki z dwóch stron, przesunął kciuki, by podnieść jej powieki, i zmusił ją do otwarcia oczu, które natychmiast zaszczyły łzami. Świat zasnęła mgła.

Otwierali ją, żeby duchom łatwiej było dostać się do środka. Zgódka wiała się, wrzeszczała bezgłośnie, próbowała wydrzeć ręce z uścisku napastnika.

– Już za późno, żeby się skarżyć, Maud – ciągnęła lady April. – Przystałaś na to. Wyrazem twojej zgody była każda noc, którą spędziłaś pod naszym dachem, każdy posiłek, który spożyłaś na nasz koszt. Twoje kości i krew zrobione są z naszego mięsiwa i naszych napojów – a więc należą do nas. Nie ma sensu rozpaczć, że przyszedł na ciebie czas. Masz szansę okazać swoją wdzięczność.

Zgódka czuła, że ma mokre policzki. Jej otwarte na siłę oczy łzawiły z bólu – dziewczyna obawiała się, że lady April może uznać to za płacz. Twarze oprawców były rozmytymi plamami, zabarwionymi brzoskwiniowo przez blask świec.

– Moi państwo – rozległ się głos lady April, a jej ton był teraz pełen poważania. – Ścieżka jest gotowa. – Zgódka domyśliła się, że dama zwraca się do duchów oczekujących w ciele lorda Fellmotte’a. – Dziewczyna jest trudna i oporna, może byłoby lepiej, gdyby wasz Infiltrator wszedł pierwszy, nieco ją poskromił i przyszykował dla waszej koterii.

Infiltrator? Zgódka po raz pierwszy usłyszała to słowo, ale jego brzmienie sprawiło, że przeszły ją lodowaty dreszcz.

Zapadła długa cisza. Miała ona jednak konsystencję i czaiło się w niej drażniące napięcie, jak w powietrzu przed burzą. Jakiś syk łaskotał uszy dziewczyny. Szept – ledwo słyszalny papierowy szelest.

Wtem Zgódka ujrzała smużkę wijącą się z ust Tomasza Fellmotte’a jak wężyk dymu. Szczeka mężczyzny opadła, a strużka wypłynęła nieco dalej, kręcąc się mgliście, nadymając, tworząc miękkie, tańczące pióro cienia. Nie rzucało się, nie miało ani też nie topniało. Ze złowrogą stanowczością zaczęło zbliżać się w kierunku dziewczyny.

Zgódka wrzasnęła, szarpnęła, usiłowała wypchnąć językiem tubę z ust, lecz wszystko na próżno. Szept był coraz głośniejszy. Pojedynczy głos, wypowiadający nierozróżnialne wyrazy, sypiący zakurzonymi drzazgami dźwięków. Błądził po omacku, to w jedną, to w drugą stronę, jak ślepe stworzenie, przysuwając się coraz bliżej dziewczęcej twarzy. Był to dym, a jednak nie dym. Dusił światło.

Nagle, jednym płynnym ruchem, zalał twarz Zgódki i wtoczył się do ust. Świat pociemniał i zawirował, gdy intruz wdzierał się przez jej oczy.

Infiltrator znalazł się w jej umyśle, a ona krzyczała i krzyczała, i nie potrafiłaby przestać, nawet gdyby chciała. Czowała, jak ślizga się w jej myślach, miękki jak ćma, wnikliwy, natarczywy. Włamał się do tajemnych kryjówek jej istoty i czuła się źle, źle, że się tam dostał, jakby ogromny robał wił się w jej głowie. Zamachnęła się na niego umysłem, ale napiął się w obronie, zmuszając ją, by się cofnęła, rozgniatając ją o ściany czaszki, żeby zrobić miejsce dla siebie.

Jednak wrzask Zgódki nie był tylko krzykiem przerażenia. Była w nim też furia. Przerodził się w ryk i nie dobywał się jedynie z jej własnej głębi.

Nagle poczuła Niedźwiedzia, jego zapach i smak. Jej krew paliła jak rozgrzany metal. Jej umysł stanął w płomieniach. Gdzieś w czeluściach własnej czaszki czuła, jak Niedźwiedź atakuje, zadaje niezdamny cios ze straszliwą cienistą siłą. Uderzenie wstrząsnęło nią do szpiku kości, ale dostało się też Infiltratorowi, który szarpnął się i odskoczył jak oparzony wąż.

Rozległ się straszny trzask i Zgódka zdała sobie sprawę, że przegryzła drewnianą tubę. Odpryski wkłuły się w jej dziąsła, rurka była doszczętnie

zniszczona. Dziewczyna napała na pęta wokół nadgarstków, aż pękły. Chwyliła za paski krępujące jej pierś i szyję i szarpała za nie, dopóki nie puściły.

Lady April odskoczyła do tyłu ze sprawnością nielicującą z jej starczym wiekiem. Młody Wroniec nie miał tyle szczęścia i nie usunął się przed potężnym ciosem Zgódki, który trafił go w skroń i rzucił w drugi koniec pomieszczenia. Chłopak wpadł na dębową ławę z takim impetem, że ta przewróciła się, popychając następną jak kostki domina.

Dziewczyna podniosła się i wypluła fragmenty drewna i pierzaste szczątki ducha. Otoczenie docierało do niej pulsującymi falami. Świadomość walczyła niczym mewa w szalejącym sztormie. Była Niedźwiedziem, a Niedźwiedź był nią.

Błysk orientacji. Lady April z wypracowaną przez wieki zwinnością wyjęła z rękawa ostre szydło i zbliżyła je do twarzy Zgódki. Krzyczała na całe gardło. Wzywała pomocy? Ratunku od żywych? Czy wsparcia od umarłych?

Kolejna fala świadomości. Czerwony pas bólu w klatce piersiowej. Szlachcianka była szybka jak ważka. Szydło starszej pani – całe czerwone. Ale ból i mdłości stanowiły jedynie pojedyncze nuty w burzy muzyki grzmiącej w głowie Zgódki.

Młody Wroniec u jej stóp, oszołomiony, z zapartym tchem, z ręką wygiętą pod dziwnym kątem. Spojrzał na nią i zobaczyła w jego mętnych oczach odbicie furiatki. Nagle jego wzrok przeskoczył na coś za plecami dziewczyny. Lady April podniosła miecz. Była gotowa do ataku.

Wtem lodowate spojrzenie starszej damy padło na Niedźwiedzia wyzierającego ze źrenic Zgódki.

W prastarych oczach malował się szok, można w nich było odczytać pytanie: „Coś ty zrobiła?”

W tej samej chwili rękołapa dziewczyny wystrzeliła z miażdżącą siłą. Impet uderzenia szarpnął najmniejszym stawem w jej ramieniu. Fala ciemności. Blask światła. Lady April skulona na podłodze. Nagle mniejsza. Starsza kobieta we śnie.

Krwawiąca.

Zgódka stała, dysząc ciężko, a jej myśli i wizja pulsowały, na zmianę jaśniejąc i blednąc. Gdzie jest? W kaplicy. Plamy światła. Roztrzaskane drewno. Na posadzce dwa ciała. Wszędzie przelewał się ból, a może było to kolorowe światło z witraży.

Skup się! Myśl!

Mimowolnie schyliła się, by sprawdzić puls u lady April. Cały czas bała

się, że smugi duchów zaczną wydobywać się ze Starszej i wedrą się do jej własnych ust. Musiała jednak mieć pewność.

Serce szlachcianki biło; ponuro, nieustająco tliło się w niej życie. Leżący obok Młody Wroniec również oddychał.

Zgódka pomyślała o wężu z dymu, który wtargnął do jej umysłu, i naszła ją przemożna pokusa, by nadepnąć lady April na głowę i zgnieść ją jak skorupkę jajka. Nie uczyniła tego jednak. *Zasłużyli na śmierć* – pomyślała pół-przytomnie. *Ale ja nie zasługuję, by zostać morderczynią.*

– Myśl! – szeptała do siebie. – Myśl!

Jej wzrok padł na srebrny sygnet lady April. Patrzyła na niego, a z chaotycznych pomysłów w jej głowie zaczął się tworzyć plan. Nie, to było zbyt brawurowe, by nosić miano planu. To było rozpaczliwe, absurdatne ryzyko, lecz jednocześnie jej jedyna szansa.

Zgódka padła na kolana i odpięła pelerynę z kapturem starszej damy. Bolały ją łapy, gdy niezgrabnie szarpała się ze sprzączką. Nie – ręce. Bolały ją ręce.

Zdjęła pierścień i rękawiczki z pomarszczonych dłoni kobiety. Porwała saszetkę i torebkę, które lady April nosiła u pasa. Szybko założyła płaszcz, rękawiczki i sygnet, a pozostałe przedmioty wepchnęła do kieszeni. Po chwili namysłu podniosła i szydełko.

Zgódka zatrzymała się tylko raz, by spojrzeć na tron, na którym leżał lord Fellmotte, wodzący za nią oczyma. Nadal wyglądał jak sir Tomasz i okrucieństwem było go tak zostawić, ale nie miała wyboru.

– Wybacz – wyszeptała.

Była godzina dziesiąta i nawet w swoim stanie niedźwiedziego upojenia Zgódka wiedziała, któredy iść, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Przez lata zapisała w pamięci różne przejścia, poznała kryjówki, odkryła, które ścieżki tłumią ludzkie kroki, a które budzą echo. Wszystko to stało się jej drugą naturą i całe szczęście, gdyż dziś jej pierwsza natura nie zachowywała się już naturalnie.

Dziewczynie ledwo udało się schronić w cieniu okiennej wnęki przed nadchodzącym sir Marmadukiem. Szedł niespiesznie, co pozwalało założyć, że nie słyszał krzyków lady April. Jednak gdy tylko dotrze do kaplicy, zobaczy zniszczenia. Za kilka minut rozlegnie się alarm.

Zgódka przemknęła do Długiej Galerii, zdjęła hełm z jednej ze zbroi i wyjęła przygotowany do ucieczki pakunek oraz swoją starannie pozszywaną linę ze szmatek.

Nie było czasu, aby wymykać się przez kuchnię. Wyjścia głównymi drzwiami również nie mogła ryzykować. Z daleka czy w mroku mogła ujść

za lady April, gdyż ukradła jej ubrania. Ale w Wielkiej Sali było zbyt wiele osób i świec, ktoś na pewno by ją rozpoznał.

Musiała postawić wszystko na jedną kartę.

Pospiesznie przywiązała koniec swojego sznura do starego kinkietu na ścianie, po czym otworzyła najbliższe okno. Znajdowało się na pierwszym piętrze z boku domu i wychodziło na cienisty, wyłożony kamiennymi płytami zaułek, tuż obok głównego dziedzińca.

Zgódka z duszą na ramieniu wyrzuciła na zewnątrz luźny koniec własnoręcznie skręconej liny i wylazła na parapet. Oplotła obie dłonie szorstką tkaniną i zaczęła schodzić po murze, skrobiąc butami w poszukiwaniu oparcia w szczelinach pomiędzy kamieniami. Słyszała chrapliwy odgłos własnego oddechu i powolne, stopniowe naddzieranie starannych szwów.

Lina puściła, gdy dziewczyna wisiała ponad metr nad ziemią, ale Zgódce udało się wylądować z lekkim uderzeniem, od którego mogła się nabawić najwyżej siniaków. Naciągnąwszy kaptur na twarz, wyszła sztywnym krokiem z za rogu domu, starając się poruszać z jak największą pewnością siebie.

Przez materiał kaptura widziała jedynie zarys czekającego powozu oraz sylwetkę usadowionego na dachu stangreta. Dziewczyna miała nadzieję, że widzi on jedynie płaszcz lady April i nie zastanawia się, dlaczego jego pani nieoczekiwanie wyłania się z za budynku.

Uniosła odzianą w rękawiczkę dłoń, tak aby pierścień zalśnił w bladej poświacie księżyca. Stangret skinął z szacunkiem głową i dotknął czoła.

Drzwiczki powozu były otwarte. Zgódka podeszła, by wsiąść do środka, odważyła się podnieść głowę i... stanęła twarzą w twarz z panią Gotely.

Stara kucharka schylała się w powozie. Kosz pełen zawiniętych w muślin kształtów zajmował jedno z siedzeń. Bez wątpienia był to prowiant na podróż lady April.

Pani Gotely patrzyła na Zgódkę z bezbrzeżnym zdumieniem, dysząc ciężko z jedną ręką przyciśniętą do piersi. Dziewczyna wiedziała, że została zdemaskowana, i mogła się jedynie domyślać, na jak winną i potarganą wygląda. Mogła tylko wbić wzrok w szeroką, ponurą twarz swojej nauczycielki, dręczycielki i towarzyszki – kobiety, którą darzyła sympatią, ale nigdy nie obdarzyła zaufaniem w żadnej ważnej sprawie.

Zgódka poczuła, jak jej usta układają się w kształt słowa, które wcześniej wyszeptała Ela.

Proszę.

Po dłuższej chwili kucharka spuściła wzrok.

– Proszę wybaczyć, pani – odezwała się, dość wyraźnie, by wypowiedź

dotarła do uszu stangreta. – Proszę jechać z Bogiem.

Wysiadła, mijając Zgódkę, wykonała niezdarne, skrzywione podagrą dygnięcie i pokuśtykała w stronę domu.

Nie mogąc uwierzyć w szansę, jaką została obdarowana, dziewczyna szybko wspięła się do powozu. Uderzyła dwukrotnie w sufit i stangret gwizdnął na konie. Pojazd szarpnął do przodu.

Dziękuję, pani Gotely – myślała. Dziękuję.

Gdzieś w domu rozległy się odległe krzyki. Zgódce zdawało się, że sły-
szy głos sir Marmaduke'a.

– Zamknąć bramy! – dobiegł słaby rozkaz. – Zamknąć bramy!

Ona zrozumiała te słowa, bo ich wyczekiwała, ale stangret w ogóle nie zwrócił na nie uwagi. Spokojny stukot kopyt przeszedł w kłus, a powóz opu-
ścił dziedziniec i wyjechał za bramę. Rumaki ruszyły galopem, rosnące
wzdłuż drogi lipy migwały, zostając w tyle, i już wypadli na główną drogę,
wprost w poszarpane, obojętne oblicze mokradeł o srebrzystym zaroście
z poświęty księżycy.

CZEŚĆ CZWARTA

JUDYTA

ROZDZIAŁ 20

W okienkach powozu wisiały zaciągnięte zasłonki. Na kółku pod sufitem huśtała się latarnia w oprawie, rzucając na ścianki wąskie promienie światła.

Zgódka była zmarznięta, bliska omdlenia i nie mogła przestać się trząść. Wszystko ją bolało. Niedźwiedź uratował ją, atakując jej oprawców, ale dokonał tego jej własnym ciałem. Teraz zaczynały się odzywać sińce i naciągnięcia. Miała tylko nadzieję, że nie doznała żadnych złamań i nie straciła zębów.

Czuła w ustach krew, a także mdlący smak Infiltratora, którego ciosy Niedźwiedzia tak łatwo rozbiły w proch. Kim był ów duch? Może jakimś weteranem dwunastu żyć? Czy próbował krzyczeć w ostatnich chwilach swojego istnienia? Dziewczyna nie potrafiła wykrzesać z siebie smutku, a jedynie głuche przerażenie na wspomnienie wykrztuszania smug potarganej zjawy.

Zgódka nie potrafiła uporządkować myśli. Ciężyło jej zmęczenie Niedźwiedzia, ale i on zdawał się rozdrażniony i zdezorientowany.

Niedźwiedziu? Niedźwiedziu, co się dzieje?

Po raz pierwszy w czasie ich współistnienia zdawał się jej nie słyszeć. Jakby użądłony przez pszczołę, był zbyt oślepiiony bólem i niewygodą, by ją zauważać. Oddychała głęboko, starając się go uspokoić.

Co robi teraz sir Marmaduke? Wyobraziła sobie, jak dziko wypada na dziedziniec i odkrywa, że odjechała. Wydałby komendy, kazał siodłać konie, ruszyliby w pościg...

Powóz jechał szybko, ale nie mógł się równać z jeźdźcami w pełnym galopie. Szeroki trakt w kierunku Londynu przecinał mokradła stanowczą linią, z otwartą przestrzenią po obu stronach. Powóz byłoby widać z dwóch kilometrów. Jeśli pozostanie na głównej drodze, dopadną ją w mgnieniu oka.

Gdzie się znalazła? Odchyliła zasłonkę i wyrzała na zewnątrz. Drzewa wyglądały jak czarna korona na tle ciemnego, srebrnego nieba. Minęli kamień milowy, a potem wielki bładny głaz w kształcie pięści, odcinający się

wściekle od ciemnego wrzosu.

Zgódka spędziła całe lata, rozważając trasy ucieczki i odnotowując, które ścieżki były niedostępne ludzkiemu spojrzeniu. Jeśli znajdowała się tam, gdzie jej się wydawało, to za chwilę powinni dojechać do... Tak! Jest! Ostro zakończona sylwetka trafionego przez piorun dębu. Wzięła głęboki oddech.

– Stangret! – zawołała przez echo kopyt i trzeszczenie uprzęży. – W lewo! – Jej głos był nadwerżony od ryków, ale próbowała imitować chrapliwy, władczy ton lady April. – Za tym złamanym drzewem!

Stangret skinął głową i ściągnął wodze. Nawet jeśli zauważył coś dziwnego w jej głosie, nie dał nic po sobie poznać. Może wszystkie krzyki brzmiały podobnie przez terkot kół.

Ostrożnie skręcił tuż za dębem i wyprowadził powóz na starą, wyboistą drogę poganiaczy bydła, ukrytą w wysokich, szeleszczących kępach kolcolistu. Pojazd podskakiwał, szarpał i chybotał – Zgódka zaczęła się obawiać, że może odpaść koło.

I wtem, gdy dziewczyna już zaczynała czuć się nieco bezpieczniej, powóz zwolnił tempo i się zatrzymał, a stangret uspokajał konie, gwizdząc cicho. Zgódka otworzyła usta, by zapytać go o przyczynę postoju, ale dotarł do niej dźwięk, który woźnica usłyszał jako pierwszy.

Gdzieś za nimi, najpewniej na szerokiej, prostej drodze do Londynu, niósł się echem przez noc stukot galopujących kopyt. Jeden koń, może dwa.

Zgódka zamknęła oczy i modliła się, by wysokie krzewy kolcolistu skutecznie zasłaniały powóz i aby jego szeroki dach nie lśnił w blasku księżyca niczym grzbiet wielkiego żuka. Furia Niedźwiedzia pozostawiła ją zbyt wyzutą z sił i potłuczoną, by mogła zrobić coś więcej.

Tętent był coraz wyraźniejszy. Wreszcie wydawało się, że konie przebiegają o rzut kamieniem od powozu. Nie zwolniły jednak. Dudnienie kopyt cichło, aż wreszcie ustało.

Jeźdźcy nie zauważyli uciekinierów. Stangret nie rozpoznał w nich ludzi z Grizehayes. Powóz ruszył pomału, a serce Zgódki uspokoiło się do mniej bolesnego rytmu.

Niech cię piekło pochłonie, sir Marmaduke'u. Mam nadzieję, że będziesz w pół drogi do Belton Pike, zanim się zorientujesz, że nas minąłeś.

Najwyraźniej stangret lady April przywykł do podróżowania ukradkiem, co, jak na razie, okazywało się niezwykle przydatne. Gdy dotarli do rozwidlenia, pasażerka kazała mu jechać zarośniętą drogą, którą myśliwi wjeżdżali w głąb lasu. Czarne drzewa zamknęły się za nimi opiekuńczo. Paprocie i patyki trzeszczały w szprychach.

Zgódka sprawdziła swoje obrażenia w świetle zawieszanej pod sufitem

latarni. Zęby były nienaruszone, choć musiała wyjąć z dziąseł kilka drzazg. Szydełko lady April przebiło jej skórę na ramieniu, ale rana nie była głęboka. Dziewczyna była jednak mocno posiniaczona i odczuwała ostry ból w lewym łokciu. Patrząc wstecz, zdawało jej się, że przypomina sobie bezgłośnie, aksamitne uczucie rozdarcia w stawie, kiedy cisnęła Młodym Wrońcem przez kaplicę.

Jej ciało domagało się wypoczynku, by móc zacząć się goić, a głowa coraz bardziej jej ciążyła. Dziewczyna na siłę wrywała się snom, lecz wreszcie opanowała ją niemoc, zaciskając się wokół jej umysłu niczym palce miękkiej, ciemnej dłoni.

* * *

– Hej!

Zgódka wybudziła się tak nagle, że na chwilę zrobiło jej się słabo. Z bólem zamrugała w świetle trzymanej przez kogoś latarni. Za nią widziała zarys bladej, obwisłej twarzy, pomarszczonej ze zdezorientowania i podejrzliwości. Mężczyzna stał w drzwiach powozu i gapił się na nią.

Wtedy Zgódka przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego. Musi mieć przed sobą stangreta. Jak lady April go nazwała? Cattmore?

– Kim, u diabła, jesteś?! – zapytał.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że człowiek spodziewał się lady April. Płaszcz, pierścień, rękawiczki. Zamiast niej znalazł w środku nędznie wyglądającą piętnastolatkę.

Co robić? Uciekać? Błagać, by jej nie wydał?

Nie.

– Nie świeć nam w oczy, Cattmore – poleciła Zgódka z całym autorytetem, na który umiała się zdobyć. Mając w pamięci sztywną postać lady April i jej cienkie czerwone usta, wyprostowała plecy i zwęziła wargi w linijkę. – Nie należy przerywać nam snu. Musimy być dobrze wypoczęci, gdy dotrzemy do celu.

Wiele ryzykowała i było to zagranie desperackie i niebezpieczne. Stawiała wszystko na jedną kartę, licząc, że stangret zna Starszych Fellmotte'ów na tyle dobrze, iż wie, że nie zawsze wyglądali jak Starsi Fellmotte'owie.

Latarnia zachwiała się. Zgódka wyczuwała niezdecydowanie i niedowierzanie Cattmore'a.

– Moja... pani? Czy to ty?

– Oczywiście – odparła szybko Zgódka, a krew dudniła jej w skroni. –

Myślisz, że komukolwiek innemu powierzylibyśmy to? – Uniosła jedną dłoń, łapiąc promień światła w oko sygnetu.

– Nie, moja pani, proszę o wybaczenie. – W jego głosie dźwięczały strach i poczucie winy i dziewczyna musiała powstrzymać westchnienie ulgi. – Ja... nie zdawałem sobie sprawy, że pani... się przeprowadziła. Czy mogę spytać...

– Nie możesz – ucięła pospiesznie Zgódka. – Wystarczy, że mamy za sobą niezwykle trudny dzień. – Na szczęście jej zapożyczona szlacheckość pozwalała jej zachowywać się oschle i unikać odpowiedzi na pytania. – Dlaczego się zatrzymałeś? Czy dotarliśmy na miejsce?

– Nie, moja pani. Ale... zdawało mi się, że pani pukała w dach.

– Jesteś w błędzie – poinformowała Zgódka. A jednak w posiniaczonej prawej dłoni odczuwała świeży ból, jakby rzeczywiście w coś uderzyła. – Ile jeszcze drogi?

– Powinniśmy dojechać do kryjówki za jakąś godzinę. Hm... gdy się tam znajdziemy, jak przedstawić panią zebrany?

Zebrany? Myśli Zgódki rozpierzchły się w panice i potrzebowała całej siły woli, żeby nad nimi zapanować. Czy śmiała udawać lady April w obliczu „zebranych”? Jeśli dobrze ją znają, natychmiast przejrzą impostorkę.

Przez chwilę rozważała polecenie stangretowi, by zawiózł ją gdzie indziej, ale to z pewnością na powrót wzbudziłoby jego podejrzenia. Stwarzane przez Zgódkę pozory były kruche jak skorupka jajka. Jeden dobry dowód mógł je zgnieść na miazgę.

– Powiedz im, że jesteśmy jej przedstawicielką. – Wydawało się, że jest to najbezpieczniejsza opcja.

– Oczywiście, moja pani. Jakie podać imię?

Przed oczami Zgódki stanęła ilustracja ze starej książki z pobożnymi opowieściami. Gniewna kobieta z mieczem w jednej ręce i obciętą głową w drugiej.

– Judyta – odparła pod wpływem impulsu. – Judyta Grey.

Stangret przyłożył palce do czoła i zamknął drzwi.

Zgódka powoli wypuściła powietrze z płuc, po czym skrzywiła się, patrząc na piekące kłykcie. Czy rzeczywiście uderzyła w coś na tyle mocno, że woźnica to usłyszał?

Czy podczas snu zwierzę mogło przejąć kontrolę nad jej ciałem? Denerwował ją nieznaną jej dotąd niepokój Niedźwiedzia. Przez trzy lata był jej bratnią duszą, jej drugim ja, a teraz nie wiedziała, co się z nim dzieje, i nie miała jak go zapytać.

Jest dezorientowany i wystraszony po walce, to wszystko – przekony-

wała się.

Za godzinę będzie musiała odegrać swą rolę podczas spotkania z „zebranymi”. Nie miała wiele czasu na przygotowania. Jeśli miała udawać osobę zajmującą się interesami lady April, powinna wiedzieć, czego dotyczą.

Na podłodze powozu stała skrzynia. Była zamknięta, ale dziewczyna znalazła kluczyk w saszetce starej damy. W pudle było tyle monet, że Zgódce zakręciło się w głowie. Najpewniej miała przed sobą pieniądze dla króla.

Torba lady April zawierała cienki plik papierów i małą buteleczkę. Dziewczyna odkorkowała ją i powąchała ostrożnie, obawiając się trucizny, lecz zawartość pachniała karczochami.

Zgódka przejrzała dokumenty w blasku świecy. Czytanie od zawsze szło jej dość opornie, ale tej nocy wyjątkowo nie sprawiało większych trudności. Ucieszyła się, nie zważając na powód. Niektóre z papierów wyglądały na raporty z bitew. Inne, bardzo małe, były pokryte dziwnym szyfrem złożonym z nierozpoznawalnych dla niej znaków.

Zgódka nie miała już wątpliwości. Lady April była szpiegiem.

Jeden z listów, skreślony śmiałym i eleganckim pismem, przyciągnął jej uwagę:

Pozdrowienia dla moich Przyjaciół i Krewnych!

Jeśli list trafił w Wasze ręce, oznacza to, iż zrzekłem się już dowodzenia lub zginąłem, próbując. Jeśli prawdą jest druga opcja, to bez wątpienia ukrycie moje działania, by chronić dobre imię Waszej ukochanej rodziny. Jeśli jednak zwyciężyła opcja pierwsza, to zdążyłem zmienić barwy na lepsze.

Rzecz jasna, nazwiecie mnie zdrajcą, lecz ostatnio odkryłem, że mam obowiązki wobec parlamentu. Wolę zdradzić króla aniżeli własne sumienie. Muszę jednak przyznać, że pewnie mniej martwiłbym się o owo sumienie, gdybym miał pewność, że mój własny ród wystarczająco mnie ceni. Niestety, okazało się, że muszę liczyć na Wasze miłosierdzie i modlić się, że uznacie mnie za odpowiednio cennego, bym mógł wstąpić w Wasze szeregi. Postanowiłem nie ryzykować życia i duszy, zdając się na Waszą łaskę i nielaskę.

Żał mi oddziału, ale nie mogłem oczekiwać, że moi nowi Przyjaciele uwierzą w zapewnienia o mojej lojalności, nie widząc dowodu moich szczerych wobec nich intencji.

Wziąłem pewien drobiazg z komnaty z dowodami tytułów własności, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Jeśli wykonacie jakikolwiek ruch przeciwko mnie lub dojrzą z okna zastęp Wrońców, edykt trafi w ręce parlamentu, a jego kopie zostaną rozesłane do wszystkich brukowych wydawców, od Penzance po Edynburg. Objawicie się światu jako potwory, a król jako przyjaciel potworów, i wtedy przekonamy się, jak zawieje wiatr.

Bądźcie pewni, że nie powstrzyma mnie żadna wdzięczność, jeśli poczuję się zagrożony. Krew krwią, ale człowiek ma przede wszystkim obowiązek ratować własną skórę, darowaną mu przez Boga.

*Z poważaniem
Wasz krewniak, Symond Fellmotte*

Zgódka z trudem powstrzymała się od zmięcia listu w kulkę. A więc to ta

bezczelna wiadomość złamała serce lordowi Fellmotte'owi i jednym ciosem odebrała mu zdrowie! Symond nie tylko zdezerterował, lecz także zbiegł do sił parlamentu. Zaplanował zdradę z wyprzedzeniem i z zimną krwią.

Żal mi oddziału, ale nie mogłem oczekiwać, że moi nowi Przyjaciele uwierzą w zapewnienia o mojej lojalności, nie widząc dowodu moich szczerych wobec nich intencji.

Zgódka czytała tę linijkę w kółko. Z rozmysłem naraził Kubę i regiment na śmiertelne niebezpieczeństwo. Był gotów poświęcić ich wszystkich, aby tylko przypodobać się nowym sprzymierzeńcom.

Nie miała mu za złe, że chciał uciec przed swym Dziedzictwem. Cóż, sama przez lata próbowała się wyzwolić. Nie miała pretensji o cios zadany Starszym. Miała jednak prawo winić go za to, że zdradził Kubę i cały oddział mężczyzn, którzy poszli za nim i w niego wierzyli.

A więc złoty chłopiec nie był szczęśliwy, a przynajmniej nie wystarczająco. Przyjąłby bogate brzemie lordostwa, a nawet wpuścił do swego ciała nieśmiertelne zjawy, gdyby tylko miał pewność, że jego własny duch również zostanie zachowany. Nie miał jednak tej gwarancji. Najwyraźniej snuł plany i czekał na właściwą chwilę, zupełnie jak Zgódka.

Nie, nie tak jak ja. Nie jest lepszy od reszty Fellmotte'ów. Kolejny fircyk skupiony na tym, co mu się należy od świata, skłonny zapłacić dowolną cenę, byle walutą była krew innych.

Zgódka wypuściła powietrze z płuc, próbując się uspokoić. Przynajmniej teraz wiedziała, że lady April zamierzała przekazać listy, informacje wojskowe i dowód zdrady Symonda posłańcowi zmierzającemu do Oksfordu. Nie dawało jej to wiele, ale może wystarczająco dużo, by mogła rozegrać własną partyjkę w tej grze.

Miała jednak inny naglący problem. Stara szlachcianka знаła cel podróży pojazdu. Kiedy tylko się ocknie i będzie w stanie mówić, Fellmotte'owie natychmiast wyruszą w kolejny pościg za uciekinierką. Co więcej, stangret może oczekiwać, że po spotkaniu zawiezie „lady April” z powrotem na jej włości, do Grizehayes.

Przecierając twarz i wkładając warkocze pod czepek, Zgódka usiłowała obmyślić plan.

* * *

Powóz dotarł do kryjówki o brzasku. Dziewczyna dziwnie się czuła, gdy ktoś otworzył przed nią drzwiczki i podał jej dłoń, by pomóc jej wysiąść. Bystry wzrok Niedźwiedzia przenikał mrok, pozwalając Zgódce dostrzec, co

ją otacza. Wyjechali z lasu i teraz jedynie kilka rozrośniętych drzew zaburzało monotony, zamglony horyzont.

Stangret zatrzymał powóz przy samotnym domu, opartym o pagórek, obok zielonkawego, kapiącego koła wodnego. Tafla stawu była mocno zarosnięta trzcina, ale gdzieś tam w wodzie odbijało się światło księżyca, migotliwe niczym błysk szabli.

Starsza para szybko otworzyła drzwi, usłyszawszy pukanie stangreta, i w milczeniu pochyliła głowy, zapraszając Zgódkę do środka. Było jasne, że czekała na nią, a przynajmniej na jakiegoś gościa.

– Czy wszystko dobrze? – spytał stangret, gdy gospodarze prowadzili ich przez ciemne, zimne korytarze cuchnące myszami i zeszłorocznym sianem.

– Dość spokojnie przez ostatnie miesiące – odpowiedziała kobieta. – Ale mieliśmy sporo kwaterunków. Oddziały parlamentu opadły nas jak plaga szarańczy i wyczyściły nam spiżarnię. – Zerknęła szybko i trwożnie na Zgódkę, jakby obawiała się jej dezaprobaty. – Nic nie mogliśmy na to poradzić, przysięgam!

Dziewczynę wprowadzono do niewielkiego, wąskiego saloniku z potężnym ogniem trzaskającym na pryskających, mokrych polanach. Tam czekali na nią „pozostali”, a raczej „pozostałe”, gdyż obie osoby były płci żeńskiej, a szum rozmowy, który rozległ się po otwarciu drzwi, wskazywał na to, że dobrze się znają. Umilkły, gdy Zgódka wkroczyła do środka.

Jedna z kobiet była wysoka i miała niesamowicie rude włosy wymykające się spod okazałego kapelusza. Na twarzy miała naklejone pół tuzina maleńkich kółeczek z czarnej tafty. Zgódka wiedziała, że takie łatki uważano za modne, ale sześć to zdecydowanie zbyt wiele. W tym wypadku zakrywały pewnie ślady po ospie i dziewczyna odgadła, że kobieta musiała mieć jeszcze poważniejsze starcie z chorobą niż ona sama.

Jej towarzyszka była starsza, miała szerokie oblicze, a spod kornetu wystawały zmęczone, ciasno splecione włosy koloru zużytego sznura. Oczy miała błękitne niczym maleńkie skrawki nieba. Zgódka oceniła, że jest ona równie zwyczajna jak dzień prania, lecz zdecydowanie niegłupia.

Skinęły dziewczynie głowami, gdy weszła, ale nie rozpoczęły rozmowy, dopóki gospodyni nie opuściła pokoju. Ruda uważnie przyjrzała się pierścieniowi lady April i zdawała się usatysfakcjonowana. Padły krótkie, dziwnie nieformalne prezentacje. Młodsza nazywała się Helena Favender, starsza – Peg Corble. Zgódce przeszło przez myśl, że tożsamości te są pewnie równie prawdziwe co Judyta Grey.

– Spodziewaliśmy się kogoś innego – rzekła Helena. Mówiła z lekkim szkockim akcentem i dziewczyna zastanawiała się, czy jej ród nie jest jed-

nym z tych, które przywędrowały ze Szkocji do Anglii z poprzednim królem. Miała na palcu srebrny pierścień i Zgódka odgadła, że nawet jej bezpośrednio płynęła z pewności siebie szlachty. Była klaczą z odrobiną dzikiej krwi, ale taką, którą dobrze karmiono i wypuszczano, by pogalopowała, ile dusza zapagnie.

– Moja pani zamierzała przybyć osobiście – powiedziała szybko Zgódka i w zasadzie zgodnie z prawdą. – Zatrzymała ją niecierpiąca zwłoki sprawa i musiała naprędce zmienić plany.

– Nic poważnego, mam nadzieję? – spytała Peg, patrząc z troską i zaciekawieniem.

– Nie powiedziała mi – odparła pospiesznie dziewczyna.

– Czy przywiozłaś pieniądze dla Jego Wysokości? – dopytywała Helena, lecz uspokoiła się, kiedy Zgódka przekazała jej skrzynię i kluczyk.

– Tak... ale plan uległ zmianie. – Teraz Zgódkę czekał skok na głęboką wodę. – Moja pani rozkazała, bym towarzyszyła wam w podróży do Oksfordu.

Dwie kobiety wymieniły spojrzenia.

– Nam? – zdziwiła się Helena. – A to dlaczego?

– Wiozę dla kogoś wiadomość i mam mu ją przekazać osobiście – nie można było powierzyć jej papierowi. – Zgódka modliła się w duchu, żeby opowieść była jednocześnie dość wiarygodna i dość mętna.

– A jednak powierzono ją tobie – zauważyła cierpko Helena. – Czy wykonywałaś już dla swej pani podobne usługi?

– Załatwiałam dla niej pewne prywatne sprawy...

– Jakie sprawy? – przerwała jej ruda.

– Ach, nie skub już biednego kurczątko! – skarciła ją Peg. – Przecież nie może opowiadać o prywatnych interesach swojej pani! – Mimo życzliwego uśmiechu w jej oczach lśniło pytanie.

– To zakręt na drodze i życzę sobie wiedzieć, dlaczego się tam znalazł! – fuknęła Helena. – I... dziecko, wydajesz się zdecydowanie za młoda na wykonywanie podobnych zadań. Będziemy się przedzierać przez zastępy wroga! To nie zabawa – jeśli wpadniemy w ich ręce, czekają nas wakacje w Tower, a i to przy odrobinie szczęścia...

– Może ciebie – zaznaczyła sucho Peg. – Mnie raczej rozciągną szyję, żeby była śliczna i łabędzia.

– A jeśli któraś z nas nie jest przyuczona do potajemnej pracy, ryzyko, że nas złapią, rośnie! – ciągnęła Helena.

– Nie jestem niedoświadczona! – zaprotestowała Zgódka. – Nie zawiodę was, daję słowo!

– Lady April zawsze wprowadza własne zasady gry – podsumowała rudowłosa, ze złością wznosząc ręce. – Zresztą jak wszyscy! Gdyby ci, którym król miły, trzymali się razem, już dawno wyplenilibyśmy rebeliantów. Tymczasem jesteśmy skrzypkami w ciemnościach, suniemy smyczkiem po tych samych strunach i trafiamy sobie nawzajem w oko.

– Proszę, nie odsyłajcie mnie! – Zgódka zmieniła taktykę. – Moja pani nigdy by mi tego nie wybaczyła.

– Ta wiadomość, którą masz do przekazania, jest naprawdę taka ważna? – chciała wiedzieć Peg.

– Wystarczająco ważna, żeby śledzono mnie na drodze – oświadczyła Zgódka pod wpływem nagłej inspiracji. – Gdy jechaliśmy przez mokradła, powóz ścigali jeźdźcy.

– Jesteś pewna, że ich zgubiliście? – spytała Peg, natychmiast tracąc macierzyński ton.

Zgódka skinęła głową.

– Tak, ale wcale mi się to nie podobało. Czaili się, jakby wiedzieli, że będę przejeżdżać. Czy to miejsce na pewno jest bezpieczne? Ile osób je zna? – Z każdą chwilą spędzoną w tej tak zwanej kryjówce zagrożenie rosło.

– Dobre pytanie. – Spojrzenia Peg i Heleny spotkały się i starsza z nich uniosła brew. – Zamierzałyśmy zostać tu jeden dzień...

– ...ale może nie powinnyśmy tak długo zwlekać – dokończyła Helena. – Koniom przyda się kilka godzin odpoczynku, nam również, lecz ruszajmy jutro z samego rana.

Dziewczyna zauważyła, że co prawda niechętnie, ale włączono ją do owego „ruszajmy”. Helena nie była zachwycona perspektywą podróży z obcą panną, ale się nie sprzeciwiała.

Zgódka wiedziała, że rudowłosa ma rację. Misja dotarcia do Oksfordu będzie trudna i niebezpieczna. Nie mogła jednak przestać myśleć o doktorze Benjaminie Szybkim, który wyleczył pacjenta z „opętania”. Biuletyn podawał, że miało to miejsce w Oksfordzie.

Gdyby udało jej się odnaleźć tajemniczego lekarza, poskramiacza duchów, może pokazałby jej, jak walczyć z Fellmotte’ami. Nie mogła zrezygnować z Kuby ani z nadziei, że jego prawdziwe ja wciąż w nim żyje. Może udałoby jej się go ocalić z pomocą doktora, dopóki jeszcze nie było za późno.

ROZDZIAŁ 21

Zgódka poderwała się ze snu z niejasnym wrażeniem, że coś właśnie uszczypnęło ją mocno w przedramię. Było jej bardzo zimno, świat spowijał mrok, a pod gołymi stopami czuła bruk.

Gdzie ja jestem? Jak się tu znalazłam?

Zebrała rozmyte myśli. Poszła spać w małym pokoiku na facjatce, który jej przydzielono, z siennikiem i zapasem koców.

Teraz miała w ręce duże metalowe kółko. Ciemność przed nią robiła się jeszcze głębsza i dochodziły z niej ciche parsknięcia oraz odgłos kopyt przestępujących w słomie. Dziewczyna stała przed stajniami, trzymając otwarte drzwi. Nad jej głową migotały gwiazdy.

Co ja robiłam?

Z pewnością Niedźwiedź nie zakradł się tu, by pożreć konie! Miał na ich temat głodne myśli, kiedy Zgódka odbywała swoją pierwszą lekcję jazdy, i sporo wysiłku kosztowało ją, by go przekonać, że to zły pomysł. Jednak to było dawno temu.

Niedźwiedziu – po co mnie tu przyprowadziłeś?

Wokół panowała cisza, a potem dziewczynie zdało się, że wewnątrz jej głowy rozlega się cichy warkot, tak zimny i głęboki, że mógłby być odpowiedzią Ziemi o sercu z węgla. Nie był to przyjazny dźwięk. Odczytała go jak ostrzeżenie, odgłos śmiertelnej wrogości.

– Niedźwiedziu – szepnęła przerażona, ale nie doczekała się jego reakcji. W zwierzęciu zaszła jakaś zmiana, ale Zgódka jej nie rozumiała. Przypominała psy jeżące sierść, gdy wyczują zapach nieznanego. Albo oszalałe po dłuższym pobycie na słońcu, szczerzące kły na przyjaciela. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach.

Zgódka ruszyła ostrożnie w kierunku dźwięku, aż dotarła do rogu stajni, skąd mogła obserwować front domu. Okiennice w jednym z okien były lekko uchylone, z powstałej szczeliny bił blask świecy. Widać było sylwetkę mężczyzny, pochylonego i szepczącego do kogoś w środku.

Dziewczynę zalała fala paniki, bo przez chwilę była pewna, że ów czło-

wiek musi być posłańcem Fellmotte'ów. Wytropili ją, przyszli po nią. Potem jednak rozpoznała dobiegający z okna głos gospodyni.

– Jedź, spiesz się! – szeptała. – Kieruj się do Aldperry i pytaj o kapitana Maltseya. Przekaż mu, że agentki królewskiego wywiadu wróciły i że ja dotzymałam słowa.

Mężczyzna z latarnią w dłoni oddalił się posłusznie, a Zgódka doznała olśnienia. Sytuacja nie miała nic wspólnego z Fellmotte'ami. Jej gospodarze byli wiernymi sługami kogoś innego.

Drżąc z zimna, błędząc po omacku wzdłuż domu, odnalazła wreszcie drzwi i jak najszybciej wślizgnęła się do środka. Wspięła się po wąskich, czarnych jak atrament schodach, po czym dyskretnie zastukała do drzwi naprzeciwko jej własnej sypialni, mając gorącą nadzieję, że wybrała właściwy pokój. Odetchnęła z ulgą, gdy po chwili ukazała się Helena, z potarganymi włosami i świecą w ręce. Zgódka weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, zanim się odezwała.

– Musimy wyjechać. – W kilku słowach opisała to, co usłyszała. – Zdradzili nas. Wysłali gońca do oddziałów parlamentu z informacją, że tu jesteśmy.

– Powinam się była domyślić! – Helena wypuściła powietrze przez zęby. – Byli tym razem tacy wystraszeni jak nigdy dotąd. – Popatrzyła na Zgódkę spod zmarszczonych brwi. – A ty, dlaczego w ogóle znalazłaś się pod stajnią?

– Czasem lunatykuję – odparła szybko dziewczyna, łowiąc sceptyczne spojrzenie Heleny.

– Cóż, może faktycznie – powiedziała Peg, która też się zbudziła i zaczęła się pakować ze spokojną praktycznością. – Mało prawdopodobne, żeby uciekała w takim stanie.

Ku swojemu zawstydzeniu Zgódka zorientowała się, że ma na sobie jedynie koszulę z długim rękawem, która służyła jej jednocześnie za bieliznę i koszulę nocną. Otuliła się obronnie ramionami.

Helena, z grymasem na twarzy, zbliżyła świecę do dziewczyny i podciągnęła jeden z jej rękawów. W świetle płomienia wyraźnie było widać żółto-brązowe sińce na ramionach.

– Źle cię traktowano – powiedziała cicho rudowłosa. – Hm. Zaczynam rozumieć, dlaczego nie chcesz stanąć przed lady April, nie wykonawszy jej rozkazów. – Obrzuciła Zgódkę dziwnym, chłodnym spojrzeniem z nutką współczucia. – Chodź, ubierz się, zanim się rozchorujesz przez to nocne powietrze.

Gdy Zgódka obciągała z powrotem rękaw, dostrzegła coś jeszcze. Mały

fragment skóry jej przedramienia był zaróżowiony, jakby czyjeś palce niedawno mocno ją uszczypnęły.

* * *

Po cichu obudziły stangreta i kazały mu przyszykować powóz i dwa konie, należące do Peg i Heleny. Zgódką wróciła do sypialni, gdzie wydobyła swój awaryjny pakunek, z którego wyjęła ubrania na zmianę – starą rudobrunatną kurtkę, zakupioną ukradkiem na targu, wyblakłą, szarą jak dym spódnice, którą odłożyła pół roku wcześniej i spod której wystawało więcej halki niż kiedyś, ale nic nie można było na to poradzić. Włosy schowała szczelnie pod wyświechtany lniany czepek.

Gdy wyszła z pokoju, Helena i Peg spojrzały na nią z aprobatą i nie wyglądały na zdziwione, że przemieniła się w lichą ubraną służkę. Były szpiegami, prawdopodobnie przywykłymi do takich metamorfoz.

Stangret natomiast patrzył na nią z osłupieniem. Jego zmartwienie i zaskoczenie pogłębiły się jeszcze, gdy poinformowano go, że Zgódką nie wraca z nim do Grizehayes.

– Jedź do domu okrężną drogą – poleciła mu, jak najstaranniej imitując manierę lady April. – Nie mów nikomu, dokąd się udałam, nawet członkom mojej rodziny. – Nie łudziła się, że mężczyzna oprze się przesłuchaniu Fellmotte’ów, ale liczyła na to, że kupi sobie przynajmniej trochę czasu.

Gdy Zgódką dosiadła się do Peg na jej rumaku, zaczynało świtać. Już odjeżdżały, kiedy w drzwiach pojawiła się gospodyni, zdezorientowana, ze słowami protestu na ustach. Dziewczynie zrobiło jej się trochę żal i z tym uczuciem pozostawiła w tyle młyn, który po chwili zniknął za drzewami.

* * *

Fellmotte’owie nauczyli Zgódkę jeździć konno, ale rzadkie lekcje nie przygotowały jej do wielogodzinnej podróży w siodle. Niedźwiedź nigdy nie ułatwiał takich działań. Czuł zapach konia i nie mógł się odnaleźć, dosiadając innego zwierzęcia. Rumak w dodatku był narowisty i Zgódką zastanawiała się, czy wyczuwa towarzyszącą jej zjawę.

Duch pozostawał niespokojny, rozgorączkowany i dziwny. Zawsze był dziki, to jasne, ale Zgódką przyzwyczaiła się do jego zwierzęcego ciepła, niesforności i zmiennych humorów. Spędziła trzy lata, prowadząc z nim nieme negocjacje – dzieląc jego ból, kojąc lęki, powstrzymując jego porywy i chęć ataku. Teraz jednak było inaczej. Po raz pierwszy od lat się go bała.

Czasem w naturalny sposób jego umysł wtulał się w jej, ale potem cofał się i wydawał z siebie długi, cichy warkot, który mroził jej krew w żyłach. Może ucierpiał w starciu z Infiltratorem i to w jakiś sposób go zmieniło? Co miała zrobić, gdyby zwrócił się przeciwko niej? Miał przecież dostęp do jej środków obrony.

Cały czas próbowała zrozumieć, dlaczego nagle obudziła się w drzwiach stajni. Była niemal pewna, że ktoś uszczypnął ją w przedramię. Niedźwiedź potrafił gryźć, ale przecież nie szczypał. A więc kto wyrwał ją ze snu – albo co? Nie wiedziała, do czego by doszło, gdyby tak się nie stało. Starła się nie myśleć o szale, w jaki wpadłby Niedźwiedź. Miała nadzieję, że nie obudziłaby się skąpiana we krwi, pośród martwych lub kwiczących koni.

Półprzytomna z braku snu i z powodu obrażeń, Zgódka miała wrażenie, że śni. Nie przywykła do widoku zielonych wzgórz o łagodnych zboczach, bez strzelistych, ostrych grani czy surowych, jałowych ostępów. Wreszcie znalazła się poza rozległymi majątkami Fellmotte'ów i sama nie mogła w to uwierzyć. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że to prawda.

Przez ostatnie trzy lata Zgódka żyła w strachu, uwięziona pod mrozącymi krew w żyłach spojrzzeniami Starszych. Teraz była przerażona, że mogliby ją dopaść, lecz przynajmniej czuła, że żyje. Fellmotte'owie mogli dogonić ją w każdej chwili, ale z tym oddechem, i tym, i jeszcze jednym, była wolna.

Towarzyszkom dziewczyny jazda w siodle nie sprawiała żadnego dyskomfortu i nawet rozmawiały między sobą. Trio ustaliło swoje role. Helena była, rzecz jasna, szlachcianką, podróżującą ze swymi dwiema służącymi. Ilekroć mijały wędrownego sprzedawcę gazet, obładowanego zadrukowanymi arkuszami, Helena zwalniała tempo.

– Jakie wieści? Co masz na sprzedaż?

Kupowała płachty z najświeższymi doniesieniami o niedawnych wydarzeniach, pełne pogłosek, krwawych jatek, różnorodnych informacji o ostatnich działaniach parlamentu.

– Wszędzie rebeliancka zgnilizna – oceniła z dezaprobatą Peg, gdy Helena studiowała najnowszy arkusz. – Ziemie, na których jesteśmy, są już w rękach parlamentu.

– Zaiste – odparła rudowłosa. – Ale musimy znać śpiewkę wroga, jeśli mamy się do niej przyłączyć bez fałszu. O, a nasza nowa znajoma pewnie będzie chciała przeczytać sobie to. – Przechyliła się w siodle, by podać dziewczynie gazetę.

Większość pamfletu kipiała słuszną furią. Ludzie króla palili w kościołach kobiety i dzieci! Zła francuska królowa naciskała, by biedna, szlachetna Anglia znalazła się pod nikczemnymi wpływami papieża! Książę Rupert był

w zмовie z szatanem! Jego pies imieniem Zuch przeżył wszystkie bitwy, co stanowiło jawny dowód na to, iż jest duchem pod postacią zwierzęcia, posłańcem Piekielnego Pana!

Dziwnie było trafić na takie słowa po tak długim czasie. Katolicycy szpie-dzy, zła królowa – zupełnie jakby Zgódka przeniosła się z powrotem do Topoli! Jednak odkąd zamieszkała w Grizehayes, przywykła do słuchania wersji rojalistów i teraz biuletyn zrodził w niej strach, powodując ścisk w żołądku. Przez trzy lata chłoneła niezachwiane przekonania innych i nagle zdała sobie sprawę, że nawet nie zauważyła, kiedy jej własne opinie zlały się z ich zdaniem.

– Spójrz na dół strony – podsunęła Helena.

Prześlizgując się wzrokiem po arkuszu, Zgódka dostrzegła nazwisko „Fellmotte”. Znajdowało się na liście „tych, którzy stanęli po stronie króla, i papistów występujących przeciwko parlamentowi oraz naszym odwiecznym prawom”, a ich włości miały zostać „sekwestrowane”. Uwzględnieni byli wszyscy wybitniejsi Fellmotte’owie.

– Co oznacza „sekwestrowane”? – spytała dziewczyna.

– Odebrane – odparła rudowłosa. – Jeśli sprawy potoczą się po myśli parlamentu, skonfiskują ziemię Fellmotte’ów, ograbią je ze wszystkiego, co możliwe, a potem oddadzą je, komu im się spodoba.

– Na przykład panu Symondowi – mruknęła pod nosem Zgódka. Do tej pory sądziła, że zależało mu jedynie na wolności. Kto wie, czy jego ambicje nie sięgały dalej. Może miał chrapkę na cały majątek Fellmotte’ów.

– Twój ród będzie walczył, jestem tego pewna – oświadczyła rzeczowo Helena. – Mają przyjaciół w Londynie i dość pieniędzy, żeby opłacić armię prawników.

Co jakiś czas kobiety miały oddziały żołnierzy. Większość mężczyzn nie miała na sobie mundurów, tylko szarfy lub kawałki kolorowego papieru na czapkach, żeby pokazać, po której stronie stoją. Wielokrotnie dokonywali na pokaz zatrzymania trzech podróżniczek, a czasem prosili o „cło”, które Helena uiszczala bez słowa sprzeciwu.

Zdarzało się, że mówili o skonfiskowaniu koni dla pułku, jednak zamiary te gasiło pewne siebie, wytworne oburzenie. Klasa była zbroją i bronią szlachcianki i jak na razie działała bez zarzutu. Zgódka zastanawiała się, czy równie dobrze sprawdziłaby się w obliczu oficera bądź kawalera parlamentu.

Helena pożyczyła dziewczynce maskę przeciwsłoneczną, jaką damy zwykle nosiły, aby ich cera pozostała biała. Zgódka cieszyła się z ukrycia, a także z obycia rudowłosej towarzyszki i jej gotowości, by prowadzić

wszystkie rozmowy.

Kiedy zatrzymały się na noc w zajezdzie, dziewczyna padła wyczerpana na łóżko, ale coś co chwilę gwałtownie ją wybudzało, a w nozdrzach czuła zapach Niedźwiedzia.

Nawet gdy spała, jej lęki pozostawały czujne.

Śniło jej się, że znalazła się z powrotem w swojej klitce na piętrze starego domu w Topoli. Była mała i siedziała na kolanach kobiety, usiłując przeczytać biuletyn z doniesieniami z wojny. Było niezwykle istotne, by zrozumiała treść, lecz litery wciąż przeskakiwały, opowiadając różne historie.

Kobieta milczała. Zgódka czuła, że powinna wiedzieć, kim ona jest, ale coś ją powstrzymywało przed spojrzeniem w jej twarz. Zamiast tego obserwowała, jak towarzyszka wyciąga rękę i powoli wydrapuje literę „M” w brudzie na drewnie ościeży.

To był klucz do wszystkiego. Zgódka była tego pewna, ale nie potrafiła pojąć sensu sceny. Patrzyła tylko na literę, aż jej umysł pograżył się w głębszym śnie.

* * *

Drugiego dnia w południe trio porzuciło główną drogę i pojechało krętą aleją do przycupniętego na uboczu domu, gdzie samotny mężczyzna czekał z wozem pełnym beczek. Podważył wieko jednej z nich, żeby pokazać Helene zawartość.

– W środku jest złoto? – zapytała, by się upewnić.

– Każdy pens, jaki udało nam się zebrać – odparł mężczyzna. – Osobisty majątek trzech wielkich mężów, którzy mogliby szeznać w Tower, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, co zrobili. W was cała nasza nadzieja. Przekażcie Jego Królewskiej Mości, że odpowiedzieliśmy na jego wezwanie w czasie próby! Jedźcie z Bogiem, niech bezpiecznie doprowadzi was do króla!

Zgódce zaschło w ustach. Myślała, że Helena i Peg próbują jedynie przemyścić do Oksfordu wiadomości dla króla oraz złoto lady April. Ale nie, najwyraźniej miały zamiar przewieźć fortunę tuż pod nosem całej armii zwolenników parlamentu. Zawartość beczek wydawała się oczywista. Dziewczynę kusilo, by spytać, co jeszcze się w nich znajduje, ale wówczas mogłoby się wydać, w jak niewielkim stopniu zna plan działania.

– Nikt ich nie przeszuka? – szepnęła do Peg.

– Nie, dziecko. – Po chwili dodała pod nosem: – Jak Bóg da. – Zgódka nie poczuła się bezpieczniej. – Tak czy inaczej, powinność naszym panem.

Król znalazł się w rozpaczliwej sytuacji – jeśli nie będzie w stanie opłacić żołnierzy, zostanie bez wojska. Musi mieć to złoto... a my nie jesteśmy w stanie przenieść go na sobie, nie tym razem. Przekonasz się sama, że ilość tego, co możesz ukryć na sobie, jest ograniczona, bo w końcu ugną się pod tobą kolana. Ostatnim razem omal nie omdlałam w ramionach strażnika.

Rzeczywiście, wkrótce dziewczynę poinstruowano, jak ukryć część monet lady April w gorsecie, butach, w zaplecionych w warkocz włosach i opuszczonych kieszeniach spódnicy.

Jadąc w wozie z towarzyszkami, Zgódka czuła, jak rośnie w niej dziwne podekscytowanie. Należała do pewnej drużyny, nawet jeśli trafiła do niej podstępem.

– Gdy zbliżymy się do Oksfordu na jakieś dziesięć mil, najpewniej nas przeszukają – ostrzegła ją Helena. – Od dwóch miesięcy rebelianci wysyłają ludzi do króla, sprawdzając szanse na pokój. Na czas trwania negocjacji, zgodzili się trzymać swoje oddziały w odległości dziesięciu mil od miasta, a żołnierze króla nie powinni zapuszczać się poza ten promień. Żadna ze stron nie mierzy zbyt ściśle dystansu, więc dochodzi do wielu najazdów i starć, ale na pokaz wszyscy respektują układ.

Oznacza to, że poza okręgiem bezpieczeństwa okrągłogłowi rozłożyli obozy i garnizony, gryząc wędzidło i czuwając, żeby żadna pomoc nie dotarła do władcy.

Zgódka zauważyła ze zdziwieniem, że na drodze było tłoczno, i to nie tylko z powodu obecności wojskowych. Ludzie nieśli kosze z towarami na sprzedaż – patelniami, mąką, drobiem, ziołami.

– Dzień targowy – wymamrotała przez ramię Peg. – Tym lepiej dla nas, że nie my jedne zmierzamy do miasta.

– Wszyscy ci ludzie tam idą? – spytała dziewczyna. – A co z oddziałami stronników parlamentu? Nie zatrzymają ich?

– O nie, wojsko nie stanie na drodze kupcom wędrującym na targ! – Peg puściła oko. – Jak inaczej poznaliby nowinki z Oksfordu? W ten sposób przenikają do środka ich szpiedzy – a przynajmniej nie miała ich część. Poza tym tubylcy stają się nieprzyjaźni, jeśli pozbawia się ich możliwości handlu i zapełnienia spiżarni.

– Cicho tam, kwoki – upomniała je Helena. – Widzę przed nami żołnierzy.

Wioska, do której wjeżdżały, nosiła ślady wojny. Pola były stratowane, a wąska droga zmieniona w błoto przez nadmiar ruchu. Mundurowi byli wszędzie – stali w drzwiach, ciągnęli zapierające się konie, wychylali się z okien, pałac gliniane fajki. Zgódce wydawało się, że ma przed sobą pełną

armię. Potem jednak rozwiął się dym z kuźni i dopiero wtedy dziewczyna zobaczyła prawdziwe wojsko.

Na polu wznosił się las zniszczonych przez pogodę namiotów. Zdziwiona Zgódka miała wrażenie, że ma przed sobą tysiące ludzi i koni – zbyt wiele, by ogarnąć ich wzrokiem.

– Możesz się gapić – rzuciła sucho Peg, która zauważyła, jak jej młoda towarzyszka spogląda na oddziały z ukosa. – Dziwne by było, gdybyś tego nie robiła.

Dziewczyna pamiętała obrazy w Sali Map, z żywymi błękitami i czerwienią, oraz miniaturowe wojskowe namioty ustawione w równych rzędach, jakby widziane z lotu ptaka. Tutejszy obóz z mdłego płótna, z zakurzonymi końmi i zrytą koleinami ziemią, był w zestawieniu z nimi szokująco realistyczny. Unosił się z niego bukiet woni – wilgotny drewniany popiół, proch, olej i końskie łajno. Było też zaskakująco wiele kobiet, szorujących garnki, noszących drewno na opał, a gdzieś tam karmiących piersią niemowlęta. Cała scena była chaotyczna i brutalnie życiowa.

Strażnicy stojący niedbale na baczność pośrodku drogi, z zakurzonym niepokojem bezpańskich psów w letnim upale, mieli w żyłach prawdziwą krew, która mogła zostać rozlana. Ich muszkiety nabite były prawdziwymi kulami. Mogli w nią wycelować. W końcu kim teraz była? Awanturniczką. Agentką wywiadu. Szpiegiem.

– Przygotujcie dokumenty – poleciła Helena. – I zdejmijcie maski słoneczne. Pamiętajcie, że kurtyzany też takie noszą, a nigdy nie przedrzemy się przez obóz, jeśli wezmą nas za nie.

Zgódka poczuła, jak ściska jej się żołądek, kiedy podjeżdżały do oczekujących mężczyzn, osłaniających się przed słońcem i mrużących oczy wbite w zbliżający się wóz. Dwóch było uzbrojonych w muszkiety, połyskujące leniwie i złowieszczo.

– Dokąd zmierzacie? – zawołał jeden z żołnierzy.

– Do Oksfordu – odparła Helena z niewzruszoną pewnością siebie.

Strażnicy nieufnie spojrzeli na wóz, potem z powrotem na rudowłosą i jej „służące”. Nie miały raczej szans, by uznano je za wieśniaczki wiozące towary na targ.

– Przykro mi, pani, ale nie możemy pozwolić na dostawy zapasów dla królewskiej armii.

– Przeczytaj to. – Helena wyjęła dokumenty. – Mam pozwolenie od parlamentu. Zobacz – beczki są uwzględnione w tym liście.

Pierwszy ze strażników zamrugnął, patrząc na podany mu papier, i Zgódka poczuła ukłucie współczucia, kiedy podał kartkę następnemu w kolejce.

Dokument przechodził z rąk do rąk, aż trafił do najpostawniejszego z żołnierzy, najwyraźniej jedyne, który posiadał sztukę czytania.

– Więc... jesteś pomywaczką?

– Praczką. – Helena poprawiła go z chłodnym opanowaniem. – Służyłam członkom królewskiego rodu i paniom na dworze.

– I beczki są pełne mydła? – Strażnicy spoglądali na nią z dziwną mieszaniną wrogości, zwątpienia i szacunku. Rudowłosa niemal otwarcie przyznała się do bycia rojalistką. A jednak była damą wyższej klasy, i to zaopatrzoną w list z parlamentu.

– Najlepsze kastylijskie mydło, utarte z najczystszy popiołem z ostów – oznajmiła Helena. – Możecie sprawdzić oznakowanie na beczkach.

– Hiszpańskie świństwo – mruknął wojak. – Nie mają w Oksfordzie dość mydła i praczek?

– Mają, oczywiście – odparła pewnie Helena. – Ale nie są odpowiednie dla ubrań Jego Wysokości i jego własnej osoby. Myślisz, że byle stara baba może wziąć na tarę jego jedwabie i potraktować je baranim tłuszczem i ługiem?

Umrzemy tu – pomyślała Zgódka z dziwnym spokojem. *Nasza bajeczka to kompletne szaleństwo.* List z parlamentu jest z pewnością sfałszowany. Strażnicy zaraz się zorientują, wezwą przełożonego i pasażerki wozu zostaną aresztowane. Dziewczyna była wyraźnie świadoma ciepła promieni na twarzy, ciężaru złota ukrytego w ubraniu, zapachu wyschniętego, prazonego słońcem błota, krzyku samotnego myszołowa krążącego po letnim błękanie. Zastanawiała się, czy szpiegów się wiesza, czy rozstrzeliwuje.

Żołnierze konferowali cicho, co jakiś czas umykając spojrzeniem w stronę kobiet w wozie. Dało się słyszeć słowo „przeszukać”.

– Ja? Nie! – Zgódkę dobiegła odpowiedź jednego z mężczyzn. – Nie będę się szarpał z królewską praczką!

Inny ze strażników odchrząknął.

– Będziemy musieli zajrzeć do beczek, proszę pani.

– Proszę bardzo – nie wniosła sprzeciwu ruda.

Najmłodszy strażnik podszedł i stoczył z wozu jedną beczkę, po czym ostrożnie podważył wieko. Zgódka siedziała bliżej niż towarzyszki i wyczuła charakterystyczny zapach dymu i oliwy z oliwek. Rzeczywiście, beczka była pełna bezkształtnych białych kawałków mydła, lśniących i śliskich od ciepła. Młodzieniec niechętnie pochylił się nad ładunkiem i, krzywiąc się, zamieszał w nim rękami.

– No, dalej! – zawołał jeden z jego kompanów.

– Wygląda jak mydło. – Zmarszczył nos. – Cuchnie jak mydło.

– Nie sądzę, by miało pomóc waszym wrogom – wtrąciła Peg. – Chyba że walczą lepiej, gdy są czyści?

Strażnicy zerknęli na ustawiającą się za wozem kolejkę, a potem przyrzekli się ogromnej liczbie beczek.

– Dobrze, już dobrze – mruknął starszy żołnierz, ten potrafiący czytać. – Puśćcie je.

Peg cmoknęła i szarpnęła wodze, a łagodne konie ruszyły spokojnie w dalszą podróż.

Zgódka uświadomiła sobie, że jej serce pędzi galopem, więc wzięła głęboki oddech. Niebo skrzyło się błękitem, a w jej dłoniach odcisnęły się półksiężycy wpijanych w nie paznokci. Czuła nieznanne uniesienie.

– Skąd mamy list? – szepnęła, kiedy znalazły się poza zasięgiem strażniczych uszu.

– Z parlamentu – odparła Helena. – Dokument jest autentyczny.

– Dali ci pozwolenie na przejazd jako pracze?

– Naturalnie. W końcu to król. – Ruda uśmiechnęła się krzywo. – Pomazaniec boży. Nic na to nie poradzą, że chociaż z nim walczą, to go podziwiają. Buntując się przeciw niemu, dopuszczają się zdrady, ale pozwolenie na to, by gnuśniał w pospolitym brudzie, byłoby bluźnierstwem.

– Pragną pokonać Jego Królewską Mość i zmusić do uległości – wyjaśniła Peg. – Ale nie chcą, żeby cuchnął.

A więc taki był świat, w całym swym absurdzie. Armie mogą się ścierać, zastępy – przelewać krew, ale obie strony są zgodne, że król musi mieć możliwość wyprania sobie skarpetek.

Zgódka zrozumiała, że świat robi salta i chyba nikt już nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jeśli komuś starczyło pewności siebie, mógł wkroczyć na salony i zachowywać się tak, jakby znał nowe zasady, a wszyscy wokół by mu uwierzyli.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy minęły żołnierzy parlamentu, pojechały w dół drogą prowadzącą do niskiej, szerokiej doliny, wzdłuż której ciągnęła się wioska Pszonka. Stary kamienny most spinał niegdyś lśniący meander Tamizy, ale teraz kawałek zburzono i dziurę łątał prowizoryczny most zwodzony.

Żołnierze, którzy trzymali nad nim nadzór, należeli do rojalistycznych oddziałów z Oksfordu, więc bez problemu udostępniłi przejazd i wóz potoczył się dalej. Konie z trudem wspinały się na strome wzgórze. Potem, kiedy droga znów zaczęła opadać, Zgódka dostrzegła między gałęziami drzew miasto wtulone w dolinę poniżej – przebłyski kościelnych wież i dzwonnicy, kamień o barwie grzanek i postrzępione błękitne smugi dymu.

– Jeszcze nie tak dawno było tu naprawdę pięknie – wymruczała Peg.

W istocie, dla okolic Oksfordu nadszedł chyba koniec świata. Łąki, pola i pastwiska były spustoszone i zryte koleinami, a ziemia – żłobiona kopytami, jakby przejechali tamtędy czterej jeźdźcy Apokalipsy. Ze świeżo ściętych zagajników pozostały kępy pni. Kałuże w bruzdach błyszcząły jak półksiężycy nieba.

Z przodu drogę otaczały dwa świeżo usypane wzniesienia, zapewniające mostowi jakąś ochronę. Daleko z prawej Zgódka widziała kolejne prace ziemne i pochyłą brązową grań otulającą północną krawędź miasta. Podejrzewała, że jest to mur obronny, lecz wyglądało to tak, jakby ranny krajobraz podniósł się niczym potężna bestia, by się bronić. Na ziemistych zboczach widać było harujące postacie ze szpadlami i taczkami.

– Nie wyglądają na żołnierzy – wymruczała Zgódka. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety w różnym wieku, a nawet kilkoro dzieci.

– To mieszkańcy Oksfordu, którzy robią, co mogą, by chronić miasto – wyjaśniła Helena.

– Cóż, jeśli nie pomogą, zapłacą grzywnę – mruknęła Peg. – Gdybym miała taki wybór, pewnie też machałabym łopatą.

Dalej, za okopami, droga biegła przez wielki kamienny most o wielu przęsłach, spinający płataninę dopływów rzecznych. Kobiety minęły piękny

piaskowozłoty budynek, który Peg zidentyfikowała jako Magdalen College, i zbliżyły się do wiekowych szarych murów.

Pilnujący bramy strażnik przyjrzał się dokumentom Heleny do góry nogami, po czym machnął, by jechały dalej. Ostrożnie przetoczyły się przez wjazd do Oksfordu.

Było to pierwsze miasto, jakie Zgódka widziała od czasu pobytu w Londynie, jednocześnie piękne i straszne. Wiedziała od razu, nikt nie musiał jej mówić, że coś tu było nie w porządku.

Ulica była jasna i szeroka, budynki – wysokie i dostojne. Panował tu jednak koszmarny smród, który natychmiast uderzył dziewczynę z wielką siłą, wywracając jej żołądek. Wydawało się, że każda mijana uliczka zaopatrzona jest we własny cuchnący rów, kipiący zgnilizną i odpadkami. W jednej alejce oczom Zgódki ukazały się szczątki martwego konia, z widocznymi białkami oczu i sierścią upstrzoną muchami. Nieopodal dzieci nabierały do dzbanów wodę z kałuży.

Zbyt wiele twarzy na zatłoczonych ulicach było napiętych, wychudłych, poranionych. W powietrzu unosiły się poczucie głodu i posmak długotrwałej desperacji. Wszystko wydawało się obdarte ze skóry, jak ziemia za miastem.

Jednocześnie Zgódka, oniemiała, chłonęła widok potężnych budowli o zgrabnych kolumnach, kamiennych ornamentów, delikatnych niczym koronki, i wież, które mogłyby zdobić katedrę. Kobiety unosiły wysoko głowy, ale brzegi ich sukien tonęły w smrodzie i obrzydlistwie. To było jak patrzeć na wędną dworską piękność, wciąż w latach świetności, lecz oszalałą z powodu zarazy.

Helena zatrzymała wóz przed Merton College, gdzie wydała rozkazy. Podczas rozładunku beczek Zgódka wpatrywała się w złoty kamień i eleganckie szare kominy budynków uczelni.

– Przydzielono nam nocleg – oznajmiła Helena. Podróżniczki dały się poprowadzić młodemu mężczyźnie, który powiodł je kilkoma uliczkami, po czym pchnął drzwi białej piekarni, gdzie właściciel wypiekał delikatne pieczywo dla co bogatszych konsumentów. Chudy, grzeczny piekarz około czterdziestki przyjął wieść o kolejnych gościach z miną pełną rezygnacji.

Udało mu się nawet przywołać na twarz zarys uśmiechu, kiedy rudowłosa wręczyła mu kilka kartek papieru.

– Co to? – Zgódka spytała Peg.

– Zapłata. Lub przynajmniej będzie to zapłata, kiedy wojna zostanie wygrana – odparła stanowczo kobieta. – Wówczas wszyscy wierni słudzy króla będą mogli przedstawić te bilety i otrzymać to, co im się należy.

Dziewczyna zaczęła pojmować, dlaczego piekarz wygląda na tak nie-

szczęśliwego i dlatego półki jego sklepu świecą pustkami. Papierowe świstki stanowiły jedynie obietnicę od króla, lecz w obliczu niebezpieczeństwa na nic by się nie zdały.

Trzy nowo przybyłe kobiety zaprowadzono do jednej klitki z lichym łóżkiem i małym okienkiem.

– Przykro mi, że nie mamy nic lepszego – przeprosił znużony piekarz – ale jesteśmy pełni po dach. Mamy tu już oficera, wytwórcę świec, żonę złotnika i dramaturga. Tak wiele osób musi uciekać do Oksfordu w poszukiwaniu bezpieczeństwa – same wiecie, jak to jest.

– Słyszał pan o lekarzu Benjaminie Szybkim? – spytała Zgódka.

– Nie, nie kojarzę takiego nazwiska. – Piekarz zmarszczył brew. – Ale jeśli zna się na swoim fachu, to pewnie jest zajęty i bardzo pożądany. Czy wiecie, że zapanowała u nas gorączka obozowa?

– Gorączka obozowa? – Towarzyszki Zgódki wymieniły zaskoczone, zaniepokojone spojrzenia.

– Żołnierze przywlekli ją z garnizonów za Reading – wyjaśnił mężczyzna, nie mogąc powstrzymać brzmiejącej w głosie gorzkości. – Moja żona warzy lekarstwo, ale obawiam się, że produkcja uderza nas mocno po kieszeni ze względu na konieczność użycia gałki muszkatolowej, więc musimy udostępnić je odpłatnie. – Gałka była rzadko spotykaną przyprawą, znaną ze swych wartości leczniczych i niemal magicznej zdolności ochrony przed zarazami i wszelkimi bólami.

– Zostaniemy tylko tyle, ile wymagało będzie dopilnowanie naszych interesów – powiedziała dziarsko Helena. – Podczas naszego pobytu chętnie zapłacimy za miksturę twojej żony. Judyto, chodź ze mną na dwór króla. Jeśli twój lekarz ma dobrą reputację, na pewno ktoś tam o nim słyszał.

Zgódka nie mogła nie przystać na tę propozycję. Jaka wymówka pozwoliłaby jej uniknąć królewskiego dworu na wygnaniu? A jednak myśl o wizycie ją zdenerwowała. Nie umiała się dworsko zachowywać, w dodatku istniało ryzyko, że spotka tam jakiegoś Fellmotte'a lub przyjaciela rodu, który bywał w Grizehayes. Musiała jej wystarczyć nadzieja, że nikt nie spodziewał się na dworze niegdysiejszej pomocy kuchennej przybranej w jedwabie i aksamity.

Gdy zostały same w pokoiku, Zgódka i Helena spróbowały przystosować swój wygląd do odwiedzin na dworze. Dziewczyna przebrała się z powrotem w eleganckie odzienie, a pokryte odciskami dłonie schowała pod rękawiczkami. Peg pożyczyła od gospodyni szczypce do loków i spędziła godzinę, pracowicie kręcąc włosy swoich towarzyszek. Potem starannie przypudrowała ich twarze, bo obie były poszarzałe ze zmęczenia.

Dwie niemal pozbawione snu noce sprawiły, że Zgódka czuła się chora i niepewna. Była wycieńczona, a jednak bardzo rozbudzona i zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zmruży oko. Niedźwiedź natomiast zupełnie się wyczerpał i mocno spał.

Zgódka zdała sobie sprawę, że lubi Helenę i Peg, i poczuła ukłucie w sercu. Gdyby kiedykolwiek odkryły, że je okłamywała, pewnie oddałyby ją pod sąd jako wrogiego szpiega, ale nie miała im tego za złe. Podobało jej się, jak kobiety robiły plany, szykując się na niebezpieczeństwo z humorem i rozsądkiem, bez przechwałek, toastów i wymachiwania rapierami pod sufitem.

Peg oświadczyła, że zostanie, by pilnować ich dobytku.

– To wygłodniałe miasto – powiedziała. – Nawet uczciwi ludzie czasem się zapominają. Diabeł nie ma lepszego przyjaciela niż pusty brzuch.

– Przecież przywiozliśmy pieniądze dla króla! – zauważyła Zgódka, myśląc o fortunie w złocie. – Nie może zapłacić ludziom gotówką zamiast papierowymi bonami?

Peg zaśmiała się krótko i smutno.

– O nie, to wszystko pójdzie natychmiast na zaległy żołd! Gdyby król nie dostał tego złota... Cóż, cały garnizon by się zbuntował i rozerwał miasto na strzępy. Uwierz mi, żołnierze byliby o wiele gorsi niż mieszczanie.

– Daj człowiekowi miecz i pistolet – odezwała się Helena – i trzymaj go o głodzie przez kilka tygodni, a każdy zacznie wyglądać jak wróg.

– Nie patrz z takim smutkiem! – pouczyła ją flegmatycznie Peg. – Dzięki nam siły Jego Królewskiej Mości nie skruszą się i nie wyłamią, przynajmniej jeszcze nie teraz. Kto wie, może właśnie zmieniłyśmy bieg wojny!

Żołądek podszedł dziewczynie do gardła. Jak na osobę, która nie czuła się związana z żadną stroną konfliktu, była zaskakująco zaangażowana w wojnę. Wcześniej rozważała ucieczkę do zwolenników parlamentu, by u nich szukać schronienia przed Fellmotte'ami, lecz być może właśnie spała ten most. Jeśli zwolennicy parlamentu kiedykolwiek dowiedzą się, że przemycała złoto dla Jego Królewskiej Mości, mogą nie być zbyt wyrozumiali.

* * *

– Królewski dwór znajduje się obecnie w kościele Chrystusa Pana – poinformowała Helena, prowadząc Zgódkę ulicami. – Myślę, że król będzie na miejscu, chyba że wybrał się na polowanie.

„Chyba że wybrał się na polowanie”. Oksford stał pośrodku spustoszonych nieużytków, otoczonych pierścieniem sił parlamentu, ale król oczywi-

ście opuszczał miasto, by udać się na łowy. Oczywiście.

Kościół Chrystusa Pana zaparł Zgódce dech w piersi. Budynek przypominał jej wspaniały pałac z rzeźbionego kamienia o złotobrazowej barwie najświetniejszych wypieków.

W stróżówce przy bramie znów sprawdzono dokumenty Heleny i obie panie wpuszczono do środka. W ten sposób wkroczyły w świat czarów.

Dym, smród i tłumy w jednej chwili zostały w tyle. Za ciemnym, zaduszonym wejściem rozciągał się szeroki, porośnięty trawą dziedziniec, gdzie elegancko ubrana szlachta przechadzała się, siedziała i grała na instrumentach. Dokarmione psy o lśniącej sierści wylegiwały się i ganiały po trawnikach. Kilku panów grało w tenisa. Z boku pasła się niewielka trzódka. Ze wszystkich stron wznosiły się wysokie, lekko pozłacane mury, niczym tarcza chroniąca ten mały raj.

Było w tym coś niezmiernie, jakby król Karol był władcą elfów, który jakimś magicznym sposobem przeniósł cały swój pałac do centrum tonącego w rozpacz miasta.

Helena witała się ze znajomymi, wymieniała serdeczności i z wprawą odprawiała komplementy nieznacznym machnięciem wachlarza. Nagle podszedł do niej poważny brodaty mężczyzna, który odciągnął ją na bok na rozmowę, zostawiając Zgódkę samą, do bólu skrępowaną. Co gorsza, dziewczyna była niemal pewna, że obserwują ją dwaj mężczyźni stojący w odległym krańcu ogrodu.

Jeden z nich wydawał jej się znajomy, ale dopiero gdy ujrzała jego bogate koronkowe mankiety, skojarzyła, kim jest. Był to młodzieniec, który pechowo rzucił chusteczką w wigilię Trzech Króli i składał lady April tak upokarzające przeprosiny.

Być może i on ją rozpoznał, pomimo jej nowego stroju. Każdy mógł zauważyć niezgrabność jej chodu, wywęszyć trzy lata baraniego tłuszczu i popiołu z paleniska, zamarynowanych w jej skórze.

Potem dziewczyna dostrzegła, jak młodzieniec mówi coś do swego towarzysza i przesuwa palcem pośrodku podbródka. Zgódka miała wrażenie, że słońce nagle zaczęło chłodzić, zamiast grzać. A więc to dołeczek w brodzie przyciągnął jego uwagę. Istniała więc szansa, że jej nie poznał, że odgadł tylko jej przynależność do rodu Fellmotte'ów.

Instynkt podpowiadał jej, aby schować się za jedną z roześmianych gruppek i wymknąć się z dziedzińca. Cóż jednak dałoby jej teraz ukrycie się? Zauważono ją. Nawet gdyby uciekła, młodzi panowie plotkowałiby pewnie o dziewczynie z fellmotte'owskim podbródkiem.

Zamiast się ukrywać, uniosła więc głowę w chwili, kiedy młodzieńcy na

nią patrzyli. Spojrzała wprost na nich i usztywniła się lekko, jakby zaskoczona ich śmiałym gapieniem się. Obaj skłonili się ekstrawagancko w geście przeprosin, na co Zgódka uśmiechnęła się do nich, mając nadzieję, że jej mina jest czarująca i dworska. Najwyraźniej jej uśmiech był wystarczająco ciepły, mężczyźni bowiem poczuli się zaproszeni, by do niej podejść.

Z daleka wyglądali jak doskonale wypielęgnowane pawie. Gdy się zbliżyli, dziewczyna dostrzegła, że wojna odcisnęła na nich jednak swoje piętno. Puder na twarzach nie mógł ukryć zmęczenia. Ich eleganckie płaszcze nie były zbyt starannie wyczyszczone, a buty zaznały więcej akcji niż polerki.

Jakie to dziwne – myślała Zgódka, przyglądając się ich obliczom. Przed czterema miesiącami zdawali mi się znacznie starsi ode mnie, a teraz widzę chłopców. Są o wiele za młodzi na wojnę.

– Wystraszyliśmy cię – odezwał się ten od chusteczki. – Ogry z nas i zasłużyliśmy z twojej strony na najsurowszą naganę. Wybacz śmiałość, ale sądziłem, że gdzieś się już spotkaliśmy.

– Nie jestem pewna – odparła Zgódka, starając się zmiękczyć nieco swój akcent. – Możliwe, że widziałam cię już z jednym z mych kuzynów... – A więc nie rozpoznali w niej służącej z Grizehayes, mogła być spokojna. Znajdowała się na dworze, musiała się zatem szczyścić przyzwoitym urodzeniem.

Młodzieniec od chusteczki wymienił z kompanem znaczące spojrzenie.

– Mniemam, iż wiem, o którym kuzynie mówisz. To nasz bliski przyjaciel. Czy dobrze się miewa?

– Cóż... dawno go nie widziałam – powiedziała ostrożnie Zgódka. Zbił ją z tropu ich beztroski ton. Czy na pewno mieli na myśli Symonda, gdy nazwali go „bliskim przyjacielem”? Może nie doszły ich jeszcze słuchy o jego zdradzie.

– Ach tak, naturalnie – przyznał życzliwie jej rozmówca. – Teraz sobie przypominam, Symond okazał się podwójnie farbowanym zdrajcą i został na wieki wyklęty przez własny ród, prawda? Nie będzie ciepłej posadki dla naszego chłopca. – Mrugnął do dziewczyny, gdy ta popatrzyła na niego ze zdumieniem. – Nic się nie martw. Jesteśmy wtajemniczeni w tę sztuczkę.

– Aha. – Pomimo osłupienia Zgódce udało się przywołać na usta uśmiech. – To... dobrze. Jak... się dowiedzieliście?

– Symond wysłał do nas list. – Młodzieniec nachylił się ku niej poufale. – Nie tylko twoja rodzina stawia w tej walce na oba psy. Słyszałem już o kilku młodszych synach, którzy „przeszli na stronę” parlamentu z tajnym błogosławieństwem swych rodów. Jeśli rebelianci zwyciężą, parlament

z ukłonem odda ziemię Symondowi, więc majątek zostanie przynajmniej w rodzinie. To plan Fellmotte'ów, nieprawdaż?

Chwilkę zajęło Zgódce, by pojąć, o czym mówi mężczyzna. A więc pewne szlacheckie rody toczyły ryzykowną grę, by zagwarantować sobie, że spuścizna ich przodków nie przepadnie, nawet jeśli „niewłaściwa strona” okaże się zwycięska. Rozumiała, dlaczego niektóre familie uciekały się do tak drastycznych środków, lecz jednocześnie nie miała wątpliwości, że zdrada Symonda była autentyczna. Oburzenie i szok Fellmotte'ów wydawały się jak najbardziej szczerze.

– Napisał do was? – Intrygująca wiadomość. – Odpowiedzieliście na list?

– Przekazaliśmy mu plotki, żeby nie umarł z nudów – pochwalił się młodzieniec. – Opowiadał, że otaczają go szalonoocy purytanie, którzy z kamiennymi twarzami modlą się za niego dniem i nocą i nie pozwalają mu się zabawić.

Idioci – pomyślała Zgódka. *Wysyłają dworskie plotki wrogiemu oficerowi. Nic dziwnego, że pragnął utrzymać kontakt z tymi osłami!*

Przez chwilę kusilo ją, by zdemaskować kłamstwo Symonda i powiedzieć jego przyjaciołom prawdę. Gdyby to jednak uczyniła, straciłaby własną cenną szansę.

– Zatem możecie mi pomóc! – zawołała. – Muszę pilnie skontaktować się z kuzynem. Czy możecie mi powiedzieć, dokąd posłać list, by trafił w jego ręce?

– Czy twoja rodzina nie ma własnych sposobów, aby do niego dotrzeć? – Młodzieniec wyglądał na zdumionego.

– Mieliśmy, lecz teraz wszystko na nic... Posłaniec, którego wybraliśmy, nie żyje... – Zgódka uznała, że lepiej przesadnie nie ubarwiać tej bajeczki.

– Musimy niezwłocznie porozumieć się z kuzynem. Załatwia dla rodziny wiele różnych spraw i jako jedyny ma pełną wiedzę na ich temat.

– Jeśli powiesz mi, co chcecie mu przekazać, dodam kilka linijek w następnym liście – zaproponował szlachcic, a jego lekko zmarszczona brew zdradziła rodzaje się w nim podejrzenia.

– Wybacz, ale nie mogę tego zrobić. Mowa o bardzo delikatnych rodzinnych kwestiach... – Dziewczyna zawahała się, ale postanowiła zagrać *va banque*. Dyskretnie wyjęła z kieszonki sygnet lady April i pokazała go tak, aby tylko jej rozmówcy mogli go zobaczyć. – Jestem tu w imieniu starszyzny.

Mężczyzna w jednej chwili poszarzał ze strachu. Najwyraźniej jego trwoga przed lady April nie zmalała z czasem. Jeśli starsza dama była arcyspiegiem klanu Fellmotte'ów, trudno było mu się dziwić. Zgódkę prze-

szedł nieoczekiwany dreszcz podniecenia na widok jego reakcji. Czuła się dziwnie, lecz i potężnie, korzystając z zapożyczonej władzy. Cudownie było wywoływać lęk, zamiast być jego ofiarą.

– Nie wiem, gdzie można go znaleźć – odparł pospiesznie młodzieniec. – Powiedział mi tylko, dokąd słać listy. Adresuję je do „panny Hanny Mądrej” i wysyłam na północ od Brill, na farmę należącą do rodziny nazwiskiem Axeworth. Ktoś chyba je stamtąd zabiera.

– Jesteś bardzo życzliwy – pochwaliła go elegancko dziewczyna. – Ufam, iż mogę liczyć na twą dyskrecję. – Odkładała właśnie pierścień do kieszeni, kiedy poczuła szarpnięcie za rękaw. U jej boku stała Helena.

– Judyto, Jego Wysokość przyjmie nas teraz.

Zgódka aż podskoczyła i przez chwilę nie docierała do niej sens słów rudowłosej. „Jego Wysokość przyjmie nas teraz”. Nie „mnie”, tylko „nas”. Miała audiencję u króla Anglii.

Dziewczynę zalała fala paniki, gdy Helena pociągnęła ją przez plac ku otwartym drzwiom. Zanurzyły się w chłodnym mroku, gdzie unosił się zapach wody różanej, minęły pomalowane na biało ściany i drewniane panele barwy ciemnego miodu. Dworzanie rozstępowali się, by mogły przejść. Zgódka czuła woń ich perfum, ciężką od cynamonu i piżma.

Komnata, do której dotarły, była bogato zdobiona, o wysokim suficie i smukłych oknach z jedwabnymi zasłonami. Na ścianach wisiały herby. W pomieszczeniu stało kilka osób, a pośrodku, na krześle o wysokim oparciu, siedział mężczyzna. Karol Pierwszy, król Anglii, Szkocji i Irlandii. Zgódka szybko spuściła wzrok, przywykła do stawania przed obliczem Fellmotte'ów. Jeśli monarcha zajrzyłby jej w oczy, czy natychmiast odkryłby wszystkie jej kłamstwa? Skoro potrafił to jej ród, pomazaniec boży z pewnością również posiadał takie zdolności.

– Uklęknij – szepnęła Helena. Zgódka poszła w ślady towarzyszki i padła na kolana.

Dopiero gdy rudowłosa zaczęła zdawać relację z ich podróży i przekazywać dokumenty i raporty królewskiemu pomocnikowi, dziewczyna odważyła się zerknąć na króla ukradkiem, spod rzęs.

Był niewielkim mężczyzną, zgodnie z tym, co lord Fellmotte mówił sir Antoniemu. Poruszał się sztywno i z pewną ostrożnością. W zasadzie cały wydawał się sztywny, jakby jeżył się na świat za dostrzeżenie jego niskiego wzrostu. Miał elegancką, spiczastą bródkę i buty z kokardami. Jego oblicze było smutne, z liniami zmarszczek i rysem surowej niepewności. W jego sposobie bycia czaiło się napięcie i oczekiwanie – może było to oburzenie, młodszy brat godności.

Król pokiwał głową, wysłuchawszy doniesień Heleny.

– Przekaż naszym przyjaciółom, że wszystkie długi zostaną spłacone, gdy ukńczymy łeb rebelii. Podnosząc rękę na nas, awanturnicy stają przeciwko samemu Bogu, a więc nie mogą odnieść zwycięstwa. Ich upadek jest nieunikniony. Miej pewność, że będziemy pamiętać, kto stał przy nas, a kto okazał się zdrajcą lub uchylał się od udzielenia pomocy. – Następnie, ku przerażeniu Zgódki, zwrócił się do niej. – Panno Grey, ty również przynosisz nam wieści?

Dziewczyna miała w głowie kompletną pustkę. Królewska maniera mówienia o sobie w pierwszej osobie liczby mnogiej przypominała jej wypowiedzi Fellmotte'ów. A jednak nie przechodziły jej ciarki, gdy na nią patrzył, nie czuła się też obierana ze skóry niczym owoc. Monarcha nie miał wglądu w jej duszę.

Przebrnęła przez opowieść o zdradzie Symonda i przedstawiła jego list. Król przeczytał pismo, a szczęki nad wąską bródką zacisnęły się mocno.

– Przekaż wyrazy szacunku lordowi Fellmotte'owi – powiedział chłodno – ale zaznacz, że edykt musi zostać odzyskany. Stawką jest nasze dobre imię, jak również reputacja rodu Fellmotte'ów. Czy wiadomo, dokąd udał się zdrajca Symond Fellmotte?

– Jeszcze nie – odezwała się Helena. – Dowiemy się jednak, w kim ma sprzymierzeńców. Wtedy odkryjemy, kto zapewnia mu schronienie.

– Macie moje błogosławieństwo. Śmiało proście innych, by udzielali wam wszelkiej pomocy – odparł król. – Jesteśmy wam wdzięczni za wasze usługi dla kraju.

Wysunął lekko dłoń, pozwalając, by każda z pań po kolei musnęła jego opuszki. Powiadano, że dotyk królewskiej dłoni ma moc wyleczenia skrofulozy, ale jego palce wydawały się całkiem ludzkie, a nawet nieco spoczone z gorąca.

Zgódce kręciło się w głowie, lecz nie z podziwu dla siedzącego przed nią człowieka. Mimo to miała wrażenie, że Historia biegnie u jego stóp niczym wielki, niewidzialny pies. Podążała za nim, ale on nie miał nad nią władzy. Może uda mu się ją oswoić. A może ona go zje.

* * *

Helena chciała jeszcze zostać na dworze, aby poznać nowiny od ludzi przybyłych niedawno z innych stron kraju. Najwyraźniej zależało jej również, by odwiedzić pewnego znanego jej astrologa.

– Podobno kilka miesięcy temu książę Rupert widział, jak niedaleko stąd

ogień leje się z nieba – wyjaśniła. – Potem płomienie rozerwały się z hukiem, tworząc ogniste kule. Wszyscy są zgodni, że to jakiś omen, ale nikt nie potrafi stwierdzić, co konkretnie znaczy. Chciałabym, aby jakiś uczony rozwikłał tę zagadkę, wizja może mieć przecież wpływ na wojnę. – Na jej usta wypłynął cierpki, raczej wymuszony uśmiech. – W jakich to czasach przyszło nam żyć – nawet gwiazdy spadają.

Helenie udało się także znaleźć kogoś, kto słyszał o Benjaminie Szybkim.

– Nikt go ostatnio nie widział – doniosła. – Wiedzieli natomiast, gdzie mieszkał jeszcze kilka tygodni temu. Jeśli ci się poszczęści, może go tam zastaniesz. Zatrzymał się u rzemieślnika wyrabiającego świece w pobliżu Quater Voys, tuż naprzeciwko Ławki Ubogich. – Rudowłosa przeszukała kieszenie i wyjęła zakorkowaną buteleczkę. – Zanim pójdziesz, weź łyżkę remedium naszej gospodyni! Za murami panuje zaraza, pamiętasz?

Zgódka zdziwiła się, lecz posłusznie zażyła lekarstwo. Smakowało jak mocne, słodkie i obficie przyprawione wino. Chwila również miała słodkogorzki posmak. Z początku Helena wątpiła w intencje i umiejętności dziewczyny, ale teraz, kiedy bezpiecznie dotarły do celu, najwyraźniej uparła się, by jej matkować.

– Weź to. – Wcisnęła w dłoń Zgódki niewielki muślinowy woreczek. – Trzymaj go przy ustach, a oczyści wdychane przez ciebie powietrze i zapewni ci bezpieczeństwo. – Torebka zaszeleściła, a kiedy dziewczyna uniosła ją do nosa, wyczuła zapach suszonych kwiatów. – W mieście jest pełno smrodu – nic dziwnego, że wszyscy chorują!

* * *

Quater Voys okazało się dużym, tłoczonym skrzyżowaniem, gdzie kłębił się zainteresowany targiem tłum. Zgódka odnalazła wskazany sklepik z wywiezionymi żółtobiałymi świecami i weszła do środka. Nieduża kobiecina zamiatła podłogę z kwaśną miną.

– Szukam pana Benjamin Szybkiego, doktora – wyjaśniła szybko Zgódka. – Czy jest tu jeszcze?

– Ledwo – rzuciła gospodyni z nieprzyjemnym grymasem. – I na moje oko już chyba niedługo. Jak się pospieszysz, może go jeszcze zastaniesz. Na strychu.

Dziewczyna wbiegła na górę po skrzypiących schodach, a potem wspięła się po drabinie na strych. Kiloro milczących dzieci obserwowało jej poczynania szeroko otwartymi oczami.

Strych był zakurzony i ciemny, z niskim, ukośnym sufitem i pojedyn-

czym małym okienkiem, przez które wpadała odrobina światła. Przez chwilę Zgódce zdawało się, że pomieszczenie jest niezamieszkałe. Zaraz dostrzegła jednak kufer podróżny i kilka książek przewiązanych rzemieniem, leżących przy nieposłanym łóżku. Z początku poczuła ulgę. Lekarz najwyraźniej jeszcze nie wyjechał. Nie zostawiłby przecież wszystkich swoich rzeczy.

Nagle Zgódka zdała sobie sprawę, że niektóre z wałków i marszczeń pościeli wcale nie były materiałem. Jedna wypukłość okazała się bladym obliczem, tak pozbawionym koloru, że wydawało się szare. Smukłe dłonie zlewały się z kocem, który ścisnęły ich palce. Na policzkach i rękach leżącego widniały niewyraźne fioletowe plamy.

W tej samej chwili uderzył ją smród. Był to odór zarazy i brudnego ubrania. Nie żyje? Nie, dłonie drżały lekko, czasem podskoczyło dziwnie jabłko Adama.

– Pan Benjamin Szybki? – szepnęła Zgódka.

– Kto tu jest? – Głos mężczyzny był słaby, lecz dało się w nim słyszeć poirytowanie. – Czy moja zupa... jest gotowa? Czy dostanę ją, zanim przyjdzie mi spotkać Pana Wszelkiego Stworzenia?

– Przykro mi – powiedziała dziewczyna.

„Przykro mi” nie było dość mocne, by wyrazić jej uczucia. Z trudem przełknęła żal i rozczarowanie. Tyle przeszła, by dotrzeć do Oksfordu, i wszystko na nic. Leżący przed nią człowiek umierał. Paznokcie miał sine niczym topielec, oczy – podkrążone i zapadłe. Było jej żal mężczyzny, żal siebie samej, żal Kuby.

– Nie jesteś córką gospodarza – zauważył Szybki, marszcząc brew, gdy odwrócił ku niej zamglony wzrok.

– Nie – przyznała Zgódka ze smutkiem w głosie. – Nazywam się Czynigoda Stopka.

– Przyjmij wyrazy współczucia – powiedział słabo doktor. Zmrużył oczy.

– Jesteś jakąś purytanką? Czego ode mnie chcesz?

– Przyszłam prosić, by pomógł pan pacjentowi.

– Pacjenci... okazali się niekorzystni dla mojego zdrowia.

Lekarz zakaszłał.

– Czy nie ma sposobu, by panu pomóc? – spytała Zgódka, rozpaczliwie szukając strzępków nadziei.

– Trzeba... wezwać lekarza – wymamrotał Szybki ze śmiertelną powagą, po czym parsknął cichym śmiechem. – A, nie, przecież już tu jest. To... gorączka obozowa. Dość się napatrzyłem... Dobrze wiem... nic nie da się zrobić. – Jego nieostrzy wzrok ześlizgnął się z dziewczyny i nagle chory

wydał się zagubiony i wystraszony. – Gdzie jesteś? Poszłaś sobie?

Zgódka czaiła się w pobliżu wjazdu na strych. Jej woreczek suszonych kwiatów wydał się nagle żalosną bronią przeciw odrażającym zapachom. Nie wiedziała, czy chorobą łatwo się zarazić. Co więcej, zaledwie przed dwoma wieczorami wzięła kąpiel, więc pory jej skóry wciąż mogły być otwarte na zarazki.

Nie potrafiła jednak zostawić doktora, by umierał w samotności. Podeszła bliżej, aż jego zbłąkany wzrok znów na niej spoczął, i dostrzegła ulgę na jego zapadłej twarzy.

– Wciąż tu jestem. – Zgódka schyliła się, by podnieść drewniane pudełko leżące przy łóżku. – To pana medyczna skrzynka? Nie ma w niej nic, co mogłabym panu podać?

– Próbowałem... wszystkiego, żeby powstrzymać epidemię. – Nie wiedziała, czy mężczyzna w ogóle ją usłyszał. – Wybijałem psy i koty, kazałem dłużej warzyć piwo, doglądałem chorych... – Jego wzrok powędrował ku stercie papierów i lekarz ni to zakaszłał, ni się zaśmiał. Nawet z daleka Zgódka rozpoznała, że są to bony, jakie otrzymał piekarz – weksle od króla. – Dobrze, o, dobrze mi zapłacono. Żegnam się z życiem jako bogacz. Bogaty przynajmniej w obietnice.

Pobudziła go długa przemowa i rozkaszał się tak, że całe jego ciało się trzęsło. Znów przyjrzał się dziewczynie, mrugając gęsto, jakby jej obraz był zamglony.

– Kim jesteś? Po co przyszłaś?

Zgódka przełknęła ślinę. Nie chciała zamęczać konającego pytaniami, ale w grę wchodziło życie innych osób.

– Uratował pan człowieka, który twierdził, że opętał go duch. Wydobył pan z niego zjawę. Jak pan tego dokonał?

– Co? Ja... – Lekarz wykonał lekkie gesty rękoma, jakby nakręcał śrubkę na coś niewidzialnego. – Urządzenie... trudno to wyjaśnić.

– Doktorze. – Zgódka nachyliła się nad nim, pragnąc, by jej głos przebił się przez mgłę gorączki. – Usiłuję ocalić brata. Ma w głowie pięć duchów i jeśli nie zostaną usunięte, straci rozum. Błagam – gdzie jest to urządzenie? Czy ma je pan tutaj? Czy ktoś inny byłby w stanie go użyć?

– Nie... potrzeba wyszkolonej ręki... – Szybki wyciągnął dłoń ku stercie przedmiotów przy łóżku. Dziewczyna przez chwilę miała nadzieję, że chce jej wskazać narzędzie, ale zaraz zrozumiała, że usiłuje na próżno sięgnąć po niedużą, zniszczoną Biblię. Podniosła ją i położyła mu na piersi. – Dlaczego pytasz o to teraz? Wkrótce sam będę... duchem. – Każde słowo było dla niego wyraźnym wysiłkiem. – Moje badania... tyle nadziei i planów. –

Posłał jeszcze jedno spojrzenie ku stosowi weksli. – A w końcu... tylko puste obietnice. – Trzymające Biblię palce zdrząły i Zgódka uświadomiła sobie, że mężczyzna jest przerażony.

Duchem. Nagle w głowie dziewczyny zaświtała pewna myśl, przesywając całe jej ciało chłodem, jakby w jednej chwili zaszło słońce.

– Czy umiałby pan ocalić mojego brata? – wyrwało jej się. – Czy gdyby był pan zdrow, mógłby pan tego dokonać?

– Co takiego? – Oczy Szybkiego zaszły mgłą konsternacji.

Zgódka przełknęła ślinę, zbierając się na odwagę, wpatrzona w wężowe oczy własnego planu. Na samą myśl zbierało jej się na mdłości, ale stawką było życie Kuby, a może nawet jego dusza.

– Uratuję pana, jeśli obieca pan uratować jego – oświadczyła.

Szybki gapił się na nią, a z jego gardła wydobył się słaby, suchy dźwięk.

– Kiedy wyzionie pan ducha, złapię go, zanim odleci – wyjaśniła Zgódka, starając się zapanować nad coraz szybszym biciem serca. – Mogę zatrzymać pana na tym świecie. Nawiedziłby mnie pan. Chodziłby pan tam gdzie ja, byłby pan moim pasażerem, ale nadal mógłby pan widzieć, czuć i myśleć, za moim pośrednictwem. Czasem mogłabym nawet pozwolić, by wykorzystywał pan swoje umiejętności.

– Piekielne... niemożliwe... – Szybki wyglądał, jakby zaczął się jej bać, lecz dało się też w nim dostrzec maleńki, zbolaty cień nadziei.

– To jest możliwe! – naciskała Zgódka. – Już to robiłam!

– Jesteś już... opętana? – Brew doktora zmarszczyła się podejrzliwie, powątpiewająco i z przesadnym lękiem.

– Pierwszy duch to zwierz, ale bardzo dobry – tłumaczyła pospiesznie dziewczyna, żałując, że w ogóle wspomniała o istniejącym już lokatorze. – Jest moim przyjacielem. – Czuliła się nieszczęśliwa i okrutna, ale nalegała. – Ocali pan mojego brata? Zrobi pan to? – Sama nie wiedziała już, czy wolałyby usłyszeć „tak” czy „nie”.

– Przysyła cię szatan? – Głos Szybkiego był ledwo słyszalny.

– Przysyła mnie rozpacz! – Wreszcie wyczerpała się cierpliwość dziewczyny, której nerwy zszargane były przez strach i brak snu. – Myśli pan, że uśmiecha mi się mieć pana w głowie do końca życia? Sądzi pan, że proponuję to z przyjemnością?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Oddech i drgnięcia powiek doktora były tak nieznaczne, że Zgódce zdawało się już, że całkiem ustały.

– Boże, dopomóż – szepnął konający. Zgódka obawiała się, że oznacza to odmowę, ale wtem ich spojrzenia się spotkały i uświadomiła sobie, że odpowiedź brzmi „tak”. – Boże, wybac mi! Ocal mnie... a ja uratuję twojego

brata.

I mnie dopomóż, Boże – pomyślała dziewczyna, ujmując dłoń mężczyzny. Jego oddech słabł, a wzrok zdawał się ją przeszywać.

– Proszę się nie bać, gdy nadejdzie właściwa chwila – powiedziała łagodnie. – Niech mnie pan odnajdzie, przesunie się ku mojej twarzy. Wpuszczę pana... ale musi pan podchodzić delikatnie, jak gość. Jeśli będzie się pan rzucał i szarpał, Niedźwiedź rozedrze pana na strzępy.

Zapanowała długa cisza, kolejne sekundy stawały się bezlitosną przeszłością. Moment, w którym życie przechodzi w śmierć, jest tak cichy, nieruchomy, że większość ludzi go przegapia. Większość, ale nie Zgódką, bo w jej żyłach płynęła krew Fellmotte'ów. Dziewczyna dostrzegła maleńką, cienistą smużkę pary wydobywającą się z ust doktora, drgającą w mglistej rozpaczy.

Była bardzo podobna do ducha Infiltratora, który wypełził z lorda Fellmotte'a. Może wszystkie dusze wyglądały tak samo, gdy były nagie, odarte z krwi i kości, sukien czy szmat.

Zgódkę zdjęło nagłe przerażenie. Zaszła jednak tak daleko, tak bardzo daleko, na tak wiele się odważyła. Pochyliła się, walcząc z odruchem ucieczki od cuchnącego łóżka chorego, i zbliżyła twarz do miotającej się zjawy.

Wzięła głęboki, drżący oddech i poczuła, jak zimny duch doktora wślizguje się przez jej nos i usta, wprost do gardła.

ROZDZIAŁ 23

W głowie Zgódki zapanowała straszliwa, dzika kakofonia dźwięków, jakby wrogie pułki starły się w obłokach pyłu.

Coś z ostrym brzękiem uderzyło w tył jej czaszki. Dziewczyna wbiła wzrok w krokwie, skąd zwisały ciężkie od kurzu pajęczyny. Zdała sobie sprawę, że przewróciła się na plecy. Ucisk w klatce piersiowej ledwo pozwalał jej złapać oddech.

Boże! – usłyszała krzyk doktora. Jego głos zdawał się niemożliwie odległy, a jednak drżał bliskością. *Boże w niebiesiech! Cóż to, u licha, jest?*

W tej samej chwili rozległ się basowy pomruk Niedźwiedzia, zdezorientowany i złowrogi.

– Hej, wy dwaj! – szepnęła Zgódka, wciąż walcząc o zaczerpnięcie oddechu. – Spokój tam! Jest miejsce dla wszystkich! – Miała szczerą nadzieję, że to prawda.

Tu coś jest! – wrzeszczał lekarz. *To nie człowiek! To dzikie zwierzę!*

– Przecież ostrzegałam!

Kiedy powiedziałaś „zwierz”, sądziłem, że chodzi ci o nieokrzesanego człowieka! Ordynarnego prostaka!

– Nie, o prawdziwe zwierzę! Niedźwiedzia!

No, teraz widzę!

Zgódka z trudem usiadła. Nie patrzyła w stronę zwłok mężczyzny. Jego cienki głos, odbijający się echem w jej głowie, wprowadzał wystarczającą konfuzję. Miała nudności i z całej siły starała się nie wymiotować.

Chwyciła się za głowę. Jednocześnie umysłem sięgnęła po Niedźwiedzia, wyobraziła sobie, że przeczesuje palcami jego grube, ciemne futro. Uspokoił się nieco, ale zdenerwowanie, niczym burza, wciąż jeszcze nim targało. Zgódka widziała, że zwierz nie ufa doktorowi. Nie podobał mu się zapach jego duszy.

Zmysły przywróciło dziewczynie skrzypienie schodów pod czyimiś stopami.

– Młoda damo, o co tyle krzyku? – wrzasnęła gospodyni ze sklepu

świeczkarza. – Co tam się dzieje?

Ani słowa o moim zgonie! – syknął nagle lekarz. *Albo ta stara kocica cię stąd wykopie i ukradnie wszystko, łącznie z koszulą z mego grzbietu. Już dawno by to zrobiła, gdyby nie strach, że na nią kaszlnę.*

Doktor wypowiadał się o wiele spójniej, kiedy uwolnił się z toczonego gorączką ciała.

– Przepraszam! – zawołała w odpowiedzi Zgódka. – Zdenerwowałam się... doktor zaczął wygadywać coś o ogniu piekielnym...

No pięknie, wielkie dzięki. Bardzo pomagasz mojej nieprzemijającej reputacji. Nie mogłaś wymyślić innej bajeczki? A, zresztą. Przeszukaj moje kieszenie i weź wszystko, co tam znajdziesz. Książki też – a także narzędzia i sakiewkę, są ukryte pod materacem.

– Jeśli wyjdę z naręczem rzeczy, powiesz mi za złodziejstwo! – syknęła Zgódka. – Wyniosę tyle, ile zmieszczę pod płaszczem. Gdzie pana narzędzie do usuwania duchów?

Ach, dźwig czaszkowy. Szukaj cienkiej czarnej saszetki w pudełku z narzędziami chirurgicznymi. Jeśli mam się przydać twojemu bratu, będą mi też potrzebne moje książki. Jeszcze kilku rzeczy wolałbym nie zostawiać – porządnych rękawiczek, butów, fajki...

– Wezmę narzędzia, sakiewkę i parę książek – poinformowała go szybko Zgódka – ale żadnych ubrań. Jeśli zapadnę na twoją zarazę, żaden z naszych duchów nie będzie miał domu. I, proszę wybaczyć, fajki nie pałę.

Walcząc z mdłościami, wsunęła rękę pod materac, starając się nie patrzeć, jak przy tej okazji wygina się ramię doktora. Jej palce odnalazły twardą krawędź i dziewczyna wyciągnęła niewielkie drewniane pudełko i oprawny w skórę notes, które ukryła w kieszeni spódnicy. W sakiewce umarłego znajdowało się raptem kilka monet, ale ją też zabrała. Książki wzięła pod pachę, tak że zasłaniała je poła płaszcza. Po namyśle spakowała również weksle. Może okażą się pustymi obietnicami, ale papier sam w sobie stanowił wartość.

Zgódka była przekonana, że w drodze na dół, mijając milczące dzieci i żonę świeczkarza, ma winę wypisaną na twarzy. Kobieta o kwaśnej minie przeszła ją spojrzeniem.

– Jeszcze dycha, co? – spytała z nieznacznym lekceważeniem.

– Już chyba dogasa – odparła dziewczyna.

– Sama nie wyglądasz najlepiej. – Gospodyni podejrzliwie zmrużyła oczy i cofnęła się o krok. – Złana potem, patrzcie ją, i jakby w gorączce. Lepiej trzymaj się z daleka i natychmiast wyjdź z mojego domu!

Zgódka usłuchała i pospieszyła na zewnątrz, w światło dnia.

Mniemam, iż nie ma szans na solidną kapkę rumu? – wysunął propozycję doktor, kiedy dziewczyna gnała ulicami. *Chyba by mi się przydała.*

– Ja, niewinna, młoda panna? – szepnęła z sarkazmem Zgódka.

Polecam jego wzmacniające działanie z czysto medycznych pobudek. O, Boże Wszeczmogący, to nie do zniesienia! Stąpasz asymetrycznie – to podrygiwanie! – czy musisz tak podskakiwać? Niedobrze mi! Postawę masz fatalną, czuję każdy skręt twojego kręgosłupa...

– Jeśli będzie pan za dużo mówił – mruknęła Zgódka – to się pan zużyje. – Niedźwiedź zauważalnie męczył się nadmiernym wysiłkiem i dziewczyna miała nadzieję, że z doktorem będzie tak samo.

Dotarła do swojej kwatery, a Peg ucieszyła się, że może na chwilę zostawić rzeczy pod okiem „Judyty”. Zgódka z ulgą została sama, przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Padła na łóżko, słysząc w głowie łoskot.

Doktor znów się wydzierał, a w jego głosie panika mieszała się z władczością.

Ty tam! Co ty wyprawiasz? Wracaj no tu – do ciebie mówię!

– Krzyczenie na niego mija się z celem! – Dziewczyna mruknęła przez zaciśnięte zęby. – Zdenerwuje go pan tylko i zdezorientuje! Nie zrozumie pana. To niedźwiedź!

Nie jestem kompletnym cymbałem! – odparł lekarz. *Chyba jasne, że nie trwonię słów na miśka! Mówię do tej drugiej zjawy!*

Zgódka aż się zachwiała i musiała podeprzeć się ręką, by odzyskać równowagę i skonfrontować się ze słowami mężczyzny.

– Do kogo? – wydusiła z siebie. – Do jakiej drugiej zjawy?

Jest tu jeszcze jedna! Trzeci duch ludzki, poza tobą i mną. Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiesz?

– Jest pan pewien? – syknęła Zgódka.

Tak, o ile to w ogóle możliwe w tym wirze! Ktoś tu przed chwilą był – uciekł przede mną, odpętlł i się schował, nie zaszczycając mnie odpowiedzią. Ale ona musi tu gdzieś być!

– Ona? – wychrypiała dziewczyna.

Owszem. Kobieta, jestem co do tego przekonany. Okaleczona istota, smuga dymu. Dzika, przerażona.

Zgódka zakryła usta dłońmi i usłyszała, jak z niej samej dobywa się cichy skowyt. Jej umysł wypełnił obraz z koszmaru, który tak bardzo starała się wyprzeć z pamięci. Oszalałe, fruwające stworzenie z do bólu znajomą twarzą, które drapało i szarpało, by wedrzeć się do jej głowy, nawet kiedy

dziewczynka rozerwała je na strzępy...

Matka.

Zgódka od lat usiłowała o niej nie myśleć. Teraz wspomnienia wróciły, wlokąc za sobą mgliste wagony cienia, żalu, poczucia winy i bezgranicznego zdumienia.

Mimo wszystko dziewczyna miała nadzieję, że całe zajście było tylko snem. W głębi duszy zawsze bała się, że naprawdę rozszarpała ducha matki. Nigdy jednak nie przeszło jej przez myśl, że zjawa mogła rzeczywiście nawiedzić jej umysł.

Może tak się stało. Może przez cały ten czas pokiereszowany duch matki czaił się w mrocznych zakamarkach głowy Zgódki i... Właśnie, co robił? Żuł miękkie części jej umysłu, drażąc niczym robak w drewnie? Ział nienawiścią, czekając na okazję do zemsty?

– Gdzie ona jest? – spytała w panice dziewczyna. – Co robi? Jak wygląda?

Nie wiem! – zawołał doktor. *Mignęła mi tylko i widziałem ją wyłącznie umysłem, nie oczami. Już sobie poszła, nie wiem dokąd.*

Zgódka nie mogła złapać tchu. Przycisnęła obie dłonie do skroni, usiłując zebrać myśli. W klatce piersiowej czuła ucisk strachu, ale też przejmującej tęsknoty. Jakaś beznadziejnie głupia cząstka dziewczyny wiedziała, że oszałała, dysząca zemstą matka jest lepsza niż brak matki.

Może Zgódce ofiarowano drugą szansę na pogodzenie się z Małgorzatą. Nawet jeśli ta była teraz potworem, może dziewczynie udałoby się ją uspokoić i ukoić, tak jak uczyniła to z Niedźwiedziem.

Co z tobą?

– Chyba wiem, kto to jest – wyznała Zgódka.

Kto zatem? Przyjaciel? Wróg?

– W tej chwili nie potrafię tego stwierdzić. – Słowa sypały się z ust dziewczyny. – Była moją... moją mamą, ale rozstałyśmy się w gniewie, zresztą... śmierć czasem zmienia ludzi.

Jeśli zjawa kobiety naprawdę była matką, oznaczałoby to, że przez trzy lata siedziała cicho. Nie była chyba nastawiona na pożarcie mózgu Zgódki „niczym żółtka z jajka”. Czy istniała szansa – zaledwie szansa – że duch matki nie życzył córce źle?

Zgódka nagle przypomniała sobie o uszczypnięciu w ramię, które w samą porę zbudziło ją w stajni. Pozwoliło jej podsłuchać rozmowę zdradzieckiej gospodyni i zapewne powstrzymało Niedźwiedzia przed pożarciem koni. Wrócił do niej jej niedawny sen, w którym siedziała na kolanach nierozpoznawalnej kobiety, patrząc, jak ta wydrapuje „M”. Była to jedyna litera, jaką

matka kiedykolwiek nauczyła się pisać. „M” jak „Małgorzata”.

Może mama wciąż była po jej stronie. Fala nadziei uderzyła Zgódkę boleśniej niż strach.

A jeśli jest wrogiem? – Ostry ton głosu lekarza wdarł się w jej rozważania. *Potrafisz temu zaradzić?*

Pytanie wstrząsnęło dziewczyną, sprowadzając ją na ziemię. Musiała być gotowa na najgorsze, choć sama myśl o tym przyprawiała ją o mdłości. Co można było zrobić, jeśli nieprzyjaciel znalazł się w czyjejś głowie? Wtem uświadomiła sobie, że przecież odnalazła doktora, aby poradzić sobie właśnie z takim problemem. Jeśli był w stanie wypędzić duchy z Kuby, może w ostateczności mógł to samo zrobić dla niej.

Zgódka ułożyła na łóżku dobytek zmarłego mężczyzny i przyjrzała się przedmiotom. Z lekkim niepokojem otworzyła woreczek zawierający „dźwig czaszkowy”. Metalowe urządzenie budziło niejaką grozę swym długim, cienkim wiertłem przymocowanym do metalowej poprzeczki z ruchomymi przedłużeniami.

Ostrożnie z tym – upomniał doktor.

– Jak to działa?

Jesteś dość wytrzymała, by wnikać w takie kwestie? Cóż, narzędzie jest bardzo pomysłowe. Wiertło wkręca się w czaszkę pacjenta, a wtedy ta część z poprzeczką opiera się na jego głowie, więc kiedy przekręca się śrubę, fragment z wiertłem powoli się wysuwa, podnosząc wklęsły kawałek czaszki...

– Trzeba wywiercić dziurę w głowie pacjenta? – krzyknęła Zgódka. Wyobrażała sobie Kubę i nie była pewna, co bardziej ją przeraża – myśl o zrobieniu mu otworu w czaszce czy wizja dokonania tego wbrew panującym w nim wściekłym, potężnym duchom.

Naturalnie. Jak inaczej zmniejszilibyśmy nacisk na mózg?

– A jeśli zainteresowany... nie jest tym zainteresowany?

Cóż, rzecz jasna, trzeba kilku siłaczy, żeby pacjenta przytrzymać. Można mu też zatkać uszy jakimś kłaczkiem. Niektórzy nie lubią odgłosu wiercenia w kości.

– To jedyny sposób? – Zgódka czuła, jak złe przecucia ściskają jej żołądek. Nie miała żadnych „siłaczy” do pomocy. – Nie da się użyć tego urządzenia jakoś... zdalnie?

Zdalnie? Wykluczone! To narzędzie chirurgiczne, nie magiczna różdżka!

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że wiertło unosi wklęsły kawałek czaszki? – dopytywała Zgódka, pomалу dobierając słowa. Zapadła cisza, a kiedy doktor wreszcie zaczął mówić, wyczuła w jego tonie delikatne asekurantwo.

Sądziłem, że znasz szczegóły poprzedniego przypadku. Pewien żołnierz został trafiony w głowę kulą, lecz z takiej odległości, że pocisk spowodował jedynie wkleśnięcie czaszki. Nacisk na mózg i nagromadzenie krwi w czaszce spowodowały u niego znaczne pobudzenie i fantazje, tak że nabrał przekonania, że jest opętany. Kiedy podniosłem wgnieciony fragment kości i poradziłem sobie z krwotokiem w środku, wrócił do siebie...

– Okłamał mnie pan! – krzyknęła Zgódka. – Obiecał pan ocalić mojego brata! Ma w sobie pięć duchów! Prawdziwych, nie jakąś tam krew w mózgu! Jak pana wiertło ma mu niby pomóc?

Cóż, skąd mogłem wiedzieć, że jesteś taka dosłowna?

– Zaoferowałam, że przechowam pana duszę po pańskiej śmierci! – fuknęła dziewczyna. – Mogło przejść to panu przez myśl!

Nie byłem sobą! Toczyła mnie gorączka i byłem w szponach śmiertelnego przerażenia!

Wspomniawszy zamglony, błędny wzrok doktora przed zgonem, Zgódka musiała przyznać mu rację. Może doszło do nieporozumienia, a zresztą jeśli nawet celowo ją zwiódł, któż mógł winić zdesperowanego, konającego człowieka, że chwycił się brzytwy?

Nadal czuła odrazę i oburzenie, lecz głównie do siebie samej. Tak mocno walczyła, by nie dopuścić duchów do swego umysłu. W przypływie szaleństwa sama zaprosiła zjawę do środka i wszystko na marne.

Rzecz jasna, zrobię co w mojej mocy – ciągnął doktor, nadal nieco zdenewrowany. Jeśli istnieje jakikolwiek sposób ocalenia twojego brata, masz większe szanse odkryć go ze mną niż beze mnie. Wątpię, czy jakiś chirurg będzie miał kiedykolwiek lepszą okazję do studiowania tego duchowego zjawiska.

– To wszystko zmienia. Muszę się zastanowić. – Pewne było tylko to, że nie może zostać w Oksfordzie. Jeśli Fellmotte'owie wysłali zwiadowców na królewski dwór, wkrótce dotrze do nich wieść o dziewczynie z dołeczkiem w brodzie. Gdzie więc miała się podziać?

Mogła wyruszyć na zachód, w głąb terytorium rojalistów i z dala od linii frontu, może ku centrum Walii. Mogłaby zaszyć się w jakiejś małej wiosce, ale to oznaczałoby porzucenie Kuby. Im dłużej nosił w sobie obce duchy, tym mniejsza szansa na przetrwanie jego własnej osobowości. Choć doktor nie potrafił dokonywać egzorcyzmów, nie mogła zrezygnować z próby ocalenia brata.

Można też uciec w głąb ziem opanowanych przez parlament. Być może tu Fellmotte'owie mniej chętnie wysłaliby za nią pogoń, ale co, jeśli rebelianci odkryją, że swego czasu szmuglowała królewskie złoto?

Do jakich krewnych mogła się zwrócić? Ciotka i wuj pewnie nadal mieszkali w Topoli, ale przecież raz już ją oddali, a poza tym Londyn i Oxford patrzyły na siebie z nienawiścią, każde gotowe na atak przeciwnika. Na drogach będzie gęsto od żołnierzy, blokad, okopów i poszukiwaczy szpiegów.

Zgódka niechętnie dopuściła do siebie myśl, przed którą do tej pory się broniła. Miała jednego krewnego, który nie należał ani do parafii w Topoli, ani do klanu Fellmotte'ów.

Symond.

Zamordował sir Antoniego, ale ten był przecież skorupą pełną duchów. Dziewczyna gardziła Symondem za to, że porzucił bliskich i regiment, a jednak oni dwoje mieli te same tajemnice, tych samych nieprzyjaciół. Wróg jej wroga nie był jej przyjacielem, ale mógł się okazać korzystnym sprzymierzeńcem.

Co najistotniejsze, wychowano go na dziedzica Fellmotte'ów. Istniała duża szansa, że jego wiedza o rodowych duchach przewyższała jej odkrycia. Zapewne wiedział, czy oczyszczenie Kuby ze zjaw jest w ogóle możliwe.

Plan wiązał się z ryzykiem. Ostatni Fellmotte'owie, którzy obdarzyli Symonda zaufaniem, skończyli martwi lub opętani. Jednak nie tak dawno jeszcze Symond i Kuba byli sobie bliscy niczym bracia bliźniacy i Zgódka gorąco wierzyła, że ich przywiązanie nie było tylko na pokaz. Musiała też dać kuzynowi dobre, solidne powody, by jej nie wydał.

– Doktorze – odezwała się wreszcie. – Zna pan skuteczny sposób na opuszczenie Oksfordu? Muszę się udać do Brill, a stamtąd dalej, w głąb ziem zajętych przez parlament.

Dlaczego, u licha, miałabyś zapragnąć podobnej podróży?! Cały ten teren jest narażony na ataki z obu stron. Przekraczanie linii, żeby wkroczyć na ziemie opanowane przez wroga, to absurdalny pomysł! Dopiero wyzionąłem ducha i niespieszno mi, by znów tego doświadczać.

– Muszę odnaleźć pewnego człowieka, doktorze Szybki. – Zgódka wzięła głęboki wdech. – Zresztą w Oksfordzie nie jesteśmy bezpieczni. Słyszał pan kiedyś o Fellmotte'ach?

Szlachecki ród, który wszędzie macza palce i błyszczy w każdym zakonie rycerskim? Naturalnie!

– Mają o wiele większą moc! Są puści, doktorze. Potrafią przechowywać w sobie duchy, tak jak ja daję schronienie panu. W moich żyłach płynie ich krew – posiadam ich dar – a Fellmotte'owie mają wobec mnie plany, i to bardzo niecne. Uciekłam im, ale przyjdą po mnie.

Ty przebiegła, mała intrygantko! Nic mi nie powiedziałaś! Kiedy przy-

szłaś kusić moją duszę, mogłaś wspomnieć, że zostanę uwięziony w ciele renegatki i uciekinierki, ściganej przez jedną z najpotężniejszych rodzin w Anglii!

– Nie było czasu!

Ach, wybacź, że umarłem tak pochopnie! Jakże bezmyślnie z mojej strony, tak spieszyć się ze zgonem! Swoją drogą, dlaczego uciekłaś od Fellmotte'ów? Okradłaś ich? O, tylko nie mów, że nosisz pod sercem dziecko i umknęłaś zhańbiona!

– Nie! – syknęła Zgódka. – Musiałam ratować życie! Wypełniliby mnie zjawami – duchami Fellmotte'ów – aż wreszcie zabrakłoby miejsca na moją duszę. To oznaczałoby mój koniec.

Zapadła cisza.

Nie potrafię stwierdzić, czy mówisz prawdę – oznajmił lekarz, który był chyba bardziej zaintrygowany niż urażony. Fascynujące. Jestem w twoim umyśle, ale bez pełnego dostępu do twoich myśli. Ty chyba też nie w pełni znasz moje, przynajmniej tak mi się wydaje. Nadal pozostajemy dla siebie zagadkami.

Zgódka zdała sobie sprawę, że mężczyzna ma rację. Umysł Niedźwiedzia nie znał słów, ale dziewczyna czuła jego emocje niczym mocne uderzenia wiatru. Doktor rozbrzmiewał głosem w jej głowie, lecz jego myśli i uczucia były ulotne i trudne do odczytania, niczym muśnięcie skrzydła trzepoczącej ćmy.

Może dusze z czasem nabierały umiejętności porozumiewania się. Duchy Fellmotte'ów miały całe życia, by doskonalić swoją współpracę, więc mogły działać razem, płynnie i szybko. Może w pewnym momencie wszystkie zjawy jasno widziały swoje myśli, a może każda z nich miała jeszcze grudkę tajemnego „ja”, którą przed sobą ukrywały.

Najwyraźniej duchy Fellmotte'ów były też w stanie najeżdzać i przeszukiwać wspomnienia żyjącego gospodarza. Doktor nie potrafił jeszcze odczytać pamięci Zgódki. Kto wie, może z czasem mu się to uda.

Zapomnij o podróży do Brill – mamrotał teraz. Wkraczanie na teren wroga jest wykluczone. Musimy znaleźć sposób, żeby pogodzić się z Fellmotte'ami. Nie stać nas na to, by mieć nieprzyjaciół tej rangi!

– Nie! – syknęła dziewczyna. – Z nimi nie da się rozmawiać! Poza tym decyzja nie należy do pana!

To jakiś absurd – mruknął lekarz i przez chwilę Zgódka nie była pewna, czy mówi do niej, czy do siebie. Słuchaj, młoda damo. Nie mogę pozwolić, żebyś wszystkie decyzje podejmowała sama. Czy ci się to podoba, czy nie, obecnie na tym cielesnym okręcie płyną cztery dusze, które rozpaczliwie

potrzebują kapitana. Z tego, co widzę... jestem jedynym możliwym kandydatem.

– Co takiego? – krzyknęła dziewczynka. – Nie ma mowy! To moje ciało!

Wszyscy jesteśmy jego mieszkańcami – upierał się doktor. Ciebie dyskwalifikują twój wiek oraz pleć, nie wspominając już o tym, że zrobiłaś z nas wszystkich zbiegów! Nasi towarzysze podróży to na wpół obłąkana zjawia intruza i misiek! Jestem jedyną osobą zdolną zapanować nad tym cyrkiem!

– Jak śmiesz! – Gniew narastał w Zgódce niczym nadciągająca burza. Tym razem nie była to furia Niedźwiedzia, ale jej własna, co samo w sobie było dla niej przerażające. Nie czuła granic swojej wściekłości.

Trudno uznać to za sensowną odpowiedź, a rozwiązanie musimy znaleźć rozumem! – Mężczyźni również zaczynały puszczać nerwy. Widać, że na każdym kroku popełniałaś błędy! Nie wiedziałaś nawet, ile nosisz duchów! Powinnaś być wdzięczna, że w ogóle wyraziłem chęć zajęcia w tobie miejsca!

– Jeszcze słowo – wydyszała Zgódka – a pana wyrzucę! Tak zrobię! – Nie była do końca przekonana, czy potrafiłaby to uczynić, ale wypowiedane słowa zdawały się prawdziwe, a w jej żyłach pulsował już pomruk Niedźwiedzia. – Uciekłam od wszechmocnych Fellmotte'ów, zostawiłam rodzinny dom, rzuciłam wszystko, byle nie stać się ich marionetką. I nie mam nic, nic poza sobą samą. I to jest moje, doktorze. Nie będę kukiełką Fellmotte'ów ani pańską zabawką. Jeśli będzie pan odgrywał tyrana, wyleci pan za próg, a ja będę patrzeć, jak rozplywa się pan jak dym na wietrze.

Znów zapanowała długa cisza. Dziewczyna czuła, jak zmieniają się emocje doktora, ale nie potrafiła stwierdzić, jakie to uczucia ani co oznaczają ich przemiany.

Jesteś bardzo zmęczona – odezwał się powoli. Jesteś wyczerpana, nie zwróciłem na to uwagi. Cóż... oboje mieliśmy ciężki dzień, a ja wybrałem niewłaściwą chwilę na tę rozmowę. Słusznie, przypadłbym bez Ciebie. Lecz jeśli przez chwilę na spokojnie się zastanowisz, zrozumiesz, że i ja jestem ci potrzebny. Duch twojej matki może być niebezpieczny, a z całą pewnością jest obłąkany i szaleje wewnątrz murów twojej głowy. Nawet go nie widzisz. Przyda ci się sprzymierzeniec, który potrafi coś więcej, niż tylko warczeć. Ktoś, kto będzie miał oko na zjawę i poinformuje cię o jej poczynaniach.

Zgódka przygryzła wargę. Nie miała ochoty tego przyznać, ale doktor miał rację.

Jeśli tak bardzo nastawiłaś się na ten swój plan, zobaczmy, czy znajdziemy sposób, by wykonać go i przetrwać. Brill leży na północny wschód stąd, niby dziesięć mil w linii prostej, ale jest to dystans niebagatelny. Nasze

oddziały dysponują w pobliżu przyzwoitą liczbą garnizonowych miasteczek i fortyfikowanych budynków, które służą ochronie dróg i mostów wokół Oxfordu – w Islip, Woodstock, Godstowe, Abingdon i innych – ale jeśli udasz się na wschód aż do Brill, wyjdiesz poza ochronny krąg. W samym Brill, dzięki Bogu, stoi jeszcze majątek pozostający w rękach ludzi króla, lecz w sporej części okolicznych wsi panuje wysyp okrągłogłowych. Jeśli zamierzasz się tam udać pieszo, nie będziesz musiała przekraczać żadnych mostów, co pozwoli nam uniknąć zatrzymania i przesłuchania. Jednak droga na przelaj będzie niebezpieczna. Cała ta wojna toczy się głównie na polach i w rowach. Za byle żywopłotem czy bydlęcym żłobem może się czaić zasadzka.

Zgódka musiała przyznać, że wszystkie te informacje są bardzo przydatne. Doktor może i był arogancki, ale z pewnością nie był głupi.

– Będzie mi potrzebny plan – zgodziła się. – Przydadzą się mi wskazówki, zanim wyruszę... – Powoli docierało do niej, jak bardzo zmęczenie zszargało jej nerwy.

Powieki masz jak z ołowiu! – mruknął lekarz. *Sądzę, że ledwo stoisz na nogach z wycieńczenia. Kiedy ostatni raz porządnie spałaś?* Brzmiał profesjonalnie, nie karcąco.

– Przez kilka hrabstw robiłyśmy uniki przed żołnierzami parlamentu – odparła Zgódka. – Staralam się łapać sen, kiedy nadarzała się okazja.

To, na Boga, prześpij się teraz, kobieto! – polecił lekarz tonem karcącym, lecz niepozbowionym ciepła. *Jeśli nie będziesz się wysypiać, rozchorujesz się, niezależnie od tego, czy dopadnie cię gorączka obozowa, czy nie! A wtedy co z nami będzie? Jeśli jesteś tak zdeterminowana, by dowodzić na tym statku, czyż nie odpowiadasz za swoich pasażerów?*

– Ja... – Zgódka się zawahała.

Ledwo знаła doktora i była na poły przekonana, że go nie lubi, ale nie mogła wiecznie czuwać bez snu. Czy jej się to podoba, czy nie, jak słusznie zaznaczył Szybki. Rzeczywiście potrzebny jej był sprzymierzeniec, a nie była w stanie uzyskać jego wsparcia bez przyznania, że znalazła się w kłopotliwej sytuacji.

– Ostatnio... przyłapałam się na lunatykowaniu – wyznała. – Potem... bałam się zasnąć.

Doprawdy? – Szybki przetrawił tę informację. *Za sznurki pociągala cudza ręka? A może łapa?*

Zgódka nie odpowiedziała. Nie naciskał, lecz po chwili zdało jej się, że słyszy westchnienie.

Stanę na straży, a ty śpij. Zbudzę cię, gdybyś miała się gdzieś wałęsać lub

gdyby któreś z pozostałych coś kombinowało. Niezależnie od tego, co sądzę o podejmowanych przez ciebie decyzjach, uważam, że jesteś z was trojga najmniejszym złem.

Myśl o głębokim, niezakłócanym śnie była tak śmiała, że Zgódce zakręciło się w głowie. Kiedy przyłożyła ciężką głowę do poduszki i zamknęła oczy, ciemność była niemal nieznośnie słodka.

– Uważaj, doktorze – szepnęła jeszcze, pozwalając sobie na odprężenie. – Niedźwiedź pana nie lubi. Jeśli wyda mu się, że próbuje mnie pan skrzywdzić... obawiam się, że mógłby rozszarpać pana na strzępy.

ROZDZIAŁ 24

– Judyto?

Zgódka z trudem rozwarła klejące się powieki. W ustach czuła kwaśny smak, gardło miała spuchnięte. Chciała tylko z powrotem zamknąć oczy.

Zamajaczyła nad nią kobieca twarz, niewyraźna w półmroku pokoju. Był wieczór czy rano? Dziewczyna przez chwilę nie pamiętała, gdzie się znajduje ani jaka jest pora dnia.

– Judyto, co ci dolega? Jesteś szara jak glina!

Helena wysunęła dłoń ku czołu Zgódki, lecz wtem cofnęła ją, nie dotknąwszy chorej. Wyglądała na wystraszoną i rozdartą.

– Jesteś spocona. Mówiłam, żebyś zasłaniała usta bukiecikiem!

– Nic mi nie jest! – zaprotestowała Zgódka, starając się usiąść. Poczowała bolesny ucisk żołądka i osunęła się z powrotem na posłanie. – Jestem tylko... zmęczona. – Nie mogła przecież tak szybko złapać zarazy, prawda? Nie minęło więcej niż kilka godzin, odkąd usiadła przy łożu śmierci Szybkiego.

Helena nic nie powiedziała, ale cofnęła się i opadła na krzesło, jedną ręką zakrywając usta. Błądziła wzrokiem po klitce, prowadząc w głowie kalkulacje.

– Nocą opuszczam Oksford – oznajmiła wreszcie. – Peg już wyjechała. Zmierzam na północ, ku Banbury. Mieszka tam ukochany nauczyciel Symonda Fellmotte'a, który może mieć o nim jakieś wieści. Poza tym mówią, że siły parlamentu mają ruszyć na miasto. Jeśli zaczną ostrzelać z moździerzy, będę uwięziona. Sądziłam, że wezmę cię z sobą.

– Ja również muszę się stąd wydostać! – powiedziała szybko Zgódka.

Helena pokręciła głową.

– Nie pojedziesz w tym stanie. Podróż stanowiłaby nie lada ryzyko, nawet gdybyśmy obie były w pełni sił. Nie dam rady cię nieść, Judyto. Zresztą zaszkodziłoby to twojemu zdrowiu.

Posłuchaj – odezwał się doktor. Ona ma rację. Nie możesz teraz wędrować. Masz gorączkę obozową.

– Nie! – syknęła dziewczyna. – Nie mogę teraz być chora! Nie będę chora, odmawiam!

Decyzja nie należy do ciebie.

Zgódkę zdjęło przerażenie. Do tej pory atakowany był jej umysł, ale teraz walkę toczyło jej ciało. Wspomnienie łóżka Benjamina Szybkiego i duszy wyciekającej ze swej łupiny było aż nazbyt świeże.

– Przykro mi – powiedziała Helena, najwyraźniej szczerze zmartwiona. – Zostawię ci resztę lekarstwa i połowę zawartości mojej sakiewki – ale nie mogę z tobą zostać. Rozkazy Jego Królewskiej Mości muszą mieć pierwszeństwo.

Nie wpadaj w panikę – uspokajał lekarz. Jestem tu i znam tę chorobę. Jesteś młodsza i silniejsza ode mnie. Damy sobie radę.

– Nikt nie może się dowiedzieć, że zaniemogłaś – powiedziała Helena, w równym stopniu do siebie, co do Zgódki. – Zakładają domki z kwarantanną pod miastem, w Port Meadow. Jeśli ktoś zgłosi twój stan, wywloką cię tam, a wtedy trzech groszy bym nie dała za twoje szanse. Zapłacę gospodarzowi, żeby trzymał język za zębami i żeby cię karmił. Jestem pewna, że zrobiłby o wiele więcej za garść prawdziwych monet.

Zebrała swoje rzeczy i założyła na głowę kaptur.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – pożegnała dziewczynę.

Przez chwilę Zgódcie cisnęły się na usta same gorzkie słowa, ale przecież Helena dała jej, ile mogła, choć nie była „Judycie” nic winna. Wzrok dziewczyny padł na łąki zakrywające dzioby na twarzy rudowłosej. Najwyraźniej stoczyła zażartą walkę z ospą – pojedynek ze śmiercią. Zgódką nie mogła jej winić za ucieczkę z zajętego zarazą miasta.

– I ciebie – powiedziała.

Powieki Zgódki opadły, zdawałoby się, tylko na moment, ale kiedy znów je podniosła, Heleny już nie było.

* * *

Nie umrę – ta jedna myśl pojawiała się w głowie Zgódki, wciąż, nieustannie. Nie umrę. Jeszcze nie teraz. Nie wykorzystałam jeszcze swojej szansy. Nie byłam tym, kim mogę być, nie zrobiłam tego, co jestem w stanie uczynić. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

W pewnej chwili dotarł do niej głos doktora, rozlegający się w jej głowie, cichy i spokojny, lecz nalegający, jakby przemawiał do małego dziecka.

Ktoś zapukał do drzwi, mała. Pewnie zostawili na zewnątrz jedzenie. Musisz wstać i je odebrać. Musimy coś zjeść, prawda?

Wstała więc, półprzytomnie, zataczając się, dotarła do drzwi z mocno bijącym sercem. W korytarzu stała miska zupy. Zgódką schyliła się po nią, ale nogi się pod nią ugięły i usiadła niezgrabnie na ziemi. Z wielkim wysiłkiem wciągnęła posiłek do środka, po czym zamknęła drzwi.

Jedzenie było wyczerpujące niczym maraton. Głowa ciążyła dziewczynie tak bardzo, że musiała oprzeć ją o ścianę. Walczyła ze snem.

Jeszcze łyżkę – naglił lekarz. Jeszcze jedną. No, dalej. Czekać... pozwól, użyję twojej ręki.

Więc Zgódką pozwoliła mu przejąć władzę nad swą prawą ręką i poprowadzić do ust łyżkę zupy, a potem kolejną i następną. Czuła się jak małe dziecko i z jakiegoś powodu chciało jej się płakać.

Tak lepiej – pochwalił doktor. Teraz musisz zażyć lekarstwo.

Wiedzioną jego wskazówkami, Zgódką doczołgała się do torby medycznej i wyjęła niewielką zieloną buteleczkę.

Na razie łyk. Potem więcej.

Usta zlepily jej się od medykamentu, a klitka jeszcze mocniej zawirowała. Niedźwiedziowi nie spodobał się zapach.

– Nie mogę tu zostać – szepnęła dziewczyna, podczas gdy krew dudniła jej w uszach i skroniach.

Nie masz wyboru. Odpoczynek jest jedynym dostępnym lekarstwem. Śpij albo umrzesz.

Zgódką nie zamierzała umierać.

Roztopiło jej się poczucie czasu. Znowu rozległo się pukanie do drzwi i nie rozumiała dlaczego, skoro dopiero co zjadła zupę. Doktor powiedział, że to nowa porcja. Musi otworzyć drzwi i zjeść tę nową zupę. Po co przynieśli więcej? Doktor powiedział, że czas na kolację. Minęły godziny. Spożyła świeży posiłek. Chwilę później znowu musiała się przemieścić, by skorzystać z nocnika. Poruszanie się po pokoju było jak przesuwanie góry.

Szczeliny w podłodze uwierały ją w policzek. Dlaczego położyła się tutaj? Puk, puk. Nowa zupa. Lekarz coraz sprawniej operował jej ręką i trzymaną w niej łyżką. Chociaż Zgódką wiedziała, kto nią porusza i dlaczego, dziwnie było patrzeć, jak jej własna kończyna funkcjonuje w ten sposób.

– Dlaczego panu nie kręci się w głowie, doktorze? – wychrypiła.

Trochę mi się kręci, ale ty jesteś przywiązana do swego ciała silniej niż ja. Jego bólaczki dotykają cię mocniej. Twoja siła jest twoją słabością. Moja słabość stanowi moją siłę.

Mężczyzna znowu mówił o lekarstwie. Tak, był czas na nie. Wlec się, wlec, dowlec się do torby, wziąć łyk z buteleczki.

Męczyły ją napędzane gorączką sny. Mogłaby przysiąc, że w klitce byli

ludzie prowadzący rozmowy przyciszonymi głosami. Ale kiedy mrugała zmęczonymi oczami i rozglądała się wokół, była sama.

Sekundy przeciągały się niczym zaspane lwy. Godziny upływały w mgnienu oka. Niebo za oknem było szare, a zaraz boleśnie słoneczne. Potem przybierało barwę siniaków i światło gasło. Następnie zapadała głębia błogosławionej ciemności. I od nowa, w kółko to samo.

Budziło to w Zgódce lęk, ale nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego. Powinna była o czymś pamiętać, gdzieś się znaleźć, ale odpowiedzi zaginęły we mgle jej rozpalonego gorączką umysłu.

Szmer, szmer, szmer. Znowu ten pomruk. Przyciszone głosy prowadziły rozmowę w głowie Zgódki. Tym razem jednak nie były wytworem jej wyobraźni. Dziewczyna rozwarła lekko oczy. Drzwi były nieco uchylone i przez szparę widać było twarz gospodarza oraz oblicze chudej kobiety, zapewne jego żony.

– Nie możemy wiecznie jej ukrywać i karmić! – szepnęła kobieta, zerkając w kierunku chorej z mieszanką litości i irytacji.

– Rudowłosa pani zapłaciła pierwszymi prawdziwymi pieniędzmi, jakie widzieliśmy od miesiąca, i wyraźnie poleciła, żeby nikt nie dowiedział się o młodej damie, dopóki nie wyzdrowieje. – Słowa gospodarza brzmiały mocno niczym spiż, ale na jego obliczu malowała się pewna wątpliwość.

– A co, jeśli człowiek, który o nią pytał, naprawdę jest jej przyjacielem, tak jak twierdzi? Niech ją zabierze! Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że nie zgłosiliśmy przypadku gorączki obozowej...

– Mówię ci, że to całkiem inna sprawa! Spójrz na nią – żadnych dreszczy ani wysypki.

– Wysypka pojawia się później i dobrze o tym wiesz! – wykrzyknęła jego żona. – Leży raptem trzeci dzień!

– A w mieście jest dopiero od czterech – ostro odparł mąż. – Widziałas kiedyś, żeby zaraza tak szybko kogoś dopadła?

– Może przywiozła ją ze sobą! – Kobieta westchnęła. – Nie powinieneś był odprawiać tego pana. Musimy kogoś za nim posłać i powiedzieć mu prawdę. – Staruszka jeszcze chwilę przyglądała się dziewczynie zmęczonym, zmartwionym wzrokiem, wcale niepozabawionym życzliwości.

Drzwi się zamknęły.

Heroicznym wysiłkiem Zgódka podciągnęła się do pozycji siedzącej i oparła się plecami o ścianę. Rozpaczliwie chwytiała śliskie, umykające myśli.

Trzy dni. Jest chora od trzech dni. To... bardzo niedobrze. Nie powinno jej tu być. Grozi jej niebezpieczeństwo. Dostrzeżono ją na dworze. Jeśli

pytali o nią Fellmotte'owie, ktoś na pewno pamiętał, że widziano ją z Heleną. Ktoś też pewnie wiedział, gdzie nocowała rudowłosa.

Jakiś mężczyzna wypytywał o Zgódkę. Może Fellmotte'owie już ją wytropili.

Spokojnie – mruknął doktor.

– Ja... – Przełknęła ślinę. – My... musimy iść. Teraz.

Wiesz, że nie możesz. Brak ci sił.

– Muszę! – Głos dziewczyny brzmiał chrapliwie i sucho, ale mówienie sprawiało, że czuła się solidniejsza, bardziej żywa. – Muszę uciekać, zanim ten człowiek wróci... Fellmotte'owie...

Uspokój się – polecił lekarz – *i myśl. Nasi gospodarze nie poślą po niego w tej chwili. Ściemnia się już. Jeśli się prześpisz, może spadnie gorączka i wtedy będziemy mogli...*

Zgódką spróbowała stanąć na nogi i padła z powrotem na kolana.

Posłuchaj mnie! Słuchaj! – z głosu doktora przebijały frustracja i żal. *Rozumiem, że panikujesz, ale mówię ci jako medyk, że nie możesz – nie wolno ci! – wysilać się zbytnio w obecnym stanie! Nie możesz lekceważyć swoich ograniczeń. Nie wiesz, co w tej chwili dzieje się z twoim ciałem, ale ja mam tę świadomość.*

– Wybacz, doktorze Szybki – szepnęła Zgódką. Na czworakach dotarła do płaszcza i niezgrabnie otuliła nim ramiona.

Cóż... przynajmniej zażyj najpierw lekarstwo, obroni cię przed nocnym pogorszeniem.

– Nie... Powoduje, że staję się senna. – Nogi miała jak bryły ołowiu, ale udało jej się założyć na nie buty.

Na litość boską, nie dasz rady nawet ustać!

Zgódką wzięła kilka głębokich wdechów, chwyciła wezglowie łóżka dla podtrzymania równowagi, podciągnęła się i...

...wstała.

Poruszając się chwiejnie, zebrała naręcze swoich rzeczy oraz torbę lekarską i niepewnie ruszyła ku wyjściu. Musiała się skupiać na każdym kroku, ale dotarła do drzwi, otworzyła je i wyszła na mroczny korytarz.

Zaprzestań tego szaleństwa! – syknął doktor. *Przestań!*

Gwałtownie przejął władzę nad dłonią dziewczyny i zacisnął ją na klamce, żeby powstrzymać uciekinierkę.

Zgódką gniewnie wywalczyła kontrolę nad swoim ciałem. Nagle zdała sobie jednak sprawę z niebezpiecznego szmeru głosów gdzieś z tyłu czaszki. Była pewna, że tym razem nie był wytworem jej wyobraźni.

Czyń, co konieczne – powiedział doktor, ale Zgódką wiedziała, że to nie

do niej się zwracał.

Kiedy wkroczyła na schody, poczuła nagle, że jej lewa stopa się buntuje. Podwinęła się, poddając się obcej woli, i Zgódką się przewróciła. Krawędzie stopni wpijały się w jej nogi i bok, gdy z ogłuszającym hukiem spadała i zjeżdżała z całej długości schodów.

Z niższych i wyższych pięter odezwały się skonsternowane głosy. Zbliżały się bose kroki. Z mroku wyłoniły się postacie w koszulach nocnych, ze świecami w rękach.

Zgódką podniosła się z pomocą kilku ofiarnych dłoni.

– Dziękuję... Muszę... muszę... iść... – Głos dziewczyny był suchy i ochrypły.

– O tej porze? W nocy?

Zgódką wychwyciła ślady podejrzliwości w otaczających ją rozmazanych twarzach.

– Panienko, dobrze się czujesz?

Przepchnęła się niezdarnie przez zebrane wokół postacie i otworzyła drzwi wejściowe. Wzięła głęboki haust niespodziewanie zimnego powietrza nocy.

– No, proszę, oto i ona! – usłyszała wołanie z ulicy. Zgódką ponieważ spozregła żonę piekarza, spieszącą ku domowi. Nie była sama, u jej boku kroczył mężczyzna.

Dziewczynę zalała fala paniki. Rozpoznała jego sylwetkę. Znała ją równie dobrze jak własne imię i dziecięce rymowanki. Wynurzył się z mroku, a w jego arktycznych oczach błysnął uśmiech.

Kuba.

ROZDZIAŁ 25

Przez chwilę Zgódka tylko patrzyła z przerażeniem, lecz zaraz jej instynkt przetrwania wziął górę. Rzuciła się w bok w nadziei, że uda jej się ominąć Kubę, ale przesunął się z zatrważającą prędkością, chwycił ją za ramiona i pociągnął do tyłu.

Nieprawdopodobna szybkość. Szybkość Starszych.

– Dobrze, już dobrze, Maud, co się dzieje? – Znów się uśmiechał, lecz uśmiech ten dramatycznie nie pasował do jego brzydtko-przystojnej twarzy.

– Nie poznajesz mnie?

– Puszczaj! – W rozpaczy zwróciła się do żony piekarza. – To nie jest mój przyjaciel!

– Przez chwilę zdawało się, że go znasz. – Kobieta zmarszczyła brwi, nie pojmując sytuacji.

– Oczywiście, że zna. – Kuba siłą zaplótł ramię Zgódki wokół swojej talii, przytrzymując je mocno. – Maud, to ja, Jakub! Twój brat!

– Och... rzeczywiście, chyba dostrzegam podobieństwo. – Piekarz rozchmurzył się, a na oblicza wszystkich zebranych wypłynęły zrozumienie i ulga.

– To nie jest mój brat! – Dziewczyna próbowała się wyswobodzić, po czym uderzyła Kubę w twarz wolną ręką. – Na Boga, uwierzcie mi!

Podniosły się zaniepokojone głosy. Na rękach i barkach Zgódki spoczęły krępujące ją dłonie. Mamrotano kojące słowa. Zaciągnięto ją do saloniku i posadzono w fotelu.

– Już, już, kwiatuszk. – Żona piekarza wyglądała na nieco zmieszaną. – Twój brat zorganizował dla ciebie transport, zaniósł cię do jego kwatery. Możesz poczekać na nich tu, w ciepłe. – Zerknęła na Kubę. – Proszę nie sugerować się jej wybuchem, panie – szepnęła. – Przemawia przez nią gorączka. Jestem przekonana, że wkrótce pana rozpozna.

– O, z pewnością – odparł mężczyzna. W pokoju paliła się tylko jedna świeca, migocząc na stoliku przy fotelu Zgódki, i w jej blasku rysy twarzy Kubę zdawały się falować i drgać.

– Błagam, niech mnie pani posłucha! – Zgódka była wciąż ledwo żywa, ale udało jej się wyprostować w fotelu i przyjąć pozycję siedzącą. – To nie jest mój brat. Proszę mu zajrzeć w oczy. Proszę na niego spojrzeć! To diabeł. Niech pani nie zostawia mnie z nim samej!

Żona piekarza na krótką chwilę zatrzymała wzrok na twarzy Kuby. Potem jednak odwróciła oczy i pospiesznie wyszła. Zgódka uświadomiła sobie, że nawet gdyby przekonała kobietę, i tak nic by jej to nie dało. Nieznany szlachcic może i jest wcielonym diabłem, ale przynajmniej zabiera z tego domu kłopotliwą pacjentkę.

Drzwi zamknęły się za nią ze stukiem. Brat i siostra spojrzeli na siebie.

– Kubo – odezwała się cicho dziewczyna, z największym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Przysięgaliśmy, że nigdy nie zwrócimy się przeciwko sobie, pamiętasz?

– Nie zwrócił się przeciwko tobie – odparł Starszy. – Po prostu wreszcie przypomniał sobie swą powinność wobec rodziny.

– Doprawdy? Ilu z was musiało go trzymać siłą, żeby sobie „przypomniał”?

– Tak to sobie wyobrażasz? – Twarz wroga znów wykrzywiła się w zastygłym grymasie rozbawienia. – Sądziłaś, że chłopak się opierał? Nie. Poddał się bez walki. Pomimo wszelkich jego wad i głupstw w końcu się zrehabilitował.

– Nie wierzę ci – szepnęła Zgódka.

– A powinnaś – odparł Starszy. – Poznałem go już lepiej niż ty.

Dziewczyna przypomniała sobie fasolkę z tortu z okazji wigilii Trzech Króli i to, jak Kuba odrzucił ich wspólne plany, by zostać Królem Zamętu. W odróżnieniu od Zgódki Kuba nigdy nie był odporny na pokusę szlachectwa, władzy i tytułu. Potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak chłopak przekonuje samego siebie, że ma dość sił, by poradzić sobie z hordą pozaziemskich gości.

– Kubo, ty idioto – szepnęła.

– Ty natomiast odwróciłaś się od swojej powinności – ciągnął Starszy. – Mniejsza o twojego brata, ale co z nami? Co z twoim obowiązkiem wobec nas? I kto pomógł ci uciec? Kto umieścił w tobie tę bestię? Kto dał ci ten sznur?

A więc to najbardziej gnębiło Starszego. Nawet teraz duchy nie mogły uwierzyć, że dokonała tego w pojedynkę. Gdyby nie targała nią taka złość, może uznałyby to wręcz za zabawne.

– Do diabła z tobą! – krzyknęła teraz, oślepiąca gniewem. – Nadal zamierzasz zawieźć mnie do Grizehayes i wypełnić duchami z lorda Fell-

motte'a? Jesteś ślepy czy głupi? Gniję od gorączki obozowej. Dalej, wlewaj ich! Popatrzmy sobie wszyscy, jak na naszą skórę występują pęcherze, a nasze umysły zlewają się w jeden, aż będziemy gotowi na całun!

Wtem gardło Zgódki ścisnęło się i zadrżało, gdyż nagle kto inny przejął nad nim władzę. Czując przemożne mdłości, zdała sobie sprawę, że język porusza się w jej ustach bez jej zgody.

– Dziewczyna się myli. – Głos płynął z jej własnej krtani, lecz nie należał do niej i drapał ją w gardło. – Nie uległa zarazie.

– Ach! – Kuba westchnął z satysfakcją. – Tu jesteś, pani.

Zgódka zakrzuszyła się, usiłując odzyskać władzę nad własnym ciałem, ale ogarnęła ją panika i zabrakło jej tchu. Kto przez nią przemawiał? Ton był chłodny i opanowany. Nie mogła to być matka. Ten ktoś nie bełkotał i nie szalał, tak jak czyniła to zjawą w koszmarach dziewczyny.

– Jest pod wpływem opiatów – ciągnął głos. – Zwierzę również osłabił lek, jego duch jest całkowicie splątany z duszą dziewczyny. Jest tu jeszcze jedna zjawą, doktor umiarkowanej wartości, którego środki wykorzystaliśmy.

Zdrajca! – pomyślała Zgódka, gdy wreszcie dotarła do niej prawda. Nigdy nie była chora. Oszukano ją, by otruła się lekami niemal do nieprzytomności. *Doktorze Szybki, ty łgarzu! Powinnam była pozwolić, by pańska stara, chora dusza wsiąkła w łożę śmierci niczym plwociny.* Czuła, jak jego ziemisty duch obciąża jej ramiona, gotowy powstrzymać ją, gdyby próbowała wyrywać się lub uciekać. *Ty źmijo* – wyzywała go w myślach. *Ty idioto!*

– Trzymaj ją nieruchomo – polecił Starszy. Otworzył torbę medyka i wyjął buteleczkę z „lekarstwem”. Odkorkował ją i ostrożnie powąchał. – Tym razem nie będziemy ryzykować.

Niedźwiedziu! – zawołała we własnych myślach Zgódka. *Niedźwiedziu!* Ale zwierzę było otepiałe i zagubione. Słyszało jej zew, ale nie wiedziało, w którą stronę zamachnąć się łapą.

Szamotała się, gdy Kuba podszedł do niej i ujął jej podbródek, ale podana substancja oraz duchy ciążyły jej, unieruchamiając ją w fotelu. Wyczuwała posmak złych zamiarów lekarza i nieznaney zjawy, kiedy użyli oni własnej siły woli, by powstrzymać dziewczynę od poruszania się. Przystawiono jej butelkę do warg i wiano do ust porządną dawkę mikstury. Próbowala ją wypluć, ale jej usta i gardło wbrew jej woli ulegały konwulsjom, które miały usprawnić przełknięcie medykamentu.

– Dobrze – ocenił Kuba, a jego chłodny głos dobiegał jak z oddali. – Kiedy straci świadomość, moja pani, zacznij ją oczyszczać. Trzeba wyrzucić inne duchy, by zrobić miejsce dla koterii lorda Fellmotte'a.

Co, proszę? – Doktor Szybki wrzeszczał w głowie Zgódki. *Nie tak się umawialiśmy, moja pani! Obiecałaś mi miejsce pośród Fellmotte'ów! Powiedz mu! No, powiedz!*

Nagle ołowiany ciężar w kończynach dziewczyny zelżał. Zdenerwowany lekarz przestał ją przytrzymywać.

Z całej siły, jaką potrafiła w sobie zebrać, Zgódka kopnęła stolik, przewracając świecę.

Zamierzała pogrzyźć pokój w ciemności, ale świeczka padła wprost na płaszcz Kuby. Ogień natychmiast zajął frędzlowany rąbek, a głodne złote jęzory poczęły lizać materiał. Chłopak rzucił przekleństwo sprzed wieku, usiłując rozpiąć płaszcz pod szyją. Korzystając z okazji, Zgódka wyskoczyła z fotela i na czworakach ruszyła do drzwi, po drodze plując lekarstwem.

Nieznajoma zjawa szarpała umysł dziewczyny, próbując przejąć kontrolę nad jej kończynami i sabotować jej ruchy. Teraz agresorka musiała jednak walczyć również z doktorem. Zgódka wyczuwała, jak dwoje przeciwników ściera się w zaciekłym milczeniu. Porwała swoje rzeczy i wymknęła się do holu.

Odciągnęła zasuwę na drzwiach frontowych, otworzyła je i wypadła na ulicę. Za sobą usłyszała jeszcze dobiegający z głębi budynku wrzask bólu i nowy potok przekleństw. Starsi byli wiekowi i przerażający, ale najwyraźniej byli też łatwopalni.

Zgódka puściła się biegiem. Ukłucie zimnego powietrza otrzeźwiło nieco jej zamroczony umysł. Był z nią już Niedźwiedź, potykający się, pomrukujący, lecz świadom, że dziewczyna potrzebuje jego siły. Biegła głośno po bruku i wkrótce do jej kroków dołączyło echo kolejnych, pędzących za nią, szybszych i zwinniejszych.

Skręciła za róg i znalazła się w nieoczekiwanej plamie światła.

– Stać! – Drogę zagroziło jej pół tuzina uzbrojonych, nieporządnie ubranych mężczyzn, każdy przepasany brudną szarfą. Ich przywódca wysoko unosił latarnię. Stanowili jakiś patrol. Spróbowała ich ominąć, ale jeden z nich chwycił ją za ramię. – Skąd ten pośpiech, panienko?

Zgódka obejrzała się i zobaczyła, jak Kuba, z oczami rozpalonymi furją, wpada w krąg światła. Zaraz sprzeda im jakąś bajeczkę i przekona ich do swoich racji. O ile ona da mu ku temu szansę.

– Obiecałaś, że mnie ukryjesz! – wrzasnęła na Kubę ku jego nieukrywaniemu zdumieniu. – Mówiłaś, że ulice są bezpieczne! A teraz nas złapali! Nie chcę na kwarantannę!

W osłupiałej ciszy, która nastąpiła, Zgódka dostrzegła, że członkowie patrolu po raz pierwszy zauważyli błądliwość jej spotniałej twarzy oraz dresz-

cze wstrząsające jej ciałem. Mężczyzna, który trzymał ją za ramię, szybko się odsunął, a pozostali strażnicy przemieścili się, by otoczyć ją szczelnym kołem, a jednak zachować dystans.

– Masz gorączkę? – spytał ten z latarnią.

– To nie moja wina! – zawodziła dziewczyna, bez trudu przywołując do oczu łzy. – Nie chcę umrzeć!

Oblicze Kuby wykrzywiła frustracja. Niewątpliwie zamknięte w nim duchy gotowały się ze złości. Sytuacja wymykała im się spod kontroli.

– Nic jej nie dolega – pospieszył z zapewnieniem. – Siostra czasem coś sobie ubzdura...

– Dziewczyna jest szara jak popiół! – wykrzyknął dowódca grupy. – Ledwo stoi! Wybacz, przyjacielu – nie winię cię za próbę ochrony siostry, ale my musimy przestrzegać rozkazów. – Zawahał się, po czym zmarszczył brwi. – Sam jej doglądałeś, co? Może też powinieneś pójść z nami.

– Macie pojęcie, kim jestem? – warknął Kuba. – Mam potężnych przyjaciół, z którymi nie chcielibyście zadzierać...

– A my mamy rozkazy – odparł twardo strażnik.

Lodowato zimne spojrzenie Kuby prześlizgnęło się po sześciu wojakach. Być może Starsi w środku rozważali, czy nie zabić całej grupy. Bez wątplenia daliby radę, ale musieliby się zmierzyć z konsekwencjami.

Młodzieniec odwrócił się i skoczył w mrok. Jeden ze strażników rzucił się za nim w pogoń, ale zaraz poddał pościg i wrócił.

– Przykro mi, panienko – odezwał się dowódca patrolu. – Musimy cię zaprowadzić poza miasto. Tam się tobą zaopiekują. – Nieumiejętnie próbował nadać swemu głosowi choćby ślady pewności.

Mam szczerą nadzieję – mruknął doktor – *że twój plan nie urywa się w tym właśnie miejscu.*

* * *

Zgódka, prowadzona mrocznymi uliczkami Oksfordu, miała wrażenie, że kroczy przez jakieś zimne podziemia. Wreszcie słabła moc działania mikstury Szybkiego, ale otaczające ją sceny same w sobie były jak ze snu.

Dziewczyna zdążyła przywyknąć do Grizehayes. W milczeniu burzyła się przeciwko domowi, ale spowijające go długie chwile ciszy, refleksyjny chłód jego murów i jego nieprzerwane rozmowy z wiatrem przeniknęły ją do szpiku kości. Potrafiła zidentyfikować każde skrzypnięcie, brzęk, daleki głos. Tu odległy śmiech, szcęk, łoskot czy stukot kopyt były jej nieznanne, przez co czuła się niepewnie i samotnie.

Zmierzchało, lecz było jeszcze za wcześnie, by na ulicach pojawili się latarnicy. Gdzieniegdzie na tle fioletowego nieba wyrastały potężne gmachy. W oknach migotało kilka świateł.

Raz eskorta Zgódki przeprowadziła ją na drugą stronę ulicy, żeby przepuścić dziwną, kroczącą dziarsko procesję. Byli w niej elegancko odziani panowie z koronkowymi kołnierzymi, misternymi niczym pajęczyny, w butach z kokardami, ze strusimi piórami przy kapeluszach i lśniąщими lokami opadającymi do pasa. Przyciągali wzrok, tańcząc po mrocznej, śliskiej ulicy. Towarzyszyło im rozbujane stadko grajków z fletami i gitarami, a za nimi chichotała grupka pań, zamaskowanych i zakapturzonych niczym kurtyzany.

Zgódka wiedziała, że to ludzie z krwi i kości, ale w całym pochodzie było coś z innego świata, a postacie przypominały płaskorzeźby roztańczonych kościotrupów, które widywała czasem na cmentarzach. Nawet brodząc po kolana w zarazie i koszarze, dwór uparcie pozostawał dworem. Śmiesznym, dekadentckim, olśniewającym i śmiałym.

Na granicy miasta patrol wymienił kilka niewyraźnych słów ze strażnikami. Bramy otwarto i grupę uderzył zimny podmuch wiatru. Rozpościerało się nad nią bezkresne, bezlitosne niebo. W przygasającym świetle wykopy zdawały się jeszcze rozleglejsze.

Pomimo rześkiego nocnego powietrza oraz wrażenia bycia obserwowaną przez wielkie oko niebios Zgódka odczuła niejaką ulgę. Zdała sobie sprawę, że Oksford ją więził. Zmarnowała już zbyt wiele lat zamknięta w starych murach.

Przed nimi szeroka droga wiodła do rzeki i dziewczyna dostrzegła słaby poblask latarni z posterunku straży przy moście. Odwróciła głowę, wpatrując się w spowite mrokiem pola po prawej. Zamrugała mocno, jakby uruchamiała nocne widzenie.

Niedźwiedziu, potrzebuję twoich oczu. Potrzebny mi twój nos. Użyj mi swojej nocnej sprawności i leśnego obycia.

– Zaprowadzę cię do obozu kwarantanny – mówił tymczasem przywódca patrolu. – Przyda ci się latarnia, żeby oświetlić ścieżkę.

– Dziękuję – odparła cicho Zgódka – ale mi się nie przyda.

Zanim jej eskorta zdążyła zareagować, rzuciła się biegiem, wypadając z małego kręgu światła i pogrążając się w ciemności. Jej stopy uderzały o miękkie, zdradliwe grudy pola. Strażnicy przez chwilę wołali za nią, ale nie podjęli pościgu. Jak mogli w zagubionym mieście gonić każdą zagubioną duszę, która gubiła się jeszcze bardziej?

CZEŚĆ PIĄTA

ZIEMIA NICZYJA

ROZDZIAŁ 26

Po przebywaniu w blasku latarni ciemność była szokiem. Zgódka nie słyszała nic poza własnym ciężkim oddechem. Noga wykręciła jej się na kępie trawy i dziewczyna omal nie upadła, przygryzając sobie język, kiedy wstrząs szarpnął jej kręgosłupem. Kolejny fałszywy krok mógł się skończyć skreconą kostką, lecz ociąganie się groziło znacznie gorszymi konsekwencjami. Gnała więc przed siebie, ogłuszona własnym sapaniem, pokładając całą wiarę w Niedźwiedziu.

Niedźwiedź zaś, dotąd oszołomiony przez tłumy, ulice, leki i ludzki smród, nagle uświadomił sobie, że biegną. To pojmował. Chciał opaść na cztery łapy, ale wyczuł, że dziewczyna nie poradzi sobie w takiej pozycji.

Ciemność widziana oczami zwierzęcia nie była całkowita. Dało się wyróżnić pewne elementy, szare niczym burzowe chmury na czarnym tle. Koleiny i bruzdy. Spiętrzona ziemia niedokończonych wykopów. W oddali zarys drzew wzdłuż ścieżki.

Zgódka biegła zygzakiem pomiędzy kopcami, aż dotarła do dróżki wzdłuż linii drzew. Zwolniła kroku dopiero wtedy, gdy zabrakło jej tchu.

Chyba zgubiliśmy pościg – wymamrotał lekarz.

Zamknij się, doktorze Szybki – odparowała w myślach Zgódka. Ostrożność była w tej chwili kluczowa, więc dziewczyna nie odważyła się odezwać na głos. Na szczęście do mężczyzny najwyraźniej dotarły jej słowa.

Masz prawo się gniewać – rzekł. Przyznaję, że popełniłem błąd w ocenie sytuacji.

Kazałam się panu zamknąć. Muszę się skupić. Zgódka przełknęła zniecierpliwienie, starając się skoncentrować na niedźwiedzim zmyśle węchu. *Może mi pan wierzyć, że nie jesteśmy tu sami.*

Podjeżdżała, że strażnicy nie podjęli poważnych prób pościgu. Poza granicami miasta siejąca zarazę dziewczyna przestała być ich problemem, a szanse na odnalezienie jej w mroku były marne. Jednak Kuby nie uda jej się tak łatwo zniechęcić. Była pewna, że śledził ją, gdy straż eskortowała ją ulicami. Przekupstwo, zastraszenie lub znajomości otworzą mu bramy.

Wkrótce na nią zapoluje.

– Jeśli chcesz się na coś przydać, doktorze – szepnęła ponuro Zgódka – miej oko na „moją panią”. – On i Kuba zwrócili się tak do nieznanej zjawy, która na chwilę przejęła władzę nad mową dziewczyny. Kimkolwiek była, była wrogiem i mogła uderzyć w każdej chwili.

Zgódka ostrożnie wyjęła z kieszeni niewielki przedmiot z kości słoniowej.

Toż to zegar dyptykowy! – W głosie lekarza brzmiały naraz oburzenie i fascynacja. *Skąd to masz?*

Dziewczyna nie zamierzała odpowiadać. Fellmotte'owie lekceważyli cenną kolekcję sprzętów nawigacyjnych sir Tomasza, więc przywłaszczenie drobiazgu nie wydawało jej się przestępstwem.

Już dawno rozpracowała znaczenie wyrytych linii i liczb. Był tam miniaturowy zegar słoneczny, zaprojektowany do noszenia w kieszeni, a wewnątrz pokrywy znajdował się zegar księżycowy. W tej chwili jednak dziewczyna skupiła się na maleńkim kompasie.

– Północny wschód do Brill – powiedziała do siebie bezgłośnie, po czym obróciła pudełeczkiem, aż strzałka wskazała na „N”. Ruszyła w kierunku „NE”.

Zmienił się wiatr, wiał jej teraz w plecy, i Niedźwiedź zawarczał nisko. Powiew niósł z sobą woń. Powietrze pachniało niemalże człowiekiem. Niemalże Kubą.

W dali, na grafitowoszarym polu, Zgódka dostrzegła czarny jak smoła szew wąskiej, meandrującej rzeki, ukrytej wśród drzew. Dziewczyna skierowała się ku ich dającym schronienie cieniowi i podążyła wzdłuż rzeki, aż dotarła do miejsca, gdzie brzeg był poorany koleinami. Znalazła bród, ale nawet korzystając ze sprawnego wzroku Niedźwiedzia, nie potrafiła ocenić, jak głęboka jest woda.

Aż podskoczyła, kiedy samotna pardwa wypadła z ukrycia i pognąła przez rzekę, zostawiając na powierzchni wody linię białej piany. Gdzieś za plecami dziewczyny, dość daleko, rozległ się ostry trzask gałązki, jakby ktoś ruszył z miejsca.

Nie było czasu na rozmyślanie. Zgódka uniosła spódnicę, zdjęła buty i pończochy i zeszła z brzegu. Zimne błoto niebezpiecznie ustępowało pod nogami. Przy pierwszym kroku do lodowatej rzeki woda sięgnęła jej kolan. Brnąc na drugi brzeg, uciekinierka omal nie straciła równowagi w mocnym nurcie, ale udało jej się wspiąć na miękką, śliską skarpę po przeciwnej stronie.

Włożyła z powrotem pończochy i buty, po czym ostrożnie prześlizgnęła

się przez zarośla i ruszyła przed siebie. Bez wątpienia zostawiła bosa ślady w błocie. Jeśli jej prześladowcą był Kuba, miał na koncie wiele wieków doświadczenia w przewidywaniu poczynań wroga i łowieniu wszelakiej zwierzyny. W odróżnieniu od Zgódki nie widział jednak w mroku.

Ciemność była sprzymierzeńcem dziewczyny, więc ta maszerowała naprzód. Zachowywała czujność, starając się wyczuć „swoją panią”, lecz wyglądało na to, że zjawa skutecznie się gdzieś zasyła. Wyczuwała natomiast doktora, który uparcie nie chciał spocząć w jej umyśle.

Panno Stopka – odezwał się wreszcie. Musimy porozmawiać.

– Doprawdy? – Zgódka kipiała ze złości. – Co mógłbyś powiedzieć, abym dała temu wiarę?

Niegdyś ufała spokojnemu głosowi lekarza. Posłusznie popijała jego miksturę, a tymczasem on wydał ją Fellmotte'om.

Zwiedziono mnie. Zdradzono.

– Pana zdradzono? – krzyknęła dziewczyna. – Przyjęłam pana! Wyrwałam ze szponów śmierci!

Uczyliś to z własnych pobudek, nie z litości! – burknął doktor, po czym zamilkł na dłuższą chwilę, jakby żałował swego wybuchu. *Oboje działaliśmy bez zastanowienia. Czyż nie?*

Miał słuszność, a jednak Zgódka wciąż miała wątpiwości. Podobnie jak lekarstwo, prawda mogła stać się trucizną w rękach kogoś wystarczająco przebiegłego.

– Gardzi mną pan – warknęła cicho – tak jak gardzi pan Niedźwiedziem. Byłam tylko pomocą kuchenną, a on – bestią podrygującą na łańcuchu. Obchodzi pana, co myślimy? Jesteśmy niczym. Czy kiedykolwiek przejąłby się pan naszymi krzywdami? A teraz, cóż, musi panu zależeć. Osądźmy pana, ja i Niedźwiedź, w całej naszej marności. Proszę sprawić, żebyśmy panu zaufali, doktorze. Niech nas pan przekona.

Niedźwiedzia trudno nazwać... – zaczął mężczyzna.

– Nie chcę słyszeć o nim złego słowa – ostrzegła Zgódka ze złowieszcym warkotem w myślach. – Ufam mu jak nikomu innemu.

Zwierz jest lojalny – przyznał cicho doktor. To nie ulega wątpiwości. Myślę, że w twojej obronie stanąłby przeciwko całemu światu. Osobiście nie pałam do ciebie równie zagorzałym uczuciem, nie będę udawał, że jest inaczej. Zawarłem przymierze przeciwko tobie, uznając, że to moja jedyna szansa. Myliłem się. Ty zaufałaś mi zaś jedynie dlatego, że potrzebowałaś kolejnego sprzymierzeńca. Nadal mnie potrzebujesz. Ja nie mam już powodu, by być nielojalnym w stosunku do ciebie. Nie musimy się lubić,

abyśmy byli dla siebie użyteczni. Wybór należy do ciebie. Każ swojemu Niedźwiedziowi rozszarpać mnie na strzępy albo porozmawiajmy i postarajmy się zawiązać korzystny układ.

Wszystko, co lekarz powiedział swoim czystym, wyraźnym głosem, tarzało Zgódce nerwy. Człowiek zawsze, prędzej czy później, cię zdradzi. Przez krótką chwilę zastanawiała się, jak by to było, gdyby wielkie armie starły się, niszcząc wszystkich ludzi w kraju, zostawiając jedynie puste pola i lasy, gdzie mogłaby sobie wędrować z Niedźwiedziem.

Na samą myśl poczuła w duszy głęboki spokój, jednak już po chwili zimny smutek przeniknął ją niczym chłód rosy.

– Niech pan mówi – mruknęła opornie.

W twojej głowie siedzi wróg, jak zdążyłaś się już zorientować. Subtelny nieprzyjaciel, pani tysiąca sztuczek. Gdy po raz pierwszy ją ujrzałem, sądziłem, że jest szalona, ale nic z tych rzeczy. Jest ledwie okaleczona – ranna. I bardzo niebezpieczna.

Gdzieś w głowie dziewczyny rozległo się syknięcie gniewu i ostrzeżenia. *Milcz, doktorze, ani słowa więcej...*

Lekarz zawahał się, ale ciągnął dalej, choć głosem lekko drżącym ze strachu.

To Morgan – zdradził. Lady Morgan Fellmotte.

Więc to nie była matka. Przez kilka sekund myśl ta kompletnie wypełniła umysł Zgódki. W zasadzie już wcześniej знаła prawdę, ale słowa doktora ostatecznie pozbawiły ją złudzeń. Dziewczynę zalała fala ulgi, lecz jednocześnie zrodziło się w niej straszne poczucie pustki i straty.

Za życia była wysokiej klasy szpiegiem i agentką – opowiadał tymczasem Szybki. Przez ostatnie trzydzieści lat należała do koterii duchów zamieszkujących kolejnych lordów Fellmotte'ów. Jakiś tydzień temu, kiedy cała gromada miała nadzieję na przeniesienie się do twego ciała, wysłano ją naprzód jako...

– Infiltratorkę – szepnęła Zgódka.

Trzecia zjawia była Infiltratorką. Dziewczyna wreszcie wszystko pojęła. Duch, który wślizgnął się do jej mózgu w kaplicy, został zraniony przez Niedźwiedzia, ale nie uległ ostatecznemu zniszczeniu. Oczywiście. Naturalnie. Zgódka była tak zafiksowana na wizji zięjącego zemstą widma matki, że nie dostrzegała prawdy.

To jeden z jej wyznaczonych celów. Przejęcie świeżego umysłu wiąże się z niemałym ryzykiem, więc często Infiltrator rusza pierwszy, żeby zbadać nowe mieszkanie, wyeliminować zagrożenia i zrobić miejsce dla całej koterii. Jednak dama nie spodziewała się zastać w twojej głowie strażnika

w postaci potężnego, wściekłego Niedźwiedzia. Poważnie ją uszkodził, więc skryła się w zakamarkach twojego umysłu.

Och, Niedźwiedziu – pomyślała Zgódka, uderzona świadomością i skruchą. Wiedziałaś. Wciąż warczałaś, a ja nie rozumiałam dlaczego. Wyczuwałaś jej zapach.

W myślach wysunęła rękę i pogładziła zwierza po kufie. To nie na nią się złościł, tylko na intruza, którego ona sama nie widziała.

Od tamtej pory – tłumaczył Szybki – Lady Morgan próbowała sabotować twoją ucieczkę i przekazać wiadomość Fellmotte'om, jednak tak, by nie zdradzić swojej obecności. Ważyła się działać tylko wtedy, gdy całkowicie wyłączałaś czujność – we śnie.

Moje lunatykowanie! – Zgódce zaschło w gardle. To wszystko Morgan, nie Niedźwiedź! Przysnęłam w powozie, uchodząc z Grizehayes. To ona stuknęła w dach, żeby stangret się zatrzymał i odkrył, kim jest jego pasażerka.

Bez wątpienia – przyznał Szybki. Na każdym postoju zostawiała też potajemnie znaki i wiadomości, aby ułatwić Fellmotte'om odnalezienie cię. W powozie podrzuciła list, donoszący, że kierujesz się do Oksfordu.

To dlatego Zgódka ocknęła się pośrodku nocy przed stajnią. Chwilę zajęło jej zrozumienie, dlaczego Morgan zbudziła ją, szczypiąc ją w ramię. Musiała podsłuchać, jak gospodarze przekazują informacje żołnierzom parlamentu, i wyrwała dziewczynę ze snu, żeby ta zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Fellmotte'owie nie chcieliby przecież, żeby Zgódka wpadła w ręce wroga.

Dziewczyna wreszcie pojęła też sens snu, w którym tajemnicza kobieta wydrapuje „M” przy drzwiach. Może jakiś fragment pogrążonego we śnie mózgu Zgódki uświadomił sobie jednak, że jej ciało wstaje, podchodzi do drzwi i zostawia znak dla prześladowców. „M” jak Morgan, nie Małgorzata.

W noc po mojej śmierci – ciągnął doktor Szybki – kiedy obiecałem, że będę czuwał nad twoim snem, uczyniłem to w dobrej wierze. Jednak kiedy zasnąłaś, zjawiała się przede mną lady Morgan z pewną propozycją. Przekonywała mnie, że jesteś autentyczną wariatką, która z całą pewnością zniszczy mnie w napadzie szału, i... w tamtej chwili jej słowa padały na podatny grunt. Obiecała, że jeśli pomogę Fellmotte'om cię schwytać, rodzina w nagrodę pozwoli mojemu duchowi żyć u boku ich własnych duchów. Musieliśmy zatrzymać cię w mieście do przyjazdu rodziny, więc odurzyłem cię opium. Gdy się ocknęłaś, przekonałem cię, że otępienie jest objawem choroby i że powinnaś regularnie zażywać „lekarstwo”. Nie jestem z siebie dumny. To był żaloszny wybieg, niegodny mojej osoby. Mogę tylko zapewnić, że szczerze wierzyłem, iż walczę o własne przetrwanie.

Jak Zgódka mogła przegapić wszystkie wskazówki? Nawet jej niespodziewana łatwość w czytaniu powinna była jej podpowiedzieć, że korzysta z cudzej umiejętności.

Zamiast tego podejrzewała Niedźwiedzia. Biednego, wiernego, oszołomionego, gniewnego Niedźwiedzia.

Wszyscy ją zdradzili, więc dlaczego miała się po kimkolwiek spodziewać czegoś innego? Tymczasem okazało się, że brak wiary mógł ogłupić i stanowić zagrożenie nie mniejsze niż bezmyślne zaufanie.

Podjęłaś decyzję? – spytał cicho lekarz.

Zgódka maszerowała dalej, noga za nogą, przez chwilę nie odpowiadając. Rozsypane nad jej głową gwiazdy drżały w mglistej nocy, każda z nich czysta, okrutna i samotna.

Był pan kompletnym głupcem, doktorze – odparła w milczeniu. *Naiwniakiem wystrychniętym na dudka. Ale ja nie byłam mądrzejsza. Od teraz musimy być sprytniejsi albo oboje przepadniemy.*

Dobiegło ją niemal niedosłyszalne westchnienie ulgi.

Nadal wybierasz się do Brill, a potem na terytorium wroga? – spytał po chwili doktor.

Tak – odparła. *Kuba depta nam po piętach. Musimy udać się tam, gdzie nie przyjdzie mu do głowy nas szukać. Musimy znaleźć sprzymierzeńców, których nie będzie w stanie przekupić ani zastraszyć.*

Boże drogi, czy rozważasz przejście na stronę wroga?

Zgódka zawahała się. Miała opory, by dzielić się planami z lekarzem po tym, jak dopuścił się wobec niej zdrady, a już zdecydowanie nie miała ochoty narażać się na podsłuchanie przez tajemniczą Morgan. Niemniej jednak nie mogło być mowy o prawdziwym przymierzu, jeśli Szybki nie poznałby jej zamiarów.

Mój kuzyn Symond przyłączył się do sił parlamentu – wyjaśniła. *Jest zdradliwym, jadowitym wężem, więc Fellmotte'om nie przyjdzie do głowy, że moglibyśmy się do niego zbliżyć. Gdyby jednak udało się przeciągnąć go na naszą stronę, dałoby to nam nadzieję na przetrwanie.*

Zgódka nie wyjawiała reszty swojego planu.

Królewski traktat, który Symond wykradł rodzinie, był jego asem w rękawie. Jeśli naprawdę zawierał straszliwą prawdę o Starszych, to upublicznienie go oznaczałoby klęskę rodu. Fellmotte'ów oskarżono by o czary, a króla – o protekcję wobec nich. Kto wie, może pismo zmieniłoby nawet bieg wojny?

Było w rękach Symonda. Fellmotte'owie chcieli je odzyskać. Król wysłał Helenę, by je zdobyła. Parlamentarzyści daliby wszystko, by je przejąć,

gdyby tylko wiedzieli o jego istnieniu. Ktokolwiek był w posiadaniu traktatu, miał władzę.

Zgódka czuła, że nie byłoby źle, gdyby to ona go znalazła.

ROZDZIAŁ 27

Mokra ziemia była śliska. Zerkając raz po raz na tarczę kompasu, Zgódka starała się zachować kierunek, nawet jeśli oznaczało to przedzieranie się przez gąszcz, potoki i żywopłoty.

Wysoko w górze wisiał kremowy księżyc, a nieostry cień na jej zegarze księżycowym informował, że było około drugiej, trzeciej nad ranem. Pytające wołanie kilku ptaków drasnęło już nocne powietrze. Noc była sprzymierzeńcem, ale za parę godzin miał zapanować świt.

Dziewczyna miała wrażenie, że pozbyła się już z organizmu większości leku, mimo to ledwo trzymała się na nogach ze zmęczenia. Uświadomiła sobie, że od ucieczki z Grizehayes nie zaznała nieprzerwanego snu, jeśli nie liczyć zamroczenia po środku odurzającym. W końcu wpadła w stan bliski transowi, rytm jej ciężkich kroków stał się automatyczny, a wybił ją z niego dopiero nerwowy szept doktora.

Panno Stopka! Twoja lewa ręka!

Zgódka aż podskoczyła i poczuła, że z palców jej lewej ręki wypada coś miękkiego. Zatrzymała się i natychmiast spostrzegła na ziemi swoją zwinętą chusteczkę, wyraźnie bielejącą na ciemnej ziemi. Schyliła się, by ją podnieść.

– Lady Morgan nadal próbuje wskazywać naszym przyjaciołom trop – zauważyła Zgódka. – Upuściła coś jeszcze?

Nie sądzę – odparł lekarz. Miałem na nią oko.

Musisz zdawać sobie sprawę, że to beznadziejne – odezwał się inny głos, twardy i niezachwiany niczym ostrze noża. Ten sam głos wydarł się z gardła Zgódki w Oksfordzie i dziewczyna wiedziała, że musi to być Morgan. Nie możesz wiecznie ze mną walczyć.

– Owszem, mogę – odpowiedziała z naciskiem Zgódka. – Walczyłam z tobą, jeszcze zanim wiedziałam, że tam jesteś. Teraz wiem, a w dodatku mam sprzymierzeńców.

Musisz kiedyś spać. Czasem się rozproszysz. Nawet twoi współnicy nie są w stanie bez przerwy mnie pilnować. Wystarczy mi chwila nieuwagi, żeby

przejąć władzę nad twoimi rękami, zrobić ci krzywdę albo szepnąć kilka słów, które natychmiast zapomnisz. Mogłabym nawet sprawić, że się potkniesz i roztrzaskasz sobie głowę – gdybym tylko chciała.

– Może i tak, ale nie sądzę, żebyś się na to zdobyła. Lord Fellmotte chyba nie chciałby, abyś stłukła jego naczynie, prawda? Poza tym moja śmierć oznaczałaby również twoją.

Gdyby nie ja, byłabyś już w rękach rebeliantów – odparowała Morgan. Jej głos był zimny, lecz nie stary, i Zgódka była ciekawa, czy szlachcianka zmarła przedwcześnie. Nie masz pojęcia, jak już ci pomogłam. Jak myślisz, co by się z tobą stało, gdybym przestała cię wspierać?

– Kto wie? – Zgódka wyzywająco wzruszyła ramionami. – Może złapią mnie okrągłogłowi i torturami wydobędą ze mnie tajemnicę rodu Fellmotte’ów. Co ty na to, moja pani?

Mogłabym zacząć przycinać twój umysł niczym gałęzie drzewa – zasugerowała Morgan. Co byś powiedziała?

– Niedźwiedź nigdy na to nie pozwoli. – Zgódka zwalczyła przerażenie.

To obrzydliwe zwierzę to zaraza, nie przyjaciel.

– Jest wart stu takich jak ty! – warknęła dziewczyna. – Kiedy postanowiliście, że tylko wam należą się drugie szanse? Już mieliście życie pełne władzy i bogactwa! Mieliście możliwości, o jakich większość ludzi może najwyżej pomarzyć!

Nie masz pojęcia, jak ciężko harowałam na swoją nieśmiertelność! – W ostrym jak brzytwa głosie Morgan rozbrzmiewał szczyry gniew. Poświęcałam każdą sekundę życia na niewolniczą pracę dla rodziny, żeby wiedzieli, iż jestem zbyt cenna, bym przepadła. Nie miałam własnego życia. Zarobiłam sobie na swoje istnienie po śmierci. Na taki układ przystałam.

– Cóż, ze mną żadnych paktów nie zawierałaś, więc do niczego nie jestem zobowiązana – odparła szorstko Zgódka. – Sama wybieram, kto mieszka w mojej głowie, a jeśli jesteś moim wrogiem, nie ma tu dla ciebie miejsca!

Zgódka zamknęła oczy, usiłując wyczuć przeciwniczkę w mroku własnego umysłu. Gdzie się ukryła? Jest! Dostrzegła błysk, drgnięcie – ujrzała niewyraźne oblicze kobiety o ostrych rysach i oczach lśniących w cienistych zagłębieniach.

Spróbowała schwytać zjawę umysłem. Coś odpelzło, schowało się, prześlizgując się niczym ogon szczura po jej skórze. Dziewczyna sięgnęła po ulotne łaskotanie inności...

Nagle jej umysł doznał wstrząsu, jakby coś z całej siły uderzyło ją w twarz.

Zalała ją fala bolesnego przerażenia i oślepił palący blask wspomnień. Napłynęła ciemność, a w niej wrzaski, bruk pod nogami, krew spływająca niczym atrament po obu stronach otwartego oka.

Atak minął, a Zgódka zorientowała się, że klęczy, dysząc ciężko.

Co się stało? – spytał doktor.

– Chciałam złapać Morgan. – Dziewczyna wstała, choć wciąż kręciło jej się w głowie od mentalnego uderzenia. Schowała chusteczkę. – Jak udaje jej się przede mną ukryć? Dokąd chodzi?

Nie jestem pewien – przyznał doktor Szybki – *ale wygląda na to, że pewna część twojego umysłu pozostaje zamknięta. Sądzę, że tam znajduje się jej kryjówka.*

* * *

Po kilku godzinach marszu Zgódka zauważyła, że ziemia nieco się wznosi, gęstwina rzędzie, tylko niekiedy pojawiają się zagajniki.

Chyba poznaję to miejsce – odezwał się doktor. *Jeśli się nie mylę, na szczycie tego wzgórza leży miasteczko Brill.*

– Musimy być ostrożni. Trzeba obejść miasto i znaleźć gospodarstwo po północnej stronie – mruknęła Zgódka.

Zmień kierunek marszu – zasugerował lekarz. *Ciut bardziej na północ, a powinniśmy dotrzeć do północnych obrzeży miasta.*

Niebo na wschodzie zaczynało blednąć, kiedy Zgódka wychwyciła zapach dymu, korzystając z czułego węchu Niedźwiedzia. Skierowała kroki w stronę woni i już po chwili ukazało się przed nią gospodarstwo. Składało się z paru niskich budynków o szarych ścianach i dachach krytych strzechą, stojących przy malutkim wybiegu, po którym przechadzało się kilka chudych, wyleniałych kur, wydziobujących jedzenie spośród gnijących liści. Na leżących do góry dnem taczkach usadowił się dumnie kogut.

Pora była zbyt wczesna na składanie wizyt, ale Zgódka nie mogła czekać do świtu. Zapukała do drzwi i zdziwiła się, kiedy natychmiast z impetem je otwarto. W kilkucalowej szczelinie pojawił się starzec. Dziewczyna widziała, że blokuje on drzwi stopą, jakby podejrzewał, że mogłaby próbować wtargnąć do środka.

– Czego chcesz? – Patrzył na nią bystrymi, lecz nieprzyjaznymi oczami. Ręce miał nadal silne od lat ciężkiej pracy.

– Szukam farmy Axeworthów...

– Nie znajdziesz ich tu – warknął mężczyzna. – Mieszkali tu, owszem, ale wynieśli się kilka dni temu. Za dużo tu kłopotów.

– Czy wie pan, gdzie mogłabym ich znaleźć?

– Spróbuj w Banbury – rzucił i zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Pukała jeszcze, dobijała się, ale bez skutku.

Hmm... – mruknął niepewnie doktor. *Lady Morgan... twierdzi, że ten człowiek kłamie.*

Zgódka pamiętała aż za dobrze dziwną zdolność Starszych do oceny, czy ktoś mówi prawdę. Morgan nie była, rzecz jasna, zbyt wiarygodnym źródłem. Mogła próbować zastawić jakąś pułapkę. Z drugiej strony, istniała możliwość, że dama ma powody, by wspierać dziewczynę w wytropieniu Symonda. Przebiegła Starsza mogła liczyć, że uda jej się wyjawić miejsce jego pobytu pozostałym Fellmotte'om.

Zgódka odeszła kilka kroków od budynku, przyglądając się domowi i ogrodowi.

– Chyba ma rację – przyznała po chwili. – Jeśli Axeworthowie odeszli, zostawili tu swój drób, narzędzia i dwie wiązki drewna na opał. Są tu taczki, które przydałyby im się do przewozu cięższych rzeczy. Dlaczego nie wzięli ich ze sobą?

Powiało chłodem i Zgódce wydało się, że szare niebo stało się jeszcze bardziej ołowiane, a wilgoć w powietrzu – bardziej przenikliwa. Wiatr niósł ze sobą jakiś dźwięk. Przypominał odgłos dmuchania w szyjkę szklanej butelki, dziewczyna miała jednak nieprzyjemne poczucie, że to ona jest szyjką. Wzdrygnęła się mimo woli i zatkała uszy dłońmi.

Co się dzieje? – spytał lekarz.

– Coś tu jest... – Dziewczyna jednocześnie starała się słuchać i nie słuchać. Niewyraźny świst nabierał kształtu. Nasłuchiwała, a on drżał, wył i przeobraził się w powtarzające się słowo.

Piekło... Piekło... Piekło...

– Tu jest duch! – Zgódka krzyknęła w panice. – Uciekamy!

Jednak gdy odwróciła się i zrobiła krok ku ścieżce, coś niewidzialnego rzuciło się na nią. Czuła, jak uderza w jej umysł niczym mokre, oszalałe skrzydła. Zaskoczona, podniosła ręce w bezskutecznym odruchu obronnym i cofnęła się dalej w głąb ogrodu.

Kury rozpierzchły się. Stopa dziewczyny uderzyła o taczki, a wtedy Zgódka spojrzała w dół i zamarła.

Ktokolwiek próbował ukryć ciało, nie zrobił tego zbyt porządnie. Zostało ułożone w pozycji embrionalnej i w większości zakryte odwróconą do góry dnem tacją. To, co wystawało, przysłonięto mierzwą i mchem. Spod gałązek i mokrych liści wyzierała jednak dłoń, blada jak grzyb. Była to ręka człowieka dorosłego, lecz niespecjalnie starego, wyraźnie przywykła do

ciężkiej pracy, bo pokryta odciskami.

Głos zjawy rozlegał się tu głośniejsze i tym razem Zgódką dobrze słyszała powtarzane słowo.

Pomocy... Pomocy... Pomocy...

– Biedny nieszczęśniku – wymamrotała ze smutkiem. – Nikt ci już nie pomoże.

– Hej! – Zbliżał się starzec, uzbrojony w grabie. – Co tu jeszcze robisz? Jak chcesz coś ukraść, toś się spóźniła – odarli nas już do kości.

– Nie! – Zgódką wbiła wzrok w zęby grabi, zastanawiając się, czy trup spod taczek ma w piersi dziury odpowiadające szczerzącym się przed nią szpikulcom. – Już sobie idę!

Starzec zerknął na taczkę u stóp dziewczyny, a potem na jej twarz. Zmarszczył oblicze.

– Nigdzie nie pójdziesz – krzyknął. – Anno! Wyjdz!

Na podwórko wybiegła około trzydziestoletnia kobieta, jednym spojrzeniem oceniła sytuację i chwyciła ręczną kosę, wiszącą na haczyku na ścianie domu. Podobnie jak mężczyzna, miała tragiczną minę, na jej twarzy malował się wyraz desperacji, strachu, złości i rozpacz.

Na rękawie i z przodu jej sukienki widniały jaskrawoczerwone plamy.

To świeża krew – odezwał się nagle lekarz.

Domyśliłam się – odparła Zgódką w myślach, cofając się jeszcze.

Zagoniono ją w róg. Gdyby się odwróciła, chcąc uciekać przez ogród, musiałaby przedrzeć się przez okalający go z tyłu żywopłot. Gdyby rzuciła się z kolei ku ścieżce, musiałaby zmierzyć się z bronią starca i kobiety. Wiedziała, że jej wyczerpanie nie pozwoli na żadne z tych rozwiązań.

Posłuchaj – polecił doktor. *Zwłoki pod taczkami są niemal sine. Krew natomiast jest świeża. Nie pochodzi z tego trupa.*

Zgódką uspokoiła się i jeszcze raz spojrzała na kobietę.

– Jesteś ranna – powiedziała. – Albo w domu znajduje się ktoś, kto pilnie potrzebuje lekarza. – Gospodarze wymienili spojrzenia.

Pomocy... Pomocy... Pomocy...

– Pozwólcie mi tam zajrzeć – poprosiła pod wpływem impulsu Zgódką. – Pomogę. Mój ostatni pan był chirurgiem i nauczył mnie kilku rzeczy. Mam narzędzia! Pokażę wam!

Zapanowało długie milczenie, aż wreszcie kobieta imieniem Anna wykonała zapraszający gest kosą.

– No to wejdz.

Doktorze Szybki – pomyślała Zgódką. *Mam szczerą nadzieję, że zasługuje pan na swoją świetną reputację.*

Więc... oferujemy pomoc tym mordercom? – spytał medyk, gdy zblizali się do drzwi. *Nie zamierzamy uciec, stanąwszy u progu?*

Nie.

Wiedziała, że jest zbyt zmęczona, by biec, i podejrzewała, że Niedźwiedź i doktor też są wyczerpani ciężką nocą. Poza tym była przeświadczona, że gdyby spróbowała ucieczki, stanęłaby twarzą w twarz ze zjawą. Domyślała się, czego pragnął duch.

Chata była skromnie urządzona i mroczna. Zgódkę natychmiast uderzyła woń krwi i na chwilę przypomniała jej rozcinanie świeżych zajęcy i kuropatw w kuchni w Grizehayes. Zapach mieszał się jednak z innym, mniej wyraźnym – chorym smrodem zgnilizny.

Źródło zapachu było oczywiste. Owinięty w koce mężczyzna w wieku Anny kulił się przy wygasającym ogniu. Był blady, jego skóra błyszczała od potu, a lewe ramię było nieumiejtnie zabandażowane naddartą szmatą, na której widniały plamy, od szkarłatnych po czarne.

Cóż, na początek konieczna jest zmiana opatrunku – orzekł lekarz. *Rana jest porządnie zapaskudzona, czuję to nosem. Każ komuś wygotować świeże szmaty. Na Boga, gdybym mógł, wygotowałbym cały ten dom!*

– Kiedy się zraniłeś? – spytała Zgódką.

– Dwa dni temu. – Wzrok pacjenta był czujny, lecz w oczach znać było gorączkę.

Dwa dni, a założę się, że nikt nie dbał o czystość rany – mruknął doktor. *Nic dziwnego, że wdalo się zakażenie. Musimy to obejrzeć.*

Zgódką sięgnęła po bandaż, ale pacjent szarpnął się do tyłu, przyglądając się jej z dziką podejrzliwością.

– Chyba wiem, co tu się stało – powiedziała dziewczyna powoli i wyraźnie. – Żołnierze rojalistów i stronnicy parlamentu trafili na siebie i zaczęli się wyrzynać, wykorzystując waszą chatę jako schron. Został tu po nich trup, a ty zostałeś ranny, bo ktoś w mroku się pomylił.

Troje gospodarzy wymieniło spojrzenia.

– Tak właśnie było – potwierdził z pewnością w głosie pacjent i atmosfera w izbie nieco się rozluźniła. Dziewczyna zdjęła opatrunek, z całych sił walcząc z wymiotami, gdy w pomieszczeniu rozniósł się smród zgnilizny. Rana była długim rozcięciem o opuchniętych, zaczerwienionych krawędziach.

– Jego ciało gnije – odezwała się stojąca nieopodal Anna.

Ach, tak – rzekł lekarz – *to cięcie szabli. Młodzieniec pod taczkami był najpewniej żołnierzem i zostawił po sobie pamiątkę, zanim wyzionął ducha. Jeszcze nie ma robactwa, lecz wdaje się gangrena. Trzeba to będzie wyciąć*

i wyszorować ranę...

Zgódka wysłuchała jego instrukcji, po czym zwróciła się do rodziny pacjenta.

– Wygotujcie paski świeżej tkaniny, jeśli taką macie – poleciła. – I przynieście trochę soli i octu.

Rzecz jasna – zaznaczył doktor z namysłem – *gdyby dane mi było skosztować moczu pacjenta, miałbym o wiele więcej informacji.*

O, nie, nie moim językiem! – zaprotestowała stanowczo w myślach Zgódka. Były pewne granice.

Ostrożnie wyjęła z torby skrzyneczkę z narzędziami doktora Szybkiego, starając się nie pokazać, jak bardzo trzęsą jej się ręce. Przygryzając wargę, próbowała przekazać medykowi władzę nad swoimi dłońmi.

Już raz były mu posłuszne, kiedy to karmił ją podczas jej otępienia, ale tym razem dziewczyna była w pełni świadoma, co wyraźnie utrudniało sprawę. Widok jej własnych palców gmerających niezdarnie przy zamknięciu skrzynki zupełnie bez jej woli przeszył ją strachem. Doktor wydawał się równie roztrzęsiony.

Masz za małe dłonie – mruczał. *Do tego zbyt niezgrabne. Jak mam wykonać precyzyjne cięcie tymi... nieudolnymi mięsnymi rękawicami!*

Zgódka drżącymi rękami ujęła niewielkie narzędzie z ostrzem, upuściła je i znów podniosła. Jej palce drżały jak nigdy dotąd. Dotyk metalu był zimny i dziwny.

Obserwowała, jak jej własna ręka ostrożnie wyciąga narzędzie ku ranie. Czubkiem ostrza należało delikatnie rozchylić krawędzie rozcięcia. Dziewczyna czuła mdłości od samego patrzenia i bliskości okaleczenia. Instrument był zbyt ostry, kąt niewłaściwy, ciało zbyt wrażliwe. Mimo woli wzdrygnęła się i wyrwała rękę spod kontroli lekarza. Narzędzie drgnęło i skaleczyło krawędź rany, na co pacjent syknął z bólu.

Na Boga, chcesz, żebym to zrobił, czy nie? Jeśli będziesz ze mną walczyć o władzę nad dłońmi, możemy zabić tego człowieka! Musisz mi zaufać!

– Przepraszam – wyrwało się Zgódce szeptem. Pomimo panującego w izbie chłodu czuła spływającą po plecach strużkę potu.

Wzięła trzy spokojne, głębokie oddechy i pozwoliła doktorowi przejąć władzę nad jej rękami.

Patrząc, dziewczyna próbowała udawać, że dłonie należą do kogoś innego. Trochę pomogło. Ktoś demonstrował jej operację, a jej zadaniem było obserwować każdą chwilę, mimo że skręcało ją w środku. Musiała zacisnąć zęby, gdy odcinano bladą tkaninę i wydobywano pęsetą z rany skrawki tkaniny, zapewne fragmenty rękawa pacjenta.

– Znów krwawi – zauważyła nerwowo Anna.

– Tak powinno być. – Zgódka powtarzała za głosem w głowie. – Krew pomoże oczyścić ranę. – Spięła się, przygotowując szmatkę z solą i octem. – Bardzo mi przykro, ale to pewnie mocno zaboli.

Następne dwie minuty były pełne wrzasku, a gdy znów zapanował spokój, Zgódka zastanawiała się, czy chirurgom zdarzało się wymiotować podczas zabiegów. Gdy wreszcie rana została na powrót zabandażowana świeżym paskiem lnu, dziewczyna czuła się wstrząśnięta i wyczerpana. Starzec przyniósł jej miskę grysiku, ale dopiero po kilku minutach jej żołądek był w stanie przyjąć jakiegokolwiek pożywienie.

Później Anna zaoferowała jej posłanie i Zgódka przyjęła zaproszenie. Domyśliła się, że i tak nie pozwolono by jej się oddalić, zanim gospodarze nie przekonają się, że jej starania okazały się dla pacjenta korzystne. Postanowiła więc, że skoro ma być przetrzymywana, to przynajmniej się wyśpi.

Wiesz, że pomimo naszych starań pacjent może umrzeć? – powiedział cicho doktor. Sądzę, że powinienem cię o tym ostrzec. Jestem świetny w swoim fachu, ale leczyć jest trudno, a machnąć szablą łatwo. Ludzie to kruche istoty i jest nas stanowczo łatwiej zepsuć niż naprawić. Większość moich pacjentów od początku wojny zmarła. Wojskowi wiedzą, że często nie ma szans na ratunek. Wątpię jednak, czy ci ludzie będą równie wyrozumiali. Panno Stopka, potrzebny ci plan ucieczki, gdyby tak Pan Wszechmogący zechciał wezwać młodzieńca do siebie.

Niedźwiedziowi nie w głowie było jednak planowanie. Był zmęczony i nadszedł czas odpoczynku. Kryła się w tym piękna, zwierzęca prostota. Kiedy Zgódkę zmorzył sen, miała wrażenie, że zapada się w ciepłe fałdy ciemnego futra.

* * *

Wiele godzin minęło, zanim Zgódka się zbudziła, czując, że dawno nie miała tak jasnego umysłu. Przez otwarte drzwi wpadało słabe, mlecze światło dnia.

Anna przyniosła jej miskę grysiku, trochę chleba i dobre wieści. Pacjent nadal był słaby, ale jego puls nie był już tak oszalały, a gorączka spadała.

– Te narzędzia... – napomknęła Anna. – Pewnie chirurg zmarł i zostawił je tobie. – Jej ton był mglisty od celowo wstrzymywanych pytań.

– Tak – potwierdziła Zgódka, patrząc jej prosto w oczy. – Właśnie tak było.

Kiedy dołączyła do reszty rodziny w głównej izbie, nastrój był zdecydo-

wanie mniej wrogi. Zgodnie z jej przypuszczeniami miała do czynienia z rodziną Axeworthów, ludźmi, których szukała.

– Potrzebna mi wasza pomoc – wyjaśniła. – Wiem, że ktoś zostawia tu wiadomości, listy do niejakiej panny Hanny Mądrej. Wiecie, dokąd są zabierane?

Troje gospodarzy znów wymieniło niezdecydowane spojrzenia, ale tym razem odezwał się starzec.

– Powiemy ci. W końcu nie będziemy już więcej przekazywać żadnych listów. Wyjeżdżamy stąd, gdy tylko mój syn nabierze dość sił, by podróżować. Mieliśmy nie wiedzieć, dokąd jada przesyłki, ale posłaniec, który je od nas odbierał, nie pogardził kropelką czy dwiema. – Udał, że bierze łyk z butelki. – Jest taki dom o nazwie Whitehollow. To tam je zawozi.

– Wiecie, gdzie to jest? – spytała z przejęciem Zgódka.

Staruszek pokręcił przecząco głową.

– Trudno – odparła szybko dziewczyna. – Dziękuję za nazwę. Znajdę posiadłość.

– Przykro mi, że nie możemy ci dać prowiantu na drogę – powiedziała Anna – ale ledwo wystarczy go dla nas samych. Żołnierze ogołocili naszą spiżarnię.

– Żołnierze której strony?

– Kto ich tam wie? Pewnie obu. Wiele się od siebie nie różnią. – Anna wyjęła zwitek szmat spod jednej z desek podłogi i rozwinęła go na stole. – Możesz coś sobie wybrać, jeśli masz ochotę.

Jeden rzut oka wystarczył Zgódce, by rozpoznać, że przedmioty musiały należeć do zmarłego żołnierza. Była wśród nich mocno wysłużony modlitewnik przełożony kilkoma listami, para solidnych butów i wyczyszczona niedawno szabla.

– Buty by się nam przydały – przyznał starzec. – Resztę pewnie zakopujemy. Nie odważymy się sprzedawać rzeczy, żeby nikt o nic nie pytał. Bierz, co chcesz.

Dziewczyna przewróciła kilka stron książeczki zatytułowanej *Praktyka pobożności*. Jej fragmenty były zakreślane, a na jednym z marginesów narysowano wymyślnego aniołka. Z przodu, za okładką, ukryty był ususzony kwiatek i Zgódka wyobraziła sobie, jak młody żołnierz, który po raz pierwszy wyruszył poza swoją okolicę, zrywa i zachowuje roślinę, której nigdy wcześniej nie widział. Obok kwiatu wpisano imię i nazwisko: „Dobrzeżyj Tyler”.

Cóż to za absurdalne imię – „Dobrzeżyj”? – parsknął doktor. *Coś na kształt twojego! A spójrz na te rozwlekłe modlitwy! Sądzę, że nasz umarłak*

był purytaninem.

Z jakiegoś powodu Zgódka nie mogła zdzierżyć myśli, że czyjaś ukochana książeczka mogłaby zgnić w ziemi. Już miała wsunąć ją do kieszeni, gdy wypadło z niej kilka listów.

Wszystkie skreślono tym samym młodzieńczym, niepewnym pismem i opatrzone podpisem: „Twoja kochająca siostra, Dobroczyzna”. Sądząc po krótkim adresie w górnym rogu kartek, Dobrzeżyj Tyler stacjonował w wielu różnych placówkach. Zgódce wpadł w oko adres na ostatnim liście: „Whyte Holow, Buckinghamshire”.

Gdy Zgódka wyszła przed chatę, zatrzymała się na ścieżce. Nadal słyszała niesiony wiatrem słaby głos.

– Farmer będzie żył – szepnęła. – Możesz się już uspokoić.

Co ty wyprawiasz? – spytał doktor. Jeśli to duch żołnierza, właśnie ocaliliśmy jego zabójcę!

Gdyby szukał pomocy dla siebie, próbowałby się wdrapać do mojego umysłu, jak większość zjaw – wyjaśniła w milczeniu medykowi dziewczyna. On tego nie robił. Trzepotał tylko jak zraniony ptak. Próbował mnie powstrzymać przed opuszczeniem domu. Chciał, żebym pomogła tym ludziom.

Wiatr ustał, lecz cienki, świszczący dźwięk nieprzerwanie łaskotał myśli Zgódki.

Będzie... żył? Więc... nie jestem mordercą?

– Nie, nie jesteś – rzekła łagodnie Zgódka. – Bałeś się, że trafisz do piekła, prawda? – Dziwiła ją skuteczność, z jaką duch zachował zdrowy rozsądek pomimo braku schronienia.

Znów mocniej powiało, a potem wiatr cichł w szarpanych podmuchach.

Idę... idę do piekła. – W świszczącym głosie brzmiała ponura pewność. – Nie należę do ocalonych... Ale farmer będzie żył... będzie żył... to dobrze... dobrze.

– Dlaczego sądzisz, że trafisz do piekła? – dopytywała dziewczyna.

Zdezzerterowałem...

Zgódka niemal wyczuwała w powietrzu gorycz jego wstydu.

Taki głodny... próbowałem ukraść kurę... farmer groził widłami... dobyłem szabli i go zraniłem. Zraniłem go szabłą. Wściekły... nienawidziłem go... wściekły z głodu. Jestem... tchórzem. Kradzież. Grzech gniewu.

Od razu mówiłem, że purytanin – zauważył Szybki.

Dziewczyna w myślach przyznała doktorowi rację. Coś w sposobie mówienia ducha przywiodło jej na myśl czeladników w Topoli. Zastanawiała się, ilu tamtejszych chłopców zgłosiło się na wojnę z płonącymi ser-

cami i wysłużonymi Bibliami w kieszeniach na piersi. Ten Dobrzeżyj Tyler wydawał się młody i zażarty jak oni, ale na razie cała jego zażartość skierowana była przeciwko jemu samemu. Zgódka przypomniała sobie jego pokryte odciskami dłonie, ciekawa, jaki to młot czy kosę odrzucił na rzecz szabli.

Był dezerterem, w dodatku na tyle głupim, by dać się zabić za kurczaka, a jednak potrafił przez dwa dni utrzymać swego mglistego ducha czystą determinacją, by ocalić człowieka, który zakończył jego żywot. Dokonał tego, choć był przekonany, że dla jego własnej duszy nie ma już ratunku.

Złodziej i tchórz...

Głos stawał się coraz bardziej złamany, zamazany i zbolały. Pomimo bladego światła dnia Zgódka była w stanie wypatrzyć przydymiony kształt, który zaczął się wić i obracać. Atakował sam siebie, drąc na strzępy własną materię.

Fascynujące – orzekł doktor, najwyraźniej zapatrzony w to samo zjawisko.

– Prze stań – szepnęła Zgódka. – Dobrzeżyju Tyler... proszę cię, prze stań! – Zjawa, pozostawiona sama sobie, doprowadziłaby się do szaleństwa i torturowałaby się, dopóki nie przestałaby istnieć.

O nie, no błagam! – zawołał medyk, jakby wyczuł myśli dziewczyny.

– Słuchaj, Dobrzeżyju! – syknęła Zgódka, starając się zwrócić na siebie uwagę ducha. – Jak zapatrujesz się na drugie szanse?

Nie... nie zasłużyłem na żadne...

– Ale ja tak! – Dziewczyna przyjęła inną taktykę. – Uciekam przed złymi ludźmi, którzy zagrażają mej duszy. Muszę odnaleźć miejsce zwane Whitehollow. Pomożesz mi?

ROZDZIAŁ 28

Zgódka maszerowała, miła za miłą, starając się ignorować wściekle perorowanie doktora Szybkiego.

Coś ty sobie myślała? – grzmiał. Po co rekrutujesz wroga? Nie masz już dość namieszane w głowie?

– Pan Tyler zna drogę do Whitehollow – stwierdziła obronnie dziewczyna. – Poza tym może nam się przydać ktoś, kto zna się na sztuce wojennej.

Na razie wiemy tyle, że może nam poderznąć gardło – burczał lekarz. Czy kiedyś przestanie wydawać z siebie ten piekielny dźwięk?

Na farmie Zgódka wyjaśniła Dobrzeżyjowi, na czym polega jej dar, i miała wrażenie, że zrozumiał, co mu proponuje. Jego duch wyraźnie się uspokoił i zaprzestał szarpania się na strzępy. Kiedy jednak wchłonęła zjawę, ta zamilkła na dobrą godzinę. Następnie zaczęła się modlić, żarliwie i nieprzerwanie. Ani na chwilę nie ustawała w modłach, choć Zgódka podejmowała wszelkie próby nawiązania z nią kontaktu.

Dziewczyna nie zamierzała się przyznać, ale zaczynała rozważać, czy doktor nie ma aby racji. Być może przyjęcie ducha żołnierza było głupie i pochopne. Nie mogła jednak patrzeć na to, jak się dręczył.

– Pewnie potrzebuje trochę czasu, by się zaaklimatyzować – powiedziała lekarzowi.

Nie ma czasu! – warknął Szybki. Wkrótce przekroczymy granicę Buckinghamshire i będziemy potrzebowali od niego konkretnych wskazówek!

Podczas wędrówki Zgódka obserwowała, jak słońce osiąga zenit, a potem zaczyna wędrować w dół, wraz z coraz późniejszym popołudniem. Odkąd opuściła gospodarstwo Axeworthów, szła bez ustanku, nie śmiać się zatrzymać. Kuba najpewniej deptał jej po piętach.

Dziewczyna wiedziała, że przemierza ziemię niczyją i że w okolicy kręcą się żołnierze obu stron. Trzymała się krzaków w nadziei, że nikt nie dostrzeże jej z daleka. Osoba wędrująca samotnie w takim miejscu mogłaby wzbudzić podejrzenia wojaków, a nawet zostać aresztowana. Co gorsza, żoł-

nierze mogli się okazać niebezpieczni.

Zgódka zbliżała się do terytorium sił parlamentu. Gdyby ją tu złapano i przeszukano, pierścień lady April i papierowe weksle króla zrobiłyby z niej rojalistkę. Z pewnym ociąganiem zatrzymała się w niewielkim zagajniku i zakopała skarby pod korzeniem olchy.

Już miała wyjść z zarośli na łąkę, gdy powstrzymał ją ostry szept w głowie.

Cofnij się!

Odruchowo cofnęła się w cień drzew i kucnęła za kępą wysokich pokrzyw. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że modły ustały. To Dobrzeżyj ją ostrzegł. Spoglądając przez otwartą połać trawy, dostrzegła małe, skrzący się błysk pośród krzewów.

Luneta – szepnął Dobrzeżyj.

Zgódka trwała w bezruchu. Minęły całe wieki, zanim dwaj mężczyźni z przewieszonymi przez ramię muszkietami wydostali się przez otwór w krzakach na łąkę. Dziewczyna nie śmiała się poruszyć, dopóki nie była pewna, że mężczyźni odeszli.

– Dziękuję, panie Tyler – powiedziała, ostrożnie ruszając w dalszą drogę.

Czyste przyzwyczajenie. – Odpowiedź wojaka była dość lakoniczna, ale przynajmniej nie wznowił modlitwy.

– Panie Tyler... – Zgódka delikatnie spróbowała nawiązać rozmowę.

Czego chcesz, więdmo? – warknął zmarły żołnierz. Ton jakże znękanego głosu był arogancki.

Dziewczyna wzdrygnęła się, zaskoczona. Wszystkie słowa pocieszenia, które sobie przygotowała, pierzchły jej z głowy.

– Nie jestem więdumą! – zaprotestowała. – Mówiłam ci, kim jestem! Opowiedziałam o Fellmotte'ach!

Wiem, co mówiłaś – odparł Dobrzeżyj głosem drżącym, acz zdeterminowanym. *Wykazałaś się sprytem, a ja byłem słaby. Wyjaśniłaś, że król jest za pan brat z wyznawcami czarnej magii i że mogę ci pomóc stanąć przeciwko nim. Przekonałem sam siebie, że przyczynię się do bożego dzieła! Ale ty sama korzystasz z fellmotte'owskiej sztuki. Przywiązujesz do siebie duchy. Masz na swych usługach potężną bestię. To ja wszedłem w konszachty z czarownicą... i pozwoliłem, by przejęła moją duszę!*

– Gdybym była więdumą – argumentowała – po co miałabym się upominać o twoją duszę? I tak jesteś przekonany, że zmierza do piekła. Dlaczego po prostu jej nie zostawiłam, żeby odebrać ją sobie w dzień sądu ostatecznego?

Chcesz, żebym wskazał ci drogę do Whitehollow – odparł Dobrzeżyj bez

namysłu. *Może zamierzasz skrzywdzić stacjonujących tam żołnierzy. Skąd mam wiedzieć, czy nie planujesz ich otruć lub rzucić na nich klątwy? Już raz zdradziłem swoich towarzyszy broni, porzucając ich. Nie zrobię tego ponownie.*

Przez wystraszony głos przebijała stanowczość. Może purytanin przygotował się już na to, że dziewczyna rzuci na niego piekielne klątwy, a potem pożre jego duszę jednym kłapnięciem. Zgódka zacisnęła powieki i westchnęła gniewnie.

– Skoro jestem wiedźmą, dlaczego nie przelecę tych długich mil, tylko zdzieram stopy do krwi? Dlaczego nie zmieniłam się w zającą, żeby ukryć się przed żołnierzami, zamiast kucać w kępie pokrzyw? Dlaczego nie pošle moich chochlików po pasztet z przepiórki i duży kufel ale? Chciałabym umieć czarować! Ale nie potrafię. Nie mam magicznych mocy, jedynie przekazaną przez przodków klątwę, o którą nigdy nie prosiłam. Jestem człowiekiem z krwi i kości, posiniaczonym i obolałym. Jedyni ciemni panowie, jakim kiedykolwiek służyłam, to Fellmotte'owie, i wielu nocy nie przespałam, by się od nich uwolnić!

Bardzo chcę ci wierzyć – powiedział młody żołnierz już nieco mniej bojowo. Jeśli Fellmotte'owie rzeczywiście oddają się czarnej magii, a ty jesteś ich wrogiem... to ostrzeżemy wszystkich przed nimi!

– Nie mam dowodów! – zawołała Zgódka. – Ludzie nazwą mnie obłąkaną lub, co gorsza, wiedźmą, tak jak ty!

Jeśli otworzymy wszystkim oczy, możemy zmienić bieg wojny!

Dziewczyna zawahała się, świadoma, że zaraz pogorszy sytuację. Niemniej jednak nieszczerłość nie byłaby najlepszą podstawą ich znajomości.

Wybacz, ale jest mi kompletnie wszystko jedno, kto wygra tę wojnę.

W jednej chwili w jej głowie wybuchł chaos.

To już bezczelność! – oznajmił doktor. Wrzucić Jego Wysokość do jednego worka z tymi rebeliantami z parlamentu...

Jak możesz tak mówić? – Dobrzeżyj był równie rozsierdzony. Jak możesz nie dbać o to, czy nasi ludzie są bezpieczni i wolni?

Ach, przestań zawodzić, purytaninie! – warknął Szybki. Ty i tobie podobni powiedlibyście nas do świata pozbawionego radości, piękna i cokolwiek wzniosłego i tajemniczego, co mogłoby unieść nasze dusze!

A ty wolisz patrzeć, jak król wyrasta na krwawego tyrana, odcinając głowę każdemu, kto śmie mu się sprzeciwić! – argumentował żołnierz. Gdzie tu twoja „radość”, twoje „piękno”?

Jak śmiesz, ty nędzny, zawszony...

O, masz szczęście, że oboje jesteśmy już nieżywi, mój panie, bo inaczej...

– Przestańcie się wydzierać w mojej głowie! – nie wytrzymała wreszcie Zgódka. Z pobliskich drzew zerwało się kilka spłoszonych ptaków. – Nie, nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego miałoby mi zależeć? Nikt nie wyjaśnił mi, dlaczego miałabym oddać życie za króla lub kochać parlament bardziej niż własną skórę! Pragnę żyć! I mam sporo empatii dla każdego, kto ma podobną ochotę!

Zapadła długa cisza.

No tak. Chyba nie mogę cię za to winić – odezwał się wreszcie Dobrzeżyj. *Sam próbowałem ratować własną skórę.* – Zaśmiał się krótko, zawstydzony. *Wybacz. Nie mam prawa wymagać, byś narażała życie, bo ja nie umiałem dobrze wykorzystać swojego. Jesteś młodą panną. Powinienem cię chronić.*

Ze skruszonym Dobrzeżyjem w pewnym sensie trudniej było sobie radzić niż z jego wściekłym, podejrzliwym wydaniem. Zgódka zaproponowała mu drugą szansę. Może ujrzał w niej sposobność odkupienia swoich win? Jaką pokutę miała mu do zaoferowania?

Co planujesz? – spytał cicho. *Po co zmierzasz do Whitehollow?*

– Przebywa tam mężczyzna, którego muszę odszukać – wyjawiała. – Jest zdrajcą, ale może wie, jak pokonać Fellmotte’ów.

A potem? – dopytywał. *Co zrobisz potem? Jeśli losy wojny są ci obojętne, na czym ci zależy?*

Proste, szczere pytanie nieoczekiwanie nią wstrząsnęło. Na czym jej zależy? Zorientowała się, że właściwie nie wie. Jej umysł tak długo wypełniony był myślami o tym, czego nie chce... Nie chciała być skuta łańcuchem, uwięziona ani wypełniona duchami przodków. Nie chciała żyć w strachu przed Starszymi. Ale czego chciała?

– Chcę uratować brata – powiedziała z namysłem. – Wykorzystuje go cała zgraja fellmotte’owskich zjaw. Pragnę je wypędzić, by go uwolnić, a potem mu przyłożyć i powiedzieć, że jest idiotą. I...

Napłynęła fala wspomnień. Wrzeszczący duch Jana. Wykrzywiona strachem twarz sir Tomasza. Upiory w spojrzeniu Kuby. Lodowate, wężowe oczy Starszych, tak przekonanych o swoich prawach do życia innych...

W sercu Zgódki rosła góra pragnienia. Była ciemna i złowroga, przytłaczająca i niepokonana, ale dziewczyna wreszcie odważyła się spojrzeć prosto na nią.

– I jeszcze – odezwała się na głos – chcę się przyczynić do klęski Fellmotte’ów.

No, to brzmi jak gra warta świeczki. – Po raz pierwszy w głosie Dobrzeżyja zabrzmiał uśmiech.

Ze wskazówkami Dobrzeżyja wędrówka stała się łatwiejsza, bez jego nieustannych modłów – znacznie przyjemniejsza. Zgódka opowiedziała mu nieco o swoim życiu, a żołnierz stopniowo wyjawiał jej coraz więcej szczegółów swojej historii. Był synem bednarza z Norwich, wychowanym w ojcowskim rzemiośle. Nauczył się czytać i pisać w lokalnej szkole, po czym zaczął przekazywać wiedzę swej młodszej siostrze.

Wtedy wybuchła wojna i od razu zaciągnął się do wojska.

Nie miałem żadnych wątpliwości – wyznał. Jak mogłem zostać w domu, formując młotkiem becзки, kiedy wojna nadawała światu nowy kształt? To walka o duszę kraju! Chcę się do niej przyczynić! Poczulem w sobie głód i pragnienie...

Urwał. Nawet w jego entuzjazmie pobrzmiwał smutek.

Gdy cienie zaczęły się wydłużać, a za Zgódką było ponad piętnaście mil, Dobrzeżyj nie miał wątpliwości, że przekroczyli już granicę Buckinghamshire. Dziewczyna była wyczerpana, jej stopy pokryły bolesne pęcherze. Myślała niemal wyłącznie o jedzeniu. Przez ostatnie kilka dni zużyła prowiant od pani Gotely, a grysik u Axeworthów był rzadki i mało pożywny.

Niedźwiedź również cierpiał głód, a to uczucie pojmował akurat doskonale. Zgódka czuła jego burzący niepokój i narastające zainteresowanie każdym szelestem w krzakach.

Dziewczyna zorientowała się nagle, że nieoczekiwanie się zatrzymała i przygląda się pobliskiemu drzewu. Była na nim ciemna, nastroszona plama, przypominająca ptasie gniazdo. Zgódka odczytała myśli Niedźwiedzia o płynnym wnętrzu jaj lub o chrupiących pisklętach. Patrząc pod innym kątem, dostrzegła jednak, że wcale nie ma tam gniazda, tylko kłębowisko gałązek. Poczula, jak jej usta znienacka się otwierają, a zęby zaciskają się na soczystych wiosennych liściach drzewa.

– Niedźwiedziu! – skarciła go Zgódka, wypluwając porcję listowia. – Nie mogę tego jeść!

Zwierzęcia nie dało się już pohamować. Rękami dziewczyny sięgnął po stary kawałek próchniejącego drewna i rozdarł je, obnażając rozpadające się płatami wnętrze. Zgódka rzuciła się zlizywać pierzchające mrówki i poczuła na języku ich pieprzne mrowienie.

Dobrzeżyj wydał okrzyk zaskoczenia i niepokoju. Objawy zdziwienia nie były chyba najskuteczniejszym argumentem, by przekonać go, że dziewczyna nie jest demonem w kobiecej postaci.

Zgódka westchnęła i opadła na brzegu pobliskiego strumienia, gdzie

zdejła buty i pończochy.

– Brak racie – zauważyła oschle, po czym wsunęła stopy do potoku, czując, jak zimno przyjemnie koi ból powodowany przez pęcherze. – Nie znikam też przy zetknięciu z płynącą wodą.

Wąski, ciemny kształt w wodzie przykuł uwagę Zgódki. Nieduża rybka zaraz zniknęła, gdy tylko dziewczyna ją dostrzegła, ale najwyraźniej przykuła też wzrok Niedźwiedzia. Ślina pociekła Zgódce z ust i sama nie wiedziała, czy to objaw jej ludzkiego czy zwierzęcego głodu.

Poczuła, że zrywa się na równe nogi i wkłada stopę do wody, mocząc rąbek sukni, zanim zdołała odzyskać kontrolę nad swoimi czynami.

Przestań! Z drugiej strony, czy naprawdę chciała powstrzymać Niedźwiedzia przed schwyтaniem ryby, skoro potrafił tego dokonać? *Zaczekaj chwilę.* Nie mogła sobie pozwolić na zmoczenie ubrań, bo spędzając nocę w stodółach, nie miałyby ich jak wysuszyć i pewnie przeziębilyby się na śmierć. Starannie podkasała spódnice i halkę, podwiązując je tuż nad udami.

Pozwoliła Niedźwiedziowi poprowadzić się do strumienia, gdzie poczuła lodowaty, pędzący nacisk wody, a pod stopami śliskość mokrych, pokrytych glonami kamieni. Z początku chłód był przyjemny, lecz już po chwili stał się bolesny. Umysł dziewczyny też cierpiał katusze, kalkulując marnowany czas i bojąc się depreczających jej po piętach prześladowców. Z kolei Niedźwiedź był cierpliwy jak góra i wkrótce jego spokój spłynął i na Zgódkę. Przejmujące zimno stało się nagle czymś naturalnym jak błękit nieba. Umysł dziewczyny przestał wściekle pracować.

Jest! Nieludzkim odruchem Zgódka zagrabiła wodę rozczapierzonymi palcami jednej dłoni, wyławiając z potoku dorodnego brązowego okonia. Rzuciła go na brzeg, gdzie zaczął wyginać się i podrygiwać, starając się wskoczyć z powrotem do strumienia.

Zgódka jednym susem znalazła się przy rybie, lądując na czworakach. Uderzyła okonia dłonią w głowę i zatopiła zęby we wciąż trzepoczącej rybie.

– Stój! – rozległ się nagle krzyk. Podniósłszy wzrok, Zgódka zobaczyła odzianego w wytarte ubranie mężczyznę, wyciągającego ku niej szablę. Wyłonił się zza wysokich krzewów i zdawał się równie zdumiony jej widokiem jak ona jego. Nosił narzuconą na płaszcz szarfę, więc dziewczyna odgadła, że jest on żołnierzem, ale tkanina była zbyt ubłocona, by dało się stwierdzić, po której stronie walczy.

Zgódka zdawała sobie sprawę z tego, jak się prezentuje. Żywa wciąż ryba miotła się w agonalnych spazmach, niemal uderzając dziewczynę ogonem w oko. Zgódka ostrożnie wyjęła łup z ust, choć smak jedzenia kusił, żeby

połknąć je w całości, i ściągnęła spódnicę w dół, by zakryć gołe nogi.

– Co tam masz? – Do młodzieńca dołączył starszy żołnierz o płaskim nosie i z gojącą się raną nad prawą brwią.

– Coś z nią nie w porządku – ocenił młodszy wojak, nie zdejmując z dziewczyny wystraszonego spojrzenia. – Była na wpół naga i rzucała się jak opętana! Miała zęby wbite w surową rybę, którą chciała pożreć jak dziki zwierz...

– Też byś chciał, gdybyś był równie głodny! – wypaliła Zgódka.

Starszy mężczyzna zmarszczył lekko brwi.

– Skąd jesteś? – Obaj mieli jednakowy akcent i dziewczyna uświadomiła sobie, że jej własny sposób mówienia zdradził pewnie, że nie pochodzi stąd.

– Staffordshire – odparła bez namysłu. Miała nadzieję, że podane przez nią hrabstwo leży wystarczająco daleko, żeby wyjaśnić jej obcy akcent, lecz dość blisko, by wiarygodne było, że doszła stamtąd pieszo.

– Jesteś daleko od domu – powiedział starszy żołnierz, a jego oblicze spochmurniało podejrzliwie. – Co cię sprowadza?

Zgódka miała nadzieję, że rozmowa nie dotrze do tego punktu. Wpatrywała się w mężczyzn, starając się zgadnąć, której armii służyli. Bajeczka zadowolająca jedną stronę mogłaby rozwścieczyć drugą.

Znam tego człowieka! – odezwał się nagle Dobrzeżyj. *Tego młodszego, to William Horne. Należeliśmy do jednego regimentu.*

A więc to stronnicy parlamentu. Zgódka dopasowała swą historię do okoliczności.

– Ojczym wyrzucił mnie z domu – powiedziała. Podwinęła rękaw, demonstrując blednące sińce na ramieniu. – Jest zagorzałym zwolennikiem króla. Ja nie, więc mnie pobił i powiedział, że jeśli jeszcze się mu pokażę, to mnie zabije.

W oczach mężczyzny błysnęło współczucie, ale nieufność zaraz ochłodziła jego spojrzenie.

– Chyba strasznie się go boisz, skoro uciekłaś od niego przez hrabstwa – rzekł.

– Nie zamierzałam aż tak się oddalać! – Zgódka pozwoliła, by odrobina autentycznego znużenia i rozpaczki wkradła się do jej głosu. – Szukałam pracy, więc goniłam za wieściami o niej przez kraj...

– Pracy? – Spojrzenie starszego wojaka zrobiło się stalowe i wrogie. – Masz nas za głupców? W całej dolinie kłębi się od podjazdów! Kto szukałby pracy tutaj?

Powiedz im, że Bóg zesłał ci wizję i kazał ci przyjść do Whitehollow! – polecił nagląco Dobrzeżyj.

Co takiego? – Zgódka nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

Jeden z generałów zbiera wokół siebie proroków i astrologów! – wyjaśniał naprędce. *Trzyma ich bezpiecznie w Whitehollow niczym kury znoszące złote jaja.*

– Szukałam pracy... lecz wtedy Pan Wszechmogący zesłał mi wizję miejsca, w które mam się udać – oświadczyła Zgódka, walcząc z wypływającym na policzki ognistym rumieńcem. – To dom o nazwie Whitehollow.

Mężczyźni zeszywnieli i wymienili spojrzenia.

– Jak wyglądał budynek z twojego widzenia? – zażądał opisu starszy wojak.

– Był to potężny dom z czerwonej cegły – recytowała dziewczyna podpowiadane przez Dobrzeżyja słowa. – Wysoko na wzgórzu otoczonym lasem.

– Szpieg mógłby dysponować takim samym opisem – mruknął pod nosem młodszy żołnierz. Podczas gdy mężczyźni szeptali do siebie, Zgódka słuchała nagłego głosu Dobrzeżyja w swojej głowie.

– Widziałam też ciebie, Williamie Horne – przemówiła.

Młodzieniec omal nie wyskoczył z butów.

– Przed dwoma miesiącami – ciągnęła. – Byłeś w wiejskim kościółku w towarzystwie dwóch innych żołnierzy. To był zły kościół, pełen jarmarcznych, diabelskich ozdób, więc udaliście się tam nocą, by zniszczyć, co się dało. Roztrzaskaliście barierkę wokół ołtarza, zbiliście witraż. Posiekaliście rzeźbione ławy. Twój kolega zdjął krucyfiks z postacią Chrystusa i cisnął nim o posadzkę.

William Horne się wzdrygnął. Starszy wojak pozostał niewzruszony, mało tego, wydawało się, że jest pełen uznania.

– Zatrzymaliście się, by spojrzeć na roztrzaskaną twarz Jezusa – mówiła dalej dziewczyna. – Wszystkich was zdjęło przerażenie... ale żaden się nie przyznał. Dodało to wam tylko zaciętości i jeszcze zażarciej tłukliście i darliście przedmioty na strzepy. Próbowaliście się prześcignąć w dziele zniszczenia, byle nie patrzeć na te zranione oczy na podłodze.

William gapił się teraz na Zgódkę jak zahipnotyzowany, zdjęty przesądnym lękiem.

– Tobie przyszło do głowy, żeby przyprowadzić konia, aby napił się z chrzcielnicy, na dowód, że wcale się nie boisz. Patrzyliście wszyscy, jak chłepce wodę swoim dużym białym pyskiem, i wybuchnęliście śmiechem. Ale kościelne echa brzmiały, jakby wtórowała wam horda diabłów... więc stamtąd pierzchliście.

Starszy żołnierz rzucił towarzyszowi pytające spojrzenie. William Horne przełknął ślinę i skinął głową.

– To było w Crandon – przyznał słabo. – Wszyscy byliśmy roztrzęsieni. A jeden z moich kompanów, ten, który zniszczył krzyż, już nigdy nie był sobą. Coś się w nim złamało. Tydzień później... zniknął. – Żołnierz przyjrzał się Zgódce oczami wielkimi ze strachu i niedowierzania. – Skąd wiesz, jak brzmiał tamten śmiech?

– Wystarczy – powiedział stanowczym tonem starszy mężczyzna. – Działaliście w imieniu Pana. Wyrzuć to z pamięci. – Grzbietem dłoni odsunął rękojeść szabli młodego, tak że drżące ostrze nie było już wycelowane w dziewczynę. – Schowaj to, Williamie.

Następnie zwrócił się do Zgódki.

– Doprowadź się do porządku, panienko, i chodź z nami.

Dziewczyna wstała, poprawiła spódnicę i włożyła pończochy oraz buty. Dopiero teraz zaczęła dzwonić zębami z zimna.

Dziękuję – powiedziała w myślach.

Mam tylko nadzieję, że nie pogorszyłem sprawy. – Dobrzeżij wydawał się równie wzburzony co William. *Nic innego nie przyszło mi do głowy.*

Groźne napięcie nieco zelżało, ale Zgódka wiedziała, że właśnie podbiła stawkę. Planowała zbliżyć się do Whitehollow po kryjomu, może nawet poobserwować je przez jakiś czas, by przekonać się o obecności Symonda. Nie zamierzała wmaszerować przez główną bramę, narażając się na to, że stanie z kuzynem twarzą w twarz.

Owszem, trafi pod eskortą wprost do Whitehollow. Niestety oznaczało to, że jej nadzieje na zachowanie dyskrecji właśnie skonały bolesną śmiercią.

CZĘŚĆ SZÓSTA

WHITEHOLLOW

ROZDZIAŁ 29

Jak się okazało, starszy żołnierz był sierżantem i nazywał się Coulter, a na drodze czekało jeszcze sześciu mężczyzn. Oddział pomaszerował dziarskim tempem, bez litości dla słabych, zmęczonych nóg dziewczyny, ale przynajmniej nie otoczyli jej jak jeńca.

W ogóle nie zwracali na nią większej uwagi, co pozwoliło jej na zjedzenie surowej ryby i bezgłośną konwersację ze zmarłym kompanem.

Dlaczego zdezerterowałaś? – spytała bez ogródek. Zaintrygowała ją opowieść o kościele. Była przekonana, że zna tożsamość żołnierza, który tajemniczo zniknął.

Byłem tchórzem – odparł automatycznie Dobrzeżyj, po czym zamilkł na dłuższą chwilę. Sam nie wiem – wyznał wreszcie i westchnął. Kiedy rozbiłem tego Chrystusa w kościele, nie potrafiłem zapomnieć, jak patrzyła na mnie jego roztrzaskana twarz. Te oczy, takie jasne, puste i smutne... Miałem wrażenie, że to ja byłem źródłem ich smutku. Tydzień później po raz pierwszy zabiłem człowieka, a kiedy stanąłem nad nim, jego oczy miały taki sam wyraz. Potem uroilem sobie, że ilekroć napotkam wrogów, będą mieli roztrzaskane twarze i oczy pełne żalu. Nie wiem dlaczego, ale lęk przed spotkaniem ich pozbawiał mnie snu i powodował drżenie rąk. Pewnego dnia po prostu wymknąłem się z obozu i ruszyłem przed siebie...

Niewiele można było dodać. Zgódka zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście dobrym pomysłem było przyprowadzenie Dobrzeżyja z powrotem do koszar pełnych jego niegdysiejszych towarzyszy.

Pokonawszy kilka mil, skręcili w drogę, która wiała się wzwyż zalesionym zboczem, mijała solidną bramę ze stróżówką i prowadziła do potężnego domostwa na szczycie wzgórza. Whitehollow było zbudowanym na planie kwadratu budynkiem z czerwonej cegły, o połowę mniejszym niż Grizehayes. Rozciągający się przed nim trawnik mógł być kiedyś elegancko wypielegnowanym miejscem spacerów, lecz teraz stanowił nieprzystrzyżone pastwisko dla sześciu żołnierskich koni. Kilka marmurowych popiersi leżało na ziemi z głowami roztrzaskanymi od kul.

Mógł to być kiedyś wspaniały dom, ale teraz pełnił funkcję wojskowej fortecy. Wydawało się, że są tu sami żołnierze, nie było widać służby. Po latach pracy w Grizehayes Zgódkę uderzył widok wnętrza majątku oszpeconego bezczelnymi aktami wandalizmu i zaniedbanego w każdym szczególe.

Po wewnętrznej stronie głównych wrót do rzeźbionych dębowych paneli przypinano kartki papieru, po części biuletyny trąbiące o zwycięstwach, po części iskrzące żarliwością traktaty religijne. Z palenisk od dawna nikt prawidłowo nie wybrał popiołu, a na schodach widniała gruba warstwa błota, naniesiona przez wiele stóp. Eleganckie rzeźbione krzesło porąbano na opał, a obok leżało kilka starych komód o powyłamanych zamkach. Najwyraźniej prawość ducha nie kłóciła się tu z szabrownictwem.

Jak dotąd Zgódką nie dostrzegła ani śladu Symonda. Co by zrobiła, gdyby stanęła z nim twarzą w twarz? Czy potrafiłaby jakoś zasygnalizować, żeby broń Boże nie wyjawiał jej tożsamości? Dlaczego miałby uszanować jej błaganie?

Sierzant odszedł na bok, by odbyć cichą, lecz ożywioną rozmowę z niewielką grupką nowych osób, co jakiś czas kiwając głową w kierunku dziewczyny. Przyciągała wiele pełnych lęku, pytających i oceniających spojrzeń i czuła, że pod ich ciężarem robi się czerwona jak burak.

Pewna kobieta, ubrana w bogaty, choć wyblakły już strój, patrzyła na Zgódkę wyjątkowo badawczo. Jej twarz była pomarszczona w sposób, który przywiódł dziewczynce na myśl zlaną deszczem szybę okienną. Na oko była w wieku pani Gotely.

To lady Eleonora – mruknął Dobrzeżyj, jakby zmełł w ustach przekleństwo.

Kto to taki? – spytała Zgódką.

Ulubiona prorokini generała. Narobiła tu sobie sporo wrogów, więc miałem nadzieję, że już jej nie zastaniemy. Niespłacone długi. Klótnie. I zdarza jej się opowiadać ludziom, że jest im pisana śmierć – mało kto przyjmuje to dobrze.

Miewa rację? – Zgódką starała się nie gapić na damę. *Czy ludzie naprawdę umierają, kiedy im to przepowie?*

Tak – przyznał niechętnie żołnierz. *Na ogół tak.*

Dziewczynce mocniej zabiło serce. Wystarczyło, że musiała blefować co do swoich jasnowidzących zdolności przed żołnierzami, ale żeby czynić to przed prawdziwą wieszczką? Co dama pomyśli sobie o rywalce w postaci młodej, potarganej parweniuszki?

Czy jest dumną kobietą? – spytała nagle.

Czy jest dumna? – zdziwił się Dobrzeżyj. *Tak, ona...*

Zgódka nie dała mu dokończyć. Śmiałym krokiem podeszła do grupy, po czym wykonała przed lady Eleonorą długi, niski ukłon.

– Moja pani! – rzekła, nadając głosowi ton najgłębszego respektu, na jaki umiała się zdobyć. – Widziałam cię w moich wizjach, wyniesioną ponad świat, z ogromnym snopem światła padającym na ciebie i błogosławiącym cię! W twych rękach spoczywała księga pełna światłości!

Coulter wyglądał jak rażony piorunem, ale oblicze lady Eleonory rozbłysło wspaniałomyślnym uśmiechem. Zgódka przypuszczała, że jej ruch zmniejszy szanse donosu ze strony współprorokini. Jeśli lady Eleonora narobiła sobie wielu wrogów, nie powinna odrzucić kogoś, kto traktuje ją jak królową.

Kiedy dziewczynę wprowadzono, by odbyła rozmowę z kilkoma oficerami wyższej rangi, lady Eleonora mocno trzymała ją pod ramię.

* * *

Zgódka z wdzięcznością przyjęła towarzystwo sprzymierzeńca w trakcie kolejnych dwóch godzin, kiedy to była dogłębnie przesłuchiwana.

Trzej oficerowie nie byli niegrzeczni. Patrzyli na nią z niepewnym szacunkiem i podejrzliwością, jakie wypada okazać lwu, który wpadł z nieoczekiwaną wizytą. Byli jednak nieustępliwi i nieugięci niczym stal i natychmiast wyłapywali najdrobniejsze nieścisłości.

Kim jest? Skąd pochodzi? Kim są jej rodzice? Wyjaśniła, że nazywa się Cierpliwość Lott i jest córką stolarza nazwiskiem Jonas. Wymyśliła chorowitą matkę, młodszą siostrę i osadę bez nazwy, leżącą na skraju moczarów. Wszystkie informacje można było sprawdzić i obalić, ale po pierwsze, zajęłoby to sporo czasu, a po drugie, Zgódka nie sądziła, że mieliby od razu posyłać kogoś do Staffordshire, by zweryfikował dane.

Inny oficer zadawał jej mnóstwo pokrętnych pytań z dziedziny wiary. Czy dobrze się prowadziła? Jak dogłębnie znała Biblię i modlitewnik? Półprzymienna z niewyspania i wycieńczenia, Zgódka potknęła się kilka razy, serwując odpowiedzi, które zaliczono by w Grizehayes, lecz w Topoli uznano by za błędne. Niemniej jednak udało jej się przebrnąć przez test, z wydatną pomocą szeptów Dobrzeżyja.

Wreszcie nadeszła pora, by dziewczyna, z sercem bijącym jak młotem, przystąpiła do opisu swoich „wizji”. W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza, słychać było jedynie drapanie piór, notujących każde jej słowo.

– Widziałam maleńkiego króla, siedzącego na wielkim tronie – rzekła, mając nadzieję, że brzmi wystarczająco złowieszczo. – Za oparciem czał się

potężny pies, którego król nie widział. Nad głową władcy latało sześć sów o skrzydłach czarnych niczym śmierć. Rzucił im jedzenie, lecz one, zamiast schwycić stawę, porwały jego cień i uniosły go w dal, zwinięty niczym traktat.

Nie śmiała podnieść wzroku na lady Eleonorę w obawie, że ujrzy rodzącą się na twarzy damy podejrzliwość i wzdargę. Nikt jednak jej nie przerywał.

– Mów dalej – powiedział jeden z oficerów. – Co jeszcze widziałaś?

Z rosnącą pewnością siebie Zgódka jąła wymyślać coraz bardziej szalone historie. Zmęczenie ułatwiało jej zadanie. Rzeczywistość sama mieszała się ze snem.

– Widziałam ogień lejący się z nieba, a tam, gdzie padał, zapalały się ludzkie serca. Ludzie biegli przez świat, płomień przeskakiwał na serca napotkanych osób, aż wreszcie wszyscy płonęli...

Później dziewczyna nie potrafiła stwierdzić, kiedy sytuacja zaczęła jej sprawiać frajdę. Czuła, jak przeobraża się w oczach żołnierzy. Nie była już ubłoconym, potarganym włóczęgą. Bycie prorokinią wszystko zmieniało. Sińce ukazały w niej męczennicę. Łachmany dowodziły, jak długo tułała się w dziczy.

Wkroczyła do pokoju spowita w Boga niczym w szatę.

– Wyjaśnij nam teraz znaczenie swoich widzeń – odezwał się wreszcie najstarszy z oficerów.

Zgódka zbladła, bo nagle dotarła do niej waga jej czynów. Twierdziła, że przemawia przez nią Bóg. Co ci mężczyźni zrobiliby komuś, kto dopuścił się bluźnierstwa na tak wielką skalę? Z drugiej strony, jeśli dadzą jej wiarę, jej „wizje” mają szansę wpłynąć na ich plany. Jedno nieważne, nieprzemyślane słowo może pchnąć ludzi do walki, a nawet posłać ich na śmierć.

Armia Dobrzeżyjów czy Kubów ginących na jej wezwanie. To była władza, czysta władza, ale wcale nie pociągała Zgódki.

– Nie potrafię – odparła gwałtownie. – Ja... przysłam tu, bo wiedziałam, że lady Eleonora to jedyna osoba, która jest w stanie pojąć ich sens.

Ku uldze Zgódki dama z zachwytem przystąpiła do tłumaczenia. Dziewczyna siedziała roztrzęsiona i zaschło jej w ustach. Tymczasem starsza prorokini tryskała biblijnym entuzjazmem.

W końcu oficerowie zdawali się usatysfakcjonowani i pozwolili Zgódce odejść. Opuściła izbę wraz z lady Eleonorą, zastanawiając się, jakiego narobiła bigosu. Na zewnątrz zatrzymał je sierżant Coulter.

– Kiedy w swoich widzeniach ujrzałaś Whitehollow, czy ukazali ci się jego mieszkańcy? – spytał cicho. – Może młody lord o białych włosach?

Zgódka pokręciła głową, ale jej ciekawość sięgnęła zenitu. Opis mło-

dzieńca pasował do Symonda.

– Gdyby objawił ci się ktoś taki, a zwłaszcza gdyby czynił coś niewłaściwego, powiadom mnie. – Żołnierz wymienił porozumiewawcze spojrzenia z lady Eleonorą, która skinęła głową.

– Kogo miał na myśli, moja pani? – chciała wiedzieć Zgódka, kiedy mężczyzna się oddalił.

– Młodego lorda Fellmotte’a – odparła dość głośno wieszczka, nie siląc się na dyskrecję.

Lord Fellmotte, doprawdy! Choć Zgódka nie czuła się już częścią klanu, zjeżyła się skrycie na wieść o bezczelności, z jaką Symond przywłaszczył sobie tytuł. Cóż, z drugiej strony, może zwolennicy parlamentu istotnie uznali młodzika za prawowitego lorda. W końcu wysunęli oskarżenia przeciwko reszcie rodziny i podjęli próbę zagrabienia ich ziem.

– Czy jego lordowska mość przebywa obecnie w Whitehollow? – zagadnęła Zgódka, siląc się na niedbały ton.

– Nie, wyjechał załatwiać jakieś sprawy dla generała i wróci dopiero jutro wieczorem. Gdyby jednak słuchano tu moich rad, wcale nie pozwolono by mu na powrót!

– Nie ufa mu pani?

– O, nie, nie ufam! – uniosła się prorokini. – Sierżant Coulter podziela moje zdanie. Lord Fellmotte zarzeka się, że stanął w wojnie po naszej stronie, ale my sądzimy, że pozostaje jednym z knowaczy króla. Sierżant co jakiś czas rozkazuje przeszukać mu torby i kieszenie, by znaleźć ślady oszustwa. Zrozum, zgłębiam tajemnice imion i nazwisk. Na pierwszy rzut oka widać, że litery składające się na „Symonde” kryją w sobie „demony”! To oczywiste, że taki człowiek nie jest godzien zaufania!

Zgódce udało się zachować wyraz szacunku na kamiennej twarzy, dopóki nie rozstała się z lady Eleonorą.

Tej kobiecie – orzekł doktor Szybki – brak piątej klepki.

Mam nadzieję – mruknął ponuro Dobrzeżyj.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Zgódka.

Zapowiada rychły koniec świata – poinformował.

* * *

Gdy wreszcie nadszedł wieczór, Zgódka była gotowa uznać, że nie ma na świecie większego luksusu niż trzaskający ogień, miska gorącej zupy i sposobność przespania się na suchym materacu, nawet jeśli był to tylko siennik u stóp łóżka lady Eleonory. Z trudem powstrzymała Niedźwiedzia przed

wylizaniem miski do czysta.

Co zamierzasz zrobić, gdy ten cały Symond pojawi się tu jutro? – dopytywał doktor, kiedy światła już zgasły, a dziewczyna starała się spać. Jak planujesz go powstrzymać przed wydaniem cię, gdy tylko cię zobaczy?

To było słuszne pytanie. Zgódka wiedziała, że musi porozmawiać z kuzynem na osobności, ale i na własnych zasadach. Nie wysłucha jej bez bardzo ważnego powodu, a nie podejrzewała, aby powoływanie się na więzy krwi bądź odwoływanie się do jego sumienia miało przynieść jakąkolwiek korzyść. Musiała zyskać nad nim władzę.

Koniecznien trzeba było znaleźć edykt. Czy nosił go stale przy sobie? Nie sądziła, by było to możliwe. Z opowieści lady Eleonory wynikało, że sierżant Coulter regularnie przeszukiwał dobytek młodego szlachcica. Symond byłby głupcem, gdyby ryzykował, że ktoś znajdzie przy nim dokument opatrzony królewską pieczęcią.

Gdzie w takim razie go ukrył? Na pewno gdzieś pod ręką, żeby w razie czego móc go szybko pochwycić. Przy odrobinie szczęścia papier znajdował się w Whitehollow. Gdyby tylko udało jej się go znaleźć przed powrotem kuzyna, dysponowałaby całą potrzebną jej władzą.

ROZDZIAŁ 30

Następnego dnia Zgódka rozpoczęła dyskretne poszukiwania edyktu.

Zbudziła się wcześniej rano i odkryła, że wyłożono dla niej proste, lecz czyste i godne ubranie. Jako że wszyscy zdawali się widzieć w niej ulubienicę i pupilkę lady Eleonory, postanowiła wczuć się w rolę i pobiegła na dół, do kuchni, przyszykować śniadanie dla swojej nowej „pani”. Przy okazji zamieniła parę słów z kucharzami i zaprzyjaźniła się z chudym kotem o miodowej sierści, na którego wołano Marniak.

Kuchnia nie dorównywała wielkością tej w Grizehayes i było w niej piekielnie gorąco. Zgódka szybko uznała, że na miejscu Symonda na pewno nie ukryłaby tu dokumentu, w obawie, że cenna woskowa pieczęć mogłaby się rozpuścić.

Nikt nie przeszkadzał młodej prorokini w przechadzaniu się po domostwie. Podejrzewała, że żołnierze czują przed nią niejaki lęk, ale z pewnością zapamiętaliby, gdyby zrobiła coś dziwnego. Gdyby uznali, że dziewczyna czegoś szuka, mogliby nawet oskarżyć ją o szpiegostwo.

Na drugim piętrze odkryła pokój Symonda. Nie miała wątpliwości, że niebieski płaszcz należy do niego, nie dało się też nie zauważyć herbu na jego walizce. Dostał jedno z lepszych łóżek, a także odrobinę prywatności. W okolicy nikogo nie było, więc zaryzykowała i pospiesznie przeszukała izbę. Nie trafiła na ślad skradzionego edyktu, co wcale jej nie zdziwiło. Symond był zbyt sprytny, by zostawić dokument w miejscu tak oczywistym. Zresztą, nie była pewnie pierwszą osobą, która przeglądała jego rzeczy.

W istocie, nietrudno było dostrzec, że większość domu została przeszuwana, rozerwana, zdewastowana i splądrowana. Drewniane panele miejscami roztrzaskano w poszukiwaniu skrytek, niektóre materace rozcięto. Niemal w każdym pomieszczeniu podłoga była zasłana gruzem i szczątkami sprzętów.

– Czy ten dom obraził wasze matki, a może dopuścił się innego zła? – Zgódka zagadnęła młodego szeregowca, zajętego polerowaniem butów i wystarczająco znudzonego, by podjąć rozmowę.

– Cóż, zrobił z nas głupców – przyznał żołnierz. Rozejrzał się nieznacznie, by upewnić się, że nikt nie przyłapie go na pogaduszkach z wieszczką, po czym wskazał gestem, by za nim poszła, i pchnął najbliższe drzwi. W pokoju stało potężne łoże z baldachimem, niemal całkowicie odarte z eleganckich, zdobnych w hafty zasłon. – Widzisz tamte ukryte drzwiczki? – Rzeczywiście, po drugiej stronie pomieszczenia Zgódka wypatrzyła zarys drzwi, zakamuflowany za pomocą tej samej brązowej tkaniny, którą pokryto całą ścianę. Fragment materiału wisiał teraz zerwany, ukazując prawy górny róg prostokąta z bladego drewna, ale niegdyś przejście było całkowicie ukryte.

Młodzieniec przeszedł przez komnatę i pociągnął metalowe kółeczko, by otworzyć drzwi.

– Tajemny pokój, widzisz? – Oczom dziewczyny ukazała się maleńka izdebka, a w niej jedynie prosty materac, dzbanek i krzesło. – Kiedy wybuchła wojna, rodzina de Velnesse’ów, do której należał ten majątek, opowiedziała się po stronie króla – wyjaśnił żołnierz. – My tutaj, cała reszta – wytrenowane bandy, lokalna żołnierka – wybraliśmy parlament. Przyszliśmy całą gromadą do Whitehollow, by aresztować mieszkającego tu rycerza. Jego żona poddała dom, zarzekając się, że mąż wyjechał, a nasze oddziały zaprosiła do siebie w gości. Okazało się, że pan małżonek siedział ukryty w tajemnej izbie. Kolacja, jaką podała nam pani, była naszpikowana środkami nasennymi i tamtej nocy mężczyzna wymknął się na paluszkach, przez ten oto pokój, pełen śpiących żołnierzy, i we dwoje uciekli, zabrawszy tyle klejnotów i kosztowności, ile zdołali unieść. Tak więc pomyśleliśmy sobie, że skoro dom zaserwował nam taką niespodziankę, może jest ich więcej? Może gdzieś czeka ukryty skarb, którego nie dali rady ze sobą wziąć? Nie możemy liczyć na żołd, więc dlaczego nie mielibyśmy sami znaleźć sobie wynagrodzenia? A jeśli wiąże się to z rozłupaniem na drzazgi majątku zdrajców, tym lepiej dla nas.

Rozmowę przerwało pojawienie się starszego żołnierza, który obrzucił swojego szeregowego karcącym spojrzeniem. Zgódka odeszła, starając się wyglądać, w miarę swoich możliwości, władczo i wszechwiedząco.

W kilku miejscach znalazła luźne deski podłogowe, ale nic się pod nimi nie kryło. Sądząc po świeżych trocinach, optymistycznie nastawieni wojacy podważali je w nadziei odkrycia tajemnych schowków.

Kradną wszystko z wyjątkiem ścian – zauważył cicho Dobrzeżyj, a w jego głosie brzmiała nuta zdziwienia.

– Szlachetne armie tworzą tylko ludzie – odparła Zgódka najzyczliwiej jak umiała.

Dobrzeżij milczał. Może towarzysze krucjaty ukazali mu się w nowym świetle. A może nie czuł już tak wielkich wyrzutów sumienia z powodu kurczaka Axeworthów.

Było już przedpołudnie, a Zgódka rozpaczliwie zmuszała mózg do myślenia. W Grizehayes była ekspertką od wyszukiwania skrytek na różne rzeczy. Gdzie sama schowałaby edykt?

Musiało to być gdzieś pod dachem. Na zewnątrz nawet starannie zapakowany dokument byłby narażony na zmiany pogody. W kominie? Nie, za gorąco, podobnie jak w kuchni. Pralnia i spiżarnia z lodem – zbyt duża wilgoć. Poza tym Symond był lordem, więc unikałby miejsc, gdzie zawsze kręci się służba i które nie najlepiej zna – nie mógł być pewien, jak często je sprawdzano czy sprzątano.

Przede wszystkim edykt musiał znajdować się w miejscu, gdzie nie zająłby nikt z garnizonu żołnierzy pałających chęcią posiadania i rozerwania domu na strzępy w poszukiwaniu łupów. Dokument nie mógł być ukryty w niczym, co nadawałoby się do wypatroszenia, rozłupania czy ukradzenia.

Minęło południe – mruknął doktor. *Symond Fellmotte może wrócić w każdej chwili.*

Wiem. Żołnierze odmaszerowywali na obiad, więc na krótką chwilę większość pomieszczeń miała opustoszeć. Zgódka wiedziała, że może to być jej ostatnia szansa.

Czy mógł schować edykt na widoku, pośród innych papierzysek? Nie, drogi pergamin odróżniałby się od kartek, zresztą ktoś mógłby go podnieść, przeczytać. Chociaż...

Dziewczyna wślizgnęła się z powrotem do głównego holu. Papiery przypięte gwoździami do wewnętrznej strony drzwi trzepotały i powiewały w przeciągu. Ktoś sprytny mógłby na jakiś czas wsunąć pergamin pod afisze. Kiedy jednak pociągnęła kilka kartek za rogi, nie odkryła pod nimi poszukiwanego skarbu. Jej dumę i podniecenie zastąpiło rozczarowanie. Przez chwilę czuła się osobiście pokrzywdzona przez Symonda, że nie wybrał tak genialnej kryjówki.

Nie schował swojego drzewa w lesie innych papierzysek. A zatem gdzie?

Musi to być miejsce, które nikomu nie przyszłoby do głowy. Albo takie, które wszyscy uznaliby za już przeszukane.

Sprawdziła szybko – żadne roztrzaskane komody nie miały podwójnego dna. A tajemny pokój? Przemknęła do głównej sypialni i pociągnęła metalowe kółko, by otworzyć sekretne niegdyś drzwi. Nic z tego, pomieszczenie zostało starannie przeszukane. Nawet materac rozcięto i wyszarpięto mu wnętrzności.

Nagle inspiracja wkradła się do umysłu Zgódki niczym kot moszczący się na jej kolanach. Odwróciła głowę, by przyjrzeć się drzwiom, na których wciąż trzymała dłoń. Drzwiom niegdyś zakamuflowanym, z częściowo odebraną brązową tkaniną.

Kiedy inni na nie patrzyli, widzieli drzwi strzegące dostępu do tajemniczej izby. Nikomu nie przyszło na myśl, że mogłyby strzec również własnych tajemnic.

Bardzo ostrożnie Zgódka włożyła rękę pomiędzy drewno a brązowy materiał, wsunęła ją głębiej, szukając. Pod czubkami palców wyczuła pergamin.

* * *

Niespełna pół godziny później dziewczyna wyjrzała z wysokiego okna na dziedziniec i dostrzegła mężczyznę zsiadającego z konia. Poznała go natychmiast mimo dzielącej ich odległości. Symond Fellmotte powrócił do Whitehollow.

Z dziko bijącym sercem pobiegła do pokoju kuzyna, robiąc, co w jej mocy, by pozostać niezauważoną. Ledwo schowała się za drzwiami, pchnięto je i stanęły otworem.

Do izby wkroczył mężczyzna, który schylił się zaraz, by poluzować oficerki. Bez wątpienia był to złoty chłopiec Fellmotte'ów, choć w bladym świetle jego włosy nabrały szarawej, wyblakłej barwy, niczym smagana niepogodą pszenica. Kiedy dziewczyna zamknęła za nim drzwi, Symond odwrócił się gwałtownie, jedną ręką odruchowo sięgając po miecz.

– Przybyłam, by z tobą porozmawiać! – syknęła Zgódka, unosząc puste dłonie.

Szlachcic zamarł ze wzrokiem wbitym w dziewczynę i mieczem do połowy wyciągniętym z pochwy.

– Czynizgoda z kuchni. – Niedowierzenie pozbawiło jego głos wszelkich emocji.

– Jeśli mnie zabijesz, już nigdy nie ujrzysz swojego cennego edyktu! – wyrwała się bez namysłu.

– Co? – Symond zbladł jak ściana.

– Odkryłam pismo w sekretnych drzwiach i wyjęłam ze skrytki. Teraz ja jedna wiem, gdzie się znajduje, panie Symondzie.

Zmarszczył brwi i powoli wysunął miecz. Wymierzył go w dziewczynę.

– Kim jesteś? – zapytał, ważąc każdy dźwięk. – Niemożliwe, żebyś była Zgódką.

– Ależ możliwe – odparła twardo. – Nie załęgłi się we mnie Fellmotte’owie, jeśli tego się obawiasz, choć podejmowali niejedną próbę. Tobie powinnam za to podziękować. – Nie była w pełni wolna od obecności członków rodu, ale nie sądziła, aby informowanie Symonda o lady Morgan było w tej chwili dobrym pomysłem. – Uciekłam z Grizehayes. Tylko tak mogłam powstrzymać ich przed waniem we mnie duchów.

– A Kuba? – Symond rozejrzał się podejrzliwie po izbie. – Też tu jest? Pozwól mi z nim porozmawiać.

– Nie ma go. Przyszłam sama. Za to też powinnam ci podziękować.

– Sama? – Szlachcic nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia. – Ty głupia dziewczko! Zapędziłaś się właśnie do wrogiego garnizonu pełnego moich uzbrojonych po zęby przyjaciół i oświadczyłaś, że mnie okradłaś. Mów, gdzie mój edykt, albo upuszczę ci trochę krwi, a potem oddam w ręce władz jako szpiega.

– Doprawdy? – spytała Zgódka, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. – Ciekawe, co twoi nowi przyjaciele powiedzieliby na wieść o edykcie? Zakładam, że się nim nie chwaliłeś, bo inaczej opowieści o czarnoksięstwie Fellmotte’ów znalazłyby się w nagłówkach wszystkich biuletynów. Zresztą i tak nie są ci specjalnie oddani, prawda? Wielu z nich ma cię za szpiega rojalistów. Jak myślisz, co powiedzieliby, gdyby się dowiedzieli, że ukrywasz dekret z królewską pieczęcią?

Oblicze Symonda pociemniało i dziewczyna zrozumiała, że naprawdę mocno rozzłościła kuzyna. Obawiała się, czy nie przeszyje jej mieczem, pomimo groźby utraty edyktu. Nagle kąciki jego ust drgnęły i mężczyzna powoli schował broń.

Zgódka poczuła, że krew dudni jej w skroniach z podniecenia, zupełnie jak wtedy, kiedy przemyślała złoto.

– Po co tu przyszłaś? – Symond przyjrzał jej się spod przymrużonych powiek. – Czego ode mnie chcesz?

– Z kim innym łączą mnie wspólni wrogowie? Kto inny rozumie, kim naprawdę są? – Zgódka zaśmiała się gorzko pod nosem. – Nie mam już nawet Kuby.

– Co się stało? – spytał ostro Symond. – Zginął?

– Żyje, w pewien sposób. – Dziewczyna ugryzła się w język, nie chcąc, by z jej głosu zbyt mocno przebijały złość i gorycz. – Wbijając nóż w sir Antoniego, pozbawiłeś domu kilka zjaw, a Kuba... znalazł się pod ręką.

Symond uniósł brwi, ale Zgódka nie potrafiła stwierdzić, czy jego mina wyraża szok, skruchę czy po prostu zachodzący w jego głowie proces myślowy.

– Powinien był uciekać – rzekł cicho.

– Nie wszystkim tak łatwo przychodzi porzucanie towarzyszy broni – odezwała się ponuro, lecz zaraz przypomniała sobie, że przecież próbuje zawrzeć przymierze. – Nie obawiaj się, nie przybyłam z zamiarem odwetu. Może powinnam szukać zemsty, ale wolę przetrwać i żyć. Nie musimy się lubić, abyśmy byli dla siebie przydatni. – Zgódka uświadomiła sobie, że powtarza słowa doktora Szybkiego.

– Czego więc pragniesz? – odezwał się Symond tonem swobodnej rozmowy, ale dziewczyna czuła, że jego gniew wcale nie wygasł. – To szantaż?

– Nie. Wolałabym być z tobą na przyjacielskiej stopie, panie Symondzie, ale ty nie zawsze wykazujesz się szczerością i życzliwością wobec swoich przyjaciół. Zabezpieczyłam edykt, żebyś to ty nie zdradził mnie. Potrzebuję sojusznika i kryjówki. Co ważniejsze jednak, muszę dowiedzieć się więcej o Fellmotte'ach i ich duchach. Jesteś dziedzicem. Byłeś przygotowywany – z pewnością wiesz więcej niż ja. Muszą istnieć sposoby, żeby ochronić się przed zjawami. Żeby z nimi walczyć.

– Ja z nimi walczę – zaznaczył sucho Symond. – Tylko nie własnymi rękoma, lecz wojskiem parlamentu.

– To nie wystarczy! – zapaliła się Zgódka. – Muszę wiedzieć, jak pokonać duchy, które zajęły już czyjeś ciało. Muszę ocalić Kubę!

– Ocalić Kubę? – Młody szlachcic potrząsnął głową. – Za późno. Jeśli dokonało się Dziedziczenie, nie ma dla niego nadziei.

– Weszło w niego pięć zjaw, nie siedem – ripostowała Zgódka. – Sir Antoni stracił dwa duchy, gdy zostawiłeś go na pewną śmierć. Istnieje szansa, że Kuba nie został starty w pył.

– Nie ma większych szans – odparł Symond, ale zadumał się nieco.

– Warto zaryzykować, prawda? – Dziewczyna żywiła nadzieję, że w Symondzie tli się iskierka prawdziwej przyjaźni w stosunku do Kuby. – Bawiliście się w dzieciństwie, dorastaliście razem. Ufał ci! Był ci tak wierny, że pomógł ci okraść Fellmotte'ów!

– Zawsze lubiłem jego towarzystwo. – Symond odezwał się starannie wyważonym tonem, płaskim i precyzyjnym, jak w noc dziedziczenia przez jego ojca. – Kiedy z nim rozmawiałem, mogłem udawać, że świat jest prosty. Czułem się wtedy, jakbym ściągał zbroję. – Westchnął i ponownie pokręcił głową. – Powinien był zdezerterować wraz ze mną. Nie jestem za niego odpowiedzialny.

Zgódka przełknęła złość i postanowiła zmienić podejście. Młody arystokrata nie wymachiwał już przed nią mieczem, ale nadal mądrym posunięciem byłoby przekonać go, że wsparcie jej stanowi dla niego korzyść, nie

zagrożenie.

– Powiedz mi zatem, co wiesz o duchach, panie Symondzie, i mnie zostaw próby ratowania go. W zamian będę po twojej stronie. Tu nie jestem pomocnicą z kuchni. Jestem Cierpliwość Lott, osobistą prorokini Boga. Nawet lady Eleonora za mnie ręczy. Usłyszę, jeśli twoi pseudosprzymierzeńcy będą knuli przeciwko tobie. Ostrzegę cię przed niebezpieczeństwem. Mogą mi się też zdarzyć „wizje” przedstawiające twoją walkę w słusznej sprawie.

Pełen niedowierzania uśmiech powoli wypłynął na usta Symonda.

– Może i nie jesteś nawiedzona przez Starszych, ale jesteś odmieniona. Nigdy nie sądziłem, że to ty okażesz się bezlitosna.

Zgódka przyjrzała się uważnie Symondowi. Nigdy dobrze go nie знаła i nawet teraz miała wrażenie, że pełźnie po powierzchni jego lodowatej, nieodgadnionej fasady. Najwyraźniej i on nie potrafił rozgryźć dziewczyny.

– Wcale się nie zmieniłam – odparła. – Nigdy mnie nie znałeś. Nikt z was mnie nie znał. – Przyszło jej na myśl, że może sama nie wiedziała o sobie zbyt wiele.

ROZDZIAŁ 31

Symond wygrzebał zza łóżka butelkę rumu wraz z jednym kubkiem drewnianym i drugim – metalowym z grawerunkiem.

– Gdyby tutejsi panowie wiedzieli, że to mam, wszyscy wyciągaliby szyje i syczeli jak gęsi – powiedział chłodno. – Powariowali na punkcie modlitwy. Na Boga, dostają spazmów, ilekroć zaknę! Co za przyjemność z bycia żołnierzem, jeśli nie można pić i przeklinać? Rzecz jasna, sierżant wie, że znoszę tu sobie butelki, ale nie może mnie ukarać bez przyznania się, jak często przeszukuje mój pokój.

Nalał po odrobinie trunku i podał drewniany kubek Zgódce. Podejrzała, że wybór naczyń ilustruje warunki przymierza, które gotów był jej zaoferować – z nim w roli przywódcy i pana, nie partnera. Dziewczyna przyjęła kubek, zawahała się chwilę i wzięła łyk. Najrozsądniej było dopieścić jego dumę, przynajmniej w tym momencie.

– Moje przeznaczenie zostało mi wyjaśnione, gdy skończyłem dziesięć lat – rozpoczął Symond, wbijając wzrok w głąb swego naczynia. – Zaprowadzono mnie przed potężne drzewo genealogiczne wymalowane na ścianie kaplicy i opowiedziano o wspaniałych przodkach, z którymi pewnego dnia miałem osobiście się zapoznać. Byłem „nowym korytem, wyciosanym, by przyjąć wielką rzekę przeszłości”. Wtedy też przystąpiono do szkolenia mnie. Dziedzice rodu muszą ćwiczyć kurczenie umysłu i duszy, aby zrobić miejsce dla przyszłych gości. Infiltratorzy regularnie nas egzaminują. – Przyglądał się uważnie czubkowi swojego buta. – Zdarzało się, że... musieli przearanżować naszą wewnętrzną architekturę. Najwyraźniej efekty są bardziej satysfakcjonujące, jeśli prace trwają przez dłuższy czas, jak przy kształtowaniu roślinności ogrodowej. Lepiej tak, niż wysiec potrzebną przestrzeń w minutę.

– Przearanżowali ci duszę? – Zgódka była zbulwersowana. – Czy to cię nie zmieniło?

– Skąd mam wiedzieć? – Symond wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, jakim człowiekiem byłbym, gdyby te działania nie miały miejsca.

– Czego jeszcze cię uczyli? – Dziewczynie zaświtało w głowie, że może trzy lata harówki w kuchni wcale nie były takie złe. Dekada systematycznego prania mózgu była wysoką ceną, nawet za lordowskie przywileje i wygody.

– Cóż, z pewnością nie nauczyli mnie, jak przeciwstawiać się duchom przodków! Wręcz odwrotnie. Trenowałem, jak im ulec. – Gorycz wykrzywiła mu twarz. – Tłoczono mi do głowy, że mój los to nie tylko obowiązek, lecz także moja świetność i chwała. Dałem się omamić i gorliwie pragnąłem przyjąć zjawy. W końcu czym byłbym bez „wielkiej rzeki” prastarych dusz? Marnym, błotnistym rowem. Zacząłem jednak zwracać uwagę na pewne kwestie. Odgadłem, dlaczego jesteśmy potrzebni Starszym.

– Bezdomne duchy roztapiają się w nicość – podzieliła się spostrzeżeniem Zgódka.

– Owszem – przyznał Symond. – Nasze ciała chronią Starszych, nie pozwalając, by porwał ich wiatr. To jednak nie wszystko. Normalne duchy wypalają się tym szybciej, im więcej się poruszają, rozmawiają, działają. Zauważyłaś?

Dziewczyna pokiwała głową. Pamiętała, że kiedy Niedźwiedź szarżował na swoich dawnych dręczycieli, jego istota parowała z niego, ulatując w powietrze.

– Duchy zamieszkujące czyjeś ciało również się zużywają, ale potrafią się odnawiać. Siła przechodzi z żywego człowieka na zjawę. Są jak jemiola, spijająca moc z zielonego drzewa. Nie stanowimy wyłącznie ich schronienia. Służymy im za pokarm.

Zgódkę przeszył dreszcz, ale podana informacja miała sens. Jej własni mieszkańcy raz bywali aktywni, raz ospali. Użyczali jej siły i umiejętności, których nie posiadała, ale musiała przyznać, że bywała potem wyczerpana.

– Byłaś kiedyś świadkiem Dziedziczenia? – spytał znienacka Symond.

Dziewczyna wzdrygnęła się, po czym potrząsnęła głową. Nie chciała się przyznać, co widziała w wigilię Trzech Króli.

– A ja owszem – wyjawiał Symond i przez chwilę jego oblicze wydawało się wyzute z wszelkich emocji. – Mój ojciec – odezwał się po chwili milczenia – był moim bohaterem, nauczycielem, mentorem.

– Lubiłam sir Tomasza – wtrąciła subtelnie Zgódka. Kuzyn rzucił jej zdumione, rozkojarzone spojrzenie, a ona zdała sobie sprawę, że to, kogo darzyła sympatią, nie ma dla szlachcica najmniejszego znaczenia.

– Nie znałaś go – rzekł lekceważąco. – Wobec wszystkich potrafił być żartobliwy i wesoły, ale dla mnie był stanowczy i wymagający, bo nasze rozmowy miały znaczenie. Bałem się go, podziwiałem, starałem się zadowo-

lić. Nie będziesz w stanie pojąć więzi pomiędzy lordem a jego dziedzicem. Wspólny los oznacza o wiele więcej niż ta sama krew w żyłach. Lordostwo to święte zaufanie, obowiązek sprawowania opieki – majątek i tytuł mają nas w posiadaniu, w równym stopniu, w jakim my je posiadamy, i musimy przekazać je dalej bez skazy.

Przez chwilę Symond nie brzmiał jak on i Zgódce nietrudno było wyobrazić sobie sir Tomasza wypowiadającego te słowa.

– Zawsze zagrzewał mnie do bycia najlepszym we wszystkim i kiedyś wreszcie wyznał dlaczego. Nie wszystkie dusze Fellmotte'ów są zachowywane – jedynie tych, którzy mieli najwyższą wartość dla rodziny. Wiedziałem więc, że pewnego dnia, kiedy wezwą mnie Starsi, położą moje życie na szali. Odbędzie się mój własny sąd ostateczny. Gdyby uznali moje znaczenie dla rodu, żyłbym wiecznie pośród nich. Jeśli nie, odebraliby mi ciało, a duszę zgnetli w pył. Miałem wszystko do zyskania – i wszystko do stracenia, więc wypruwałem sobie żyły, próbując ich zadowolić. Wtem nadszedł sąd ostateczny dla mojego ojca. Mojego rodziciela. Dobrze wiedziałem, jak ciężko pracował dla rodziny, jaki był uczony, jaki lojalny... – Symond potrząsnął głową, a na jego twarzy malował się spokój nielicujący z jego słowami. – Wszystko na nic. Stwierdzili, że nie jest dość dobry. Zmiażdżyli go. Stałem tam i patrzyłem, jak to się dzieje.

Zgódka słuchała, niepewna swych własnych uczuć. Opowieść Symonda budziła w niej litość, lecz przecież on sam nie wykazał się miłosierdziem w bitwie pod Hangerdon Hill. Nawet teraz jego reakcje zdawały się nieadekwatne.

– Opisać ci, jak to było? – spytał nagle odrażająco swobodnym tonem. – Miałem miejsce w pierwszym rzędzie.

Dziewczyna powoli skinęła głową. Była świadkiem części obrzędu, ale kuzyn znajdował się bliżej. Dołał sobie trunku.

– Infiltratorka pierwsza wydostała się z mojego dziadka – rozpoczął. – Widziałem, jak wślizguje się do środka przez usta ojca. Pozostali kolejno wpływali za nią. Podejrzewam, że tata pod koniec stawiał opór... ale nic mu to nie dało.

Zgódka milczała, wspominając udręczone oblicze sir Tomasza. Żołądek ścisnął jej się z żalu.

– Powiedzieć ci ciekawostkę? – ciągnął Symond tym samym chłodnym tonem. – Duchy nie były jednakowe. Infiltratorka zdawała się mniejsza, ale zdrowsza, pełniejsza. Pozostali byli więksi, ale... zdeformowani. Widziałas kiedyś dwa jabłka, które wyrosły na jednym ogonku, zbyt blisko siebie, tak że się zniekształciły?

O, interesujące – zauważył w głowie Zgódki doktor Szybki.

– Dlaczego miałyby być mniejsza? – spytała zaintrygowana dziewczyna.

– Wychodzi ze skorupy częściej niż inne zjawy – odparł bez wahania Symond. – Sądzę, że jej istota wykrwawia się tu i ówdzie.

Zgódka nigdy się nad tym nie zastanawiała. „Infiltracja” była tak strasznym doświadczeniem, że dziewczynie nie przyszło do głowy, jakie niebezpieczeństwa niesie dla wykonawcy.

– Może to tłumaczyć, dlaczego wygląda inaczej – rozważał tymczasem Symond. – Infiltratorka musi być w stanie utrzymać się w jednym kawałku poza ciałem, a pozostali Starsi nie mają takiej potrzeby. Może egzystencja w skorupie pozwala im... zmięknąć.

– Co wiesz o Infiltratorce? – Zgódka zastanawiała się, czy przebiegła lady Morgan podsłuchuje.

– Lady Morgan Fellmotte – młody szlachcic natychmiast przystąpił do prezentacji. – Według standardów Starszych jest prostym żołnierzem. To jedna z trzech kobiet, jakie kiedykolwiek przyjęli do swojego towarzystwa, a w jej żyłach nie płynie nawet krew Fellmotte’ów – weszła do rodziny przez małżeństwo. Jest też jedną z najmłodszych zjaw, w chwili śmierci miała zaledwie trzydzieści lat. Dlaczego pytasz?

– Byłam ciekawa, jak Starsi typują Infiltratorów – odparła wymijająco Zgódka. – Ciągną losy?

– Mam podstawy sądzić, że zadanie przydzielane jest duchowi najniższemu rangą. Kto chciałby się go podejmować? Infiltratorzy ciągle się zużywają.

– Skoro zjawy Starszych są rozmiękłe, jak mogą miażdżyć dusze żywych? – spytała Zgódka. – Dlaczego sir Tomasz nie mógł im się przeciwstawić?

– Nie jestem pewien. Starsi korzystają z przewagi liczebnej i doświadczenia. Nie mają też wątpliwości i skrupułów. To potwory, ale pewne siebie. Są swoją własną religią.

Wiara w siebie – odezwał się doktor w głowie Zgódki. *A tak, to możliwe.*

– Wiedziałem, że jest szansa, żeby Fellmotte’owie zachowali mojego ducha – dodał cicho Symond. – Chwalili mnie sobie. Ale ich względy były śliskie i samolubne. Nie mogłem być ich pewien, zresztą nawet gdyby moja dusza ocalała, mogliby ją zmusić do pełnienia funkcji Infiltratora. Zacząłem więc snuć własne plany, zawiązywać własne układy.

– Jak to możliwe, że Starsi nigdy cię o nic nie podejrzewali? – spytała Zgódka. – Potrafią stwierdzić, kiedy ktoś kłamie lub coś ukrywa. Na mnie nie zwracali uwagi, bo nie byłam godna, ale ty, ich cenny dziedzic? Całe lata

knuleś przeciwko nim, a oni się nie zorientowali. Wbiłeś sir Antoniemu nóż pod żebra, a on niczego się nie spodziewał! Dlaczego?

– Starsi nie umieją czytać nam w myślach, choć z przyjemnością utrzymują nas w przekonaniu, że tak jest – odparł Symond. – Są bardzo starzy, i tyle. Ludzkie twarze i zachowania są czytelne niczym książka, a oni mieli dużo czasu, żeby nauczyć się ją odcyfrować. Każdy pewnymi szczegółami zdradza swoje uczucia – błyskiem w oku, zająknięciem, drżeniem rąk.

– Jak zatem zachowujesz swoje emocje w tajemnicy? – chciała wiedzieć Zgódka.

– Och, bez problemu. Potrafię się zmusić do nieodczuwania, kiedy tylko zechcę. Od lat ćwiczę tę sztukę. Jest łatwiejsza, niż się wydaje.

Dziewczyna powoli pokiwała głową, starając się zachować wyraz zamyślonego skupienia. Żywi ludzie zwykle nie przyprawiali jej o gęsią skórę, ale Symond najwyraźniej stanowił wyjątek. Nie mogła powstrzymać myśli, że „przearanżowanie jego wewnętrznej architektury” poskutkowało jednak być może pewnymi wypaczeniami.

Męczyło ją jeszcze jedno pytanie.

– Panie Symondzie, kiedy dźgnąłeś nożem sir Antoniego... jak udało ci się uniknąć opętania jego duchami?

Na usta szlachcica wypełził uśmiech. Zgódka podejrzewała, że kuzyn jej nie lubi, ale najwyraźniej była dość błyskotliwa, by wzbudzić jego zainteresowanie.

– Nie jesteś całkiem głupia, co? – raczył zauważyć. – Masz rację – dwie ze zjaw zamieszkujących jego ciało wyskoczyły z niego i próbowały zająć moje. Jedna z nich dostała się do środka, zanim zdołałem temu zapobiec. – Symond roześmiał się, widząc przerażone spojrzenie Zgódki. – Nie mdlej mi tu. W moim ciele jest tylko jeden duch, i to mój własny.

– Zatem wiesz, jak zwalczać zjawy Fellmotte’ów! – W Zgódce na powrót obudziła się nadzieja.

– W pewnym sensie. – Szlachcic dopił swój rum. – Z czasem odkryłem, jak się bronić. Duchy stały się moim hobby i tematem badań. Całkiem niezły ze mnie naukowiec. Naprawdę chcesz wiedzieć, jak pozbyłem się tego intruza?

Dziewczyna z zapalem pokiwała głową.

– Może więc jutro ci to zaprezentuję. Odbędzie się tu... polowanie, że tak to ujmę. Kiedy rozpoczną się łowy, trzymaj się blisko mnie.

– Mój panie – spróbowała ostrożnie Zgódka – czy nie byłoby prościej, gdybyś mi to jednak wyjaśnił?

– Nie – uciął Symond, który zdawał się czerpać radość z sobie tylko zna-

nego dowcipu. – Wolałbym cię nie przygotowywać. Chcę się przekonać, co zauważysz i jak sobie poradzisz, gdy nadejdzie właściwa chwila. Podejź do tego jak do testu osobowości.

Zgódka walczyła z poczuciem dyskomfortu. Mimo wszystko wyglądało na to, że ma pewne wsparcie. Zdobyła wiele cennych informacji, a i dla Kuby rozbłysło światełko nadziei.

Niemniej jednak porywający dreszcz władzy, który przeszył ją na początku rozmowy, dawno już zniknął. Niezależnie od rozwoju sytuacji nie miała już nic do powiedzenia.

Obmierzły drań – zawyrokował później doktor. *Choć nie można mu odmówić rozumu.*

Zgódka zakończyła konwersację z Fellmotte'em z obawy, że ktoś zauważy jej nieobecność. Podejrzewała, że jej reputacja świątobliwej wieszczki mogłaby ucierpieć, gdyby odkryto ją popijającą rum w sypialni mężczyzny. Udała się więc do komórki, by odbyć „medytację na osobności”.

Chyba nie spostrzegł żadnego z was – myślała dziewczyna. *Choć w zasadzie nie wiem dlaczego.*

Lady Morgan wydaje się ekspertką w ukrywaniu się – mruknął Szybki. *Twojemu miśkowi trafiła się akurat faza snu, jeśli jeszcze nie zauważyłaś. My z purytaninem uznaliśmy za właściwe, by się nie wychylać, więc trwaliśmy w starannym bezruchu oraz milczeniu.*

Zatem przelamaliście lody, pan i pan Tyler? – Zgódka nie potrafiła powstrzymać uśmiešku.

Na tyle, na ile to konieczne. – Ton doktora był ponury. *Tyler jest przekonany, że zmierza wprost do piekła. Podzielam jego zdanie, ale to chyba jedyna kwestia, w jakiej się zgadzamy. Niemniej jednak zeszłej nocy, kiedy spałaś, doszliśmy do pewnego porozumienia. Czy zamierzasz oświecić Symonda Fellmotte'a co do naszej obecności? W szczególności ciekawi nas, czy planujesz poinformować go, że pewna poirytowana mistrzyni szpiegostwa, reprezentująca ród Fellmotte'ów, przysłuchiwała się całej waszej rozmowie.*

Nie – odparła stanowczo dziewczyna. Może okazać się przydatny jako sprzymierzeniec, ale nie ufam mu za grosz. – Prędzej włożyłabym rękę do gniazda żmij.

Zatem po co tu jesteśmy? – nie pojmował lekarz.

Bo nie mam gniazda żmij, które pomogłoby mi ocalić Kubę. – Zgódka westchnęła z bólem.

Jeśli mowa o żmijach, lady Morgan nadal nie wyściubia nosa – zauważył

doktor. *Jestem pewien, że to tylko kwestia czasu, żeby wywinęła jakiś numer.*

Racja. – Zgódka przytaknęła milcząco. Jedna rzecz przemawia jednak na naszą korzyść. Lady Morgan jest idiotką.

Nasza lady może nam się właśnie przysłuchiwać – zaznaczył ostrożnie Szybki.

Mam nadzieję, że tak jest! – odparła dziewczyna. Tylko idiota walczyłby, żeby wrócić do służby dla bandy starych brodaczy, którzy mają za nic to, co się z nią stanie! A gdyby postanowili zrekrutować Symonda do swojej koterii? Kogo wypchnęliby, żeby przygotował dla nich miejsce?

Jeśli Morgan faktycznie im się przysłuchiwała, pozostawiła tę wypowiedź bez komentarza.

Tak czy inaczej – ciągnął doktor głosem pełnym tłumionego podniecenia – sądzę, że twój nowy sprzymierzeniec ma rację w istotnej kwestii. Jego teoria wyjaśniałaby pewną osobliwość, którą odnotowałem. My, duchy – pasażerowie, toniemy w mroku, ilekroć zamykasz oczy. Z początku myślałem, że to dlatego, że twój wzrok jest nam konieczny, by widzieć świat. Ale skoro twój Niedźwiedź patrzy twoimi oczami – ludzkimi oczami – to jakim cudem widzi w ciemności jak zwierzę?

Zjawy są tajemnicze, nie podlegają prawom natury i łamią boskie zasady – odparła Zgódka, zdezorientowana i nieco zniecierpliwiona. Niektóre sprawy pozostaną niepojęte. Równie dobrze mógłby pan dociekać, skąd u czarownic umiejętność latania.

A, dajże spokój! – warknął doktor. Nasza egzystencja może i jest koszmarem na jawie, ale na pewno obowiązują jakieś prawa. Uważam, że Symond Fellmotte odkrył prawdę. Kluczem są oczekiwania. Wiara. Sądzę, że duchy potrafią widzieć bez korzystania z oczu ich żywego gospodarza. Niemniej jednak jesteśmy przyzwyczajeni do ciał, którymi niegdyś dysponowaliśmy. Twój misiek wierzy, że tylko przez otwarte oczy może coś ujrzyć. Spodziewa się jednak przenikać wzrokiem mrok. Słuszność mojego wyводу tłumaczyłaby, dlaczego wokoło jest tak niewiele duchów. Dusze zmarłych stają się zjawami tylko wówczas, gdy tego oczekują.

Niedźwiedź niczego nie oczekiwał! – Zgódka zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Ale... szalał ze złości, gdy zginął. W zasadzie nie jestem pewna, czy w ogóle zauważył, że umarł.

Więc jego duch został – powiedział lekarz zadowolony. Są i ci, którzy giną w rozpacz i zwątpieniu, myśląc, że ich dusze już przepadły, jak twój przyjaciel purytanin. A są i tacy – jak uprzywilejowani Fellmotte'owie – którzy umierają, wiedząc, że ich dusze zajmą nowy dom...

A pan, doktorze – rzekła Zgódka, czując, jak zalewają ją wyrzuty sumie-

nia. Pan spodziewał się zostać duchem, bo przekonałam pana, że to możliwe.

Co tam, nieważne – uciał szybko i stanowczo Szybki. Zjawy Fell-motte'ów przeżywają z wieku na wiek, triumfując nad duszami gospodarzy, bo święcie wierzą, że mają do tego prawo. Ich pewność siebie i dzika arogancja to ich największa siła. Jeśli chcesz ich osłabić, znajdź sposób, by skruszyć tę pewność. Podważ ich wiarę. Niech wątpią.

ROZDZIAŁ 32

Następnego ranka Symond całkowicie ignorował Zgódkę. Nikt nie powinien podejrzewać, że się znają, gdyż wówczas ktoś mógłby zauważyć u obojga ten sam nieznaczący dołeczek w brodzie.

Niestety oznaczało to, że dziewczyna nie miała sposobu, by dowiedzieć się, co Symond miał na myśli, mówiąc o „polowaniu”. W rzeczywistości Whitehollow zdawało się szykować na zgoła inne wydarzenie.

Wysprzątało salę balową, okna wypolerowano na błysk, a stoły i krzesła ustawiono jak na przyjęcie. Na cynowych talerzach wyłożono małą ucztę – ozorki, cielęcinę, pasztet z przepiórek, pieczywo i ser. Było to nic w porównaniu z pełnymi przepychu bankietami w Grizehayes, ale wystarczyło, by móc spodziewać się gości wyższej rangi.

– Co się tu dzieje? – Zgódką spytała szeregowego, który wkładał świece do kandelabrow w sali balowej. Taka ekstrawagancja sugerowała ważną uroczystość.

– Będziemy tu mieć wesele, panno Lott – poinformował grzecznie. – Bratanek generała żeni się z córką członka parlamentu. Przyjadą tu po południu wraz z przyjaciółmi i rodziną.

Przydałyby się jakieś dekoracje – mruknął ponuro doktor. Krokwie były gołe, brakowało kwiatów.

Małżeństwo to sprawa Boga – odparł rzeczowo Dobrzeżyj. *A On nie dba o falbanki i kokardy.*

Zgódką ucieszyła się, słysząc głos wojaka. Od jakiegoś czasu milczał. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak musi się czuć otoczony żołnierzami armii, którą porzucił. Bała się, czy nie zacznie znów rwać się na strzępy.

Pierwszymi przybyłymi gośćmi byli trzej surowi, ubrani na czarno mężczyźni. Ku zdumieniu Zgódki obdarzyli sierżanta i pozostałych oficerów krótkim, chłodnym skinieniem głowy, po czym stanęli na stronie z Symondem, z którym odbyli cichą, lecz żarliwą rozmowę.

Młody szlachcic przyjął ich z typową dla siebie pozorną obojętnością, ale dziewczyna dostrzegła w jego zachowaniu ślady podekscytowania. W pew-

nej chwili chwycił ją za rękaw.

– Pamiętaj, kiedy rozpocznie się polowanie, trzymaj się blisko mnie.

– Kiedy to będzie? – spytała. – Po ślubie? Nie znajdę sobie powodu, żeby wziąć w nim udział, skoro nie wiem nawet, kiedy się odbywa.

Zaśmiał się pod nosem.

– Całe wesele to pewnego rodzaju łowy – szepnął. – Rodziny planowały zorganizować je w majątku generała za kilka miesięcy... ale przeniesienie go tutaj, teraz, pozwala im zaprosić pewnych gości, którym stanowczo nie wypada odmówić. To – wskazał ręką drzwi do przestronnej sali balowej – jest włącz pułapki.

– Pułapki?

– Jednym z naszych biesiadników będzie szpieg w tajnej służbie króla – wyjaśnił z wyraźnym zadowoleniem Symond. – Mamy już dowody, ale niestety szpieg pochodzi ze szlacheckich kręgów. Jeśli zapukamy do jego drzwi i podejmiemy próbę aresztowania, służba postara się pewnie zorganizować ucieczkę. Dlatego właśnie zwabiliśmy szpiega tu, z dala od służących i wszelkiego wsparcia.

Ta rozmowa zniesmaczyła Zgódkę. Przymierze z Symondem oznaczało przynajmniej chwilowe przyjęcie barw parlamentu, ale jej epizod z tajną służbą dla jego królewskiej mości sprawiał, że mimowolnie współczuła niczego niespodziewającemu się szpiegowi.

Po lunchu wilgotna poranna mgiełka zgęstniała w mleczną mgłę, pozbawiając trawniki i zabudowania gospodarskie wszelkich szczegółów. Sierżant wysłał ludzi na drogę, aby poprowadzili gości do domu, i około piętnastej przybyli oblubieńcy i weselna świta.

Generał miał zaciętą minę i starannie przystrzyżoną brodę, a jego bratanek był jego młodszym, szczuplejszym, gładko ogolonym odpowiednikiem. Cicha, nerwowo uśmiechnięta panna młoda została wprowadzona do środka przez gadatliwą matkę. Zgódka jednakże ledwo na nie spojrzała.

Zamiast tego jej uwagę przyciągnęła elegancko ubrana para dosiadająca jednego konia, kobieta z tyłu, za mężczyzną. Dżentelmen zsiadł i pomógł zejść żonie, lecz w jego galanterii więcej było formalności niż uczucia.

Spod kapelusza owej małżonki wystawały ogniście rude włosy, a jej pociągła, śmiała twarz usiana była czarnymi, jedwabnymi łatkami. Była to Helena, szpieg rojalistów, awanturniczka i przemytniczka złota.

Dziewczyna czmychnęła za róg budynku, zanim Helena zdołała ją dostrzec. Ze swej kryjówki obserwowała, jak mąż rudowłosej serdecznie ściska dłoń generała. Wydawało się, że panowie są bliskimi przyjaciółmi.

Po co Helena tu przyjechała? Przez chwilę Zgódka zastanawiała się, czy

kobieta przez cały czas nie stała po stronie parlamentu, przenikając szpiegowską siatkę rojalistów w roli podwójnej agentki. Ale nie, było to mało prawdopodobne. Żaden wysłany przez parlament podwójny agent nie oddałby królowi tyle złota.

Nie, było o wiele bardziej realne, że Helena jest w istocie w służbie monarchy, ale na co dzień udaje wsparcie dla parlamentu. Symond powiedział, że ma dowody potwierdzające tożsamość królewskiego szpiega, kogoś spośród szlachty, z własnym majątkiem... kogoś takiego jak Helena.

Serce Zgódki biło jak szalone. Jej koleżeństwo z rudowłosą było farszą zbudowaną na jej własnych kłamstwach, ale darzyła kobietę szczerą sympatią.

Co powinna zrobić? Najbezpieczniejszą i najlogiczniejszą opcją było trzymanie się z dala od Heleny. Nie wiedząc o obecności dawnej towarzyszki w Whitehollow, rudowłosa nie mogła jej zdradzić w przypadku ujęcia przez stronników parlamentu. Zgódka jednak stanowczo odrzuciła to rozwiązanie.

Jak jeszcze mogła się zachować? Nawet gdyby była dość szalona, by spróbować uprzedzić Helenę, jak miałyby tego dokonać? Ruda jest z pewnością pod stałą obserwacją, co uniemożliwia dyskretną wymianę zdań. Pewnie królewscy szpiedzy mieli swoje sposoby informowania się o niebezpieczeństwie, ale Zgódka ich nie знаła.

Nagle uświadomiła sobie jednak, że jest ktoś, kto dysponuje potrzebną jej wiedzą. Znalazła cichy kąt, gdzie mogła się skupić, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

Lady Morgan – pomyślała. Potrzebna mi twoja pomoc. Chcę powiedzieć Helenie, że weszła wprost w pułapkę. Czy istnieje sposób, by ją ostrzec?

Zwariowałaś? – zaperzył się doktor. Jeśli ta kobieta wyjdzie z tego żywa, odjedzie stąd z wiedzą o tobie i Symondzie! Wieść o tym dotrze do Fellmotte'ów!

Chyba oszalałam, tak, być może! – przyznała Zgódka. Wiem, że Helena nigdy nie zaryzykowałaby powodzenia misji dla mojego dobra... ale wierzę, że w sytuacji awaryjnej zaryzykowałaby życie. O, nie zamierzam siodłać dla niej konia ani dobywać pistoletu w jej obronie. Chcę jednak dać jej szansę równej walki.

Cisza trwała.

Morgan. – Dziewczyna spróbowała raz jeszcze. Może zawzięłaś się, żeby być moim wrogiem, ale Helena w niczym ci nie zawiniła – jest z tej samej gliny co ty. Ty również za życia byłaś szpiegiem, prawda? Pamiętasz, jak to jest żyć tak jak ona?

Po chwili milczenia gdzieś z cienistych zakamarków umysłu Zgódki dobiegł znajomy, hardy głos.

Znajdź kawałek papieru, który mogłabyś jej przekazać bez zwrócenia na siebie uwagi – poleciła Morgan. Butelka, którą ukradłaś lady April, zawiera wyciąg z karczocha – cokolwiek napiszesz, pozostanie niewidzialne.

Zgódka natychmiast ruszyła do drzwi, zdjęła kilka przypiętych tam religijnych traktatów, po czym pospieszyła do swojej sypialni. Zanurzyła pióro w soku z karczocha niczym w atramencie i na marginesie jednego z tekstów zamieściła krótkie ostrzeżenie:

Wesele to pułapka. Uciekaj, jeśli możesz.

Rzeczywiście, płyn na chwilę zmoczył papier, po czym wysechł bez śladu.

Jak to odczyta? – spytała Zgódka.

Pismo pojawi się, kiedy ogrzeje je nad płomieniem świecy – wyjaśniła mistrzyni szpiegostwa. Zrób paznokciem znak w rogu strony, żeby wiedziała, że powinna szukać ukrytej wiadomości.

* * *

Zgódka drżącymi rękami wniosła plik traktatów do sali balowej. Złowiła kilka zdziwionych spojrzeń, kiedy zaczęła rozdawać kartki, lecz i tak reakcja na jej zachowanie była stosunkowo stonowana. Po wieszczkach należało się spodziewać dziwactw.

Większość gości siedziała w niewielkich oknach wykuszowych, plecami do młeczej bieli spowijającej świat za szybkami. Helena, usadowiona pomiędzy panną młodą a inną damą, zdawała się całkowicie dominować konwersację. Sądząc po tym, jak jej towarzyszki dusiły chichot wachlarzami, jej dowcipy były nieco skandaliczne.

Dziewczyna zatrzymała się przed ławeczką w oknie, nieco niezręcznie dygnęła, po czym wsunęła traktat w oporne dłonie każdej z pań. Wtem wzrok Heleny spoczął na twarzy Zgódki.

Przez ułamek sekundy w oczach rudowłosej zapłonął szok rozpoznania. Wyraz ten był jednak tak ulotny, że nie wychwycił go nikt poza dziewczyną. W następnej chwili Helena odrzuciła głowę, by zaśmiać się ze słów oblubienicy, jakby Zgódka była kompletnie niewidzialna.

Dziewczyna poszła dalej, rozdając kolejne teksty. Oszołomiona, bąknęła coś niezrozumiale w odpowiedzi na żartobliwe zaloty czerwonołicego dżentelmena. Dostrzegła, że Helena pogodnie przeprasza towarzystwo i wycho-

dzi z sali.

Kiedy po chwili wróciła do gości, jej uśmiech zdawał się sztuczny, na siłę przyklejony. Pan o zaczerwienionej twarzy przywitał ją jak dobrą znajomą, zasypując lawiną jowialnych komplementów, i próbował przekonać ją, by udała się z nim na stronę, gdzie poczytałby jej poezję. Zbyła go jednak, spiesząc bezpośrednio do swojego męża. Przechodząc obok nich, Zgódce udało się wychwycić urywek ich przyciszonej rozmowy.

– Coś mi zaszkodziło – wymamrotała Helena. – Słabo się czuję. Mój drogi... Chyba powinnam wrócić do domu.

– Czy choć raz mogłabyś nie przynieść mi wstydu? – warknął jej mąż. – Skoro masz się na tyle dobrze, by usiąść w siodle, to dasz radę zostać i wymieniać uprzejmości. Zresztą, gdybyś wzięła konia, jak miałbym wrócić do domu?

W tej chwili do sali weszli poważni, ubrani na czarno panowie. Wnieśli z sobą aurę kompletnie nielicującą ze świątecznym duchem, jakby grupa kostuch wkroczyła na teren pikniku. Nawiązali kontakt wzrokowy z Symonem i skinęli głowami. Helena również ich dostrzegła i zbladła jak ściana.

Czas się skończył. Trzej panowie w czerni spokojnie i milcząco przeszli przez salę, kierując się ku rudowłosej i jej mężowi...

...i dalej. Zatrzymali się przed rumianym jegomościem, który próbował flirtować ze Zgódką.

– Sir – rzekł jeden z ponuraków. – Ufam, że pozwoli pan z nami, oszczędzając towarzystwu nieprzyjemności.

Spojrzał na nich i otworzył usta, jakby miał mu się z nich wyrwać okrzyk protestu lub zaprzeczenia. Zaraz jednak je zamknął i długo, powoli wypuszczał powietrze z płuc. Rzucił przepaszający półuśmiech pozostałym gościom, obserwującym go ze strachem, zaciekawieniem, dezorientacją lub podejrziwością.

Ujawniony szpieg podniósł się ciężko i dopił wino. Nagle cisnął kielich w twarz najbliższego wroga i rzucił się ku drzwiom, zaskakując wszystkich. Zgódka odskoczyła z drogi, gdy szarżował obok niej.

– Barykadować główne drzwi! – dobiegł ją czyjś krzyk. Rozległ się brzęk. – Wyskoczył przez okno! Na trawnik!

Wszyscy wojskowi wypłynęli falą z sali balowej, a za nimi większość służących i gości. Drzwi frontowe otwarto na oścież i wszyscy wylali się na zewnątrz. W gęstej mgle Zgódka widziała jedynie odległą postać biegnącą ku linii drzew. Wtem zbieg zatrzymał się i gwałtownie zmienił kierunek ucieczki. Czający się w cieniu żołnierze wypadli ze swej kryjówki i rzucili się w pogoń. Najwyraźniej ci, którzy zaplanowali pułapkę, na wszelki wypa-

dek zorganizowali i tę zasadzkę.

Zerkając przez ramię, dziewczyna widziała większość gości weselnych zgromadzonych przed domem. Na twarzy Heleny malowały się szok i przerażenie.

Dowódca mężczyzn w czerni zbliżył się z Symondem u boku. Starszy mężczyzna badał palcami rozcięcie na czole – ślad po uderzeniu kielichem.

– Miałeś rację – powiedział do Symonda. – Rzeczywiście spróbował ucieczki. Spodziewałem się odrobinę więcej godności.

– Ja nie – skwitował młodzieniec. Odziany na czarno człowiek szedł dalej, ale Fellmotte schwycił spojrzenie Zgódki i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Czas na polowanie – szepnął. – Trzymaj się blisko mnie.

Zdezorientowany tłum zaczął błądzić we mgle, goście wkrótce potracili się z oczu. Nawoływania niosły się echem w ponurej aurze.

– Tam! Widzę go! Stać!

– Zatrzymajcie go, zanim dotrze do drzew!

Dwukrotnie rozległ się ostry trzask, jakby burza łamała konary.

– Zdrajca padł na ziemię! Wołajcie lekarza!

Symond ruszył biegiem w stronę, z której dobiegło to ostatnie wołanie, a Zgódka popędziła za nim z zaschniętymi ustami. Dwóch mężczyzn stało nad trzecim, leżącym u ich stóp. Z domu wybiegł człowiek ze skórzaną torbą, przeciął trawnik i ukląkł przy rannym. Dziewczyna odgadła, że musi być wezwanym chirurgiem.

– Wyratuje go pan? – spytał jeden z oficerów. – Mamy do niego pytania!

– Jakiś geniusz wystrzelił mu w głowę z przyłożenia! – parsknął lekarz.

– Musiałbym mieć chochlę, żeby pozbierać jego mózg!

Zgódka poczuła dym wystrzału. Nie był to słodki, jakby żywy zapach dymu znad kuchni czy paleniska z drewnem. Miał gorzki, metaliczny posmak i przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, czy taka właśnie woń panuje w piekle.

– Potrzeba noszy! – zawołał jeden z żołnierzy. Drugi wyjął z kieszeni Biblię i przyglądał się bacznie stronie, próbując przeczytać coś na głos, choć przeszkadzała mu gęsta mgła.

Symond podszedł do ciała i przyklęknął przy nim. Przypominał Zgódce kota przy mysiej dziurze. Nagle zeszytniał, jakby ów kot dostrzegł machnięcie mysiego ogonka. Dziewczyna również coś zauważyła – mglistą smużkę unoszącą się nad zwłokami, ni to parę, ni dym.

Z całą pewnością był to duch, bardzo błądy i potargany. Wyczuł potencjalne schronienie w osobie Symonda i niepewnie migotał w kierunku jego twarzy.

Tylko Zgódka była dość blisko, by ujrzeć uśmiech młodego Fellmotte'a. Gdy zjawia się do niego zbliżyła, obnażył nagle zęby i z sykiem wciągnął powietrze, jakby chciał wessać całego ducha do płuc. Jego oczy lśniły drapieżnym podnieceniem.

Zjawia cofnęła się z przerażeniem. Przez sekundę miotła się, zagubiona, po czym pomknęła przez trawnik, uginając po drodze źdźbła trawy. Nie wielki krzak zadrżał niemal niewidocznie, jakby ktoś go potrącił, a z listków posypały się kropelki wody. Nikt poza Zgódką i Symondem nie zwrócił na to uwagi – wszyscy w okolicy skupiali się na zwłokach.

Młody szlachcic skoczył na równe nogi i ruszył w pogoń. Dziewczyna biegła kilka metrów za nim, starając się nie stracić go z oczu. Posuwał się zygzakami i domyśliła się, że duch szpiega próbuje zgubić pościg, tak jak mężczyzna czynił to za życia. Teraz Symond pędził ku linii drzew. Być może zjawia trzymała się jeszcze ostatniej tłącej się iskierki nadziei, że jeśli dotrze do lasu, będzie bezpieczna.

Zgódka wpadła w zarośla za kuzynem, czując na nogach uderzenia paproci. Tu i ówdzie spowite mgłą gałęzie wyłaniały się znienacka na wysokości jej twarzy, zmuszając do schylania się. Nie traciła z oczu jasnych włosów Symonda i jego ciemnego płaszcza, lawirującego między pniami drzew.

Wspięła się na leżącą kłodę, potknęła i wypadła na niewielką polanę, gdzie zastała Symonda na klęczkach, z zaciśniętymi powiekami, grzebiącego w martwych liściach.

Na dźwięk jej kroków otworzył oczy i posłał jej uśmiezek pełen samozadowolenia.

– Mam go – pochwalił się.

Na ułamek sekundy skurcz wykrzywił jego twarz. Przez tę jedną chwilę zdawało się, że ktoś inny wygląda z jego oczu w bólu przerażenia i rozpacz. Potem na jego usta znów wypłynął znajomy, drapieżny uśmiech i mężczyzna na powrót stał się Symondem.

– Coś ty zrobił? – wypaliła, zbyt wystraszona, by dbać o grzeczność i szacunek.

– Schwytałem zdrajcę – wyjąwił Fellmotte, a Zgódka miała wrażenie, że czerpie satysfakcję z jej reakcji.

– Duch szpiega jest w tobie? – Dziewczyna znów ujrzała drobny spazm.
– Po co? Dlaczego to uczyniłeś?

– Widzisz, moi „nowi przyjaciele” w armii parlamentu są bardzo wymagający. Wciąż żądają, abym dostarczał świeżych informacji, które mogliby wykorzystać przeciwko rojalistom. Muszę dbać o to, aby byli zadowoleni, jeśli chcę odziedziczyć należny mi majątek. Kłopot w tym, że podzieliłem

się już z nimi niemal całą swoją wiedzą. Chcą, żebym dowiedział się więcej, działając jako szpieg, ale to oznaczałoby podejmowanie ryzyka. Znalazłem lepszy sposób pozyskiwania danych. Masz delikatny żołądek?

Zgódka powoli pokręciła głową.

– Całe szczęście. Nie chciałbym, żebyś mi tu mdlała, odrywając mnie od przesłuchania. Sprawdźmy, czy jest gotowy na rozmowę. – Opuścił wzrok, a kiedy znów przemówił, zdawał się kierować słowa do kogoś innego. – A zatem, dobry człowieku. Może oczyścisz swą duszę i przedstawiś mi listę współników? Potem możesz opowiedzieć, gdzie ukrywasz dokumenty, i pomóc mi ujawnić kilka szyfrów...

Zapadła cisza, po czym Symond cmoknął i zaśmiał się.

– Wpadł w panikę, pyta, gdzie się znajduje i dlaczego jest tak ciemno. Standardowe zachowanie. Cóż, kiedy zaczynam spijać ich duszę łyk po łyku, stają się o wiele bardziej skłonni do współpracy. Przynajmniej przez chwilę. Potem ich umysł się załamuje.

– Co masz na myśli? – wykrztusiła Zgódka.

– Mówiłem ci, że przeprowadziłem pewne badania nad duchami. Wspominałem też, że znajdujące się w nas zjawy potrafią czerpać siłę z naszych ciał. Odkryłem jednak coś o wiele ciekawszego. Jeśli jesteśmy potężniejsi od ducha, działa to również w drugą stronę. Ktoś z moim – z naszym – darem jest w stanie wyssać moc z pojedynczej zjawy i zużyć ją niczym opał. Sporo musiałem ćwiczyć, zaczynając od najsłabszych i najbardziej poszarpanych duchów, jakie udało mi się znaleźć. Bedlam było niezłym źródłem. Potem próbowałem z coraz silniejszymi zjawami, od czego sam stałem się mocniejszy. Dziękuję za to Bogu, bo w przeciwnym razie ranny duch Starszego z sir Antoniego z łatwością by mnie dopadł! Rozumiesz już? Pojmujesz, jakie zamiary ma wobec nas Pan? Nie jesteśmy kanałami oczekującymi rzek czy drzewami potulnie karmiącymi jemiołę. Jesteśmy łowcami, Kuchenna Zgódko. Drapieżnikami. Jeśli dobrze mi się przysłużysz, nauczę cię tajników naszego talentu.

Symond odwrócił wzrok, a sądząc po uśmiešku błędzącym na jego ustach, znów skupił uwagę na swym więźniu. Jego twarz z powrotem jęły chwytać skurcze. Za każdym razem ulotny wyraz oczu zdawał się coraz bardziej przerażony i zbolący.

Dziewczyna powiedziała, że nie jest zbyt wrażliwa. Oskórowała w życiu wiele zwierząt. Ba, nawet wycinanie zdjętego gangreną fragmentu ludzkiego ciała nie wzbudziło w niej równego obrzydzenia co sytuacja, którą miała obecnie przed oczami.

Nie miała głębokich przemyśleń w kwestii zła. Istniały, rzecz jasna, grze-

chy, które posyłały człowieka prosto do piekła, tak, nasłuchiwała się o nich tyle, że miała w głowie całą listę. Wiedziała o koszmarach, których nie życzyłaby sobie ani nikomu, kto był jej bliski, ale z ich istnieniem należało się po prostu pogodzić. Dobro stanowiło luksus, a Bóg najwyraźniej nie miał czasu, żeby się nią zająć.

Ku własnemu zdumieniu odkryła jednak, że jej żołądek miewa własne zdanie. Jest świadom, że na świecie można spotkać niewyobrażalne zło i że dziewczyna właśnie na nie trafiła.

Zgódka słyszała też dobiegającą z głębi jej duszy odpowiedź Niedźwiedzia – przypominający grzmienie warkot. Zwierz rozumiał ból. Znał tortury.

– Przestań! – powiedziała głośno. – Uwolnij zjawę. – Dziewczynie zrobiło się gorąco i drżała od stóp do głów. Oddech Niedźwiedzia huczał jej w uszach.

Symond spojrział na nią z pobłażaniem i drwiną.

– No, nie rozczaruj mnie. Właśnie rodziła się we mnie nadzieja, że okaziesz się przydatna. I nie rozpraszać mnie. Mój kompan zdrajca zaczyna się łamać...

Gdy szlachcic ponownie odwrócił od niej wzrok, Zgódka porwała kawałek złamanej gałęzi i zamachnęła się na niego. W pół drogi poczuła, że jej ręka zyskuje nową siłę płynącą z furii Niedźwiedzia. Uderzyła Fellmotte'a w kark, popychając go do przodu. Zdawało jej się, że widzi bladą, sponiewieraną smużkę cienia umykającą z ust mężczyzny. Więziony duch uciekł i roztopił się.

Dziewczyna ryknęła. Przez krótką chwilę miała w oczach tylko ciemność i chciała zadać Symondowi kolejny cios. Nie. Gdyby to zrobiła, zabiłaby go.

Upuściła gałąź i wycofała się. Fellmotte wstawał już i dobywał miecza.

– Ty marna dziewczko!

Zgódka wzięła nogi za pas.

Rzuciła się pomiędzy osnute mgłą drzewa, słysząc za sobą chrzęst, szelest i dudnienie kroków depczącego jej po piętach Symonda. Lada chwila spodziewała się poczuć między łopatkami ostrze jego noża.

Las niespodziewanie się przerzedził i nagle Zgódka biegła przez chaszczę, a wnet po samej trawie. W oddali zamajaczył podłużny kształt budynku i uciekinierka zorientowała się, że znalazła się z powrotem na trawniku Whitehollow.

Trzy postacie zmierzały pospiesznie w jej stronę. Gdy się do nich zbliżyła, ujrzała czarne stroje i rozpoznała w nich mężczyzn, którzy usiłowali aresztować szpiega.

– Łapcie ją! – wrzasnął za nią Symond. – To jedna z nich! Jedna z fell-

motte'owskich wieźm!

Trzej panowie natychmiast rozstawili się, by zablokować jej przejście. Kiedy spróbowwała ich ominąć, najwyższy z nich się zamachnął. W zasadzie nie widziała, kiedy jego pięść pofrunęła ku niej, ale poczuła ogłuszające uderzenie, gdy wylądowała na jej szczęce. Świat eksplodował bólem, a potem Zgódka zapadła w mrok.

ROZDZIAŁ 33

Zgódce powoli wracała świadomość. Przez chwilę zdawała sobie sprawę jedynie z bólu w podbródku. Wydawał jej się wielki niczym słońce, pulsujące czerwono i pomarańczowo. Ponowne uświadamianie sobie reszty ciała nie było przyjemnym doświadczeniem. Głowa jej pękała i było jej niedobrze. Otworzyła oczy, odkryła, że leży na materacu w izbie stanowiącej przypuszczalnie czyjś gabinet.

Stała się chwiejnie na nogach i sprawdziła, czy drzwi nie są otwarte. Nie, zamknięte na klucz. Okno było zakratowane i dziewczynie aż zakręciło się w głowie z poczucia déjà vu i paniki. Znow była więźniem.

Czy wszyscy są cali? – spytała bezgłośnie, zdjeta nagłym strachem o swoich kłopotliwych kompanów.

Chyba tak – odparł doktor tonem zbolalym, acz spokojnym. *Więc... po wszystkich trudach, jakie kosztowało nas odnalezienie Symonda Fellmotte'a, uznanaś za słuszne lupnąć go konarem?*

Należało mu się – gorliwie ujął się za nią Dobrzeżyj. *Szkoda, że nie mogliśmy go dzielić całym pniem.*

Mimo powagi sytuacji i piekającej szczęki Zgódka parsknęła śmiechem. Z ulgą uświadomiła sobie, że czuje też ciepłą obszerność Niedźwiedzia.

Morgan? Jesteś tam? – Nie doczekała się odpowiedzi, ale w zasadzie nie było to niespodzianką. *Gdzie jesteśmy?* – spytała zatem dziewczyna.

Nie mam pojęcia – odparł żołnierz. *Od ciosu w twarz nic nie widziałem.*

Sądziłam, że jesteście w stanie poruszać moim ciałem i otwierać mi oczy, kiedy śpię? Zgódka ostrożnie podniosła się do pozycji siedzącej i pomacała poobijaną buzię.

Podczas zwykłego snu, owszem – zauważył doktor Szybki. *Wygląda jednak na to, że kiedy naprawdę tracisz przytomność, nie mamy żadnego pola manewru. Fascynujące odkrycie, choć obecnie niespecjalnie wygodne.*

Zgódka wspięła się na łóżko i próbowała wyrzeć przez małe okienko. Widziała drzewa, a dalej – kominy Whitehollow. Odgadła, że przetrzymują ją w domku wartownika.

Aż podskoczyła, gdy nagle drzwi stanęły otworem i do klitki wkroczył sługa.

– Masz pójść ze mną – oznajmił.

Wyprowadził ją z pokoiku do nieumeblowanej, niewielkiej komnaty. Mężczyzna w czerni, ten sam, który uderzył dziewczynę, siedział przy biurku. Symond rozsiadł się pod ścianą, z typowym dla siebie opanowaniem i twarzą nieruchomą niczym maska.

Ubrany na czarno człowiek mógł mieć około trzydziestu lat, jego ciemne włosy już rzedły, tworząc zakola. Miał przenikliwe spojrzenie, ale zbyt mocno mrugał i Zgódka wyobraziła go sobie, jak czyta przez wiele godzin przy świecach.

– Znamy już wszelkie istotne kwestie – przemówił, podnosząc wzrok znad swoich papierzysk. – Wystarczy, że potwierdzisz prawdę, uzupełnisz luki w historii i wyjawisz nam, kto poza tobą bierze udział w spisku. – Odchylił się w krzesle i przyjrzał się dziewczynie. – Masz jeszcze czas, by przekonać nas, że to inni ściągnęli cię na złą drogę. Jesteś młoda, nieuczona – łatwy łup dla diabelskich sztuczek.

Zgódka zalała się rumieńcem na wspomnienie słowa, które Symond krzyknął za nią.

Wiedźma.

– Jakich diabelskich sztuczek? – Może jeszcze uda jej się odegrać wystraszoną dziewczynkę. – Dlaczego mnie pan uderzył? Kim jesteście? Co ja tu robię?

– Po co przybyłaś do Whitehollow? – zapytał przesłuchujący, puszczając mimo uszu jej pytania.

– Szukałam lady Eleonory – odparła wyzywająco.

– Mam tu raport szeregowego Williama Horne'a. – Mężczyzna przerzucił papiery. – Twierdzi, że pewnego dnia naszedł cię niespodziewanie. Hasałaś na czworakach, niemal nago, warcząc jak zwierz i rozrywając zębami żywą rybę.

– Podwinęłam spódnicę, aby umyć stopy w strumieniu, i miałam tyle szczęścia, że wyłowiałam z wody rybę. Klęczałam na brzegu, próbując powstrzymać ją od wskoczenia z powrotem do rzeki. – Było gorzej, niż myślała. Jej wrogowie najwyraźniej przeprowadzili wywiad w całym gospodarstwie.

– Szeregowy donosi również, że wyjęłaś mu z głowy wspomnienie i wykorzystałaś je, by z niego szydzić. Znałaś uczucia jego serca i fantazje jego umysłu w stopniu, w jakim nie powinnaś.

– Miałam widzenie!

– Nie wszystkie widzenia są darem Wszechmogącego. Niektóre to uroje-
nia słabego umysłu, a inne... są podstępem Złego.

Zgódce zrobiło się gorąco. Wyglądało na to, że granica między
wieszczką a wiedźmą jest bardzo cienka.

– Podobno masz też niezwykłą rękę do zwierząt – ciągnął przesłuchujący.

– W Whitehollow mieszka żółty kocur imieniem Marniak. Ponoć opluwa
i drapie wszystkich, tymczasem po pięciu minutach od poznania ciebie już
tulił ci się do twarzy, jakby szeptał ci coś na ucho.

– Rzuciłam mu skrawek mięsa – powiedziała Zgódka. – To kot. Miłość
każdego kota można kupić za cał skórki z bekonu! – Nie mieściło jej się
w głowie, że jej wielką radość, towarzystwo zwierząt, wykorzystywano wła-
śnie jako dowód przeciwko niej.

– Pozwalałaś, żeby kocur ssał ci ucho? – spytał człowiek w czerni tym
samym spokojnym, poważnym tonem.

– Co takiego?

– Czarownice karmią diabły i ich kompanów, którzy się u niej zjawiają.
Czasem brodawki wiedźm znajdują się w dziwnych miejscach. Pewną
kobietę odwiedzała blada mysz o ludzkiej twarzy, która piła mleko z jej mał-
żowiny usznej.

Wreszcie padło – słowo „czarownica”. Dziewczyna czuła mrowienie na
skórce.

– Nie – odparła z największą pogardą, na jaką umiała się zdobyć. – Żaden
kot nie ssał mleka z mojego ucha. Pozwoliliście, by nakarmiono was ste-
kiem bzdur.

– Doprawdy? – spytał chłodno. – Sami słyszeliśmy. Tak, na własne uszy
słyszeliśmy w tobie diabła, gdy ryczał w lesie.

A więc dobiegł ich ryk Niedźwiedzia wydobywający się ze Zgódki
w spowitym mgłą lesie. Już byli przekonani, że dziewczyna jest jakąś nie-
ludzką istotą. Przesłuchujący wypuszczał tylko linę, żeby mogła skłamać
i zacisnąć sobie stryczek na szyi.

Oczy mężczyzny były surowe, zaczerwienione nieco z braku snu, ale
Zgódka dostrzegła w nich jakąś iskierkę. Nie był przystojny, stary czy
śmiały – w zwykły dzień nie przyciągnąłby niczyjego wzroku. Czasy były
jednak niecodzienne i ludzie musieli zwracać na niego uwagę. Czynił dzieło
boże.

Niedźwiedź był śpiący i wyczerpany, ale czujny, i wyczuwał zapach
człowieka w czerni. Pachniał dobrym mydłem i bólem innych ludzi. Trochę
jak Młody Wroniec.

– Wiemy, że usiłowałaś zabić lorda Fellmotte’a – powiedział mężczyzna.

– Wszystko nam o tobie opowiedział. Teraz twoja kolej wyjawić nam prawdę o rodzie Fellmotte'ów.

Symond wciąż obserwował scenę z boku. Miał koci sposób uśmiechania się bez uśmiechu. Jednak koty, w odróżnieniu od ludzi, znały granicę swego okrucieństwa. Sam widok szlachcica doprowadzał Zgódkę do furii.

– Fellmotte'owie to diabły – odparła gorliwie dziewczyna. – Uciekłam od nich. Udałam się do lorda Fellmotte'a, licząc na to, że zapewni mi bezpieczeństwo. Okazał się jednak najgorszy ze wszystkich! Krzyczałam, bo się go wystraszyłam.

– Wiem, że próbował dokonać na tobie egzorcyzmu – powiedział mężczyzna.

– Egzorcyzmu? – Zgódka nie знаła tego terminu.

– Chciał wypędzić z ciebie demona i zagnać go z powrotem do piekła. Pan obdarzył go niezwykłym talentem, umiejętnością oczyszczania ludzi z diabłów i posyłania niespokojnych duchów na wieczny spoczynek...

– Pan go obdarzył?! – Tego było za wiele. – Głupcy! Wodzi was za nos! Nie daje duchom odpocząć, on je zjada! Widziałam na własne oczy i dlatego krzyczałam!

– Powinnaś okazać mu odrobinę wdzięczności – pouczył Zgódkę mężczyzna w czerni. – Wierzy, że można cię jeszcze ocalić. – Zapisał coś w notesie i z westchnieniem spojrzał na Symonda. – Miałeś rację – złośliwy i mściwy język. Cóż, kiedy kobieta jest wiedźmą, na ogół bywa sekutnicą i awanturnicą. Jesteś pewien, że potrafisz sprowadzić ją z powrotem na drogę Boga?

– Dajcie mi trochę czasu z nią na osobności – odparł z powagą młody szlachcic. – Zobaczę, czy jestem w stanie wypędzić z niej diabły.

– Nie! – zaprotestowała dziewczyna. – Nie zostawiajcie mnie z nim! Wysłuchajcie mnie! On zjada duchy! Pożera dusze!

Nikt jednak nie zwracał uwagi na jej słowa i zaniesiono ją z powrotem do jej izdebki. Symond poszedł z nimi i poprosił strażnika, by ten zaczekał za drzwiami.

– Przy fellmotte'owskich wiedźmach trzeba zachować szczególną ostrożność – poinformował lord. – Jeśli zacznie ciskać klątwami, obronię się, ale ciebie mógłbym już nie osłonić.

Kiedy Symond i Zgódka zostali sami, mężczyzna się uśmiechnął.

– Należą mi się podziękowania – oznajmił. – Gdybym się za tobą nie wstawił, ci mili panowie próbowaliby właśnie na tobie surowych metod przywrócenia ci przyzwoitości. – Zaśmiał się. – Oto moja propozycja. Wyjawisz mi, gdzie ukryłaś edykt, a ja powiem naszym samozwańczym inkwizy-

torom, że wywiodłem z ciebie wszelkie demony. Posadzą cię wtedy przed sobą i będziesz mogła wszystko im wyznać. Zasiałem już w ich wyobraźni pewne fantazje co do sytuacji w Grizehayes. Powiedz im, że wszyscy Fellmotte'owie parają się czarami i że latają po okolicy w skorupkach od jajek i mózdzierzach. Opisz, jak rodzina zmuszała cię do harców z szatanem na wzgórzu. Opowiedz, że pani Gotely uczyła cię sporządzania trucizn i eliksirów i że kuchenne psy chodziły na dwóch łapach i wykonywały twoje rozkazy. Widzisz, miałem dylemat. Zdobyłem zainteresowanie i ochronę dzięki bajeczkom o zwyczajach naszego rodu. Nie mogłem jednak niczego udowodnić bez okazania edyktu. Z kolei gdybym go ujawnił, nie miałbym już czym grozić rodzinie. Ale ty, twoje zeznanie doskonale posłużą za dowód.

– Nie złożę żadnych zeznań – oznajmiła Zgódka. – I nie powiem ci, gdzie jest dokument. Gdybym to zrobiła, nie miałbyś powodu, aby zatrzymywać mnie przy życiu. Będę więc raczej trzymać język za zębami, Symondzie.

Degradacja do „Symonda” ubodła go bardziej niż odmowa dziewczyny.

– Masz w sobie ducha, prawda? – Szlachcic zmrużył oczy. – I to szalonego. Słyszałem, jak ryczy. Podejrzewam, że brak ci umiejętności, by go spożyć lub wykopać. Mogłem ci w tym pomóc, ale nie zdałaś mojego egzaminu. Tamci mężczyźni uważają, że jesteś opętana, i mają rację. Jeśli poddadzą cię torturom, wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw.

* * *

Ci ludzie pragną dowodów, że Fellmotte'owie zajmują się magią – odezwał się Dobrzeżyj, kiedy Symond opuścił klitkę. Dlaczego im ich nie dostarczysz? Dlaczego nie powiesz im, gdzie znaleźć edykt? Po co wciąż ich okłamujemy? Mówiłaś, że chcesz pogrążyć Fellmotte'ów!

Tak, ale chciałabym też przeżyć, by móc to zobaczyć – odparła Zgódka, masując spuchniętą szczękę. Muszę przeżyć, żeby uratować Kubę! Jeśli oddam im dokument, zaraz domyślą się, że i ja posiadam fellmotte'owski dar. I co wtedy? Nie podpisałam paktu z diabłem własną krwią, nie mam brodawek w uszach... ale zadaję się z duchami zmarłych, prawda? Sam to podkreślałeś. A Niedźwiedź rzeczywiście jest przy mnie zawsze, niczym towarzysz wiedzy. I jestem opętana. Jeśli oddam komuś cenny edykt Symonda, ten robi co w jego mocy, by uznano mnie za winną. Sądysz, że ujrzę jeszcze słońce?

Nie – mruknął ponuro doktor. Będzie dobrze, jak cię nie powieszą, przy okazji gratulując sobie, że zbawili twoją duszę.

Edykt to jedyna namiastka władzy, jaką w tej chwili posiadam – powie-

działa gorzko Zgódka. *A i to bardzo marna.*

To nie są źli ludzie – upierał się Dobrzeżyj.

Czyżby? – prychnęła Zgódka. Ich przywódca wygląda na takiego, któremu sprawia przyjemność rządzenie innymi w imię prawości. Znam ten wzrok. W dodatku Niedźwiedziowi nie podoba się jego zapach.

Ufasz ocenie swojego Niedźwiedzia? – spytał całkiem poważnie Dobrzeżyj.

Tak – odparła dziewczyna po chwili namysłu. Uczę się go słuchać. Jest dziką bestią, brakuje mu rozumu, by pojąć wiele spraw. Ale wie, kiedy coś jest nie w porządku.

Zatem nie obdarzymy tych panów zaufaniem – oświadczył wojak z zaskakującą stanowczością. Co jeszcze możemy zrobić?

Czy Niedźwiedź mógłby wywalczyć wolność? – spytał z nadzieją doktor.

To nie takie proste – odparła Zgódka. Nie mogę nim kogoś poszczuć jak psem. Czasem, kiedy oboje jesteśmy na coś wściekli, trudno nas powstrzymać. Ale nie przebijemy się przez drzwi tej izby ani nie odbijemy pędzącej kuli. W lesie roi się od żołnierzy, do których z pewnością doszły już słuchy, że aresztowano mnie za czary.

Ta wieść musiała również dotrzeć do twojej przyjaciółki szmuglerki, Heleny – zauważył lekarz. Możemy liczyć na jej wsparcie?

Być może – rzekła Zgódka. Podejrzewała, że czerwonolicy szpieg był jednym z tajnych kontaktów Heleny w siatce rojalistów. Gdyby nie ostrzeżenie dziewczyny, rudowłosa mogłaby poprosić go na stronę, by porozmawiać, a wówczas podejrzenia padłyby i na nią. Powinna być wdzięczna. Nie mamy jednak jak zwrócić się do niej po pomoc.

Czy rzeczywiście?

Och – westchnęła w myślach. Mylę się. Jest sposób na kontakt z Heleną. Niebezpieczny sposób.

Już mi się to nie podoba – mruknął doktor.

Ani mnie – przyznała dziewczyna. Nie widziała jednak innej drogi. Muszę porozmawiać z Morgan.

Jaki miałyby to niby przynieść skutek?! – wykrzyknął Szybki.

Lady Morgan! – pomyślała Zgódka najgłośniej, jak potrafiła. Chcę z tobą porozmawiać. Wiem, próbowałam cię wcześniej gonić, ale już nie będę. Proszę, nie zrobię ci krzywdy.

W odpowiedzi – milczenie.

Nie sądzę, żeby dama nam ufała – zauważył doktor. Woli pojawiać się i znikać, kiedy jej się podoba, żebyśmy nie mogli jej śledzić i kontrolować, i zdaje się, że obecnie zaszyła się w swojej norze.

Zgódka przypomniła sobie uderzającą falę uczuć i pogmatwanych wspomnień, które zalały jej umysł, gdy podjęła próbę podążania za Morgan.

Mówiłeś, że ukrywa się w części mojego umysłu, która jest odseparowana od reszty – powiedziała milcząco. Chyba już wiem, gdzie to jest. Przez wszystkie te lata miałam w głowie takie wspomnienia, na które nie mogłam patrzeć – których nie chciałam oglądać. Jeśli to tam jest jej kryjówka... Wiem, gdzie ją znaleźć.

ROZDZIAŁ 34

Zgódka leżała na swoim wąskim łóżku z zamkniętymi oczami, wsłuchując się we własny oddech. Żeby się uspokoić, wyobrażała sobie, że spoczywa na brzuchu ogromnego niedźwiedzia, większego niż Whitehollow czy Grizehayes, o futrze głębszym niż letnia trawa. Jego oddech wznosił się i opadał niczym kołysanie galeonu.

Nie mogła jednak trwać tak przez wieki. Miała do przejścia ścieżki umysłu i wspomnienia do odnalezienia. Czekwała na nią otchłań do przebycia i wróg do pokonania.

Zaczekaj tu na mnie – poleciła Niedźwiedziowi dziewczyna. *Niedługo wrócę. Muszę się z tym zmierzyć sama.*

Zwierz jednak nie rozumiał. Szedł z nią, oczywiście, że tak. Po chwili dotarło do niej, że to ona zachowywała się niemądrze. Nie mogło już być mowy o „samotności”.

Kiedy więc Zgódka wzięła głęboki oddech i zaczęła wspominać Topolę, młodsza postać jej samej maszerowała z Niedźwiedziem u boku. Pozwoliła sobie wsiąknąć w obraz. Było to i wspomnienie, i wyobraźnia, o mocy i wyrazistości snu.

Oto Topola, po wszystkich tych latach, z całym swym smrodem i rykiem. Brzęk i dudnienie stoczni, łopot topól, bujne zielone mokradła, na których pasło się brązowo-kremowe bydło. Wizja była tak rzeczywista, że oczy Zgódki zaszklily się łzami od piekącego dymu. Niczym ubrania schowane do kufra przed światłem dnia, wspomnienia wcale nie wyblakły. Ich barwy były wciąż żywe.

A Topola? Zgódka zdała sobie sprawę, że sama Topola była mała, o wiele mniejsza niż Oksford czy Londyn. Ot, kilka chat przytulonych do siebie przy drodze jak nasiona na żdźbale trawy.

W wyobraźni wędrowała teraz drogą do Londynu, jak przed trzema laty. Nikt nie zważał na dwunastoletnią dziewczynkę, nie zauważał Niedźwiedzia u jej boku. Na ciemniejszym niebie panoszył się rozległy zachód słońca. Z każdym krokiem powietrze stawało się gęstsze i bardziej przytłaczające.

Musiła jednak kogoś odnaleźć.

Niedźwiedź nie odstępował jej na krok. Mogła wyciągnąć rękę i dotknąć jego futra, nawet gdy huczał jej w uszach ryk wzburzonego tłumu. Kiedy przyspieszyła, biegł przy niej na czterech łapach.

Właśnie wpadli w ścisk czeladniczych zamieszek, w dziki, rozwrzeszczony mrok rozrywany strzałami z broni palnej. Mające w ciemnościach postacie pędziły w popłochu, przepychały się w panice, trącąc Zgódkę to z jednej strony, to z drugiej, zgniatając ją i blokując jej widok. Dziewczynka rozglądała się wokoło, z rozpaczą wypatrując jednej konkretnej twarzy.

Gdzie ona jest? Gdzie jest? Gdzie?

Tam! Jest tam!

Matka.

Każdy z rysów jej twarzy jasny i wyraźny. Wiedźmowatość włosów wymykających się spod czepka. Szeroko rozstawione oczy pełne gwiazdek i zagadek. Małgorzata.

Niedbale ciśnięta pałka zmierzała właśnie ku jej nieosłoniętej brwi...

Ale Zgódka i Niedźwiedź mogli zapobiec tragedii! Byli na miejscu, mogli nie dopuścić do uderzenia! Jedno zamachnięcie łapą i pałka zmieniła trajektorię.

Wnet jednak ktoś obok roztrzaskał butelkę, odłamki szkła pofrunęły ku twarzy Małgorzaty...

Usnuta z wyobraźni Zgódka natychmiast podniosła rękę, by osłonić matkę. Niestety, wytracona z czyichś dłoni motyka skierowana była ostrzem w stronę Małgorzaty. Rzucony kamień odbił się rykoszetem od muru i też poleciał w kierunku kobiety. Ślepo wystrzelona kula zmierzała wprost ku jej skroni...

Matka wrzasnęła.

I nagle stała przed córką, z bladą twarzą w połowie zlaną ciemnymi strumieniami krwi. Wbijała wzrok w Zgódkę z obliczem zastygłym w śmiertelnym bezruchu, po czym jej twarz wykrzywił grymas.

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknęła, uderzając dziewczynkę w twarz z siłą, która wstrząsnęła jej światem. – Idź stąd! Idź stąd! – Pchnęła córkę z nadludzką mocą.

Zgódka zapadła się w inną ciemność. Wylądowała pośród ostów, patrząc prosto w gwiazdy. Znajdowała się na niewielkiej, zarośniętej polanie, okolonej szepczącymi na wietrze trzciniami. Usiadła i ujrzała nieopodal niewysoki, wydłużony prostokąt wykopanej ziemi. Był to grób matki na skraju moczarów Topoli.

Niedźwiedź był teraz małym niedźwiadkiem, otwierającym mordkę, by

wydać cichy bek niepokoju. Wyzionął ducha na tych mokradłach i rozpoznał je. Zgódka porwała go w ramiona, trzęsąc się z zimna i strachu.

Kawałek dalej, pośród trzciny, stała rozmazana sylwetka kobiety. Była nieruchoma, z wyjątkiem rozpuszczonych, dzikich włosów, które tańczyły i drżały na wietrze.

– Mamo! – krzyknęła Zgódka.

Wpędziłaś mnie do grobu – szepnął powiew, szum trzciny, bulgot i szmer strumieni. *Wpędziłaś mnie do grobu.*

– Przepraszam, mammo! – Słowa wyrwały się dziewczynce z ust wraz ze szlochem. – Przepraszam, że się pokłóciłyśmy! Przepraszam, że uciekłam!

Kobiecy kształt trwał nadal w bezruchu, lecz nagle zdawał się być o wiele bliżej, choć wciąż pozostawał bez twarzy, wciąż był nieprzejednany. *Do grobu* – tchnęły samotne moczary. *Do grobu.*

– Próbowałam cię ratować! – Zgódka czuła pod powiekami piekące łzy. – Staralam się! Ale mnie odepchnęłaś... Ten mężczyzna podniósł mnie, zabrał...

Do grobu. Wiatr wzbierał na sile, porywając włosy kobiety. Nagle stanęła tuż na skraju polany, milcząca i złowroga, z twarzą spowitą cieniem.

Lada chwila postać rzuci się na nią i dziewczynka ujrzy przeraźliwą, mglistą twarz, usłyszy bełkot w uchu, kiedy istota wdzierać się będzie pazurami do jej mózgu. A jednak Zgódkę wypełniały ból i tęsknota, które przewyższały swą mocą strach.

– Dlaczego nie mogłam cię ocalić? – krzyknęła. Przetworzyła w myślach scenę, którą właśnie opuściła, i wszystkie beznadziejne próby osłonięcia matki przed śmiertelnym ciosem. – Dlaczego tak musi się dziać? Dlaczego nie potrafię tego powstrzymać?

Nagle, w głębi, poczuła, że zna odpowiedź.

– Taka była po prostu kolej losu, prawda? – szepnęła, a łzy spłynęły jej po twarzy. – Nic nie mogłam zrobić.

Czuła w ramionach ciepło i ciężar Niedźwiedzia. Pochyliła nad nim głowę, jakby chciała ochronić go przed światem, i przytuliła policzek do jego szorstkiego futra.

– Dlaczego mnie odepchnęłaś, mammo? – spytała z bólem Zgódka. – Mogłam ci pomóc! Mogłam zabrać cię do domu! – Obawiała się, że w ostatnich chwilach życia matka nienawidziła jej tak bardzo, że nawet pomoc ze strony córki była dla niej nie do zniesienia.

Nagle dziewczynka wszystko zrozumiała.

– Och, mammo! – powiedziała. – To ty się bałaś. Bałaś się o mnie. Wcale nie było w tobie nienawiści. Wiedziłaś, że umierasz, i martwiłaś się, że

twój duch mógłby mnie zaatakować. Zawsze, zawsze próbowałaś mnie chronić!

Zgódka poczuła, że po raz pierwszy zaczyna rozumieć tę nieokiełznaną, tajemniczą matkę, która ją wychowała. Małgorzata była nieugięta, ale jakże się dziwić? Człowiek o mniejszym uporze i sile woli nie uwolniłby się od Fellmotte'ów.

Kochała córkę. Dla Zgódki stawiała czoło rodowi, wyrzekła się dachu nad głową, pracowała ponad siły. Kochała dziewczynkę bezwzględną miłością ptasiej matki, która wypycha pisklę z gniazda, by sprawdziło swe na wpół wykształcone skrzydła. Robiła to, co uznawała za najlepsze dla jej dziecka. Miewała rację, myliła się, ale i tak nigdy za nic by nie przeprosiła.

– Kochałaś mnie. – Zgódka z trudem wykrztusiła te słowa.

Jeszcze długo, długo słychać było oddech nocy. Potem głosy w kołysanych wiatrem trzcinach ucichły. Moczary były już tylko ciemne i zimne, nie tchnęły groźbą i cierpieniem. Mgła opadła i dziewczyna ujrzała, kim jest – a kim nie jest – stojąca na skraju mokradeł kobieta.

– Witaj, lady Morgan – powiedziała Zgódka, podchodząc do niej powoli. Niedźwiedź był już teraz większy i cięższy i dziewczyna musiała postawić go na ziemi.

Postać Morgan była rozmyta, ot, kobiecy kształt ze srebrzystego dymu, ale kiedy Zgódka się do niej zbliżyła, dostrzegła inteligentną, wąską twarz z oczami o ciężkich powiekach, wysokimi brwiami i subtelnymi, kształtnymi ustami. Nie było widać żadnego urazu, lecz dama wydawała się lekko przekrzywiona, jak obrazek na nieco wygiętej karcie. Najwyraźniej nie doszła do siebie po swojej potyczce z Niedźwiedziem.

– Niezła kryjówka – przyznała Zgódka. – Wiedziałaś, że trudno mi się zmierzyć ze śmiercią matki. Chociaż noszę w sobie ciebie, Niedźwiedzia i resztę, to chyba matka najbardziej mnie nawiedzała. Tylko ona nigdy nie była duchem, prawda?

Morgan westchnęła.

– Raczej nie. – Brzmiała, jakby była śmiertelnie znudzona. – Jestem przekonana, że jej zjawa nie odszukała drogi do ciebie z Lambeth czy też trasy z moczarów do twojego domu z zamysłem napaści na ciebie. To był autentyczny koszmar senny, głupia gąsko.

Infiltratorka ze znużeniem pokręciła głową.

– Nie będę tęsknić za tym lokalem – ciągnęła. – Problem ze spędzaniem czasu w cudzych wspomnieniach polega na tym, że z czasem zaczynasz mieć wrażenie, że należą do ciebie, a wtedy jesteś już o krok od brania sobie do serca tego, co dzieje się z ich właścicielem.

Chmury rozstąpiły się, by ukazać sierp księżyca, którego promienie załśniły w srebrnych oczach Morgan, jej wysadzonej perłami kryzie i pierścionkach na palcach.

– Dość paplaniny – ucięła niespodziewanie. – Może znalazłaś drogę do jednej z moich kryjówek, ale ta bitwa jeszcze długo się nie skończy. Mam kilka sekretnych miejsc. Ludzie nigdy nie znają swoich umysłów i ty też masz w nim standardowy zapas ślepych pól.

– Dlaczego więc czekałaś tu na mnie? – spytała Zgódka. – Dlaczego nie uciekłaś do innej kryjówki? Myślę, że blefujesz. Jesteś ranna, samotna, poza tym pilnują cię moi przyjaciele.

– Chciałam pomówić z tobą na osobności – odparła Morgan – aby żądać twojej bezwarunkowej kapitulacji. Pozwól mi porozmawiać z mężczyznami, którzy nas pojмали, a gwarantuję, że wynegocjuję za nas okup. Kiedy wreszcie rozmówię się z właściwymi osobami, padnie cena, a ród Fellmotte'ów ją zapłaci, żeby nas odzyskać.

– Nie – skwitowała Zgódka.

– A zatem dlaczego ty tu jesteś? Ach... rozumiem. – Morgan zerknęła na Niedźwiedzia, który wrócił już prawie do swych zwykłych rozmiarów. – Przyproceedziłaś swoją bestię, by dokończyła dzieła.

– Nie. Przyszłam prosić, byś stanęła po mojej stronie.

– Co takiego? Musisz być naprawdę zdesperowana. W dodatku cierpisz na urojenia. Czemuż miałabym wraz z tobą sprzeciwiać się własnemu rodowi?

– Bo całe życie harowałaś w pocie czoła, by im służyć, a oni potraktowali cię jak śmiecia. Nawet teraz wciąż mają cię za nic. To Infiltrator podejmuje wszelkie ryzyko, na które Starsi nie mają ochoty, prawda? Musisz wyślizgiwać się z ciała na rekonesans i przysposobiasz umysły dziedziców, choć cierpi na tym twój własny duch. Przecież to dla ciebie tortury! Każą ci to robić wielokrotnie. Po wszystkim, co dla nich uczyniłaś, nadal jesteś spisana na straty. To się nigdy nie zmieni. Czy w ogóle pałasz sympatią do Starszych? Czy kiedykolwiek ich lubiłaś? Jeśli nie, to przebywanie w jednej głowie z tymi aroganckimi, samolubnymi, zimnokrwistymi ropuchami nie brzmi jak pomysł na nieśmiertelność. To brzmi jak piekło.

– Dlaczego uważasz, że się od nich różnię? – spytała Morgan.

– Nie mam pewności, czy tak jest – przyznała Zgódka. – Pomogłaś mi jednak ostrzec Helenę. Może zrobiłaś to po to, by ruda przeżyła i doniosła komu trzeba, że widziała mnie i Symonda. Lecz może ujrzałaś towarzyszkę w szpiegostwie w potrzebie i pragnęłaś ją ochronić. Poza tym... wiedziałaś o tym wszystkim. – Dziewczyna zatoczyła ręką wokół, wskazując grób,

moczary i mającą w tle Topolę. – Znałaś moje najmroczniejsze tajemnice i żale. Mogłaś je wykorzystać, by mnie torturować, osłabić, złamać mi serce. A jednak nigdy się tego nie dopuściłaś. Jesteś bezwzględna harpią, Morgan, ale jesteś sprytna i odważna. Wiesz też, co to znaczy zdobyć coś własnym wysiłkiem, i to czyni cię lepszą od innych Starszych. Nie chcę twojej zguby. Pragnę dowiedzieć się o tobie więcej i uczyć się od ciebie. Nie poddam ci się, ale znajdzie się tu dla ciebie miejsce, jeśli zgodzisz się ze mną współpracować.

– Mówisz tak tylko, bo czegoś ode mnie chcesz.

– Owszem, potrzebuję twojej pomocy, ale naprawdę, mówię poważnie. Morgan, przeżyłaś dwa życia. Potrafisz stwierdzić, kiedy ktoś kłamie. Poza tym siedzisz w moim umyśle. Dobrze wiesz, że mówię prawdę. Zaufać tobie – oto ryzyko. Z łatwością mogłabyś mnie zdradzić. Jeśli jednak to uczynisz, nie sądzę, żeby moja sytuacja bardzo się pogorszyła.

– Fellmotte'owie zawsze zwyciężają – rzekła Morgan. Nikłe błyski piorunów przebiegały niezdecydowanie przez jej mglistą postać. – Mam do wyboru służyć im albo stracić wszystko. W takim świecie żyjemy.

– A jeśli świat się kończy? – spytała Zgódka. – Coś się dzieje, prawda? Wszystko wywraca się do góry nogami, każdy to czuje. Gdyby jutro świat stanął w płomieniach, czy cieszyłabyś się, że wytrzymałaś do końca jako wierna sługa Fellmotte'ów? A może żałowałabyś, że się nie zbuntowałaś, nie postawiłaś wszystkiego na jedną kartę, ten jeden raz nie wykorzystałaś swojego sprytu przeciwko nim?

Twarz Morgan była inteligentna, ale niezbyt szczęśliwa.

– Niczego nie obiecuję – powiedziała. – Ale możesz mi powiedzieć, jaki masz plan.

ROZDZIAŁ 35

Symond się nie mylił. Łowcom czarownic znudziła się uprzejmość. Małeńkie okienko zakryto kawałkiem worka, przez co do izdebki sączyło się tylko nikłe światło. Zabrano także łóżko.

Zgódka została sama. Już zastanawiała się, czy przypadkiem o niej nie zapomniano, gdy ktoś trzykrotnie załomotał do drzwi z ogłuszającą siłą. Aż podskoczyła, zachodząc w głowę, dlaczego ktoś w ogóle puka. Co dziwniejsze, nikt nie otworzył drzwi, a kroki się oddaliły.

Po jakimś czasie sytuacja się powtórzyła. I znowu, jakąś godzinę później. Dziwne stukanie stało się dla niej jedynym zegarem. W mroku łatwo było stracić poczucie czasu.

Nie podawano jej jedzenia ani picia. W Niedźwiedziu rosły głód i niepokój i Zgódka nie potrafiła powstrzymać go od nerwowego przemierzania klitki od ściany do ściany.

Kiedy noc pochłonęła małeńkie więzienie i chłodne powietrze niesło drżące pohukiwanie sów, dziewczyna usadowiła się w rogu izby, próbując zasnąć. Co chwilę, nieprzerwanie, wybudzało ją jednak dudnienie w drzwi. Za każdym razem budziła się zdezorientowana w mroku i tylko sprawne oczy Niedźwiedzia podpowiadały jej, gdzie się znajduje.

Wtem drzwi otwarły się z hukiem, w celi zajaśniały latarnie. Mrużącą oczy dziewczynę poderwano na nogi i zaciągnięto do niewielkiego gabinetu, gdzie czekał cichy mężczyzna w czerni.

Miał do niej pytania. Czy Fellmotte'owie rzucali klątwy na wrogów? Czy potrafili przenikać przez kamienne ściany? Czy wcierali w siebie olejki, by latać? Czy ona sama kiedykolwiek wzbijała się w powietrze?

Przesłuchujący pokazał jej kilka obrazków. Drzeworyty zwierzęcych kompanów wiedźm. Czy widziała takie w Grizehayes? Skaczący czarny zając. Szkic ryby z wykrzywioną grymasem kobiecą twarzą. Krowa z ogonem wijącym się niczym wąż. Porośnięta szczeciną żaba wielkości niemowlęcia, karmiona z łyżeczki krwią.

– Nie – powiedziała. – Nie. – Potężny Niedźwiedź, utkany z cienia i furii,

cały czas wyrwał się w jej myślach, chcąc stanąć na tylnych łapach, by rozłupać kilka głów. – Nie – powtarzała, a mężczyźni w czerni sądzili, że udziela im odpowiedzi.

Jeszcze nie czas, Niedźwiedziu.

Odprowadzono ją do celi i pozostawiono w mroku. Co pewien czas ktoś tłukł do drzwi. Zrozumiała, że panowie próbują ją zmiękczyć, nie pozwalając jej na sen. Pragnienie doskwierało mocniej niż głód. Pękała jej głowa, usta były niczym klej.

Po koszmarnej nieprzespanej nocy, kiedy śpiew ptaków oznajmił Zgódce, że nadszedł ranek, zjawił się u niej Symond.

Był wyraźnie zadowolony, widząc ją zwiniętą w kącie, żywy obraz nędzy i rozpacz. Ostentacyjnie przyłożył chusteczkę do twarzy, by osłonić się przed panującym w komórce zaduchem.

– Myślałem, że będziesz gotowa do rozmowy, ale najwyraźniej podoba ci się wypoczynek. W takim razie pójdę i wrócę za kilka dni...

– Nie! – krzyknęła dziewczyna, najbardziej żalonym i przeszywającym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Nie odchodź! Powiem ci! Powiem, gdzie ukryłam...

– Ciszej! – Symond błyskawicznie zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. – Nie podnoś głosu!

Zgodnie z oczekiwaniami Zgódki przeszedł przez izbę, żeby mogła wyszeptać mu informację.

W ostatniej chwili dostrzegł, jak jej ciało się napina, lecz nim zdążył zareagować, ona była już na nogach. Niedźwiedź znał zapach Symonda. Szlachcic cuchnął ciskanymi kamieniami, wleczonymi łańcuchami, krwią i okrucieństwem.

Zgódka pozwoliła, by z ust wyrwał się jej ryk, świadoma, że poniesie się on echem przez las. Łupnęła Symonda w twarz, przewracając go do tyłu. Uderzył głową o ścianę i półprzytomny osunął się na ziemię.

Dziewczyna chwyciła mężczyznę za kołnierz. Ogarnęła ją ochota, by złamać mu kark, ale opamiętała się i skupiła na powziętym planie.

Teraz, Morgan!

Doznała krótkiego, wstrząsającego wrażenia, jakby ktoś wyciągnął jej z ucha kawałek mokrej gazy. Mglisty, wijący się kształt wił się po jej ramieniu ku twarzy szlachcica.

Z korytarza dobiegały przytłumione krzyki i głośne próby otwarcia drzwi kopniakami. Zjawa Morgan dotarła do ust Symonda. Wciągnął ją w płuca przy wdechu, na ułamek sekundy przed tym, jak drzwi ustąpiły z koszmarnym trzaskiem.

Do izby wpadli ludzie, wyrwali go z uchwytu dziewczyny i wywlekli na zewnątrz. Mieli dość rozumu, by nie próbować od razu jej poskramiać. Wreszcie została ich czwórka i wtedy odważyli się wejść z powrotem do komórki, zarzucili więźniarce koc na głowę i spętali ją sznurem.

Po jakimś czasie, gdy zdawało im się, że dziewczyna uspokoiła się nieco, zaprowadzili ją do swego dowódcy. Nie luzowali pęt, gdyż mieli głęboki, przesądny szacunek dla mocy piekielnych.

– Nie pozostawiasz mi wyboru – oznajmił człowiek w czerni.

– Mógłby mnie pan wypuścić – odezwała się Zgódka z nagłą śmiałością.

– Od początku pragnęłam tylko, by zostawiono mnie w spokoju. Proszę pozwolić mi odejść, a przysięgam nie zrobić nikomu krzywdy.

– Wiesz, że nie mogę tego uczynić – odparł. – Takie moce jak twoje mogą pochodzić jedynie ze złego źródła i prowadzić do dalszego zła. Musimy cię ocalić, ale także uratować innych przed tobą. Na twoich rękach widnieją oparzenia – ciągnął, pochylając się w przód i splatając palce – od rondli i garnków. Co to za ból, kiedy poparzy się choć fragmencik naszej skóry, nawet przez sekundę! Wyobraź sobie, że przykładasz dłoń do rozgrzanego do czerwoności metalu na dziesięć sekund, nie jedną. A gdyby to była pełna minuta, bez możliwości cofnięcia ręki? Cóż to za cierpienie bezsilnie patrzeć, jak czernieje ci skóra! A teraz... wyobraź sobie palący ból przeszywający każdy centymetr twojego ciała, trwający tydzień, rok, całe życie, milion egzystencji. Jaka byłaby głębia twojej rozpacz, gdybyś wiedziała, że to cierpienie, jak i tysiąc innych, nigdy, przenigdy się nie skończy. Pomyśl, jakiego żalu przysporzy ci świadomość, że mogłaś zaznać prawdziwego szczęścia, ale zamieniłaś je na wieczność koszmarów. Tak właśnie wygląda... piekło.

Zgódka dostała gęsiej skórki. Mężczyzna miał w sobie coś, co przypominało jej pastora z Topoli. Jego wiara była groźna niczym ostrze, lecz chyba prędzej zraniłaby innych niż jego samego.

– W zasadzie można by było poczytać za akt życzliwości – ciągnął – gdybym potrzyzymał twoją dłoń nad płomieniem świecy, abyś zakosztowała cierpienia, które może stać się twoim udziałem, jeśli nie wyprzesz się zła. Lepiej stracić rękę niż duszę.

– W Biblii jest powiedziane, że znać będziemy drzewo po jego owocach – odcięła się Zgódka. – Jeśli mnie pan poparzy, co miałabym myśleć o panu?

– Cierpienie bywa nieraz największym błogosławieństwem – odparł spokojnie łowca czarownic. – Dziecko czerpie naukę z różgi w równym stopniu co z książki. Smutki naszego życia uczą nas i oczyszczają.

– Oby Bóg zesłał na pana jak najwięcej błogosławieństw – mruknęła dziewczyna, jednak zbyt cicho, by ją usłyszał.

– Widzisz, ocalenie leży wciąż w twoim zasięgu – ciągnął. – Nie pragniesz być znów czysta i wolna? Czy twoja dusza by nie śpiewała?

Zgódka milczała przez dłuższą chwilę, udając, że rozważa słowa mężczyzny, po czym zanosła się rzewnym i – miała nadzieję – przekonującym płaczem.

– Oj, śpiewałaby – załkała. – Ach, gdyby to w ogóle było możliwe! Jest we mnie demon – wszyściutko to prawda! – ale nie prosiłam, by tak się stało. Myślę, że Fellmotte'owie go na mnie nasłali.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Bo ja... – Zgódka opuściła wzrok i zająknęła się. – Ja... ukradłam im coś, zanim uciekłam. Mieli taki pergamin, który cenili bardziej niż złoto, więc wzięłam go ze sobą, żeby może go sprzedać. Ale kiedy mu się przyjrzałam, wystraszyłam się – był napisany w wyszukany sposób, a opowiadał o tym, jak rodzina brata się z duchami. Miał też podpis samego króla i woskową pieczęć, wielką jak kasztan.

– Jesteś pewna? – Cała krew odpłynęła przesłuchującemu z twarzy. Przypominał teraz kogoś, kto łowiąc pstrągi, złowił na wędkę wieloryba i musi go dociągnąć do brzegu. – Podpis króla? Gdzie znajduje się to pismo?

– Wysłałam je do przyjaciółki z prośbą o zabezpieczenie. – Dziewczyna kłamała jak z nut.

– Dokąd?

– Oxfordshire, nieopodal Brill.

Mężczyźnie zrzędała mina. Zgódka doskonale wiedziała, że Brill leży w niebezpiecznej strefie niczyjej. Widziała, jak człowiek przelicza w głowie potencjalne zyski i straty, oceniając wartość ryzyka. Dokument łączący króla z czarownikami!

– Gdzie ona mieszka? – spytał. – Jak znajdziemy dom?

– Och, ale ona odda dokument tylko mnie – zastrzegła natychmiast dziewczyna. – Powiedziałam jej, że jeśli zjawi się po niego ktoś inny, będzie to z pewnością fellmotte'owski szpieg, niezależnie od tego, jak będzie wyglądał.

– W takim razie musisz jechać z nami – zdecydował ponuro mężczyzna. – Uznaj to za początek swojej pokuty i dowód skruchy. Nie ma czasu do stracenia, bo Fellmotte'owie z pewnością również szukają pisma, a kto wie, jak ich chochliki pomagają im je wywęszyć! Ruszamy jeszcze dziś, gdy tylko lord Fellmotte będzie w stanie dosiąść konia.

* * *

Kilka godzin później ciepło ubraną Zgódkę wyprowadzono na światło dzienne, które zdawało jej się nienaturalnie jasne. *Jakimi dziwnymi stworzeniami są ludzie – pomyślała. Do wszystkiego przyzwyczajamy się tak szybko. Może przywyklibyśmy nawet do piekła.*

Dziewczynę czekała przykra niespodzianka – miała dzielić konia z Symondem. On również nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Na jego szczęce widać było siniec barwy ołowianej chmury, który jednak blaknął, nie ciemniał. Może dodanie duchów do diety zapewniło szlachcicowi szybsze gojenie.

Zgódkę wsadzono na konia bokiem, przed Symondem, a jej kostki i nadgarstki związano. Najwyraźniej nikt nie zamierzał ryzykować. Człowiek, który przesłuchiwał dziewczynę, i jego dwaj koledzy mieli własne konie.

Czy Morgan nas nie zawiedzie? – wysunął wątpliwość doktor.

Poprosiłam ją, by przekazała Fellmotte'om, że zabierają mnie do Brill – odpowiedziała mu milcząco Zgódką. Podejrzewam, że wykona zadanie, niezależnie od tego, czy postanowi nas zdradzić, czy nie. Przy odrobinie szczęścia sprytna mistrzyni szpiegostwa wykorzystала Symonda, gdy spał, by napisać zaszyfrowany list i położyć go w miejscu, gdzie niechybnie znajdzie go Helena.

Dziewczynce w tej rozgrywce nie trafiły się mocne karty, więc jej jedyną nadzieją było wykorzystanie atutów innych graczy. Chaos był znacznie bardziej obiecujący niż bezradność.

– Cokolwiek planujesz, nie uda się. – Wymruczane słowa Symonda nieprzyjemnie wdarły się w myśli Zgódki. – Wcześniej czy później będę ci potrzebny jako przyjaciel. Jeśli jakimś cudem dostarczysz mi edykt, wybaczę ci. Jeśli jednak trafi w cudze ręce, przysięgam, że powieszę cię na krzaku głogu za odprawianie czarów. A potem przyjdę po twojego ducha. Będę rozdzierał twój umysł, kawałek po kawałku, przez cały tydzień, aż zostanie tylko marny skraweczek. Ten zostawię sobie na pamiątkę niczym trofeum łowieckie, ku przestrodze innych zjaw.

Zgódką milczała, wyprostowana jak struna na szerokim grzbiecie konia. Powolne pożeranie przez Symonda brzmiało bardziej piekielnie niż ognisty kocioł.

CZĘŚĆ SIÓDMA

KONIEC ŚWIATA

ROZDZIAŁ 36

Podczas długiej jazdy Zgódka czuła, że więzy wokół jej nadgarstków i kostek przyciągają wszystkie spojrzenia. Skąpy, nierówny deszczyk spływał jej po szyi i osiadał na rzęsach, ale nie mogła go zetrzeć. Przed nią ubrane w rękawiczki dłonie Symonda ścisnęły wodze, a szyja konia rytmicznie unosiła się i opadała.

Jednak po jakimś czasie ruch ten zaczął usypiać dziewczynę. Niedźwiedzia też morzył sen, więc Zgódka ustąpiła. Teraz i tak nie mogła nic zdziałać, a później musiała być czujna. Pozwoliła powiekom opaść, zostawiając swojemu wrogowi zadanie utrzymania jej na końskim grzbiecie.

Dziewczyna zbudziła się w małej nadrzecznej wiosce po brzegi wypełnionej wojskiem, końmi i namiotami rozstawionymi na nierównym leśnym terenie. Jej przesłuchujący rozmawiał z kilkoma żołnierzami.

– Możemy poświęcić paru ludzi, ale nie konie – mówił jeden z oficerów.
– Mamy dość problemów. Rozejm strzępi się jak suknia ladacznicy. Król opowiada o pokoju, ale mądre głowy mówią, że zwodzi nas tylko do czasu, aż królowa zbierze posiłki i rozbije nas w pył. Jego obietnice nie są warte złamanego grosza.

Do grupy dołączyło czterech żołnierzy. Dwaj uzbrojeni byli w muszkiety i przewieszeni bandolierami z drewnianymi buteleczkami z prochem. Pomogli dziewczynie zsiąść z konia i rozwiązali jej kostki. Poinformowano ją, że odtąd wędrować będą pieszo.

Grupka trzymała się blisko żywopłotów, a jeden zwiadowca szedł przodem. Zgódka odgadła, że starają się przemykać niezauważenie.

Wreszcie dostrzegła chatę Axeworthów. Ulżyło jej, że nie widać kur, co zapewne oznaczało, że rodzina wyjechała. Taczki też zniknęły, wraz z przykrą pamiątką, która leżała pod nimi.

– To tu. Dom mojej przyjaciółki – powiedziała Zgódka.

– Bardzo tu spokojnie. – Przesłuchujący przyjrzał się chacie, jakby rozważał różne opcje. – Dalej, podejźmy do drzwi. Porozmawiasz z przyjaciółką.

– Związana? – Dziewczyna uniosła ręce, eksponując spętane nadgarstki.
– Od razu zobaczy, że trzymacie mnie wbrew mojej woli!

Mężczyzna z wyraźną niechęcią rozsypał więzy. We dwoje podeszli do drzwi i przesłuchujący zapukał. Zgodnie z oczekiwaniami dziewczyny nikt nie odpowiedział.

Zastukał jeszcze kilka razy, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka w obstawie dwóch żołnierzy. Po kilku minutach wyłonił się z powrotem.

– Dom jest pusty – oznajmił.

– Przyjaciółka musiała więc wyjść – powiedziała szybko Zgódka. – Jeśli zaczekamy, wróci.

Mężczyzna w czerni chwycił ją mocno za ramię.

– Czy aby na pewno? – syknął. – Gospodarstwo wygląda na opuszczone.

Chatka rzeczywiście była wyczyszczona do cna. Wszystko, co dało się wynieść, zniknęło, zarówno meble, jak i naczynia, świecznik, a nawet drewno na opał i rozpałka. Zabrano nawet krzesło, na którym siedział ongiś pacjent Zgódki.

– Nie wiem, co się stało! – Dziewczyna spojrzała na przesłuchującego ze starannie przygotowanym wyrazem niedowierzania i niewinności na twarzy.

– Przyjaciółka obiecywała, że będzie tu na mnie czekać!

– Schowała edykt w chacie czy wzięła ze sobą? – zażądał informacji mężczyzna.

– Skąd mam wiedzieć? – odparowała Zgódka.

– Przeszukać dom! – rozkazał wojakom dowódca. – Postawię jednego człowieka w oknie, a drugiego posadzimy tam, na drzewie, żeby pilnowali, czy nie zbliżają się kłopoty. – Żołnierze rzucili się zdzierać deski z podłogi, dziurawić ściany i wtykać kije w komin. – Nie pomińcie krokwi i strzechy!

Dziewczyna trzymała się blisko drzwi, ze wzrokiem wbitym w pola, wypatrując najdrobniejszego ruchu. Za plecami słyszała trzaski i huki, a co jakiś czas przekleństwo. Upomnienia dowódcy, żeby zważali na swoje „parszywe języki”, brzmiały równie opryskliwie co padające wulgaryzmy. Zgódka zdała sobie sprawę, że wszędzie, tuż pod powierzchnią, czai się gniew. Zdażyła się przyzwyczaić, że wyczuwa w powietrzu jego smak.

– Wkrótce się zorientują, jakich bzdur im naplotłaś – szepnął Symond dziewczynie na ucho. – Jak myślisz, co zrobią, gdy dotrze do nich, że zmarnowałaś ich czas? Podaj mi jeden powód, dla którego mieliby cię nie zastrzelić zaraz tu, na podwórzu.

Miał rację. Czas był bliski wyczerpania.

Uwagę Zgódki przyciągnęła unosząca się nad polem pustułka. Zapikowała do ataku, zatrzepotała skrzydłami nad żywoplotem i dziewczyna

ujrzała oczami wyobraźni malutkie, niepomne niebezpieczeństwa stworzonko, które musiało poruszyć się na ziemi. Jednak zamiast pomknąć wprost w dół, drapieźnik poleciał dalej, pod skosem, jakby jego ofiara nagle uciekła. W tej samej chwili Zgódka dostrzegła dwa mniejsze ptaszki zrywające się z tego samego krzaka i odlatujące w przeciwnym kierunku.

– Coś tam jest – mruknęła pod nosem.

– Co? – Symond nie krył sceptycyzmu. – O czym ty mówisz?

Za ich plecami zadudniły gniewne kroki i dziewczynę gwałtownie obrócono twarzą do przesłuchującego.

– Panno, obdarliśmy tę chatę do kości...

– Tam coś jest – powtórzyła Zgódka, tym razem głośniejsz. – Za tamtymi odległymi krzakami, tam, przy wiązówce.

– Nie słuchajcie tej małej cwaniary – prychnął z pogardą Symond. – Znów kłamie.

– Co widziałaś? – Mężczyzna w czerni zmarszczył brwi.

– Nic – odparła dziewczyna. – Ale ptaki coś dostrzegły. Coś je spłoszyło.

– Widziała, jak ostrożność walczy w przesłuchującym z wątpliwościami i poirytowaniem.

– Miejcie muszkiety w gotowości – mruknął do towarzyszy. – Przygotujmy zapalniki!

Jeden z żołnierzy zajął się krzemieniem i stalą. Kiedy lonty już się tliły, rozdano je muszkietierom.

– Widzę coś! – zawołał strażnik z drzewa. – Tam, przy wiązie...

Rozległ się dźwięk uderzenia, a potem głośnie łupnięcie, kiedy czujka spadł z gałęzi z głębokim rozcięciem z tyłu głowy. Obok niego potoczył się ciężki kamień.

– To zza domu! – zawołał ktoś, a na to nałożył się czyjś krzyk: – Tam!

Jeden z muszkietów wypalił z wielkim hukiem i izba wypełniła się dymem. Jednak tuż przed wystrzałem Niedźwiedź zdążył coś zwęszyć. Znajomy zapach, płynący z góry...

– Dach! – Więcej Zgódka nie zdążyła zawołać. Połowa jej kompanów usłyszała ją i spojrzała wzwyż. Połowa nie. Ci drudzy nie mieli żadnych szans, kiedy Starszy w ciele Kuby przebił się przez potarganą strzechę i wylądował pośrodku pokoju z wyciągniętą szablą.

Był szybki jak wąż, bystry niczym jastrząb. Skoczył, by przesyć muszkietera, który nie strzelił, przejechał ostrzem po gardle kolejnego żołnierza, ciał w twarz jednego z mężczyzn w czerni. Trzech wojaków osunęło się na ziemię. Wylały się z nich cienkie, lśniące duchy, które zamigotały i znikły.

Ostrzegawczy krzyk dziewczyny zepsuł perfekcyjny atak Kuby. Przesłu-

chujący padł na wznak, ale cięcie, które miało go osłepić, strąciło mu tylko kapelusz. Jego towarzysz podjął rozpaczliwą próbę odparowania ataku. Muszkieter, który nie został ranny, przerwał ładowanie, upuścił stempel i odskoczył w tył, odwracając w dłoniach broń, by mogła służyć za maczugę. W międzyczasie Symond ulokował się błyskawicznie za Zgódką. Przełożył rękę ponad jej ramieniem i z bliska wystrzelił z pistoletu w głowę Kuby.

Palec Symonda nie nacisnął jeszcze na spust, a Kuba już robił unik. Kula minęła go, rozpryskując ścianę za jego plecami, ale on warknął, łapiąc się za czerwone oparzenie na skórze przy oku. Dym z pistoletu osłepił go na jedną fatalną chwilę. Zgódka rzuciła się naprzód, skoczyła na rękę, w której trzymał szablę, i wybiła mu rękojeść z dłoni. Muszkieter uderzył go w twarz kolbą, powalając go na podłogę.

– Zabić go! – krzyknął Symond, cofając się o krok.

– Nie! – wrzasnęła Zgódka. Nadszedł czas, by postawić wszystko na jedną kartę. Spojrzała prosząco na przesłuchującego. – Potrzebny nam żywy, żeby nakazał poddać się swoim ludziom! Poza tym... znam tego człowieka! Nie jest czarownikiem, ale opętał go demon, tak jak mnie! Lord Fellmotte musi przeprowadzić egzorcyzmy!

– Nie słuchaj jej! – ryknął Symond.

– Lordzie Fellmotte! – wybuchł przesłuchujący, tracąc cierpliwość. – Wygnaj ducha!

Symond spojrzał na dziewczynę z nieukrywaną nienawiścią. Odłożył szablę, w zamian wyjął szkocki sztylet. Zbliżył się do Kuby, starając się, by ostrze bez przerwy wycelowane było w więźnia. Powoli, ostrożnie kucnął przy nim i położył mu dłoń na ramieniu.

Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich obecnych i jego własnemu, prawa ręka Symonda podskoczyła dziwnie i cisnęła sztylet w kąt izby.

Starszy natychmiast chwycił Symonda za barki, by nie pozwolić mu uciec, i szeroko otworzył usta. Chuchnął mocno niczym miech i jedna Zgódka dostrzegła mgliste postacie zjaw wylaniające się z jego gardła i mknące ku ustom młodego Fellmotte'a.

Symond zachłysnął się w szoku, gdy duchy wsączały się weń przez oczy, uszy, nozdrza, usta. Potem jego twarz, na ogół nieruchoma jak maska, zatrzęsała się bezradnie w ataku przerażenia.

Zgódka wycofała się cicho pod ścianę, targana dreszczami. Mając do wyboru na wpół osłepionego, uwięzionego bękarta i świetnie wyszkolonego dziedzica, zjawy bez wahania wykorzystały szansę dokonania zamiany. Mimo że dziewczyna właśnie na to liczyła, widok i tak przyprawiał ją

o młodości.

Kuba puścił Symonda i upadł na wznak. Wydawał się zszokowany, oszołomiony. Symond wstał chwiejnie. Potykając się, przeszedł przez izbę. Jego ramiona drżały i dziwnie podrygiwały.

– Mój panie? – Przesłuchujący wolną ręką szukał czegoś w kieszeni i Zgódka była ciekawa, czy usiłuje znaleźć Biblię. – Mój panie... czy wszystko w porządku?

Symond schylił się, by podnieść sztylet, po czym się wyprostował. Zachwiał się na nogach, więc mężczyzna w czerni wyciągnął rękę, by go wesprzeć. Szlachcic bez wahania i z zatrwającą siłą zatopił ostrze w jego brzuchu.

Dobył szabli ruchem szybkim jak błyskawica i ciął muszkietera w bok szyi. Ostatni wojak zdążył jeszcze tylko krzyknąć, zanim również został przeszyty ostrzem.

Na zewnątrz rozległy się nierówne kroki i ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Do środka wpadł Biały Wroniec z młodym żołnierzem w fell-motte'owskich barwach u boku. Obaj natychmiast wycelowali broń w Symonda.

– Och, odłóżcie to! – warknął Starszy w ciele młodego lorda. – Nie widzisz, kim...

Padł strzał i Symond zeszywniał, jakby nasłuchiwał czegoś uważnie. Na jego czole pojawiła się okrągła, ciemna dziura. Zgódka poczuła w nozdrzach zapach dymu – metalicznego, piekielnego dymu wystrzału.

– Dobrze wiemy, kim jesteś – rzucił młodzieniec w mundurze rojalistów. – Ty zapluty zdrajco. – Wianuszek dymu unosił się wokół lufy jego pistoletu. Symond padł na ziemię, a na jego obliczu malował się niezmiennie wyraz intensywnego skupienia.

– Głupcze! – wrzasnął Biały Wroniec. – Mieliśmy pojmać pana Symonda żywcem!

– Prędzej zawisnę, niż pożałuję swojego czynu – odparł gorliwie żołnierz. – Mój brat zginął przez niego w walce. – Tymczasem inni wojacy wbiegli do izby, jednym rzutem oka pojęli sytuację i skierowali broń ku Zgódce.

– Czyś bardzo ranny, mój panie? – Biały Wroniec nachylił się nad Kubą.

Chłopak posłał Zgódce mizerne, oszołomione spojrzenie. I tak, to wreszcie był Kuba, ten prawdziwy. Gdy dostrzegła, że jego dłoń powoli zaczyna się przesuwac w jej kierunku, nieznacznie, lecz mocno potrzęsnęła głową, modląc się w duchu, żeby zrozumiał.

Podniósł półprzymknięty wzrok na Białego Wronca i pokręcił głową.

– Lekkie oparzenie, nic takiego – wychrypiał. – Drobną niedogodność. – Nie udało mu się idealnie oddać głosu, jakim posługiwał się jako Starszy, lecz jego imitacja była wystarczająco bliska. – Jednemu z nich się udało... na razie.

– Mój panie, pozwól, pomogę ci dojść do powozu – powiedział Biały Wroniec, oplatając Kubę ramieniem. Pomógł mu wstać i wyprowadził go przez drzwi. – Weźcie dziewczynę – rzucił przez ramię.

Nikt poza Zgódką nie zwracał uwagi na ciało Symonda. Ludzie Białego Wronca nie byli obdarzeni darem. Nie słyszeli cichych, widmowych wrzasków, przypominających skrobanie paznokciami o umysł. Nie widzieli zjaw wylewających się ze szlachcica niczym brudna woda.

Jednak dziewczyny była świadoma obecności duchów, gdy ciągnięto ją ku drzwiom. Podnosiły się, mieszały, wiły, rzucały się i krwawiły mgliście. Do starcia z tymi właśnie „wilkami” przygotowywała ją matka. Wkrótce ją wyczują – ją i bezpieczną przystań, którą stanowi. Wtedy rzucą się na nią.

Nie mogła jednak odjechać bez Morgan.

Dwa duchy znajdujące się najbliżej dziewczyny były spięte w walce, darły się nawzajem na ulotne strzępy. Większy z nich był już mocno potargany, być może z powodu ataków drapieżnego umysłu Symonda. Mniejsza zjawa różniła się od pozostałych wyglądem i poruszała się szybciej i zwinniej od nich.

Morgan.

Zgódka zasymulowała potknięcie i upadła na podłogę, wrywając się z rąk strażnika. Skupiając całą siłę woli, wyciągnęła rękę, niemal dotykając zjawy Infiltratorki. Ta uwolniła się z uchwytu drugiego ducha i szybkim, krętym ruchem wślizgnęła się w górę po ramieniu dziewczyny. Walcząc z przeszywającym ją dreszczem, Zgódka wciągnęła powietrze wraz ze zjawą mistrzyni szpiegostwa.

Gdy żołnierze podnieśli i wywlekli ją z chaty, drugi duch ruszył ku głowie dziewczyny. Mignęła przed nią mglista, bezkształtna twarz. Przez krótki, pełen grozy moment pociemniało jej w oczach, bo upiór próbował wlać się w nią przez oczy.

Duch był jednak spanikowany i poszarpany, nieprzygotowany na zasięki umysłu Zgódki, wzmocnione cmentarnym czuwaniem. Nie był gotowy na anioły jej myśli. Jednak przede wszystkim nie spodziewał się Niedźwiedzia. Kiedy Zgódka znów przejrzała trzeźwo na oczy, szczątki napastnika unosiły się w powietrzu jak ciemna pajęczyna.

Jesteś cała? Wszystko w porządku? – spytała szybko dziewczyna, starając się wyczuć obecność Morgan w swojej głowie, podczas gdy żołnierze

pospieszali ją, idąc ścieżką za Białym Wrońcem, prowadzącym Kubę.

Nic mi nie będzie – odezwał się znajomy, cierpki głos Morgan. *Dawno nikt mnie o to nie pytał.*

Zgódka nerwowo zerknęła w stronę chaty, wypatrując kolejnych upiornych prześladowców.

Będą nas ścigać, ale są ranni – szepnęła Morgan. *No i właśnie stracili Infiltratorkę.*

– Jeśli się pospieszymy – mówił właśnie Biały Wroniec – dotrzemy do Grizehayes przed posiłkami wroga i pod osłoną mroku prześlizgniemy się przez oblężenie. Na szczęście lord Fellmotte jeszcze żyje, a więc mamy szansę dostarczyć mu dziewczynę na czas!

Kuba i Zgódka wymienili szybkie, przerażone spojrzenia, lecz cóż było robić?

– Prowadź – polecił chropawo Kuba.

Po tylu planach, walkach i ucieczkach Zgódki wyglądało na to, że jednak wraca do Grizehayes. Przez chwilę miała wrażenie, że mroczne domostwo cały ten czas czekało, obserwując jej wysiłki, aż wreszcie wysunęło długą, leniwą kocią łapę, którą przydusiło ją do ziemi jak rannego ptaka.

ROZDZIAŁ 37

Dopiero gdy usadzono ją w powozie Fellmotte'ów przy Kubie, Zgódka odważyła się odezwać.

– Czy ktoś nas słucha? – wymamrotała.

– Nie sądzę – odszepnął Kuba. – Woźnica na pewno nas nie usłyszy, a cała reszta jedzie wierzchem.

– Nie o nich mówię. – Dziewczyna spojrzała bratu prosto w oczy i uniosła brew.

Zajął mu chwilę, zanim zrozumiał, o co jej chodzi. Spojrzał na siostrę żałośnie i potrząsnął głową.

– Już jestem sam.

– Pokaż, obejrzę ci oko – poleciła Zgódka. Kuba odwrócił się do niej, ukazując przypaloną skórę policzka i bolesną czerwień oka.

– Nie widzę zbyt dobrze – wyszeptał chłopak z godnym podziwu opanowaniem. – Wszystko jest rozmazane...

Zgódka odbyła milczącą konsultację z doktorem.

– Oko się wygoi – oznajmiła wreszcie. – Za dzień lub dwa. Mój przyjaciel twierdzi, że widział już takie urazy. Zaleca też umyć i opatrzyć oparzenie, wtedy za kilka tygodni przestaniesz wyglądać, jakbyś cierpiał na trąd.

– Przyjaciel? – Kuba uniósł brwi w konsternacji. – Zgódko, coś ty zrobiła?

– Ja? A ty, co uczyniłeś? – Dziewczyna nie potrafiła się oprzeć i uderzyła go mocno w ramię. – Wykorzystałeś mnie do ukrycia edyktu! Uciekłeś beze mnie! Czekałam w porcie całe wieki! Myślałam, że złapali cię i powiesili!

– Miałem zamiar wrócić, naprawdę! Ale wszystko potoczyło się tak szybko. Symond miał plan – powiedział, że użyje dokumentu, by zagrozić rodzinie i zdobyć ich majątki, zanim oni zrobią z niego lorda. Chciał założyć własne gospodarstwo, bez Dziedzictwa i duchów, i sprowadziłby tam nas wszystkich. Gdybyśmy mieli edykt, nikt by na nas nie nastawał.

– Trzeba mi było powiedzieć!

– Wymógł na mnie obietnicę, że nikomu nie pisnę słówka – powiedział

Kuba. – Lepiej zginąć niż złamać przyrzeczenie.

– Cóż, zerwałeś umowę ze mną, kiedy skoczyłeś na główkę w tłum fell-motte’owskich duchów! – Zgódka uszczypnęła go, jakby byli o wiele młodszymi dziećmi. Czerpała gniewną radość z wyrażenia swojej frustracji.

– Przepraszam! – syknął Kuba i zdawał się mówić szczerze. – Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to! Gdybyś tam wtedy była, zrozumiałabyś. Kiedy znalazłem sir Antoniego wykrwawiającego się na ziemi, a on przywołał mnie gestem... Miałem wrażenie, że przemawia do mnie Opatrzność. Jakby gwiazda, która rozblęśla przy moim urodzeniu, ukształtowała mnie właśnie na ten moment! To była okazja, ta jedna szansa, bym stał się kimś... wielkim. I to było wielkie, Zgódko! Nie wyobrażasz sobie, co potrafiłem, gdy Dziedzictwo się dokonało! Do głowy wskoczyły mi języki obce, doskonale posługiwałem się szablą, a sprawy dworskie stały się jasne jak słońce! Wydawanie rozkazów, spełnianych jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, drzwi stające przede mną otworem, wachlarz wszelkich możliwości...

– Pogoń za własną siostrą przez dwa i pół hrabstwa – przerwała mu ostro Zgódka.

Kuba objął ją ramieniem i przytulił mocno przez kilka sekund, po czym pocałował ją w czubek głowy.

– Wiem – wymamrotał w jej czepek. – Byłem Królem Zamętu, królem głupców. – Sądziłem, że pozostanę sobą i wszystko zmienię. Byłem jednak tylko kukielką. Fasolka w cieście – tak powiedziałaś, prawda? Oddałem wolność za zabawę w wielkiego pana.

Westchnął ciężko.

– I... było mi go żal – przyznał zawstydzony. – Sir Antoniego. Był jednym z tych diabłów, ale kiedy tak leżał w kałuży własnej krwi, wyglądał na przerażonego, jak każdy umierający. Nie umiałem odmówić. Wiem, to głupi powód.

– Owszem. – Zgódka przypomniała sobie własne bezradne pragnienie uratowania rozpadającego się ducha Dobrzeżyja. – Głupi powód. Ale bywają gorsze głupie powody.

Uścisnęła brata i również westchnęła.

– Będiesz musiał dalej odgrywać swoją rolę, kiedy dotrzemy do Grizehayes – powiedziała cicho. – Musisz się wcielić w Króla Zamętu z pełnym zaangażowaniem albo oboje przepadniemy.

– A ty? – Kuba przyjrzał się jej z wyraźnym zmartwieniem. – Co ty sobie zrobiłaś, siostrzyczko?

– Nie martw się. – Zgódka ścisnęła jego dłoń, szukając właściwych słów.

– Nikt nie nawiedził mnie wbrew mojej woli. Zawarłam tylko kilka nowych przyjaciół.

– Więc są w tobie duchy? – Chłopak zmagął się z tą wizją.

– Kubo. – Tym razem ona musiała przyznać, że nie była z nim do końca szczerą. – Zawsze byłam opętana, od początku naszej znajomości. Przywiozłam ze sobą do Grizehayes ducha i nikt nawet się nie domyślił. Powinnam ci była powiedzieć. Bardzo tego chciałam. Ale miałeś rację, czasami jestem tchórzem. Zaufanie przeraża mnie bardziej niż ból. Jest moim przyjacielem, bratem, towarzyszem broni. Jesteśmy ze sobą spleceni. Pragnę, byś go zrozumiał, żebyś mógł pojąć mnie. Pozwól, że ci o nim opowiem.

* * *

Podczas długiej, wyczerpującej podróży powóz zatrzymywał się kilka razy na zmianę koni, ale nie na dłuższy postój. Co jakiś czas dobiegały z zewnątrz próby zatrzymania podróżnych, przytłumione głosy, hasła i odzewy, przekazywanie pieniędzy lub dokumentów, czasem – odgłos wystrzałów.

Z poczuciem pewnej nieuchronności Zgódka obserwowała, jak krajobraz się zmienia, staje się coraz bardziej znajomy. Bujne pola ustępowały moczarom. Przemoczone jagnięta podążały za czarnogłowymi owcami pomiędzy kępami kolcolistu. Wszystko było tak dobrze znane, że aż ścisnęło serce. Widoki i kolory otoczyły umysł Zgódki niczym kajdany.

Tuż po zachodzie słońca konwój zatrzymał się w niewielkim zagajniku. Woźnica i jeden wojak zostali pilnować powozu i koni. Biały Wroniec, Zgódka i Kuba poszli dalej pieszo w obstawie pięciu innych żołnierzy w felflotte'owskich barwach. Dziewczyna rozpoznała w nich mieszkańców sąsiednich wiosek i była pewna, że od jednego z nich kupowała nawet kiedyś chochle. Jednak wojna dla wszystkich napisała nowy scenariusz. Mieli teraz nowe kostiumy i nowe role do odegrania.

Biały Wroniec znalazł dla Kuby przepaskę na oko z czarnego materiału. Na szczęście nikt nie oczekiwał, że ranny i na wpół oślepy młodzieniec będzie prowadził oddział. Inaczej ludzie szybko domyśliliby się, że ich dowódca brakuje umiejętności i wiedzy Starszego.

Grizehayes jawiło się już w oddali, charakterystyczne wieże odcinały się na tle purpurowego blasku gasnącego dnia. Posiadłość nie była już jednak samotna.

Na ponurych, otaczających majątek przestrzeniach – niegdyś płaskich, jałowych ziemiach – wyrosło niechlujne, rozpadające się miasteczko.

Wykwitły tam skupiska brych płóciennych namiotów, wokół których ogniska żarzyły się niczym rozrzucone węgielki. Obozowisko ułożyło się w półksiężyc, zawijając zwięzające się ramiona, by otulić Grizehayes. Nie otaczało jednak całkiem domostwa, pozostawiając szeroki pas między pradawnymi szarymi murami a najbliższymi im namiotami.

Zatem była to prawda. Grizehayes zostało obleżone.

Jeden z żołnierzy zatonął w mroku, wyszedłszy naprzód na zwiad, lecz wkrótce powrócił.

– Strażnicy na Wdowiej Wieży spostrzegli nasz sygnał świetlny i odpowiedzieli nań swoją latarnią – powiadomił. – Wiedzą, gdzie jesteśmy, i będą gotowi wpuścić nas przez bramę wypadową.

– Jeśli wróg zobaczył sygnał z wieży, to wie, że dom komunikuje się z kimś ukrytym w mroku – zauważył Biały Wroniec. – Będą nas wyglądać. Musimy być cicho jak myszy. Na pewno wystawili warty daleko poza obrębem obozowiska, z dala od ognisk, żeby oczy żołnierzy przyzwyczaiły się do ciemności.

Ostrożnie skradali się przez mrok, omijając obóz i podążając za prowadzącym ich Białym Wroncem. Niemal wpadli na grupkę wrogich muszkietarów, ale w ostatnim momencie ich zauważyli dzięki cichemu brzękowi bandolierów oraz isierkom zapalników.

Zgódce przemknęło przez myśl, by chwycić Kubę za rękę, pobiec ku obcym i się poddać. Ocaliłoby ją to przed Grizehayes, lecz z drugiej strony wyglądało na świetną receptę na to, by dać się zastrzelić.

Wreszcie udało im się minąć czubek półksiężycy obozu i tylko mroczna połać nierównej ziemi dzieliła ich od odległych murów. Dziewczyna widziała już ciemny, zwieńczony łukiem zarys drzwiczek u szczytu schodów.

– Biegiem – rozkazał Biały Wroniec. – Nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem.

Rzucili się ku drzwiom ile sił w nogach, powodując kilka okrzyków od strony obozowiska. Rozbrzmiał jeden pełny nadziei strzał, ale kula pomknęła ślepo w mrok. Dopiero gdy dotarli do spuszczonej bramy, Zgódka odważyła się zerknąć za siebie. Kilka ciemnych postaci biegło ku nim od namiotów, lecz zatrzymały je rzucane z wieży kamienie.

Natychmiast otwarto bramę i wędrowcy szybko schronili się w wiodącym od niej tunelu. Kratę opuszczono z brzękiem i chwilę później uchyliły się drzwi u wylotu korytarza, ukazując Młodego Wronca z latarnią w dłoni.

– Witaj w domu, mój panie – powiedział. – Twoje przybycie z lady Maud nastąpiło w samą porę. Jego lordowska mość gaśnie w oczach – relacjono-

wał Młody Wroniec, pospiesznie prowadząc przybyłych ku kaplicy. – Nie przetrwa nocy, a nawet, śmiem twierdzić, najbliższej godziny.

Znów wiedziono Zgódkę do lorda Fellmotte'a, by wypełnić jej ciało duchami.

Nie wiem, co teraz będzie – ostrzegła milcząco niewidzialnych towarzyszy. Nie mam pojęcia, czy Kuba ma jakiś plan. Wronce mogą nas związać i zalać falą fellmotte'owskich duchów. Możliwe, że trzeba będzie walczyć.

Cóż, przynajmniej nasza praktyka w walce ze sobą nawzajem nie pójdzie na marne – odezwał się doktor Szybki.

Jeśli zostawimy wrogów w gorszym stanie, niż ich zastaliśmy, należy uznać, że to był dobry dzień – dodał lakonicznie Dobrzeżyj.

Niedźwiedź nie wydał z siebie żadnego odgłosu, ale Zgódką czuła jego obecność w swej głowie i dodało jej to sił.

Morgan również milczała. Dziewczynie przyszło na myśl, że jeśli wywiąże się bitwa, mistrzyni szpiegostwa będzie miała okazję, by znów zmienić front i dołączyć się z powrotem do dawnej koterii. *Będzie, co będzie* – powiedziała do siebie. *Na razie mam do niej zaufanie.*

Po drodze Młody Wroniec zdawał szybki raport z przebiegu oblężenia.

Wojsko przed tygodniem otoczyło majątek. Wróg dysponował jedynie trzema dużymi działami – dwoma moździerzami ciskającymi większymi głazami i płonącymi granatami i półkolubryną o dalszym zasięgu. Stara Wieża przyjęła kilka celnych strzałów i kilka wieżyczek wyglądało jak wybite zęby. Niemniej jednak na razie grube mury Grizehayes skutecznie odpierały większość ataków.

– Rzecz jasna, nie raz już prosili, byśmy się poddali – opowiadał sługa. – Tradycyjna propozycja – wszystkie kobiety, dzieci i cywile mogą opuścić gospodarstwo, a zasady rozejmu podlegać będą negocjacjom. Oczywiście za każdym razem lady April udzielała odpowiedzi odmownej.

A zatem lady April była w Grizehayes. To była bardzo zła wiadomość. Zgódką miała nadzieję, że w domu nie będzie żadnych innych Starszych.

– Jak miewa się lady April? – spytał ostrożnie Kuba. Najwyraźniej jego myśli biegły tym samym torem.

– Och, wciąż dochodzi do siebie po doznanych urazach. – Młody Wroniec obrzucił Zgódkę krótkim, zimnym spojrzeniem. – Pozostaje w łóżku, chyba że jest potrzebna.

– A reszta rodziny? – badał Kuba.

– Sir Marmaduke liczy na to, że uda mu się przyprowadzić oddziały, które rozbiją oblężenie, choć Bóg jeden wie, czy dotrą tu, zanim wróg dośle posiłki. Biskup jest na północy, podbijając serca i przekonując umysły do

naszej sprawy. Sir Alan pozostaje nadal w Londynie, walcząc w sądach przeciwko sekwestracji naszych ziem. – Zgódka słyszała o tych potężnych członkach rodu. Na szczęście byli bardzo zajęci gdzie indziej.

Dziewczyna doznała niejakiej ulgi, słuchając relacji Młodego Wronca. Skoro lady April spędza czas w swych komnatach, a pozostali Starsi wyjechali, może Kubie uda się uniknąć spotkania z kimś, kto rozpozna, że młodzieniec nie nosi już w sobie zjaw.

– Nasze lochy są dobrze zaopatrzone w proch i pożywienie na dwa miesiące, a wody w studni mamy pod dostatkiem. – Młody Wroniec zeszczupłał i wyglądał mniej wytwornie niż zwykle. – Wieże są obsadzone lokalnymi, lecz wyszkolonymi ludźmi, a także paroma najlepszymi strzelcami spośród naszych łowców ptactwa i leśniczych. Ilekroć rebelianci podchodzą zbyt blisko murów, obrzucamy ich kamieniami i polewamy wrzącym olejem. Wróg wystawił saperów, by zrobili okop biegnący od obozu ku naszej zachodniej ścianie. Zapewne mają nadzieję podłożyć ładunki wybuchowe pod podstawę muru, ale nie dotrą do niego przed przybyciem odsieczy sir Marmaduke’a. Grizehayes przetrwało niejedno oblężenie. Te mury nigdy nie zawodzą. Równie dobrze można obrzucać górę czereśniami.

Zgódka czuła, jak prastare domostwo przygniata jej myśli swym ciężarem, jak but deptający polne kwiaty. Czy naprawdę łudziła się, że to miejsce straci nad nią swą władzę?

Drzwi kaplicy stanęły otworem. Na przypominającym tron krzesło siedział lord Fellmotte, jakby nie ruszył się stąd od odejścia Maud, jakby wciąż na nią czekał.

Dziewczyna zauważyła ze zgrozą, że krzesło obok było teraz wyposażone w metalowe kajdany, pozwalające przykuć nadgarstki i kostki siedzącego. Najwyraźniej nikt już nie zawierzał byle sznurowi i drewnu.

– Lady April prosiła, aby powiadomić ją, gdy tylko wrócimy – oznajmił Biały Wroniec, pospiesznie skłonił się i wyszedł. Kuba i Zgódka wymienili spanikowane spojrzenia, ale nie mieli dobrego powodu, by go zatrzymać.

W kaplicy znajdował się Stary Wroniec, skaczący przy lordzie Fellmocie, który wyglądał szarzej i mizerniej niż kiedykolwiek. Miał bose stopy, wsparte na zwłokach dwóch gołębi, leżących w kałużach własnej krwi. Było to stare lekarstwo, stanowiące ostatnią próbę wydarcia pacjenta chorobie, i sięgano po nie, gdy uznawano, że śmierć jest już bliska.

Sługa podniósł wzrok na wchodzących i łzy ulgi stanęły mu w oczach na widok Zgódki i Kuby.

– Mój panie! Och, mój panie, masz ją! Natychmiast przyniosę lekarstwo!

– Nie! – warknął Kuba ostrym głosem Starszego. Słowo poniosło się

echem po kaplicy, odbijając się od pozłaczanych ścian. – Nie ma takiej potrzeby. Przywiąż dziewczynę do krzesła.

– Ale... – Sługa zająknął się, wymieniając znaczące spojrzenie z synem.

– Dziewka nosi w sobie bestię! Poprzednim razem...

– Słyszałeś, co powiedziałem? – spytał Kuba tonem pełnym groźby i zimnym jak lód.

Natychmiast wykonano jego polecenie. Zaciągnięto Zgódkę do krzesła i popchnięto ją, by usiadła. Chłód kajdan, w które wciśnięto jej nadgarstki i kostki, przeszył ją dreszczem, ale zwalczyła narastającą panikę.

– A teraz wynocha! – huknął Kuba, wyrывая klucz z dłoni Młodego Wrońca. – Wszyscy!

Ośłupieni Wrońce patrzyli na niego z konsternacją. Dziewczynie zdawało się, że dostrzegła błysk podejrziwości w oczach młodszego.

– Już! – ryknął Kuba.

Z wyrazem szoku i zwątpienia Wrońce opuścili kaplicę, zabierając ze sobą żołnierzy. Kuba natychmiast zabarykadował drzwi, podbiegł do Zgódki i trzęsącymi się rękami uwolnił ją z kajdan.

– Wrońce zorientowali się, że coś jest nie w porządku – mruknął pod nosem. – Nie mogli odmówić Starszemu, ale kiedy zjawi się lady April, połączą z nią siły. Drzwi na jakiś czas powinny ich zatrzymać.

– Kubo – szepnęła Zgódka, wyswobadzając się. – Nie możemy tu zostać! Lord Fellmotte lada chwila wyzionie ducha!

Zobaczyła, jak mina brata zmieniła się, gdy pojawił koszmar sytuacji, w jakiej się znaleźli. Gdy szlachcic umrze, wyłoni się z niego siedem pradawnych, zdesperowanych zjaw, które zwęszą dwa kuszące pojemniki uwięzione wraz z nimi w jednym pomieszczeniu. Zgódka miała przyjaciół – duchy gotowe jej bronić lub przynajmniej podjąć próbę ochrony jej granic. Jej brat nie miał jednak takiego atutu.

Kuba mruknął słowo nieprzystające do kaplicy.

– Co my, u licha, zrobimy?!

ROZDZIAŁ 38

Rodzeństwo patrzyło razem na zwiotczałą twarz chorego i jego kipiące ze złości, wrogie spojrzenie.

– Musimy się stąd wydostać – rzekła Zgódka.

Okienka z witrażami były za małe. Nagle, gdy rozpaczliwie rozglądała się wokół, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Kubo, jest sposób, by stąd wyjść! – Zgódka wskazała na podniesioną galerię z tyłu kaplicy. – W głębi znajdują się drzwi! I korytarz, wiodący do komnat rodziny! Dasz radę tam wleźć, a potem spuścić coś z góry, żebym i ja mogła się wspiąć? – Pamiętała, jak zwinnie poruszał się po wieży, kiedy pierwszy raz go ujrzała.

– Nie zostawię cię tu na dole razem z nim! – Chłopak wskazał konającego lorda.

– Jeśli duchy znów cię opętają – powiedziała ostro Zgódka – zwrócisz się przeciwko mnie. Trzymaj się z dala ode mnie dla mojego dobra.

– Znając życie, będziesz próbowała wygrać każdą kłótnię, mówiąc: „A jak cię opętało”, prawda? – gderał Kuba, ale posłusznie wspiął się na sarkofag, po czym ostrożnie postawił stopę na wystającej ze ściany marmurowej głowie. Ułamała się pod ciężarem śmiałka i uderzyła o posadzkę z głośnym hukiem.

Przed głównymi drzwiami kaplicy rozległy się zdezorientowane głosy. Najwyraźniej Dziedziczenie nie obejmowało zwykle niszczenia sprzętów czy wystroju. Uszu Zgódki dobiegło wykrzyczane przez Starego Wrońca pytanie. Potem nastąpiło głośne, natarczywe łomotanie do drzwi.

Kuba zaklął, nadal zwisając ze ściany.

Wzrok dziewczyny wrócił do zgarbionej na tronie postaci. Widok dobrotliwej twarzy sir Tomasza, tak bladej i wykrzywionej chorobą, sprawiał jej niemal fizyczny ból.

– Przykro mi, sir Tomaszu – szepnęła, choć wiedziała, że ma przed sobą jedynie skorupę. – Lubiałam cię. Przykro mi, że nie leżysz na prawdziwym łożu śmierci. Przepraszam, że zostawiam cię w tym stanie. Wiem, że odda-

łeś życie dla rodziny... ale muszę ich powstrzymać. Raz na zawsze.

Nagle uświadomiła sobie, że coś się zmieniło w obliczu szlachcica. Zgasło w nim światło. Natychmiast zaczęła się cofać... I oto pierwszy duch wypłynął niczym smuga dymu z kącika ust umarłego.

– Kuba! – krzyknęła. – Już idą!

Chłopak właśnie przełaził na galerię. Szarpnął dekoracyjną kotarę, wiszącą na tylnej ścianie, mocno przywiązał jeden jej koniec do bariereki i cisnął zasłonę w kierunku siostry.

– Użyj tego!

Zgódka podbiegła i chwyciła tkaninę, po czym zaczęła się wspinać, wykorzystując kilka zdradliwych punktów podparcia dla stóp. Za jej plecami powietrze gęstniało od szeptów.

Stała chwiejnie na wąskiej półce, kiedy jakiś cień zapikował w kierunku jej głowy. Poczowała, jak ją łaskocze, niczym ćma próbująca się wcisnąć w kanał jej ucha. Lewa noga dziewczyny straciła oparcie i tylko mocny chwyt dłoni na materiale uratował ją od upadku.

Może ja przejmę wspinaczkę! – syknął zaalarmowany Dobrzeżyj.

Miał rację. Zgódka nie była w stanie walczyć i wdrapywać się jednocześnie. Oddała wojakowi władzę nad kończynami, a sama przygotowała się do boju.

Nie wiedziała, z kim ma do czynienia, kim jest Starszy dobijający się do jej umysłu. Kiedy ich myśli się ścierały, dziewczynie migwały przed oczami wspomnienia – grad tysięcy strzał przesłaniający niebo niczym burzowa chmura, płonące okręty, klęczący biskupi, biblioteka rozmiarów katedry. Jego pewność uderzyła ją niczym taran i na chwilę wstrząsnęła jej silną wolą.

Co ona sobie wyobrażała, odmawiając przyjęcia swojego przeznaczenia? Jak mogła pragnąć, aby poszło na marne tyle wieków wspomnień? Miała wrażenie, że ścina drzewo liczące sobie tysiące lat.

A jednak drzewo to miało korzenie, które mogły zadusić na śmierć. Rozprawiała się z przeszłością w samoobronie.

Przykro mi – rzekła do ducha Starszego Zgódka. *Dokądkolwiek trafi twoja dusza, obyś spotkał się z miłosierdziem. Niestety, ja nie mogę ci go okazać.*

Dziewczyna zamachnęła się w myślach na napastnika i czuła, jak doktor dodaje swoją wolę do jej ciosu. Wściekłość Niedźwiedzia była jak piec. A jednak przeciwnik nie był byle zjawą. Był potężny i sprytny i Zgódka zdawała sobie sprawę, że wsuwa szpony w szczeliny jej obronnego muru.

W tej chwili Morgan dokonała wyboru. Wyłoniła się znienacka i błyska-

wicznie znalazła się u boku Starszego, mieszając swą siłę z jego mocą. Dziewczyna wyczuła, że tamten poznał damę, wybuchnął euforią, nagle jednak doznał szoku, gdy mistrzyni szpiegostwa rozerwała go na dwoje.

Oto – zaznaczyła Morgan, gdy wrzeszczące szczątki zjawy roztopiały się w nicość – *sztuczka, która udać się może tylko raz.*

* * *

Zgódka dosięgła barierki i Kuba wciągnął ją na galerię. Pospiesznie otworzyli drzwi i popędzili halle. Powietrze za nimi rozbrzmiewało cienkim, melodyjnym gwizdem, gdy coraz więcej zjaw wyłaniało się z ciała lorda Fellmotte'a i ruszało w pościg. Rodzeństwo biegło labiryntem mrocznych korytarzy, po czym wpadło do Sali Map, by złapać oddech.

– Musimy pomyśleć! – Kuba przycisnął knykcie do skroni i głośno wypuścił powietrze z płuc. – Nie wydostaniemy się z Grizehayes, wszystko pod kluczem i strażą. Jeśli jednak będziemy biegli dość długo, pozostające luzem duchy roztopią się. Wówczas, nawet gdyby nas złapano, nie zostaniemy opętani!

– Za to mogą nas zabić! – zauważyła Zgódka. – Pozwoliliśmy duchom z lorda Fellmotte'a wykrwawić się w mgłę! Myślisz, że rodzina puści nam to płazem?

– Jesteśmy cennymi zamiennikami, a do tego ty jedna wiesz, gdzie ukryty jest edykt, prawda? – wysunął Kuba. – Możemy przynajmniej negocjować! Fellmotte'om potrzebni są sojusznicy, nam również. Otaczająca dom armia stanowi chwilowo największe zagrożenie dla nas wszystkich. Czy ci się to podoba, czy nie... jesteśmy po tej samej stronie.

– Nie, Kubo! – syknęła Zgódka z żarem w głosie. – Wcale nie!

– To jaki jest twój plan?

Dziewczyna zebrała się na odwagę.

– Wdrażamy w życie plan saperów – powiedziała. – Wysadzamy fragment zewnętrznego muru. Zmuszamy Grizehayes do poddania się.

Przez kilka sekund Kuba patrzył na nią z niedowierzaniem i przerażeniem.

– Nie! – szepnął wreszcie. – To zdrada! To już nie tylko niełojalność wobec rodu, ale wystąpienie przeciw królowi!

– Nic mnie to nie obchodzi! – wypaliła Zgódka. – Zależy mi jedynie na mieszkańcach tego hrabstwa!

Wzięła płytki oddech i z trudem próbowała ubrać myśli w słowa.

– Może sir Marmaduke przybędzie i przełamie oblężenie – powiedziała. –

Ale parlament potrzebuje tej ziemi. Przyśle inną, większą armię.

– I co z tego? – wykrzyknął Kuba. – Widziałaś, jak silne są nasze mury!
– W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta dumy. Uwadze Zgódki nie uszło też słówko „nasze”.

– Nastąpi dalsze oblężenie – ciągnęła. – Długie. W Grizehayes wyczerpią się zapasy jedzenia. Ludzie zaczną jeść psy, szczury, konie. Otaczające dom wojsko będzie brało jedzenie z okolicznych wiosek, by nie umrzeć z głodu. Nadejdzie zima i już wszyscy będą głodować. Zetną drzewa i zaczną się walki o drewno na opał. Następnie ludzie zaczną padać z powodu febry obozowej. W tej chwili wróg czeka, żeby Grizehayes się poddało, co oznacza, że wszyscy mogą wyjść stąd żywi. Jaki los spotka kobiety, dzieci i starców, jeśli się nie poddamy, a mury i tak runą?

– Zrobi się... paskudnie – przyznał z grymasem Kuba. Nie wnikał w szczegóły.

– Fellmotte’owie się nie poddadzą – powiedziała Zgódka. – A na królu wcale im nie zależy! Poświęcą każdego z tu obecnych, byle zatrzymać Grizehayes. Bo Grizehayes to ich serce, Kubo! W które chcę właśnie zadać cios.

* * *

Rodzeństwo odetchnęło z ulgą, gdy znalazło w pobliżu niestrzeżone schody. Oboje zbiegli po nich tak szybko i bezszelestnie, jak tylko potrafili. W mrocznych korytarzach wokół kuchni panowała cisza. W schowku na opał, obok stosów drewna, znaleźli sporo obiecująco wyglądających beczek.

– Jesteś pewna, że umiesz to wysadzić? – szepnął chłopak, wytaczając baryłkę z pomieszczenia.

Widziałem przygotowania saperów – poinformował Zgódkę Dobrzeżyj. Żadna filozofia. Najtrudniejsza część to dostać się w pobliże muru i nie dać się zastrzelić wrogowi.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Żaden problem – uspokoiła Kubę.

– Te krótkie chwile – odparł – kiedy wsłuchujesz się w niesłyszalne dla mnie głosy, są co najmniej irytujące.

Wspólnymi siłami przetaszczyli beczkę do piwniczki z winem i postawili ją przy fundamencie zachodniej ściany.

Za radą Dobrzeżyja Zgódka wyciągnęła korek z boku baryłki i wsunęła w to miejsce krótki zapalnik.

– Musimy obłożyć ją rzeczami – przekazała słowa wojaka. – Ziemia,

kamienie, cokolwiek ciężkiego. – Poukładali więc wokół inne pełne beczki, po czym przemknęli do kuchni w poszukiwaniu kolejnych przedmiotów.

Dziwnie było wrócić do kuchni i zobaczyć wszystko, co niegdyś wypełniało jej dni i zdierało ręce. Psy jęły się łaścić do niej, jakby nigdy nie opuszczała tego miejsca. Niedźwiedź był niespokojny. Wyczuł, że pomieszczenie pachnie inaczej niż za poprzedniej jego bytności, i chciał potrzeć ramieniem o stół, by znów stał się znajomy.

Nie teraz, Niedźwiedziu.

Kuba i Zgódka znosili ciężkie rondle, worki ziarna i wiadra soli ze schowka na mięso. Wszystko to układali w stos na baryłce, aż niemal zniknęła pod spodem, cała z wyjątkiem wystającego lontu.

Grizehaves musi upaść. Tylko w ten sposób Zgódka mogła zadać cios straszliwej pewności Fellmotte'ów. Forteca była ich arogancją wykutą w kamieniu. Dowodem wieków ich istnienia. Przekonywała ich, że są wieczni.

– A teraz w nogi! – szepnął Kuba. Pospieszyli w górę po schodach, lecz nagle zamarli na widok osób stojących u ich szczytu.

Białe i Młody Wroniec trzymali w dłoniach szable. U boku mieli trzech uzbrojonych służących. Za ich plecami, niczym zatrute księżyc, lśniła metalicznie biała twarz lady April.

Jak nas znaleźli? – zastanawiała się Zgódka. Poniewczasie przypomniała sobie niepokój Niedźwiedzia. Kuchnia, a szczególnie stół, pachniała inaczej, jakby strachem.

Oczywiście. Po ucieczce Zgódki musiano przyjąć nową pomoc kuchenną, która pilnowałaby ognia nocą. Jakieś dziecko leżało tam przerażone, podczas gdy intruzi panoszyli się w kuchni, rozprawiając o prochu. Skorzystało z pierwszej okazji, by wymknąć się stamtąd i donieść komu trzeba...

Wybacz, Niedźwiedziu. Zapomniałam cię słuchać.

Kuba nie wahał się ani przez chwilę. Natychmiast się wyprostował, unosząc władczo brodę.

– Co to za wygłupy? – zażądał wyjaśnień, naśladowując w godny podziwu sposób poirytowany głos Starszego.

– Jeśli pan pozwoli... Jeśli wyrazi pan chęć... pójścia z nami... – próbował Młody Wroniec tonem unizonym i agresywnym jednocześnie.

– Co znaczą te szable? – Kuba zmroził mężczyznę wzrokiem. – Jak śmiecie kierować ostrza na lorda Fellmotte'a?! – Wskazał na Zgódkę.

– To nie jest lord Fellmotte – odezwała się zimno lady April.

Zaufasz mi, bym zabrała głos? – spytała Morgan.

Tak – odparła dziewczyna bez chwili wahania.

Nie po raz pierwszy czuła, jak Morgan przejmuje panowanie nad jej gardłem i używa jej strun głosowych, ale tym razem odbywało się to przynajmniej za jej przyzwoleniem, więc nie miała wrażenia, że się krztusi.

– Galamielu Wrońcu – zabrzmiał z ust Zgódki ostry ton szlachcianki. – Jeśli brak ci rozumu, by poznać własnego pana, to pieniądze, które ofiarowaliśmy twemu ojcu na twoją edukację, są fortuną wyrzuconą w błoto. Czy z rady, jaką daliśmy ci w dniu twych dwudziestych urodzin, również postanowiłeś nie skorzystać?

Zgódka czuła, że zmienia się także jej mowa ciała. Jej sylwetka zgarbiła się nieco, przypominając postawę Abdiasza. Jej twarz przyjęła obcy wyraz, brwi zmarszczyły się, a usta poruszały się inaczej niż kiedykolwiek. Wrażenie przeobrażenia było nie do opisanania.

– To jest jego lordowska mość! – zawołał Młody Wroniec, opuszczając szablę.

– A ty, Mylesie Wrońcu! – Morgan znów przemówiła przez Zgódkę. – Zapomniałeś już, jak ręczyliśmy za ciebie w Gladdon Beacon?

Biały Wroniec zaczął obniżać dłoń z bronią, lecz nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w małego pieska od różna, który przytruchtał do stóp dziewczyny. Bez namysłu przesunęła stopę, by dużym palcem podrapać psiaka pod brodą. Zrobiła to z przyzwyczajenia, ale nie był to lordowski zwyczaj. Mężczyzna patrzył na Zgódkę oczami zamglonymi od wątpliwości i niezdecydowania.

– Brać ich! – padł rozkaz lady April.

– Nie! – Młody Wroniec zasłonił Zgódkę i Kubę. – Wybacz, lady April – rzekł drżącym głosem. – Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek się pani przeciwstawię, jednak moja lojalność leży przede wszystkim po stronie lorda Fellmotte’a.

– Bronić szczytu schodów! – zakrzyknął Kuba i dwaj słudzy posłusznie dołączyli do Młodego Wrońca. Biały Wroniec nadal trwał w bezruchu. Mężczyzna stojący u boku starszej damy spróbował odepchnąć na bok szablę Młodego Wrońca, co natychmiast wywołało potyczkę, ograniczoną brakiem miejsca. Ostrza ścierały się z brzękiem, ciosając iskry z kamiennych ścian.

Korzystając z zamieszania, Kuba chwycił Zgódkę za rękę i pobiegł z nią w dół piwnicznymi schodami. Nie mieli innej szansy na wycofanie się. Ukryli się w labiryncie beczek.

– Ile czasu nam zostało? – szepnął Kuba. Nie musiał tłumaczyć, że mówi o tłącym się lonce.

– Nie wiem – odparła Zgódka. – Pewnie parę minut. – Zamierzali oddalić się od podziemi, zanim proch wybuchnie. Mogliby jeszcze zdążyć zgasić

zapalnik. Ale co czekałoby ich potem poza klęską i niewolą?

Nie wiem, jak potężna będzie eksplozja – przyznał Dobrzeżyj. Może rozdrzeć nas na strzępy. Ale i tak myślę, że warto zaryzykować.

Napatrzyłem się dość na to piekielne miejsce, żeby cię poprzeć – odezwał się, ku własnemu zaskoczeniu, doktor.

Morgan zaśmiała się, bardzo cicho i złowieszczo.

Niechaj płonie – powiedziała.

– Roznieśmy Grizehayes w pył – postanowiła Zgódka.

– No dobrze – zachichotał Kuba. – Jak umierać, to plując Złu prosto w twarz!

Ucichły krzyki i szczęk broni u szczytu schodów i dało się słyszeć wydawane przez lady April komendy. Najwyraźniej pokonała Młodego Wrońca i jego ludzi, albo siłą fizyczną, albo siłą woli.

– Przyjdą po nas – szepnął Kuba.

– Niech idą – syknęła dziewczyna. – Im więcej, tym weselej, gdy proch wybuchnie. – Zgasiła latarnię, pogrążając siebie i brata w kompletnych ciemnościach.

Po szeroko otwartych oczach chłopaka poznała, że ten zupełnie nic nie widzi.

– Zaufaj nam – wyszeptwała.

– Słyszycie nas? – zawołała w podziemia lady April. – Wyjdźcie i się poddajcie albo pošlemy po was psy!

Rodzeństwo zamarło. Kolejny raz w swym życiu zostaną poszczuci psami z Grizehayes. Tym razem nie było jednak przestrzeni mokradeł, przez którą można było uciekać. Byli przypartą do muru zdobyczą.

Mimo to żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Żadne nie wykonało ruchu wskazującego na chęć kapitulacji.

Sekundy wlekły się niemiłosiernie, aż Zgódka usłyszała słaby stukot pazurów na schodach. Dyszenie, szorstkie niczym wióry. Łopot obwisłych fafli.

Dziewczyna знаła zapach każdego z nadciągających zwierząt. Oto potężne bestie, mastiffy, ze śmiertelnym ścisaniem ogromnych szczęk. Wilczarz o długich ścięgnach tęskniących do biegu za dużą zwierzyną. Charty, zabójczo zwinne, niczym jastrzębie na ziemi. Posokowce, upajające się jej strachem jak smakosz wybornym winem.

Zgódka słyszała szum ich wzburzonej krwi, wyczuwała głód polowania. Klekot pazurów zbliżał się do kryjówki rodzeństwa. Jedno niskie szczeknięcie rozbrzmiało w ciemności, a po chwili kakofonia ujadania poniosła się echem po podziemiach.

– Ćśś! – Dziewczyna wstała, choć serce waliło jej jak młotem, a skóra cierpła, gotowa na ugryzienie. – Nero, Gwiazda, Łowca, Kalib! To ja, to swój.

Rozróżniała w mroku ich postacie. Jeden z większych kształtów raptem zbliżył się do niej. Wilgotny nos trącił jej dłoń, a szorstki jęzor polizął palec.

Znały jej woń. To ona, częstująca tłuszczukiem. Może nawet członek stada. Była też bestią, której cierpliwości nie należało wystawiać na próbę.

– W końcu będziecie musieli wyjść – zawołała lady April.

– Po co? – odkrzyknął Kuba przez szczękające zęby. – Mamy tu przyjaćiół i dość wina, by dobrze się zabawić. Może sobie pośpiewamy.

– Albo zaczekamy, aż wasi wrogowie przejmą jutro Grizehayes – zasugerowała Zgódka.

– Bzdury! – warknęła lady April. – Utrzymamy się choćby do końca wojny, jeśli zajdzie taka konieczność! Mamy dość zapasów i amunicji na pełne dwa miesiące.

Zgódka roześmiała się w głos.

– Myślisz, pani, że tyle tylko potrwają walki?

– Królowa wróciła do kraju z pieniędzmi, bronią i wojskiem, gotowym ginąć za króla – oznajmiła lady April. – Londyn wkrótce upadnie na duchu. Rebelianci już się wykruszają. – Jej pewność siebie była chłodna i monumentalna niczym marmur.

– Wcale nie! – zawołała Zgódka. – A Londyn to bestia, moja pani. To skłócony, cuchnący dom wariatów, lecz ma niszczyielską siłę huraganu. Nie obchodzi mnie, jaka jesteś stara i mądra. Jeśli twierdzisz, że wojna się kończy, jesteś ślepa.

– Jak śmiesz! – Lady April była wściekła, ale dziewczynie zdało się, że wyczuwa też ślad innych emocji.

– Widziałam dziś śmierć dwóch Starszych – oznajmiła z mocą Zgódka. Pełna szoku cisza rozlała się niczym krew. – Duchy sir Antoniego zawładnęły Symondem, ale ten zginął od kuli jednego z twoich żołnierzy. A te zjawy – takie światowe i wszechwiedzące – niczego się nie spodziewały. Nawet nie zauważyły tego żołnierza. Nie obchodziło ich, że stracił brata pod wzgórzem Hangerdon. Tymczasem on strzelił im prosto w głowę. Umykają wam niektóre kwestie, i to bardzo istotne, bo nie zważacie na istnienie pewnych ludzi. Teraz jest już dla was za późno. Ta wojna różni się od tych, które dotąd toczyliście. Wasze doświadczenie i przeżyte stulecia na nic się nie dadzą. To coś nowego. To koniec świata, lady April.

– Dość! – wrzasnęła szlachcianka. – Wyczerpała się nasza cierpliwość!

Po stopniach zaczęli ostrożnie schodzić mężczyźni, dwóch z nich niosło

świece, które podświetlały im twarze. Tuż za nimi podążała lady April, uzbrojona w dwa okrutnie wyglądające noże.

Kuba delikatnie podniósł niewielką baryłkę, zarzucił ją sobie na bark, po czym cisnął nią w jednego z dzierzących świece sług. Beczułka trafiła mężczyznę w rękę, świeca uderzyła o ścianę i zgasła. Towarzysz zaatakowanego odwrócił się tak szybko, by sprawdzić, co się dzieje, że powiew powietrza zdmuchnął i jego płomień. Zapanowały konsternacja i zamieszanie.

– Coś na mnie skoczyło!

– Ja coś widziałem, zanim zgasło światło! Czerwień płomienia odbijała się w dziesiątkach oczu! To... chyba nie wszystko były psy.

– Coś czai się w mroku! Słyszę, jak warczy!

– Skoro to słyszysz, wiesz, gdzie się znajduje – wychrypiła lady April.

Źródło warczenia przemieszczało się jednak. Zgódka odprężyła się, oddając stery Niedźwiedziowi. Opadła na kolana i ręce, bo tak było łatwiej, było to konieczne. Jego nozdrza stały się jej nosem, jej oczy – jego ślepiami. Pozwoliła, by jej gardło wibrowało głębokim, złowrogim grzmieniem.

Niedźwiedź nie jest dzieckiem, które muszę rozpieszcać. Nie jest Furią, którą trzeba trzymać na łańcuchu. Nie muszę się go bać. Jest mną. Czymkolwiek jesteśmy, teraz jesteśmy jednym.

Pierwszy mężczyzna padł bez czucia od pojedynczego ciosu w bok. Drugi machnął szablą w kierunku pomruków Zgódki i został powalony na ziemię przez mastiffa i charta. Trzeci próbował przebiec do schodów, by zdobyć jakieś światło, lecz został pchnięty na stertę beczek.

– Mam chłopaka! – krzyknął nagle Biały Wroniec. Rozległa się szamotania.

Zgódka rzuciła się ku głosowi, ale wtem silne, cienkie palce chwyciły ją za skronie, złapały pęczki jej włosów.

– Kundlu! – Szorstki głos lady April zazgrzytał w uchu dziewczyny. – Niewdzięcznico! – Zgódka wrzasnęła, gdy nagle skoczył ku niej duch, wgryzł się w mur obronny jej umysłu, wciął się weń niczym ostrze siekiery. Atak nastąpił zniemacka, nie zdążyła się przygotować.

Dziewczynę już wcześniej napadały zjawy, ale ich celem było zawsze osiedlenie się w jej głowie. Tym razem było inaczej. To było bombardowanie i lady April nie dbała o to, jakich dokona szkód. Zgódka stawiała opór i czuła, że wszyscy jej tajni sprzymierzeńcy stanęli wraz z nią do walki.

Wszyscy razem. Wreszcie nauczyliśmy się walczyć jako drużyna. Nawet wtedy, gdy skorupa jej umysłu pękała, przez smutek przebijała pewna radość. Dziewczyna była świadoma rosnącej frustracji Starszego. Przegrywała, lecz o wiele wolniej, niż oczekiwano.

Wtem Zgódka poczuła zapach cudzego strachu i dostrzegła cienkie pęknięcia zwątpienia biegnące przez marmurowe dusze lady April.

– Moja pani – zawołał z wyraźnym niepokojem Biały Wroniec. – Coś tu jest. Błyszcząca czerwona gwiazda. Wygląda jak ognek zapalnika...

Atak na mózg Zgódki gwałtownie ustał, gdy jej ciało odepchnięto na bok.

– Głupcy! – wrzasnęła lady April. – To proch! – Dziewczyna widziała, jak starsza dama pędzi przez mrok niczym chart, chcąc dopaść jarzącej się szkarłatnej gwiazdki żarzącego się lontu...

Właśnie ta jaskrawoczerwona kropeczka stanowiła epicentrum nastającego końca świata.

Eksplozja była ogłuszająca, a jej siła odrzuciła Zgódkę w tył, tak jak nieostrożna ręka niszczy domek z kart. Buchnęła fala gorąca, a potem wiele rzeczy zdawało się przefruwać obok dziewczyny. Powietrze było pełne dymu i mąki. Zgódka usiadła, zanosząc się kaszlem, w samą porę, by ujrzeć, jak potężny, poszarpany fragment ściany i sufitu zawala się i leci na płyty.

Spopieliałe i zaskoczone niebo spozierało w dół przez wyrwę. Potykając się, Kuba pokonał rumowisko i pomógł siostrze wstać. Kawalek dalej Biały Wroniec siedział oszołomiony, pokryty pyłem. Szczątki lady April zostały pogrzebane pod gruzami.

Kuba coś mówił – widziała to po ruchu jego warg. Zgódce dzwoniło w uszach, a głos brata był blady niczym duch, ale zdawało jej się, że rozumie. Pospieszyła za nim na górę po schodach, ostrożnie przeszła nad ciałem nieprzytomnego Młodego Wronca i przyjrzała się pięknej szczelinie w murze.

Wystarczyła, by dwoje ludzi wymknęło się przez nią na rosnącą na zewnątrz trawę. Jeszcze wygodniej było towarzyszącym im psom.

ROZDZIAŁ 39

Wiele godzin później, wczesnym popołudniem, Kuba i Zgódka zatrzymali się na odpoczynek w zagajniku na szczycie wzgórza. Niegdyś był tam stary fort, lecz został po nim jedynie dziwnie ukształtowany kopiec, z którego roztaczał się rozległy widok na okoliczne ziemie.

Rodzeństwo czuło się wykończone na ciele i duchu i nie potrafiło dłużej tego ukrywać. Chłopak wciąż nie doszedł do siebie po goszczeniu w sobie pięciu aroganckich fellmotte'owskich dusz. Walki, które Zgódka stoczyła ze zjawami Starszych, sprawiły, że była ona wycieńczona i pełna melancholii. W jej pamięci widniała jeszcze warstewka ich wspomnień, niczym popiół po spalonych ćmach, zasnuwający wszystko, na co dziewczyna patrzyła.

Oboje mogli się pochwalić nie lada kolekcją sińców, mieniających się na skórze wszystkimi barwami tęczy. Co więcej, Zgódkę bolały ręce od niesienia piaska napędzającego ruszt, którego łapki zmęczyły się szybciej niż nogi pozostałych psów.

– Co to? – spytał Kuba.

W oddali widać było wysoki snop brązowoszarego dymu. Był zbyt duży, by mógł pochodzić z komina czy znad ogniska, zresztą nie przypominał kolorem dymu z palonego drewna. Nie był to również sezon wypalania traw.

Zgódka wyjęła dyptyk i spojrzała na kompas. Spróbowała sobie przypomnieć mapy, które tak sumiennie składała, ale w głębi serca nie miała wątpliwości, co się pali.

– Grizehayes – wyszeptał chłopak. Zdawał się zszokowany, wręcz sparaliżowany i Zgódka wiedziała, że ona też ma na twarzy ten sam wyraz odrętwienia.

Niepokonane Grizehayes. Wieczne Grizehayes, z setkami lat obrastającymi je niczym pąkle. Grizehayes, niezmienny głaz w nurcie świata. Ich więzienie, ich wróg, schronienie, dom.

Grizehayes stało w ogniu.

– Czy to koniec świata? – wykrztusił Kuba.

Zgódka przysunęła się do niego, otoczyła obolałymi ramionami i mocno

przytuliła.

– Tak – odparła.

– Co robimy?

– Idziemy. Znajdziemy jedzenie i nocleg. Jutro – to samo. Przetrywamy.

Zdarza się, że świat się kończy. Zgódka miała już tego świadomość. Przekonała się o tym w noc zamieszek i śmierci matki, kiedy jej własny świat doszczętnie się zawalił.

Jeden z psów zawarczał na coś w zagajniku. Zgódka poderwała się na równe nogi, lecz wtem ujrzała zarys zwierzęcia maszerującego przez runo, a po chwili spiczasty pyszczek z białymi pasami. To tylko borsuk, zajęty swoimi sprawami, niepomny istnienia koszmaru wojen.

Dziewczyna obserwowała go z zapartym tchem. Pamiętała, czego nauczyła się na temat borsuków z książki zwierząt w Grizehayes. Borsuk, inaczej jaźwiec, ma nogi dłuższe z jednej strony, co pozwala mu zachować równowagę na pochyłym terenie...

Tylko że łapy stworzenia wcale nie były nierówne. Gdy znalazło się w plamie światła, przyjrzała mu się uważnie i okazało się, że wszystkie nogi były skromnej, lecz jednakowej długości.

Może żadna ze starych prawd nie zasługiwała na to miano. Może nadszedł czas, by nastał całkiem nowy świat, z własnymi zasadami. Świat, gdzie borsuki nie były kalekie, pelikany nie karmiły piskląt własną krwią, w głowach ropuch nie było kamieni szlachetnych, a rodzące się małe misie miały od razu niedźwiedzi kształt. Świat, gdzie fortece mogły płonąć, królowie – ginąć i nie istniały reguły, których nie dałoby się złamać.

– Przetrywamy – powtórzyła Zgódka, tym razem bardziej stanowczo. – Spróbujemy wylizać ten nowy świat, nadać mu formę, póki jest miękkiej. Jeśli tego nie uczynimy, zrobią to za nas inni.

* * *

Sporo czasu minęło, zanim mieli okazję przeczytać w biuletynie całą historię upadku Grizehayes.

Uznano, że za wybuch pośrodku nocy odpowiadał proch przechowywany zbyt blisko murów. Gdy nadszedł świt, białe flagi zwisały z murów fortecy, sygnalizując gotowość do rozmów. Mężczyzna nazwiskiem Wroniec wyłonił się, by negocjować warunki kapitulacji.

Dowódca oblężenia darował życie wszystkim cywilom, a nawet pozwolił im zabrać część zapasów i dobytku. W czasie pokoju był dobrym człowiekiem, a majątku nie oblegał znowu tak długo. Jego wojenny zapał nie zdążył

się jeszcze przerodzić w nienawiść.

Siły parlamentu, które przejęły Grizehayes, ledwo zdążyły spustoszyć spiżarnie, gdy otrzymały wieść, że spory oddział rojalistów pod wodzą sir Marmaduke'a znajduje się o niecały dzień drogi od nich.

Dowódca oblężenia stanął przed dylematem, lecz błyskawicznie podjął decyzję. Lepiej spalić dom, żeby do niczego się już nie nadawał, niż ryzykować, że siły króla użyją go jako twierdzy, choćby nawet w marnym stanie.

Raport donosił, że gdy sir Marmaduke ujrzał siedzibę swych przodków stojącą w płomieniach, „serce mu pękło”. Odmówiwszy założenia ochronnego koletu, poprowadził atak kawalerii, walcząc jak szalencie. Obie strony podziwiała jego męstwo. Cóż, łatwiej piąć peany na cześć umarłych niż żywych.

* * *

Nie o wszystkich potyczkach pisano w biuletynie i tylko w niektórych walkach pełne armie stawały w równych sztykach pod okiem czujnych dowódców. Mijały miesiące, a pokój nie nadchodził. Czasem miała miejsce bitwa, o której mówiono, że wreszcie przesądzi losy wojny, lecz jakoś nigdy nie mogło to nastąpić.

Ludzie to dziwny gatunek, który przyzwyczai się do wszystkiego, choćby było to trudne lub pozornie niemożliwe. Z czasem to, co niewyobrażalne, staje się rutyną.

Mieszkańcy jednej z leśnych osad z radością powitali kogoś, kto potrafi opatrywać rany. Zostali napadnięci przez uzbrojoną bandę przepasanych szarfami żołnierzy. Padły strzały, sypnęły się ciosy. Wreszcie osadnicy zabarykadowali się w kościele, skąd obrzucali napastników kamieniami, aż tym znudziły się próby podpalenia budynku i odjechali. Nikt nie był do końca pewien, czy byli opłaconym oddziałem, zorganizowaną brygadą czy grupą grasujących dezertków.

Wieśniacy mogli odwdzińczyć się Zgódce i Kubie za opiekę, oferując jedynie schronienie, posiłki i kości dla psów, ale wszystko to było akurat bardzo mile widziane. Rozmowy prowadził głównie chłopak. Miał autorytet, nawet jako włóczykij.

Kiedy tak pomyślę o stawkach, jakie niegdyś pobierałem za moje usługi – westchnął doktor Szybki, kiedy ostatni pacjent Zgódki wyszedł ze świeżym opatrunkiem na głowie. Niemniej jednak lekarz od jakiegoś czasu coraz rzadziej poruszał podobne tematy. Być może zamożni klienci przejawiali mniejszą wdzięczność niż ledwo wiążący koniec z końcem gospodarze. Jak

zwykle, rządzą tobą uczucia.

To zdrowy rozsądek, nie sentymenty – oznajmiła Zgódka, myjąc ręce. Potrzebowaliśmy dachu nad głową na kilka dni.

Miałeś dobre, zdrowe powody, żeby pomóc tym ludziom – powiedział doktor. Zawsze takie znajdujesz. Opowiadałem ci kiedyś o pewnym chirurgu, którego znałem przed wojną? Był wschodzącą gwiazdą, obsługiwał najlepszych klientów. Zdarzyło się jednak, że pod jego nożem umarło dziecko, córeczka jego najbliższego przyjaciela. Od tego czasu nie było dla niego nadziei. Nagle nikomu nie potrafił odmówić. Wypruwał sobie żyły, biorąc każdy przypadek, nawet gdy nie było szans na zapłatę. Zawsze też potrafił podać świetne, sensowne przyczyny, dla których opłacało mu się tak pracować. Nigdy nie przyznał, że próbował uratować wszystkich, żeby ukoić ból płynący z faktu, że zawiódł, nie umiając ocalić tego jednego dziecka.

Czy kiedyś odnalazł spokój? – zaciekawiała się Zgódka. Doskonale wiedziała, co sugeruje lekarz.

Kto wie? Z tego, co wiem, jeszcze żyje. Może wreszcie znajdzie spełnienie. Tymczasem, głupiec, ratuje straszną masę istnień.

Napişemy dziś coś jeszcze? – spytała Zgódka.

Jeśli mamy na zbyciu kartkę i czas.

Dziewczyna zdobywała papier, gdy tylko miała ku temu okazję. Zwykle nie był tani, zazwyczaj częściowo zapisany, ale pozwalał doktorowi spisywać obserwacje i teorie na temat medycyny pola walki.

Wkrótce po upadku Grizehayes Zgódka napisała też dwa listy. Adresatem pierwszego była Dobroczyzna Tyler z Norwich, której przesłała modlitewnik jej brata i wieść o jego śmierci. Poinformowała dziewczynę, że Dobrzeżyj pragnął pogodzić się z kuzynem i zakończyć dzielący ich spór, a także przekazała, że całym sercem kochał siostrę. List wspominał również, że żołnierz znacznie przyczynił się do zdobycia twierdzy rojalistów i zakończenia oblężenia, które mogło pochłonąć wiele ludzkich istnień. Przemilczano szczegół, iż bohaterskiego czynu dokonał pośmiertnie.

Zgódka przeczuwała, że Dobrzeżyj wkrótce ją opuści. Stał się ostatnio bardzo wyciszony. Wiedziała, że pewnego dnia zbudzi się i znajdzie w swym umyśle dziurę – puste miejsce, jakby z dziąsła wypadł ząb.

Wypolerowałem duszę najlepiej, jak potrafiłem – oznajmił niedawno. Jeśli zatrzymam się tu na dłużej, tylko ją znów zarysuję.

Drugi list powstał przy udziale Morgan. Był zaadresowany do Heleny i stanowił nudny traktat o dzieciach zapadających na odrę. Na odwrocie znajdowała się jednak niewidzialna wiadomość, zapisana sokiem z karczocha.

Heleno!

Na pewno dotarły do Ciebie różne dziwne wieści na mój temat, jednak wierz mi, prawda jest jeszcze bardziej niezwykła. Kiedy się poznałyśmy, nie byłam w służbie Fellmotte'ów. Pracowałam dla Twoich wrogów. Pozostają jednak Twoją przyjaciółką, czego niniejszym zamierzam dowieść.

Edykt, którego szukasz, znajduje się w Whitehollow. Symond Fellmotte ukrył go pod wyściółką sekretnych drzwi w głównej sypialni. Przesunęłam dokument, lecz bardzo blisko. Jest nadal pod tą samą tkaniną, ale w górnym rogu drzwi, przypięty pinezką. Powiedziałam Symondowi, że zmieniłam schowek, i podejrzewałam, że wsunie rękę w stare miejsce, by wyczuć, czy rzeczywiście usunęłam pismo. Założyłam, że nie znalazłszy edyktu w pierwotnej kryjówce, nie przeszuka pozostałej części drzwi, tylko przetrząśnie w szale resztę domu. Najciemniej jest wszak pod latarnią.

Jak Bóg da, spotkamy się jeszcze, a jeśli tak się stanie, mam nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółkami.

Judyta-jak-dawniej

Zgódka pamiętała błysk w oku łowcy czarownic, gdy dowiedział się o edykcie z królewską pieczęcią. Będzie lepiej, jeśli rojaliści znajdą i po cichu zniszczą dokument. Nie była w stanie wyplenić ze świata ludzi polujących na wiedźmy, ale nie było też potrzeby dostarczać im pożywki. Nawet niewielkie doświadczenie, jakie miała, podpowiadało jej, że to krwiożercza rasa.

Poza tym dziewczynę cieszyła wizja Heleny, która wymienia chłodne, mdłe uprzejmości z niczego niespodziewającym się okrągłogłowym mężem, w rękawiczce mając ukryty liścik, a w głowie plan wymknięcia się nocą, by przeżywać przygody i szpiegować na rzecz króla.

Chciałbym też spisać moje obserwacje dotyczące duchów – powiedział doktor. Choć obawiam się, że moglibyśmy skończyć na stosie jako heretycy. Zastanawiam się czasem, czy twój ród nie padł ofiarą kolosalnej pomyłki. Im więcej widzę duchów, tym mniej mam pewności, czy jesteśmy tymi samymi duszami co za życia. Kto wie, może nasze prawdziwe dusze wędrują szczęśliwie do Stwórcy, a nas zostawiają tutaj? Wydaje mi się czasem, że my, zjawy, jesteśmy... wspomnieniami. Echem. Wrażeniami. O, tak, potrafimy myśleć i czuć. Żałujemy przeszłości, boimy się przyszłości. Ale czy naprawdę jesteśmy ludźmi, za których się uważamy?

A czy to coś zmienia? – Było za późno, by Zgódka ujrzała w swych widmowych sprzymierzeńcach kogoś innego niż przyjaciół.

Sam nie wiem – powiedział doktor Szybki. Nie ukrywam, że ciosem dla mojej próżności jest wizja, że nie jestem niczym więcej niż kłębkim myśli, uczuć i wspomnień, napędzanym do życia przez cudzy umysł. Choć z drugiej strony, tym samym jest książka. Gdzie moje pióro?

Zgódka użyczyła mu do pisania swojej ręki. Nie po raz pierwszy przyszło

jej na myśl pytanie, czy i lekarz pewnego dnia odejdzie, gdy poczuje, że wypełnił się sens jego życia po śmierci.

Tylko co do Niedźwiedzia nie miała wątpliwości. Nigdy się z nim nie rozstanie.

Nie widziała żadnego miejsca spojenia, żadnej granicy, gdzie kończyła się ona, a zaczynał on. Przypuszczała, że podczas ich pierwszego, niezdarnego zderzenia dusz spleli się na wieki. Cokolwiek by się wydarzyło, gdziekolwiek by zawędrowała, Niedźwiedź miał być z nią na zawsze. Ktokolwiek ją pozna, polubi czy pokocha, będzie musiał zaakceptować zwierzę.

Potrafiła nawet pokochać troszkę samą siebie – dzięki świadomości, że jest Niedźwiedziem.

Przez kilka dni po swojej śmierci Hanna była bardzo zdezorientowana.

Na front zawiodły ją w równej mierze miłość i rozpacz. Wspaniale, że Tomek wyruszał z armią hrabiego, ale jeśli zostawiał ją samą z dzieckiem w drodze, jak miała kupić jedzenie, gdzie miała się podziąć? Spakowała się więc i też poszła na wojnę, mimo że coraz bardziej pęczniał jej brzuch.

Hanna nie była osamotniona. Żołnierzom towarzyszyła cała masa kobiet – żon, kochanek i innych – wszystkie pomagające w gotowaniu, pielęgnowaniu rannych, usługiwaniu. Hanna lubiła je, a przynajmniej wiele z nich. Marsz odbywał się w trudnych warunkach, po błotnistych drogach, ale była młoda, a cała wyprawa miała czasem coś z szalonej, ekscytującej wakacyjnej przygody. Jej śpiewny głos, tak często wychwalany w kościele, brzmiał jeszcze lepiej przy ognisku.

Ale pewnego dnia doszło do wybuchu wozu z prochem i Tomek zginął. Szok, który przeżyła Hanna, przyprawił ją o atak, będący przyczyną poronienia. Po tym wszystkim nie potrafiła wrócić do swego miasteczka. Nie miała już domu. Tylko dokąd miała pójść? I co miała jeść, nie mając żołdu Tomka?

Jakaś kobieta podszeptała jej, że gdyby przebrała się za mężczyznę i zgłaszała na ochotnika do najgorszych wart, mogłaby się „zaciągnąć” i sama pobierać żołd. Kilka dziewcząt radziło tak sobie w obozie, a oficer przymykał na to oko.

I tak Hanna została Haroldem. Była zbyt drobna, by trzymać szyk z pikinierami, więc nauczono ją sztuki obsługi zamka lontowego i dołączyła do muszkieterów.

Podczas wielkiej bitwy, gdy szyk muszkieterów został złamany, słyszała krzyki, że wróg atakuje tabor. Przez dym wystrzałów i chaos pobiegła na tyły obozu, gdzie ujrzała jeźdźców ścigających kobiety i siekących je sza-

blami. Wystrzeliła do jednego z nich, drugiego zraniła szablą, lecz wtem zadane od tyłu cięcie położyło kres jej wysiłkom i jej życiu.

Nie! – pomyślała, umierając. *Nie! Nie! To za wcześnie! To niesprawiedliwe. Właśnie odkrywałam nowe życie i byłam w tym dobra!*

Ta jedna myśl towarzyszyła jej przez kilka kolejnych dni. Otaczał ją mrok. Ciemność była dziwna, ale ciepła i Hanna miała wrażenie, że nie jest sama.

Co jakiś czas ktoś do niej zagadywał. Był to głos młodego mężczyzny i z początku sądziła, że może Tomek prowadzi ją do nieba, ale głos się nie zgadzał i akcent też był nie taki jak trzeba.

Wreszcie wrócił jej wzrok. Na widok błękitu nieba doznała takiej ulgi, że omal nie zapłakała. Okazało się jednak, że nie jest w stanie. Zdawało jej się, że idzie, ale nie miała żadnej kontroli nad swoimi nogami. Nie tylko była ubrana w męski strój, ale i jej ciało należało do mężczyzny!

– Widzisz? – spytał ostrożnie ten sam natarczywy głos. – Słyszysz mnie? Jestem Kuba.

Co się stało? – zapytała. *Gdzie jestem?*

– Jesteś bezpieczna – odparł. – To znaczy... w zasadzie... nie żyjesz, ale jesteś też bezpieczna... w pewnym sensie. Zgódka, może ty z nią porozmawiasz? Ja nie jestem przyzwyczajony.

Osoba, przez której oczy Hanna patrzyła na świat, odwróciła się, by spojrzeć na swoją towarzyszkę, dziewczynę o kilka lat młodszą od niej. W swym wyblakłym wełnianym stroju i lnianym czepek mogła być byle dziewczyną z targu, ale w jej wzroku kryła się powaga i wiedza, jakby miała przed oczami całe życie Hanny.

Na policzku nieznajomej Hanna dostrzegła dwie blade blizny po ospie, tak małe, że mogły być śladami po kroplach deszczu. Przypomniały jej dwa duże piegi, które Tomek miał na policzku niemal w tym samym miejscu, i wzięła to za dobry omen. Mimo ogarniającej ją rozpaczycy cieszył ją każdy taki znak.

– Nie musisz tu zostać, jeśli nie chcesz – powiedziała dziewczyna nazwana Zgódką. – Ale jeśli tylko masz ochotę, zapraszamy cię do wspólnej podróży. Wierzymy w drugie szanse dla ludzi, którzy na ogół ich nie dostają. Jesteś wśród przyjaciół, Hanno. Jesteś w domu.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojej redaktorce, Rachel Perry, za jej nadludzkie pokłady cierpliwości i spokoju w chwilach, gdy ja odchodziłam od zmysłów z powodu moich własnych opóźnień, oraz za pomoc w wywabieniu Niedźwiedzia z cienia. Beo, Kat, Catherine, dziękuję Wam i wszystkim w Macmillan za Wasze wsparcie, poczucie humoru i stanie zawsze po mojej stronie. Wyrazy uznania kieruję do Nancy za jej mądrość i rozsądek, a do Martina za to, że wytrzymał najbardziej szalone miesiące mojego pisanie i redagowania i dokuczał mi tylko trochę, gdy pracowałam do czwartej czy piątej nad ranem. Rhiannon, dziękuję za pomysł na krajobraz. Dziękuję Sandrze za to, że zabrała mnie na wystawę poświęconą sir Thomasowi Browne'owi w Royal College of Physicians, a Amy Greenfield za pokazanie mi Chastleton i jego wspaniałej tajemnej komnaty. W swojej pracy wykorzystałam też znajomość zamków Ham House, Boswell Castle, Old Wardour Castle oraz literatury: *The English Civil War: A People's History* pióra Diane Purkiss; *The King's Smuggler: Jane Whorwood Secret Agent to Charles I* autorstwa Johna Foxa; *The Weaker Vessel: Woman's Lot in Seventeenth-Century England* Antonii Fraser; *Family Life in the Seventeenth Century: The Vernons of Claydon House* pióra Miriam Slater; *Women in Early Modern England, 1500–1700* autorstwa Jacqueline Eales; *Her Own Life: Autobiographical Writings by Seventeenth-century Englishwomen* w redakcji Elspeth Graham, Hilary Hinds, Elaine Hobby i Helen Wilcox; *55 Days* Howarda Brentona; *The History of England Volume III: Civil War* autorstwa Petera Ackroyda. Składam też gorące podziękowania lady Eleonorze Davies, zgryźliwej samozwańczej prorokini, która grała na nerwach dosłownie wszystkim, głównie dlatego, że zwykle miała rację.

Chciałam również serdecznie przeprosić króla Karola I za zmuszenie fikcyjnej wersji jego osoby do podpisania wysoce nikczemnego edyktu. Mam nadzieję, że mi wybaczy i powstrzyma się od poszczucia mnie widmowymi spanielami.